

ANNA QUINDLEN

Zbudź się, szkoda
dnia

Sława jest jak pszczoła
Tu żądłem ukłuje
Tam pieśnią przywoła
Ach, no i ma też skrzydła
- Emily Dickinson

Marii Krovatin, prawdziwej gwiazdzie.
Silnej, nieustraszonej, absolutnie niezwykłej.
Gdy dorosnę, chcę być taka jak ty.

Rozdział 1

Od czasu do czasu obce osoby pytają mnie, jak mogę mieszkać w Nowym Jorku. Zdarza się to na przykład, gdy jestem na wakacjach i spędzam czas, stojąc w kolejce do bufetu w towarzystwie spalonych słońcem i niezupełnie trzeźwych urlopowiczów. Bywa też, że pytanie to pada podczas branżowego sympozjum, kiedy siedzę w rogu hotelowej sali konferencyjnej i popijam kawę w gronie innych pracowników socjalnych, w większości ubranych w marszczone spódnice i noszących wiszące kolczyki - atrybuty kobiet w pewnym wieku i o określonej świadomości społecznej. Pytają mnie o to koleżanki mojej ciotki, które, choć mieszkają niedaleko, zaledwie pół godziny jazdy Saw Mill Parkway na północ, żyją w stanie sielankowej izolacji w okolicy, która równie dobrze mogłaby uchodzić za Maine.

Nawet w samym Nowym Jorku zdarza mi się usłyszeć to pytanie, na przykład z ust starszych panów spacerujących promenadą na Coney Island, którzy znają Irvinga Lefkowitza od czasów jego bar micwy i z perspektywy ławeczki przy brooklyńskiej plaży wyobrażają sobie podłużną wyspę Manhattan jako wielkomiejskiego „Titanica” z tłoczącymi się na pokładach kryminalistami, homoseksualistami i ateistami, zmierzającego ku nieuchronnej katastrofie.

„I czemu ty tam mieszkasz, dziecko?” - zapytał mnie kiedyś jeden z nich, mrużąc oczy z niedowierzaniem. Długa blada szyja wystawała mu z rozciągniętego swetra z dekoltem w serek, wskutek czego wyglądał jak żółw z Galapagos we włóczkowej skorupie w romby.

Czasem, gdy jestem zmęczona, wzruszam tylko ramionami i odpowiadam, że mi się tu podoba. Kiedy mam podły humor lub odrobinę przesadzę z alkoholem, co w zasadzie daje taki sam efekt, tłumaczę, że mieszkam w Nowym Jorku, ponieważ to miasto jest centrum wszechświata.

Jednak najczęściej mówię, że tutaj mieszka moja siostra, a ja chcę być blisko niej, jej męża, który jest dla mnie jak brat, i syna, którego w skrytości uważam przynajmniej po części za swojego. Starszych panów taka odpowiedź satysfakcjonuje. Wydają z siebie pomruk aprobaty i kiwają łysymi, pokrytymi plamami głowami. Porządna dziewczyna. Jaka rodzinna. Zerkają na Irvinga. Następne pytanie będzie dotyczyło ślubu. Uciekamy do „Nathana” na hot doga.

Ale mi się tu naprawdę podoba. I naprawdę jest to centrum wszechświata.

Prawdą jest też, że chcę być blisko siostry. Zawsze tak było. Mamy nawet swoje ustalone rytuały. Każdego ranka w sobotę, o ile ona nie relacjonuje akurat olimpiady, oscarowej gali, klęski żywiołowej czy jakiejś inauguracji, idziemy pobiegać do parku, a później wspólnie jemy śniadanie - u niej albo w greckiej knajpce niedaleko mojego domu. Twierdzi, że zbyt mało ćwiczę i przez to nie możemy biegać w szybszym tempie. Według niej to przejaw mego wrodzonego lenistwa, a ja uważam, że to świetnie odzwierciedla nasze wzajemne relacje. Nasza ciotka Maureen mawia, że jako dziecko byłam tak ociężała i flegmatyczna, że nauczyłam się chodzić tylko dlatego, żeby podążać za starszą siostrą. W jednym z najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa pojawia się taki oto obraz: idę wysadzaną sosnami ulicą, po obu stronach zabudowaną starymi domami w stylu kolonialnym, i kilka metrów przed sobą widzę plecy grupki ośmioletnich dziewczynek. Nagle ze środka tej gromadki dobiega mnie niesiony wiatrem stanowczy głos: „Wracaj do domu, Bridget! Ty nie możesz iść!”.

Kiedy biegam z Meghan, zawsze dostaję zadyszki, ale zdążyłam się już do tego przyzwycząić. „Patrz i ucz się” - powtarza mi od czasów liceum i ja zawsze jej słucham.

- Niesamowite, że wczoraj obie znalazłyśmy się na tym samym przyjęciu - powiedziała pewnego pochmurnego marcowego poranka, gdy biegłyśmy truchtem po parkowej alejce. Staralam się nie zauważać w jej głosie tej dawnej nuty zniecierpliwienia: „Wracaj do domu, Bridget! Ty nie możesz iść!”. Rzeczywiście dziwnie się poczułam, wchodząc do przestronnego salonu z meblami obitymi beżowym welurem i obrazami impresjonistów na ścianach i widząc ją w kącie z kieliszkiem wody mineralnej w dłoni. Gospodyni nawet usiłowała nas sobie przedstawić - nie podejrzewała, że jesteśmy ze sobą spokrewnione. Potem wyszła odnieść bukiet zawilców obwiązanych wstążeczką, który wręczyłam jej na powitanie.

- Boże, Bridget, kwiaty? - powiedziała moja siostra, mijając grupkę świeżo upieczonych mam pracujących nad odzyskaniem figury po ciąży. - Nie wierzę, że na prośzoną kolację przysłaś z kwiatami. To najgorsze, co można zrobić. Tyle krzątani, żeby się ze wszystkimi przywitać, a tu jeszcze trzeba poszukać wazonu, nalać

wody i znaleźć dla nich jakieś miejsce, a jeśli w dodatku są niebieskie... Jezu, ja nigdy nie wiem, gdzie je u siebie postawić, a w ogóle...

- Jak ty to robisz, że niewinny gest zamieniasz w problem?

- Czasami po prostu zostawiam je w kuchni na blacie, a potem wyrzucam do śmieci razem z resztkami jedzenia. - Wiedziałam, że to nie do końca prawda; Meghan od dawna zatrudnia specjalne osoby, które się tym zajmują, a ludzie z Feeding Our People, dużej społecznej organizacji dobroczynnej pomagającej głodującym, przysyłają furgonetkę, żeby zabrać niezjedzone potrawy z jej przyjęć. - Przynieś wino, to wystarczy. Nawet jeśli nie będą go chcieli, przyda się na następne koktajl party. Albo się wstrzymaj i następnego dnia przyślij orchideę w doniczce. Nie wiem czemu, ale w każdym cholernym salonie na East Side muszą być orchidee. Moim zdaniem są obrzydliwe, przypominają wielkie białe robale. W ogóle nie wyglądają jak kwiaty.

- Myślałam, że je lubisz. Zawsze stoi u ciebie jedna na komodzie pod oknem.

- Co mam powiedzieć? Jestem niewolnicą mody.

Podczas porannych joggingów ciągle widzimy te same osoby: gwiazdora oper mydlanych, który ma starannie ufarbowane włosy i muskularne nogi; drobną, siwowłosą, krótko ostrzyżoną kobietę o żylastej figurze maratończyka; chińskie małżeństwo, które ubiera się w identyczne modne dresy i biega w towarzystwie pary chartów rosyjskich. Obok nas przemknęła jedna ze znajomych anorektyczek, ukrywająca sterczące kości pod obszerną bluzą.

- Znasz tę laskę, która czyta wiadomości finansowe? Grace Shelton? - zapytała Meghan.

- To ta, co ma tak fajnie obcięte włosy?

- Nie rozumiem, czemu wszyscy tak mówią. Wcale nie ma takiej świetnej fryzury.

- Dobra, niech ci będzie. A co?

- Słyszałam, że żywi się wyłącznie jabłkami i chrupkim pieczywem.

- Niemożliwe.

- Pewnie masz rację, ale kto wie.

Kobieta przed nami odwróciła się i zaczęła biec tyłem. Meghan opuściła głowę tak, aby daszek czapki zasłonił jej twarz.

- Wróćmy jeszcze do kwestii prezentów - powiedziałam. - Ile kosztuje taka orchidea?

- Sto pięćdziesiąt dolarów. Z tym że musisz kupić taką z dwoma pędami.

- Rany boskie, to kupa forsy jak na prezent dla obcej osoby, która cię zaprasza na kolację.

- Przyjęłam do wiadomości - odparła Meghan. Podobnie jak ciotka, która nas wychowywała, moja siostra ma zestaw używanych na co dzień gotowych powiedzonek - ich znaczenie na pierwszy rzut oka jest dość niejasne. To akurat pojawia się już od wielu lat. Kiedyś powiedziała, że to znaczy: „Wiem, ale mam to gdzieś”.

Na chodniku skrzącym się w promieniach popołudniowego słońca leżała rękawiczka, jak gdyby prosiła o drobne. Prawie nie zwalniając kroku, Meghan schyliła się, podniosła ją i wbiegła do budynku, w którym mieści się jej apartament.

- Dzień dobry, pani Fitzmaurice - powiedział portier. Wyraźnie zaakcentowane spółgłoski przypominały brzęczenie pszczoły. Personel zna naszą Meghan.

- Możesz sprawdzić, czy ktoś nie zgubił? - Podała portierowi rękawiczkę. - Szkoda by było, gdyby o tej porze roku ktoś się zorientował, że mu jednej brakuje.

- Oczywiście - odparł portier.

- Ale ze mnie porządna obywatelka, co? - mruknęła Meghan, gdy znalazłyśmy się w windzie i mogła wreszcie zdjąć czapkę, tę tak poręczną osłonę przed światem.

- Och, przestań się ciągle skupiać na sobie.

- Wcale tak nie robię.

- Akurat.

Obie z Meghan jesteśmy niewolnicami przyzwyczajęń. W barze zawsze jemy omlety z tostami z żytniego pieczywa, a u niej w domu owsiankę i sok pomarańczowy. Żyjemy w mieście, w którym królują przyzwyczajenia. Nowy Jork tak często jest kojarzony z kreatywnością i innowacjami, że ludzie z zewnątrz w końcu w to uwierzyli. Tymczasem prawda jest taka, że wzorce zachowań są tu skodyfikowane niczym msza łacińska. Tamto przyjęcie nie było wyjątkiem. Ściany w salonie miały czerwony odcień, na stołach leżały o ton jaśniejsze obrusy oraz dekoracje z róż i jakichś dziwnych tulipanów, które wyglądały jak rośliny mięsożerne. No i obok mnie

posadzono mężczyznę bez pary. „Słyszałem, że pracuje pani w opiece społecznej” - powiedział, jak dziesiątki innych przed nim, kiedy rozkładaliśmy serwetki na kolanach.

Tak było oczywiście w najlepszym przypadku. Kiedyś w domu jednego z darczyńców na rzecz schroniska dla kobiet, w którym pracuję, dwaj maklerzy calutki wieczór rozmawiali o giełdzie tuż przed moją twarzą i tak się nachylali nad moim talerzem, że nie mogłam dosięgnąć koszyka z pieczywem. Innym razem, będąc na kolacji w dwupoziomowym apartamencie pewnej kobiety, która pracuje razem z moim szwagrem w firmie Sensenbrenner Lamott, zagadnęłam mężczyznę po lewej: „Skąd pan zna Amelię?”, po czym zobaczyłam, jak jego twarz tężeje, a po policzkach zaczynają mu spływać łzy. Wszyscy przy stole udali, że nie dostrzegli tego przejawu słabości, a on zaczął opowiadać o swojej żonie, która w college'u dzieliła pokój z gospodynią przyjęcia, i która rzuciła go dla jakiejś ustosunkowanej lesbijki mieszkającej w Londynie. Przy bardzo niewielkiej pomocy z mojej strony udało mu się przebrnąć przez lata studiów, okres małżeństwa, remont mieszkania, kolejne zmiany pracy, aż do pewnej prozowanej kolacji (oczywiście), kiedy to został posadzony przy stole obok tejże lesbijki, którą gospodyni omyłkowo wzięła za kobietę samotną w bardziej konwencjonalnym znaczeniu. Potem zaprosił ją do siebie do domu na lunch, ponieważ okazało się, że oboje dzielą zainteresowanie ceramiką firmy Fiesta, czego jego żona nigdy nie potrafiła zrozumieć. („O nie, czyli on też jest gejem” - stwierdziła Meghan nazajutrz podczas śniadania. - „Który normalny facet orientuje się, co to jest Fiesta?”). W obliczu smutku i gniewu tego biedaka prawie wszyscy przy stole zamilkli. Jedynie pewna pełnoetatowa mamusia snuła monolog na temat problemów w nauce swego dziecka.

Oczywiście nie zawsze było tak źle. Kiedyś prawie przez rok umawiałam się z pewnym profesorem Uniwersytetu Nowojorskiego, spotkanym na przyjęciu wydanym przez absolwentkę Smith College, poznaną przy okazji telefonicznej akcji zbierania funduszy na rzecz szkoły. Zawarłam też trwałą przyjaźń z technikiem oświetlenia pracującym na Broadwayu, irlandzkim imigrantem o imieniu Jack - siedział obok mnie na dorocznej imprezie organizowanej przez moją sąsiadkę z okazji święta 4 lipca. To było udane przyjęcie: cudowne

towarzystwo, wyśmienite jedzenie. Były figi faszerowane kozim serem, zupa krem z dyni i jagnięce żeberka z brokułami.

Nie pamiętam poznanych mężczyzn, tych wszystkich sadzanych obok mnie prawników/filmowców/naukowców/maklerów/wydawców, ale niemal dokładnie pamiętam jedzenie, nawet jeśli było kiepskie. Na początku takie sytuacje zdarzały się często; potem wszyscy wokół zaczęli się dorabiać, a ja z kawalerki przeprowadziłam się do dwóch pokoi z kuchnią, a następnie do dwóch pokoi z widną kuchnią. Później agenci nieruchomości będą to kuchenne okno prezentować potencjalnym najemcom, jakby to był co najmniej fresk Michała Anioła. Bo jest, wedle nowojorskich standardów.

Dla części z nas kuchnia z oknem to znak, że wreszcie osiągnęliśmy pewien poziom dobrobytu. Dla innych jest to chwilowy triumf, przystanek między pierwszą propozycją od wydawnictwa a trzecim bestsellerem, między letnim stażem a stanowiskiem wspólnika w firmie, między mężem wykładowcą literatury porównawczej na Uniwersytecie Columbia a mężem prezesem wielkiej firmy inwestycyjnej. Najpierw kuchnia z wymarżonym oknem, a następnie kuchnia wyposażona w dwie importowane zmywarki, dwie lodówki ze szklanymi drzwiami, posadzkę z terakoty, blaty ze stali nierdzewnej, specjalny pogłębiony zlewozmywak, profesjonalny ciąg kuchenny zaprojektowany po konsultacji z firmą cateringową (ponieważ jej pracownicy częściej korzystają z tego elementu niż właściciele domu). Kuchnia ukryta jest zwykle w głębi apartamentu, z dala od kosztownego widoku na Central Park i głównej sypialni z komodą z wiśniowego drewna, która kryje telewizor wysuwany po naciśnięciu guzika przy łóżku. To ciekawe, że wszyscy czują potrzebę chowania telewizora i jedzenia, przy czym są to tematy najczęściej pojawiające się w rozmowach. W kuchni Meghan, mimo że ona nie cierpi oglądać telewizji po pracy, wisi wielki plazmowy ekran.

- Gdzie jest Evan? - wymamrotałam z pełnymi ustami.

- Evan? Jaki Evan? Ach, masz na myśli mojego męża! Tak ma na imię, prawda?

- Przepraszam, że zapytałam.

- Siedzi w biurze. Tym tutaj, nie w Londynie ani w Tokio, chociaż Bóg jeden wie, ile czasu tam spędził przez ostatnie pół roku. Kiedy jest w Nowym Jorku, zwykle wraca z pracy, gdy ja już śpię. Odwracam się i mówię do siebie: „A, to on”. Teraz za każdym razem,

kiedy dostajemy zaproszenie na kolację, twierdzi, że jest zmęczony, i pyta, czy nie mogłabym iść sama. A mnie się zarzuca, że jestem pracoholiczką. A właśnie: nie wiesz, gdzie chłopcy trzymają plastikowe pojemniki?

Tylko Robert i John, faceci, którzy przygotowują, serwują i zmywają po posiłkach, orientują się, gdzie co leży w kuchni Meghan i Evana. No i jeszcze Leo, mój siostrzeniec, ten od chińszczyzny na wynos, gotowych zupiek spożywanych późno w nocy, niezliczonych porcji chrupek czekoladowych i lodów jedzonych wprost z pudełka. On mi pokazał, gdzie leżą pojemniki. Było to pewnego wieczoru, kiedy wchłonęliśmy taką ilość puddingu ryżowego, że oboje prawie pękliśmy.

- W szafce nad lodówką na wino - powiedziałam. Kolejny powód, żeby nie przynosić kwiatów: pani domu nie wie, gdzie trzyma wazon. Gdyby musiała znaleźć odkurzacz albo płyn do mycia szyb, świat wstrzymałby oddech.

- Po co ci pojemniki?

- W poniedziałek robimy na żywo prezentację produktów Tupperware, a ja będę miała za zadanie zademonstrować, jak się odsysa powietrze z tych misek. Dyskutowaliśmy do znudzenia, czy lepiej będzie, jeśli od razu dam do zrozumienia, że nie mam bladego pojęcia, jak to się robi, czy też wykonam to z wprawą. W sposób autorytatywny, jak się wyrazili. Optowałam za tym drugim.

- Jakżeby inaczej. Chociaż nie umiem sobie wyobrazić, jak można w takiej sytuacji wyglądać autorytatywnie; Daj spokój, Tupperware, kogo to obchodzi?

Siostra zmierzyła mnie przeciągłym spojrzeniem, unosząc przy tym delikatnie kącik ust.

- Skąd wiesz, że musisz mnie o tym przekonywać?

- Zresztą, kim ja jestem, żeby zabierać głos? Cały wczorajszy dzień usiłowałam rozbić gang handlujący podrabianymi nike'ami, którym ponoć kierują dwie kobiety z naszego schroniska. Policjanci z posterunku byli bardzo mili, ale zagrozili, że albo same się z tym uporamy, albo oni to zrobią po swoim.

- Nie mów mi o takich rzeczach, kiedy trenuję odpowietrzanie pojemników przed publicznym występem. Wczoraj miałam wywiad z facetem, który napisał książkę o tym, jak trudno poznać odpowiednią kobietę, a później z pierwszą kobietą, która została szefową cukierni

w czterogwiazdkowej restauracji. A ty przychodzisz i opowiadasz mi o ludziach, którym spalił się dom, albo o dzieciach, które odebrano rodzicom. Przez ciebie mam poczucie, że robię coś bezsensownego.

- Niby co: cierpienie jest zawsze prawdziwe, a sukces sztuczny?

- Nie. Kobiety handlujące podróbkami Nike, żeby mieć czym nakarmić dzieci, są prawdziwe, a kobieta, która opowiada w telewizji o Tupperware, jest sztuczna.

- Skąd wiesz, że chodzi o dzieci? Może potrzebują kasy na narkotyki?

- Dobra. Widzę, że koniecznie chcesz się pokłócić. Podaj mi tę żółtą miskę.

Wszystkie pojemniki były ułożone równiutko jeden na drugim. Moja siostra to największa bałaganiara pod słońcem, ale w jej głowie panuje porządek niczym w sterowni elektrowni atomowej. Jej życie jest tak wypełnione, że z konieczności musi odrzucać wszystko, co ma drugorzędne znaczenie. Wystarczy rzucić hasło „Kenia”, a Meghan wyrecytuje, kto stoi na czele rządu, kto próbuje go obalić, jaka jest najważniejsza gałąź gospodarki tego kraju i jakie kwoty wypłacają mu Stany Zjednoczone w ramach pomocy zagranicznej. „Czy to nie dziwne” - zastanawiał się kiedyś Leo - „że mama wie te wszystkie rzeczy, których człowiek nawet nie pomyślał, że powinien je znać?”.

Nigdy natomiast nie umie znaleźć swojego palmtopa BlackBerry, a komórki gubi tak często, że ostatnio zaczęłam zapisywać jej numery ołówkiem. Plan dnia mojej siostry układa i egzekwuje sztab młodych asystentek. Jej biżuteria jest przechowywana w garderobie, a jej dobór powierzono zawodowym stylistom, biegłym w sztuce osądzania, który dekolt prosi się o dłuższy naszyjnik albo czy nie lepiej pasowałyby guziki z masy perłowej lub złote kolczyki.

- Voila - oznajmiłam. - Tak się to robi. - Nacisnęłam wieczko kciukiem, palcem wskazującym odchyliłam róg i - psst! - wypuściłam powietrze. Później z powrotem zamknęłam. Do góry - psst! - Do góry - psst! - Gdzie ty się uchowałaś, że tego nie potrafisz? - zapytałam. - Ciocia Maureen miała tyle pojemników, co albumów ze zdjęciami. Nauczyła mnie tego, kiedy jeszcze byłam małym berbeciem.

- Jak ty byłaś berbeciem, to jeszcze mieszkaliśmy w domu.

Myślała o dużym szarym budynku z białymi okiennicami, w którym żyliśmy do śmierci rodziców. Gdy miałam sześć lat a Meghan dziesięć, przeprowadziłyśmy się do cioci Maureen i wuja Jacka.

Meghan uniosła wieczko większej z misek, przyłożyła kciuk i wypuściła powietrze.

- Wyszłabym na kretynekę, gdybym to spieprzyła. - Na wszelki wypadek poćwiczyła jeszcze kilka razy. Przy ostatnim „psst” uniosła twarz i spojrzała przed siebie z lekko przechyloną głową. Moja siostra prowadzi najpopularniejszy w Ameryce poranny program telewizyjny Zbudź się, szkoda dnia. Jest najsłynniejszą kobietą w telewizji, a co za tym idzie, prawdopodobnie najsłynniejszą kobietą w całych Stanach. Kamera nie chce widzieć czubka głowy Meghan, chociaż jej kolorystka dba, by włosy miały wszędzie jednolity odcień - woli jej twarz.

Moja siostra zatrzasnęła wieczko i próbowała jednym ruchem umieścić pojemnik z powrotem w szafce. Wzięłam go od niej i odłożyłam na półkę. To ciekawe, że choć jestem znacznie wyższa od Meghan i noszę większe, wyglądające jak siedmiomilowe, buty (kajakowate dziesiątki, podczas gdy jej obuwie ma rozmiar sześć), w najważniejszych sprawach ona przerasta mnie o głowę. Dlatego od dzisiaj zamiast kwiatów będę przynosić na przyjęcia wino.

- Czerwone - zaznaczyła stanowczo. - Z jakiegoś powodu białe jest passe. - Gdy Meghan mówi, ja, tak jak cała reszta kraju, słucham.

- Nie zakładaj na wieczór nic czarnego - dodała, kiedy zbierałam się do wyjścia. - Strasznie blado w tym wyglądasz.

- Tak w ogóle to dzięki, że się zgodziłaś - powiedziałam. - To dla nas bardzo ważna impreza. Jak się uda, zbiorą mnóstwo pieniędzy. Część z nich obiecali przekazać bezpośrednio nam. Dzięki tobie będziemy mogli pomyśleć o kupnie nowego pieca i może jeszcze starczy na pensję dla dodatkowej opiekunki dla dzieci.

- Dziwne tylko, że organizują to w sobotę. Nikt nie urządza imprezy dobroczynnej w sobotni wieczór.

Pokręciłam głową.

- To nie wiesz? Dowiedzieli się, że to jedyny dzień w twoim napiętym grafiku, kiedy możesz przyjść.

- Hm. Powinnam się była domyślić, co?

- Właśnie że ubiorę się na czarno - powiedziałam do siebie, gdy zamknęły się za mną drzwi windy.

Rozdział 2

Wszyscy goście byli na czarno, z wyjątkiem kilku odważnych dusz, które postanowiły rzucić wyzwanie konwenansom i ubrały się na czarno - białe, oraz starszych pań, nadal tkwiących w krainie lawendy i turkusu. Salon recepcyjny przed salą balową hotelu Waldorf - Astoria pękał w szwach od gości przybyłych na doroczną kolację charytatywną organizowaną przez Manhattańskie Matki. W skład tego stowarzyszenia wchodziły panie z miejscowej socjety, wydające lunche, obiady, a nawet śniadania w celu zbierania funduszy na pomoc ubogim kobietom z dziećmi. Program takich imprez jest raczej niezmienny. Najpierw wyświetla się film pełen ujęć pokazujących słodkie ciemnoskóre dzieci o wielkich czarnych oczach. Kolejny punkt to przemówienie, wygłaszane przez kogoś, kto też był sierotą, a później skończył prawo na Harvardzie, albo przez jakąś kobietę pobitą niegdyś do krwi przez narzeczonego, a obecnie pomagającą innym znajdującym się w podobnych sytuacjach. Oczywiście musi być jakiś gość honorowy, który otrzymuje nagrodę za zasługi na polu działalności dobroczynnej. Gościa dobiera się pod kątem sławy, majątku i zdolności przyciągnięcia odpowiedniej liczby zasobnych portfeli. W tej dziedzinie dochodzi do ostrej konkurencji: prezesi rozmaitych korporacji odrzucają tygodniowo trzy, cztery zaproszenia organizacji chcących ich wyróżnić za zaangażowanie w polepszenie życia wszystkich nowojorczyków lub wszystkich nowojorskich dzieci (albo w poprawienie warunków w szkołach, odnawianie zabytków czy utrzymanie parków).

W tym świecie możliwość goszczenia Meghan Fitzmaurice, która od dziesięciu lat prowadzi program Zbudź się, szkoda dnia, to wielka gratka zarówno ze względów filantropijnych, jak i reklamowych. Takiemu wydarzeniu towarzyszą relacje w prasie (nierzadko powiązanej z macierzystą stacją Meghan), obecność mnóstwa darczyńców i ogromny tłum zwabiony możliwością ujrzeć ją na własne oczy. Ona nigdy nie zawodzi. W przeciwieństwie do niektórych gości, zawsze pojawia się na przyjęciu trzeźwa. Zawsze wygląda przepięknie. Zawsze jest elokwentna. Zawsze serdecznie odnosi się do wszystkich podchodzących do jej stolika, nawet młodych reporterów z telewizji zwierających się, że oglądają ją od podstawówki, mimo że przez to czuje się jak stara baba.

W dzieciństwie nauczono nas dobrych manier. Najpierw robiła to gospośnia, a potem ciocia Maureen. Opuuszczamy sobie tylko wtedy, gdy jesteemy same.

Rzadko bywam na tego typu imprezach. Meghan mnie nie zaprasza. Nie zaprasza nawet Evana, swego meża, chyba że jest to szczególnie prestiżowe wydarzenie albo gdy podejrzewa, że będą tam inni doradcy inwestycyjni, z którymi mógłby nawiązać korzystne kontakty biznesowe. Kiedyś, wiele lat temu, Evan, Alex Menninger i Tom Bradley upili się na wesoło i założyli Towarzystwo im. Denisa Thatchera, zrzeszające meżów sławnych i wpływowych kobiet. Za każdym razem, gdy ktoś wspomni tę nazwę, wszyscy panowie ryczą ze śmiechu, a panie milkną i przybierają chłodny wyraz twarzy.

Od czasu do czasu Meghan zabiera na przyjęcia Leo. Dzięki temu jej syn poznał już panią prezydent Irlandii, dwóch prezydentów USA, kilkoro sędziów Sądu Najwyższego i tego znanego gitarzystę, który organizuje wielkie charytatywne koncerty rockowe i niedawno został lordem.

„Dzisiaj uważasz, że to nudy” - powiedziała moja siostra pewnego razu, kiedy Leo całą drogę marudził w samochodzie. - „Jutro to będzie historia. Pomyśl, ile będziesz miał do opowiadania swoim dzieciom”.

„Nie zamierzam mieć dzieci” - nieodmiennie zarzeka się Leo.

„Jeszcze zmienisz zdanie” - nieodmiennie zapewnia go Meghan.

Przyjechałam za wcześnie, więc zaczęłam gorączkowo krążyć po sali z kieliszkiem w ręku, udając, że kogoś szukam, podczas gdy tak naprawdę bardzo się starałam nie dać po sobie poznać, że nikogo tu nie znam. Żona jednego ze współników Evana robiła dokładnie to samo i kiedy mnie spostrzegła, ogromnie się ucieszyła, choć spotkałyśmy się wcześniej tylko raz, i to przelotnie. Przez dziesięć minut opowiadała mi o swych nowo narodzonych bliźniętach, a ja miałam wrażenie, że rozmowa toczy się w zwolnionym tempie, jakby pod wodą. Opiekunka, kołyska z tekowego drewna, bul, bul, bul... Odpłynęła w tłum, a zastąpił ją asystent produkcji z programu Meghan, ten sam, którego ona chce zwolnić. Tak się przynajmniej odgraża co najmniej od trzech miesięcy podczas naszych sobotnich przebieżek po parku. Musiał nie dosłyszeć mego nazwiska, ponieważ dwukrotnie nazwał moją siostrę „królową wszystkich mediów”.

- Tu jesteś - usłyszałam za plecami gardłowy głos i odwróciwszy się, zobaczyłam Ann Jensen, przewodniczącą balu. - Ty, ty, ty.

- Witaj - odparłam.

- Moja bohaterka! Od rana powtarzam: Bridget Fitzmaurice jest moją bohaterką.

- To nic wielkiego, naprawdę. Zrobiłam to z przyjemnością.

- Nic wielkiego? A czterystu trzydziestu dodatkowych gości? W zeszłym roku zarobiliśmy tu milion dolarów. Tym razem zapowiada się milion sześćset tysięcy. To... jest... coś... wielkiego.

Rok temu Manhattańskie Matki przekazały sporą dotację na rzecz schroniska, w którym pracuję. W ramach wdzięczności załatwiłam im w tym roku Meghan. Jestem bohaterką.

- Muszę ci coś powiedzieć na temat twojej siostry - kontynuowała Ann, nachylając się ku mnie tak, że mogłam zajrzeć jej w oczy, które cechował ten nienaturalny wytrzeszcz charakterystyczny dla osób po liftingu górnych i dolnych powiek. Ludzie zawsze czują się w obowiązku powiedzieć mi coś o mojej siostrze, zupełnie jakbyśmy nie znały się dość dobrze. Korciło mnie, żeby zareagować: „O, kochana, ile ja bym ci mogła opowiedzieć”, ale udałam, że czekam w napięciu. Powstrzymywałam się, aby nie zniżyć wzroku. Ann Jensen miała bowiem na sobie suknię bez ramiączek, a jej dekolt należy do tych, o których Irving lubi mawiać: „Można w nich zaparkować rower”.

Chwyciła mnie mocno za rękę.

- Żadnych kaprysów - wypaliła. - Zdajesz sobie sprawę, jaka to rzadkość? Żadnych. Kilka lat temu mieliśmy tu pewną osobę - nawet nie mogę powiedzieć, kogo. Samochód musiał być określonej wielkości, do tego transport helikopterem z letniego domku i tak dalej. I nawet nie został na kolacji. Pięc po dziewiątej wpadł po nagrodę, a o wpół do dziesiątej już go nie było. Twoja siostra nie tylko przychodzi na kolacje, ale nawet na koktajle.

- I zostaje na deser i tańce - wtrąciłam.

- Jak mówiłam: żadnych kaprysów.

Z tą ironią w Nowym Jorku to jest dziwna sprawa. Albo trafiasz między ludzi cały czas się nią posługujących, albo na takich, którzy w ogóle jej nie łapią. Ann Jensen zapewne zna francuski, żeby robić zakupy w Paryżu, i łamany hiszpański, by wydawać polecenia gosposi. Ale język ironii jest jej zdecydowanie obcy.

- Moja bohaterka! - powtórzyła na odchodnym, bo jakaś kobieta z notatnikiem w ręku odciągnęła ją na bok, a ja z powrotem zaczęłam krążyć bez celu wśród gości.

Moja siostra przyjechała o siódmej. Zwykle wiem, kiedy się zjawia, ponieważ wówczas zaczynają pracować kamery i robią szum przywodzący na myśl rój owadów. Tym razem jest mi łatwiej, bo Meghan ma na sobie białą suknię. Ona nigdy nie wkłada bielizny pod wieczorowe kreacje. Przypuszczam, że tylko ja i Evan o tym wiemy. A może to żadna tajemnica? Suknia, którą założyła tego wieczoru, idealnie podkreślała jej sylwetkę. Z pozoru to prosta długa suknia bez pleców, ale z bliska można było dostrzec, że cała jest pokryta drobnymi połyskującymi blaszkami.

- Te błyskotki - powiedziała rano przy śniadaniu - to nie są cekiny. Nazywają się... Cholera, jak one się nazywają? No, przecież wiesz.

- Nie, nie wiem.

Nie miałam pojęcia, jak się nazywały, ale i tak wyglądały przepiękne. Suknia przypominała kaskadę wody - trafne porównanie, bowiem Meghan ma figurę pływaczki: długie, silne mięśnie, szerokie ramiona, szczupłe biodra. Codziennie rano po programie zmywa makijaż, dzwoni do mnie, wypija filiżankę kawy, idzie na basen i przez pół godziny pływa. Mówi, że tylko wtedy może być tak naprawdę sama.

- Na żywo wygląda o wiele lepiej - usłyszałam za plecami.

- Na pewno miała operację - dodał ktoś inny. Nie miała.

Obok niej stał Evan i delikatnie obejmował ją w talii. Evan i Meghan poznali się w dzieciństwie. On miał osiem, a ona sześć lat. Mieszkaliśmy wtedy w najładniejszej dzielnicy Montrose. Spotkali się na przyjęciu urodzinowym. Jak głosi legenda, Evan powiedział jej, że ma pryszczę na buzi. „To są piegi” - sprostowała z godnością, której nie brakowało jej już w dzieciństwie. „Według mnie to wygląda jak pryszczę” - upierał się Evan. Wepchnęła go do basenu. Tyle razy słyszałam tę historię, że widzę ją oczyma wyobraźni. Evan ma na sobie koszulkę polo zapiętą pod samą szyję - długą i przeraźliwie chudą. Widzę cienkie nóżki Meghan ze sterczącymi kolanami i nadpruty rąbek sukienki. Matka nie przejmowała się naszymi ubraniami; uparcie kupowała najdroższe, wymagające czyszczenia chemicznego i prasowania, po czym nigdy nie zwracała uwagi, czy są

czyste lub wyprasowane. Evan wypowiada te słowa w samoobronie, ponieważ Meghan jest bardzo pewna siebie; ona zaś reaguje oburzeniem, bo została ośmieszona. Oczywiście nie mam prawa tego wszystkiego pamiętać. Miałam wtedy dwa latka i prawdopodobnie siedziałam w domu w kojcu i przyglądałam się gosposi zmywającej naczynia, co - jak się wydaje - było jedną z moich głównych rozrywek we wczesnym dzieciństwie. Niezliczoną ilość razy opowiadano mi, jak biedaczek rozpaczliwie młócił wodę rękami, a Meghan krzyczała do niego: „Durna pała!”. Potem oszołomionego i ociekającego wodą Evana zabrano do domu.

Jestem przekonana, że on nigdy wcześniej nie spotkał kogoś takiego jak Meghan. Jego rodzice to najspokojniejsi ludzie pod słońcem. Matka, kiedy jest w figlarnym nastroju, mówi do męża: „Ach, ty”, a on w odpowiedzi ściska ją za ramię. Tak wygląda szczyt rozpasania w domu Graterów. Siedziałam obok matki Evana na ich weselu i pamiętam jej błyszczące od łez oczy, kiedy patrzyła, jak wirują na parkiecie. Ku zaskoczeniu Meghan Evan zapisał się na kurs tańca towarzyskiego i świetnie sobie radził, zdecydowanie prowadząc ją przez wszystkie figury i obroty. „On przechodzi samego siebie” - stwierdziła wówczas pani Grater.

Evan wykorzystuje umiejętności nabyte na kursie, sterując Meghan w tłumie, takim jak dzisiaj w Waldorfie. Ona właściwie nie musi nic robić; nie musi tak jak ja torować sobie drogi wśród tac kelnerów, uniesionych wysoko kieliszków i tłoczących się ciekawskich. Meghan jest niczym punkt w kosmosie, wokół którego krąży wszelka materia: przewodnicząca imprezy, jej asystentka, pani, której syn chodził z Leo do szkoły w Biltmore (ten sam, który w piątej klasie pobił go do krwi), żona jednego ze współników Evana (która kiedyś na przyjęciu usiłowała go uwieść w łazience), prezes stacji telewizyjnej.

Nagle tuż przy Meghan pojawia się moja szefowa, Alison Barker, dyrektor zarządzający fundacji „Kobiety dla kobiet”.

Nachyla się, szepcze jej coś do ucha i w tym momencie ten łaskawy, nieco chłodny uśmiech przyklejony do twarzy mojej siostry (i pasujący do niej równie idealnie jak suknia) przeradza się w autentyczny, niemal szelmowski grymas. Ponad trzaskami migawek aparatów dociera do mnie donośny gardłowy dźwięk, w którym

rozpoznaję prawdziwy śmiech Meghan. Kiedyś pewne czasopismo dla panów uznało go za jeden z jej najseksowniejszych atrybutów.

Sala balowa hotelu Waldorf wygląda jak sala tronowa jakiejś małej, podrzędnej monarchii. Może Lichtensteinu. Albo Monako. Władze hotelu znają swoją klientelę, więc oświetlenie jest miękkie, w ciepłej różowej tonacji, zaprojektowane tak, by odjąć twarzom dziesięć lat. Przedarcie się między stołami zajmuje całe wieki - stoją jeszcze bliżej siebie niż goście podczas powitalnego drinka w salonie recepcyjnym. Ann Jensen miała rację: dochód z tego wieczoru będzie ogromny. Chociaż znałam numer swojego stolika, spojrzałam na starannie wykaligrafowaną karteczkę z nazwiskiem. Stół numer 1. Meghan zawsze siedzi przy stole numer 1.

- Dzięki Bogu, że to ty, Bridge - powiedział Evan, wsuwając się na miejsce obok mnie. Meghan została z tyłu, by zamienić parę słów z szefem. - Bałem się, że przez cały wieczór będę musiał konwersować z tymi wszystkimi babami. Wiesz, o czym mówię.

- Gdzie się podziewałeś dziś rano? Byłam u was na śniadaniu.

- W pracy.

- Dzwoniłeś do Leo?

- Ciągle mi się nie udaje. Wszystko przez tę różnicę czasu. Przypominam sobie, że miałem zadzwonić, siadam i nagle sobie uświadamiam, że w Hiszpanii jest środek nocy. Znając Leo, sądzę, że on pewnie o tej porze gdzieś się włóczy, ale nie chcę ryzykować, że chłopaka obudzę. Ale zdaje się, że Meghan rozmawiała z nim po twoim wyjściu.

- Co za zaszczyt, doprawdy - powiedziała Ann Jensen, która nagle podeszła do niego od tyłu. Ścisnęłam Evana za rękę. Zrobił grymas do talerza ze złoconym brzegiem, po czym zgrabnie obrócił się na krześle i wykrzywił w zawodowym uśmiechu.

- Jestem wielką wielbicielką pańskiej żony - rozplęwała się w uprzejmościach Ann. No, to jest coś, co na pewno każdy facet chciałby usłyszeć.

Meghan usadowiono po przeciwległej stronie stołu. Dzielili nas burza kwiatów, więc widziałam tylko czubek jej głowy. Ona nigdy nie zmienia fryzury na takie okazje ani wtedy, gdy występuje przed kamerą. W ostatnim kontrakcie stacja chciała jej zapewnić osobistą makijażystkę, ale Meghan powiedziała, że to nie jest konieczne. Panie charakteryzatorki nie zapominają takich rzeczy. Kiedy cienie pod

oczami Meghan stają się bardziej widoczne, przybiegają w czasie przerw reklamowych z korektorem i pudrem. Jedna z nich przychodzi do niej do domu i maluje ją oraz czesze na takie okazje jak ta. Miedziane włosy Meghan lśnią w blasku żyrandoli, a piegi z założenia przebijają spod makijażu. Moja siostra ma czterdzieści siedem lat, lecz wygląda na trzydzieści.

Byłoby niegrzecznie z mojej strony, gdybym zmonopolizowała Evana na cały wieczór. Na szczęście po mojej lewej stronie siedział sympatyczny starszy mężczyzna o siwych włosach, rumianej cerze i niebieskich oczach, które śmiały się razem z nim, co jest dużą rzadkością w Nowym Jorku. Meghan często mówi, że tak zapewne wyglądałby nasz ojciec, gdyby dane mu było zestarzeć się z wdziękiem. Czyli tak, jak robił większość rzeczy w życiu. Podobno. Tak twierdzi moja siostra. Ilekroć opowiada o naszych rodzicach, wykorzystuje formę krótkich anegdot, jak gdyby chodziło o bohaterów reportażu, który kiedyś robiła. Ich tragiczna śmierć na zakręcie drogi w Connecticut to po prostu tylko zakończenie. Jeżeli jej celem było, abym ledwie wierzyła w ich istnienie, to tak się stało. „Nikt go tak naprawdę dokładnie nie znał” - charakteryzowała naszego ojca ciocia Maureen. - „Ot, przystojny, miły, eleganckie maniere”. Ten obcy mężczyzna siedzący obok mnie wydał mi się o wiele bardziej rzeczywisty niż postać Johna J. Fitzmaurice'a, człowieka, którego egzystencja była tak nieistotna, że zdołał nawet zostać członkiem klubu absolwentów Yale, mimo iż, jak się dowiedziałyśmy kilka lat później, wcale tam nie studiował.

Mój sąsiad wrócił niedawno z wyprawy na Machu Picchu i sporo o tym opowiadał, nie stając się przy tym nudny. Mówił o uczuciu spokoju, jakie go ogarnęło po trudnej wspinaczce.

- Człowiek gotów jest uwierzyć w Boga - podsumował.

Ja z kolei opowiedziałam mu o pilotażowym programie, jaki chcemy wprowadzić w fundacji, w ramach którego kobiety ze schroniska będą pomagać opiekunkom w naszym przedszkolu, aby potem mogły wykorzystać zdobyte doświadczenie przy wychowywaniu własnych dzieci. W moim zawodzie rozmowy z ludźmi na tego typu imprezach przynoszą wymierną korzyść. Rok temu na innym przyjęciu udało mi się zainteresować naszą działalnością pewnego człowieka. Byłam zaproszona na kolację, która odbywała się w jakimś starym, dziwacznym przemysłowym

budynku w zaniedbanej okolicy tuż nad rzeką Hudson. Wewnątrz znajdował się apartament o powierzchni ponad dziewięćset metrów kwadratowych, w dużej części urządzony na podobieństwo angielskiej rezydencji, z jadalnią, która bez problemu pomieściła czterdzieści trzy osoby. Człowiek, o którym mówię, nazywał się Edward Prevaricator [Prevaricator - ang.: „krętacz, matacz, kłamca” (przyp. tłum).] (pięć minut przekonywał mnie, że to prawdziwe nazwisko, aż w końcu, aby udowodnić, że mówi prawdę, pokazał mi platynową kartę American Express) i był jednym z tych rzadko spotykanych w Nowym Jorku mężczyzn, którzy pytając kogoś o jego pracę, rzeczywiście słuchają, co ktoś ma do powiedzenia. Ponadto, jako jedyny z moich dotychczasowych partnerów przy stole, posiadał encyklopedyczną wiedzę na temat edukacji przedszkolnej. Opowiedział mi uroczą historyjkę o tym, jak czytał swojej wnuczce Kota Prota, a ona przez cały czas poruszała wargami, ponieważ nauczyła się tej książki na pamięć. Miał najbardziej niesamowite niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Wyglądały jak te eukaliptusowe miętówki, które smakują jak maść Vicks VapoRub i kojarzą mi się z chorobami z dzieciństwa. Kiedy zwróciłam na nie uwagę, odparł: „To mój jedyny ozdobny akcent”. Był postacią jakby żywcem wyjętą z wiktoriańskiej powieści, szlachetnym bohaterem, potajemnie ratującym sierotę i z dala obserwującym jej losy. W pewnym sensie właśnie tak zrobił, ponieważ tydzień później przysłał na adres naszej fundacji czek na sto tysięcy dolarów. To największy datek, jaki kiedykolwiek otrzymaliśmy.

„Obciągnęłaś mu czy co?” - zapytała nasza sekretarka Tequila, kiedy znalazłyśmy czek w porannej poczcie. Tequila jest zdania, że zawsze chodzi albo o seks, albo o pieniądze, a często o jedno i drugie.

„Nawet nie próbowałam go podrywać” - odparłam. - „Nie miałam pojęcia, że jest bogaty. Poważnie”.

Alison z uwagą wpatrywała się w czek.

„Możliwe, żeby facet naprawdę tak się nazywał?”.

„Przekonamy się, kiedy sprawdzimy, czy ten czek ma pokrycie”.

- Zna pan Edwarda Prevaricatora? - spytałam sąsiada, który usiłował nie gapić się bez przerwy na moją siostrę.

- Ma tu być, o ile wiem - odpowiedział. - Hojny filantrop. Z Kansas City czy Chicago, nie pamiętam. Środkowy Zachód w każdym razie. Świetnie prosperujący biznes.

Co za oszczędny sposób porozumiewania się. Ludzie w tym mieście wydają się być tak zabiegani, że nie mają czasu budować pełnych zdań.

Usłyszałam, jak po drugiej stronie stołu Meghan dziękuje jednemu z organizatorów za to, że przyjęcie odbywa się w sobotę, dzięki czemu mogła przyjść. Ona sporo się napracuje na takich imprezach. Zawsze czuła przymus robienia więcej niż jednej rzeczy naraz: rozmawiając przez telefon, przegląda pocztę, ćwicząc na bieżni, czyta gazetę i tym podobne. Nieważne jak nudne ma towarzystwo przy stole, zawsze uważnie wszystkich przepytuje i bardzo często, kończąc kawę, ma już co najmniej jeden gotowy pomysł na program. Z dziedziny polityki pieniężnej, publicznej opieki zdrowotnej czy stosunków azjarycko - amerykańskich. Denerwuje to tylko żony tych mężczyzn, którzy siedzą blisko niej. Dopytują się później, o czym rozmawiali, co im powiedziała i jaka ona jest. „Wydawała się zainteresowana tym, co robię”, odpowiadają mężowie, a żony wzdychają lub prychnają, zależnie od indywidualnego usposobienia albo stażu w małżeństwie.

Kelnerzy zaczęli zbierać nakrycia po przystawkach, więc wykorzystałam moment przerwy i umknęłam w głąb sali, gdzie siedziały dziewczyny z fundacji „Kobiety dla kobiet”. W całym tym olbrzymim barokowym wnętrzu słychać było szmer rozmów przeplatany niecierpliwymi pokrzykiwaniami hotelowych kelnerów: „Przepraszam! Przepraszam bardzo!”. Meghan zrobiła kiedyś o nich program: dlaczego w Waldorfie kelnerami są sami mężczyźni. Teraz dostrzegłam kilka kobiet. Miały na sobie takie same smokingi i roznosiły te same sałatki dla wegetarian oraz kawę bezkofeinową dla starszych gości.

Na takich imprezach przedstawiciele różnych instytucji charytatywnych sadza są zwykle w tak odległej części sali, że darczyńcy na ich miejscu natychmiast podnieśliby krzyk. To trochę upokarzające, ale czego się nie robi dla zdobycia funduszy... Zazwyczaj właśnie te osoby jako jedyne chwalą serwowane jedzenie. Fundacji „Kobiety dla kobiet” przydzielono dwa stoliki - dzięki Meghan dostanie się nam spora część wpływów z wieczoru. Prowadzimy schronisko dla bezdomnych kobiet, kursy i szkolenia zawodowe dla jego mieszkanki, program edukacyjny dla ich dzieci, jak również nieduży ośrodek odwykowy dla narkomanek, o którym

wolimy nie wspominać darczyńcom. Połowa naszej załogi siedziała przy stole numer 82, stojącym tak daleko, że jeszcze dwa metry i znajdowałyby się w foyer. Tequila zawijała właśnie bułeczki w serwetki i wkładała pod stół do papierowej torby.

- A ty co, prosto z zakupów? - zapytałam.

- Ho, ho, panno Mądralińska, w tej torbie są same skarby. Szminka, lakier do paznokci, nowy numer „Cosmo”, fajny T - shirt - chyba w niego nie wejdziesz, ale to nic - jakiś wafelek...

- Batonik proteinowy - sprostowała jedna z dwóch pozostałych pań siedzących przy stole.

- Mniejsza z tym. I tak jeszcze się nie dokopałam do samego dna.

- Prezenty bierze się przy wyjściu - upomniałam ją.

- Popatrz na ten tłum! Myślisz, że mają ich na tyle, żeby dla wszystkich starczyło? W życiu! A przy moim pechu, jak będę wychodzić, to powiedzą: „Oj, przykro nam, Tequilo, nie dostaniesz wafelka, skończyły się”.

- To jest batonik proteinowy - powtórzyła kobieta.

- Widziałaś kolor tej szminki? - zapytałam. - Bo przeważnie firmy kosmetyczne pozbywają się tego, co im nie schodzi. Potem zostajesz z jakąś koralową czerwienią, której używają stare babcie.

- Powiem ci, Bridget, że ta jest akurat całkiem ładna - wtrąciła się Alison. - Delikatny róż. Tequila mi pokazała.

- Mam ją na ustach - powiedziała Tequila.

- Faktycznie, niebrzydka. Al, co takiego powiedziałaś mojej siostrze, jak weszła? Była rozbawiona jak nigdy.

- Opowiedziałam jej ten dowcip o kogucie i zakonnicy. Tequila zaczęła się śmiać. Jej śmiech jest dość charakterystyczny: przypomina skrzypienie drzwi.

- To świński kawał - powiedziała.

Nagle poczułam czyjaś dłoń na ramieniu i widząc przed sobą kilka par wytrzeszczonych oczu, domyśliłam się, kto to.

- Świńskie są najlepsze - uśmiechnęła się Meghan, obejmując mnie w tali.

- Oto i bohaterka wieczoru - oznajmiła Alison.

- Panna młoda - dorzuciła Tequila. Meghan spojrzała na siebie.

- W sumie ta sukienka wygląda trochę jak ślubna. Pewnie z tą myślą ją zaprojektowano: idealny strój na trzeci ślub.

Dłoń Meghan spoczywała na moim biodrze. Alison trzymała mnie za rękę. Czyjś palec szturchał mnie natrętnie w pośladek. Nikt mnie tak nie obmacywał od ósmej klasy.

Palec należał do małej dziewczynki w kwiciastej sukience, która pojawiła się obok nas z notesem na autografy. Kiedy się odwróciłam, podniosła na mnie wzrok i pokręciła głową. To nie pani. Przynajmniej była bezpośrednia. Trąciłam łokciem Meghan. Schyliła się tak, że jej oczy znalazły się na poziomie oczu dziewczynki.

- Jak ci na imię? - spytała i wpisała stosowną dedykację: „Dla Kirby. Jesteś super! XOXO [Skrót oznaczający hugs and kisses (uściski i buziaki), używany w korespondencji pomiędzy dobrymi przyjaciółmi, zwłaszcza młodymi (przyp. red.)] Meghan Fitzmaurice". To jej najnowszy podpis. „Mamo, nie dobijaj mnie, błagam” - skomentował to Leo. Jednak było to zwężłe, komunikatywne i dzięki temu mogła się wydawać trendy. Minie jakiś rok, zanim to wyjdzie z mody, a wtedy Meghan wymyśli sobie coś nowego.

Zza pleców dobiegły nas odgłosy zamieszania przy drzwiach. Do sali wkroczyła procesja mężczyzn w czarnych garniturach ze znaczkami w klapach. Za nimi pojawił się łysiejący pan z widoczną „pożyczką”, ubrany w smoking o zbyt szerokich klapach. W jednej ręce niósł tabliczkę, a drugą majstrował przy włosach. Kiedy zobaczył Meghan, na jego twarzy odmalowały się kolejno: niezadowolenie, strach, udawana radość i wreszcie długo ćwiczona serdeczność. Jak na zajęciach z aktorstwa.

- Meghan! Moja ulubiona prezenterka! Co tam moja, wszystkich Amerykanów!

- Witam, panie burmistrzu. Jak się udała uroczystość przecięcia wstęgi w Arsenale?

- Kurczę, ona naprawdę jest niezła - mruknęłam do siebie pod nosem. Nie powinnam pić na takich imprezach. Meghan nigdy tego nie robi.

- Widzę, że zna pani mój rozkład dnia lepiej ode mnie. A prezydenta pewnie lepiej niż Secret Service.

- Pan prezydent spędza weekend w Camp David. Gości brytyjskiego premiera.

- A nie mówiłem, drogie panie? Ta kobieta wie wszystko.

- Uśmiech proszę! - zawołał oficjalny fotograf imprezy. Meghan i ja przyciągnęłyśmy przed obiektyw Tequilę i zrobiłyśmy sobie wspólne zdjęcie z burmistrzem, którego zaraz po tym odciągnęła na bok ekipa ochroniarzy. Jeżeli Tequila w końcu zamorduje ojca swego najmłodszego dziecka, który to zamiar wszystkie gorąco popieramy, to zdjęcie wyląduje na pierwszych stronach bulwarówek.

- Niech on natychmiast coś zrobi z tymi włosami! - powiedziała Tequila.

- Jest żałosny - dodała Meghan. - W trakcie kampanii robiłam z nim wywiad. Już po sześciu minutach wyszedł na ignoranta, a nawet nie miał odwagi, żeby się na mnie obrazić. Szanowałabym go o wiele bardziej, gdyby po prostu udawał, że mnie nie widzi, a on ciągle: „Och, Meghan, jak miło cię znowu spotkać”.

- Wazeliniarz - podsumowała Tequila.

- Kabotyn - zawtórowała Meghan.

- Oho, trzeba iść po słownik, zaczynają się trudne słówka - zażartowała Alison.

- Jej chodzi o to, że ten gość to zwykły palant - wyjaśniła Tequila.

- Właśnie - przytaknęła Meghan.

- Będiesz używała tej szminki, którą dali w paczce?

- Jeszcze nie wiem - odparła Meghan. - A ma bardzo koszmarny kolor? Ciężko jest dobrać szminkę do rudych włosów.

- Przecież ty nigdy nawet nie zaglądasz do tych toreb - wtrąciłam.

- Kto wie, może się zainteresuję, jeżeli ta szminka okaże się naprawdę ładna.

Tequila zwięzła oczy i wydeła wargi.

- Właśnie mam nią pomalowane usta - rzekła - i uważam, że jest za różowa dla takiego rudzielca jak ty.

Kelnerzy wirowali wokół nas, pokrzykując: „Przepraszam! Przepraszam!”, niczym jakiś gatunek miejskiego ptactwa. Na deser podano coś różowego w filiżankach do czekolady. Na wierzchu były maliny i gałązka mięty. Filiżanka do czekolady to oficjalny symbol balów dobroczynnych.

- Meghan, strasznie ci dziękuję za te zaproszenia, które mi załatwiłaś w zeszłym miesiącu - powiedziała Alison, unosząc łyżeczkę.

- Och, nie ma za co. Zrobiłam to z przyjemnością. Boże, byłabym zapomniała. Muszę iść do toalety. Przecież po to tu szłam. No i oczywiście żeby zobaczyć się z wami, kochane dziewczyny. Bridget, chodź ze mną. Za dziesięć minut mam wygłosić mowę, a nie chcę stać na podium, cały czas myśląc o tym, że chce mi się sikać.

- O jakich biletach ona mówiła? - zapytała Meghan, gdy wyszliśmy do foyer.

- Nie mam pojęcia.

- Aha. No to super.

Wizyty w toaletach to zwykle prawdziwy koszmar. Tym razem nie było najgorzej; tylko jedna kobieta, odskakując od umywalki, zapiszczała: „To pani!”. Czasem mówią „To pani”, a czasem „Pani jest Meghan Fitzmaurice!”. Tak czy owak, nie wiadomo, czemu ludzie uważają za konieczne poinformować ją, kim jest. Najczęściej jednak są zaskoczeni jej trójwymiarowością: w parku, w restauracji czy w damskiej toalecie.

- Gdybym nie umyła rąk, jutro trąbiłaby o tym prasa - powiedziała moja siostra.

- Och, poszła się pani przywitać z naszymi beneficjentami - zaćwierkała Ann Jensen, kiedy wróciłyśmy na miejsce, utorowawszy sobie drogę między stolikami. Przypominało to trochę meksykańską falę: najpierw gapi się stolik numer 43, potem 28, następnie 11 i tak dalej, i tak dalej.

- My się znamy - odparła Meghan. - To moje przyjaciółki.

- Co za szlachetność, doprawdy.

Burmistrz uroczyście ogłosił ustanowienie Dnia Manhattańskich Matek, szefowa stowarzyszenia zaprezentowała krótki materiał filmowy, Ann Jensen obwieściła, że wpływy z dzisiejszego wieczoru wyniosą blisko dwa miliony dolarów, a potem uhonorowała Meghan tytułem Matki Roku, wręczając jej nagrodę w postaci kryształowego obelisku od Tiffany'ego. Pewnego dnia jakiś archeolog będzie badał zaginione cywilizacje i wykopie mnóstwo niebieskich pudełek, w których znajdzie owinięte w bąbelkową folię kryształowe przedmioty z wygrawerowanym nazwiskiem Meghan Fitzmaurice. I będzie zachodził w głowę, do czego to, u licha, mogło służyć. My też się zastanawiamy.

Meghan, ściskając w dłoni obelisk, weszła na podium.

- Właściwie o tej porze powinnam już spać - zaczęła, a na sali rozległ się śmiech. Wszyscy wiedzą, że kiedy reszta mieszkańców Manhattanu ogląda wieczorne wiadomości, Meghan jest już w łóżku, a rano, w tej martwej godzinie tuż przed świtem, gdy ulice są niemal całkowicie opustoszałe i tylko okna tych, którzy cierpią na bezsenność, srebrzą się w ciemności, Meghan podąża limuzyną do studia. - Żałuję, że nie ma tu dziś ze mną mojego syna Leo, ale przebywa on obecnie na stypendium w Hiszpanii i szlifuje język, którego nawet nie rozumiem. Stara się być bardziej kosmopolityczny i lepiej wykształcony niż jego rodzice. W większym stopniu niż my jest obywatelem świata. - Z uśmiechem spojrzała na Evana, żeby zaznaczyć jego obecność, lecz on siedział ze wzrokiem wbitym w dłonie splecione na kolanach.

Za to ja odwzajemniłam jej uśmiech. - Tego właśnie pragną dla swoich dzieci wszystkie manhattańskie matki. Te biedne i te zamożne, czarnoskóre i białe, chrześcijanki i muzułmanki, mieszkanki Harlemu i Tribeki. Chcemy, aby nasze dzieci osiągnęły w życiu więcej niż my. Wiemy, że rodzina to najważniejsza rzecz, jaką mamy, i jednocześnie największe wyzwanie.

I tu się rozkręciła. Nie pamiętam dokładnie reszty tej przemowy, ale wysłuchałam ich już wiele i wciąż nie mogę się nadziwić, jak Meghan to robi, że odpowiednio postawiony akcent, powtórzona fraza czy zawieszenie głosu potrafią wzbudzić takie same emocje jak muzyka. Zdumiewające.

- Wszystkie bez wyjątku pragniemy - powiedziała na zakończenie - aby nasze dzieci wyrosły na wspaniałych, odpowiedzialnych i szczęśliwych ludzi.

Ach, jakie to wzniosłe - odezwał się we mnie mój cynizm. A jednak była to wspaniała puenta. Moja siostra zeszła z podium, a wszyscy goście wstali z miejsc. Evan miał łzy w oczach.

Nie chciałabym, aby ktokolwiek z perspektywy czasu oceniał to jako wyjątkowy wieczór, chwilę triumfu, chociaż przez kilka następnych tygodni zdjęcie Meghan ubranej w białą połyskliwą suknię i przyciskającej do piersi nagrodę nie schodziło z łamów gazet. Pod wieloma względami był to typowy wieczór, jaki zdarzał się może osiem, dziesięć razy w roku. Po zakończeniu wystąpienia przystanąłam z boku i patrzyłam, jak ludzie podchodzą i proszą moją siostrę o autograf. W takich chwilach nieodmiennie mówią: „Zawsze

oglądam pani program. Na żywo jest pani jeszcze piękniejsza. Co za poruszające wystąpienie. Dla Lindy. Dla Jennifer. Dla Steve'a". Trzymałam w ręku niebieskie pudełko. Później, kiedy siedzieliśmy już w samochodzie, Meghan podała mi obelisk, a ja z powrotem go zapakowałam. Wcale się nie czuło, jakby coś miało się kończyć.

- Tym razem nawet nie było tak tragicznie, co? - powiedziała Meghan. Odrzuciła głowę do tyłu i oparła ją o zagłówek.

- Nie - odparł Evan.

- Byłaś wspaniała - wtrąciłam.

- Jesteś dzisiaj jakiś małomówny - zauważyła Meghan. Evan spoglądał przez okno na pogrążone w ciemnościach alejki Central Parku.

- Po prostu jestem zmęczony - odparł, nie odwracając głowy. Jego twarz odbijała się w szybie. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, wręcz chorego.

- Ev? - zagadnęłam.

- Bridge?

Znamy się z Evanem od wieków.

Meghan wsunęła rękę pod ramię męża. On zaczął bębnić swymi kościstymi palcami po udzie. Wciąż siedział z twarzą zwróconą do okna.

- Za tydzień będziemy na Karaibach - rozmarzyła się Meghan. - Siedem dni bez telefonów, zebrań i śniegu. Tylko książki, tenis i nurkowanie.

- Brzmi nieźle - powiedziałam.

- Szkoda, że Leo nie może jechać. Przylatuje z Barcelony i od razu musi wracać do Amherst, bo ma do napisania jakąś ważną pracę z angielskiego. Jego życie jest tak samo zwariowane jak nasze.

- On ma cudowne życie - powiedziałam, nie przestając przyglądać się Evanowi. Włosy mu się przerzedziły na czubku głowy. Jakoś wcześniej tego nie zauważyłam.

Wysadzili mnie przed domem. Zanim dotarłam do drzwi, potknęłam się o krawężnik. Potem długo grzebałam w torebce w poszukiwaniu kluczy.

- Bridge! - zawołała Meghan, wychylając się z auta. - Bridget!

- Co?

- Pajetki! - Co?

- Te ozdóbki na sukience. Tak się nazywają. Nie cekiny, tylko pajetki.

- Przypomniałaś sobie?

Pokręciła głową. Meghan określa kolor swoich włosów jako kasztanowy. Nie cierpi, gdy ktoś mówi, że są rude. A są. Tak jak moje.

- Zadzwońłam do pracy, żeby sprawdzili. P - A - J - E - T - K - I.

- I nagle, jakby na zawołanie, mieniące się krążki zafalowały, gdy Meghan pochyliła ciało do przodu. Zorza polarna na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Przyjęłam do wiadomości! - zawołałam, przekręcając klucz w zamku.

„To było jak koniec całej epoki” - powiedziałam kilka dni później do Irvinga, gdy Meghan w białej sukni raz po raz pojawiała się w telewizyjnych wiadomościach.

„Weź się w garść, moje dziecko” - odparł. - „To nie druga wojna światowa”.

Rozdział 3

W Nowym Jorku złe wieści docierają do ciebie bardzo dziwnymi drogami. Zanim koleżanka opowie ci o zgrubieniu, które wyczuła w piersi, wpadasz w aptecę na koleżankę koleżanki i już wiesz o podejrzanym mammogramie i biopsji. Zanim ktoś znajdzie twój numer w notesie, żeby się pochwalić, że odpuszcza sobie ten wyścig szczurów, bo zamierza spędzać więcej czasu z dziećmi, już zdążyłaś podsłuchać wesołą rozmowę jego kolegów z pracy o tym, jak to szef wywalił go na zbity pysk i kazał w ciągu godziny opróżnić biurko. Widzisz wóz strażacki i dowiadujesz się o pożarze, dostrzegasz żółtą taśmę i jesteś informowana o morderstwie.

Mnie złe wieści dopadły w domu najsympatyczniejszych bogaczy w Nowym Jorku, Kate i Sama Borowsów. Jakiś czas temu napisali przewodnik po miejscowych restauracjach, który przyniósł im majątek, i stali się filantropami w najlepszym gatunku, bez śladu samozadowolenia, cechującego tak wielu ludzi. Kiedy ich poznałam za pośrednictwem Meghan, mieszkali w tej samej kamienicy co teraz, w olbrzymim apartamencie powstałym z przyłączenia do ich mieszkania dwóch pozostałych na piętrze oraz jednego trzypokojowego na górze. Kiedy związałam się z fundacją, Kate zaczęła lamentować, że też chciałyby pomóc, ale nie wie jak, więc zasugerowałam, że może przyjeżdżać parę razy w tygodniu na Bronx i uczyć nasze podopieczne gotowania i zasad żywienia. Minęło pięć lat i dzięki niej co najmniej pięćdziesiąt kobiet znalazło dobrą pracę w gastronomii. Nigdy nie chwali się tym w wywiadach, chyba że ją poprosimy, by wystąpiła publicznie i poparła nas w jakiejś sprawie.

- Bridget - powiedziała, gdy weszłam do nich w poniedziałkowy wieczór. Młody człowiek z obsługi cateringowej pomógł mi się wyplątać z płaszcza. Zapewne to przyszły gwiazdor kina, tylko chwilowo musi dorabiać kelnerowaniem na prywatnych przyjęciach. - Nie sądziłam, że przyjdiesz.

- Przecież mówiłam ci w sobotę, że będę. - Podałam jej butelkę czerwonego wina, które także powędrowało w ręce młodego człowieka.

- O mój Boże - rzekła i uściskała mnie. W tym momencie znów nadjechała winda i otworzyła się wprost na foyer, jak to zwykle w bogatych domach, żeby przypadkiem nikt nie był narażony na przebywanie we wspólnej przestrzeni korytarza, zapachy z cudzych

kuchni czy widok obcych ludzi wkładających klucze do zamków. Z wyłożonej mahoniem kabiny wyłoniło się sześcioro kolejnych gości - ze śmiechem podali płaszcze i wręczyli wino. Utknęłam w foyer w towarzystwie pewnej agentki nieruchomości, w której ustach informacja o sprzedaży dwupoziomowego apartamentu przy Park Avenue brzmi jak wiadomość o wyleczeniu raka. Rok wcześniej naraziłam się podobnej kobiecie. Gdy usłyszała, czym się zajmuję, jęknęła: „Gdybym tylko mogła wam jakoś osobiście pomóc”. „Wystarczy wypisać czek” - wycedziłam. Na swoją obronę powiem, że byłam wtedy po całym dniu pracy w dusznym biurze ze szwankującą klimatyzacją, a na dodatek dowiedziałam się, że jedna z naszych podopiecznych została zastrzelona przez byłego narzeczonego. I tak mi się oberwało od siostry, która jakimiś kanałami dowiedziała się, że obraziłam szwagierkę partnera zarządzającego jedną z największych kancelarii prawniczych w mieście. Nowy Jork to największe małe miasteczko w Ameryce. Dlatego jest tak niebezpieczne. Wierzcie mi, utrata torebki na ulicy jest niczym w porównaniu z tym, gdy padnie się ofiarą manhattańskich konwenansów nad talerzem tostów ze średnio wysmażonym tuńczykiem.

Przeszłam do salonu i pierwsze kroki skierowałam w stronę kelnera niosącego na srebrnej tacy kieliszki z winem.

- O kurczę, jesteś - powiedział Sam Borows, witając mnie obowiązkowym cmoknięciem w oba policzki, czego - jak się domyślam - uczą w państwowym liceum na Brooklynie.

- Dlaczego wszyscy tak się dziwią, że pojawiłam się na kolacji, na którą mnie zaproszono? - zapytałam i nagle miałam przed sobą odpowiedź. Patykowaty facet z przydługimi włosami podszedł do Sama i, szczerząc zęby jak głupi, przystąpił do komentowania najświeższych plotek, bez czego żadne szanujące się przyjęcie w Nowym Jorku nie mogłoby się obejść.

- To historyczny dzień w telewizji - powiedział bez wstępów. - Będziemy go wspominać jeszcze przez wiele lat. Jadąc na górę, słyszałem, jak jeden facet mówił, że stacja dwoi się i troi, żeby to jakoś odkręcić. Pytanie, czy to w ogóle możliwe. - U jego boku pojawiła się kobieta.

- To było tak, jakby patrzeć na samochód rozbijający się o drzewo - powiedziała. - Ćwiczyłam akurat na bieżni i szczęka mi

dosłownie opadła. Nie przypominam sobie, żebym kiedyś widziała coś podobnego, a oglądałam Na żywo i w kolorze, kiedy ten - jak mu tam - przyszedł pijany do studia i zaczął bełkotać w trakcie rozmowy z Jaserem Arafatem.

- Ten jak - mu - tam to był Burt Chester - wtrącił mężczyzna. - Aktualnie prowadzi księgarnię w miasteczku Montpelier w stanie Vermont i w każdym wywiadzie stanowczo podkreśla, że dopiero teraz jest szczęśliwym człowiekiem. Akurat.

- Krewetki? - zapytał kelner.

Kiedy przeżuwaliliśmy skorupiaki w milczeniu, nabijając na wykałaczki zgrabne, małe ćwiartki cytryn, wokół słyszałam rozmowy, które najwyraźniej dotyczyły tego samego tematu. Widziałeś to? Bardzo było źle? Co na to stacja? Tego rodzaju deficyt wiedzy jest nieuchronny, jeżeli ktoś od rana do wieczora musi się zmagać z ludzkimi nieszczęściami w Bronksie, podczas gdy większość mieszkańców Manhattanu spotyka się w restauracjach, przekazuje sobie poufne e - maile i rozmawia przez telefon. Kiedyś przyszłam na przyjęcie nieświadoma, że wszczęto procedurę impeachmentu prezydenta. Innym razem nie wiedziałam, że burmistrz zwołał konferencję prasową, aby przedstawić swoją narzeczoną, i że było to pewnym zaskoczeniem dla jego żony. Mój dzień pracy jest za bardzo wypełniony zagubionymi czekami z zasiłkiem, podpaleniami, podbitymi oczami, wizytami w sądzie rodzinnym i telefonami od policji, żebym mogła na bieżąco śledzić najnowsze rewelacje. Próba nadażenia za tematami rozmów to u mnie stały element każdej imprezy. Zastanowiło mnie tylko, że Sam Borows objął mnie w talii, czego nie robił nigdy wcześniej, choć nieraz się zdarzało, że pod koniec wieczoru spotykało mnie to ze strony mężczyzn, których znałam o wiele mniej.

- Kiedy, mówisz, ruszacie na Cape Cod? - zagadnął sam. Para przyjęła tę szczególną, trudną do określenia pozycję ciała, która od razu sugeruje, że są małżeństwem z długim stażem.

- Och, nie próbuj zmieniać tematu. Wiem, że się przyjaźnicie, Sam, ale całe miasto o tym trąbi. - Mężczyzna spojrzał na widoczne na tle nieba poszarpane kontury Manhattanu: czerń, szarość i gdzieś tam migocząca niebieska poświata sygnalizująca wielkoekranowy telewizor w salonie apartamentu na wysokim piętrze

wieżowca. - Spójrz. Jedna z największych metropolii świata, a mogę się założyć, że wszystkie rozmowy kręcą się wokół jednego.

- Zresztą nie tylko w Nowym Jorku - dodała jego żona.

- Właśnie. Także w L.A., w Chicago, w Dakocie Południowej. Ludzi obchodzi teraz tylko jedno...

- Jack...

- ..dlaczego dziś rano Meghan Fitzmaurice pogrzyżała się na oczach dwudziestu milionów widzów.

Sam mocniej objął moją talię, a Jack wzniosł kieliszek w górę.

- Wypijmy za jej zdrowie! - powiedział, a jego żona się roześmiała i oboje stuknęli się kieliszkami. - I miejmy nadzieję, że w Montpelier została jeszcze jakaś wolna księgarnia.

- Tatarą z tuńczyka? - zaproponował kelner.

- Muszę do toalety - rzuciłam i podeszłam do Kate. Chwyciłam ją za rękę i pociągnęłam za sobą przez cały korytarz aż do spiżarni. Wychodząc z salonu, usłyszałam jeszcze, jak Jack pyta na głos: „Kto to jest?”. Nie wiem, co mu odpowiedział Sam, ale na pewno były to te same słowa, które słyszałam już tyle razy, że mogłabym z nich ułożyć piosenkę, wyszyć je na serwetce lub kazać sobie wyryć na nagrobku: „To jest siostra Meghan Fitzmaurice”.

- Powiesz mi, co się stało? - zapytałam, przypierając Kate do ściany stalowych podgrzewaczy do pieczywa. - Co oni takiego wiedzą o Meghan, czego ja nie wiem?

- Och, Bridget... - westchnęła i przyłożyła mi dłoń do policzka.

Kate Borows jest wspaniałą przyjaciółką, zarówno moją, jak i Meghan. Zostawiła swoich gości, żeby pogadać ze mną w kuchni, i uspokoiła mnie, że przeorganizuje stół, tak abym nie musiała zostawać na kolacji.

- Mam wrażenie, że dziś wieczór nie byłabyś w stanie przełknąć osso buco - powiedziała, a mnie przeszedł dreszcz. Zapragnęłam natychmiast zaszyć się w domu przed telewizorem z kubkiem herbaty i wiadrem lodów. - Co za kretyn z tego Greenstreeta - dodała wściekle i zawołała jednego z kelnerów, żeby przyniósł mi płaszcz. Lecz gdy wypowiadała te słowa, wiedziałam, że tam, w salonie, jak i w całym mieście ludzie mówili co innego: „Co za wredna suka z tej Meghan Fitzmaurice”.

Jak łatwo zgadnąć, tych dwoje starło się ze sobą podczas porannego show w telewizji - głównej areny publicznego

podglądactwa. Ben Greenstreet był wówczas bohaterem scandal du jour. To typ wiecznego chłopca o hipisowskim stylu bycia, jeden z tych, którzy zasilili szeregi miliarderów wraz z rozkwitem kalifornijskiego przemysłu informatycznego. Do wszystkich zwracał się per „bracie”, nosił włosy, które nigdy nie widziały fryzjera, i był wart z grubsza pięć miliardów dolarów, jeśli doliczyć udziały w drużynie halowego futbolu amerykańskiego, którą nazwał „Żywe srebro”. Rokrocznie podczas zgromadzenia udziałowców odśpiewywał zebrany song Boba Dylana, a raz przebiegł nago ostatni etap triathlonu Ironman, rzekomo z powodu otarć na skórze. Większość czasu spędzał na pomnażaniu majątku, a resztę na przekonywaniu wszystkich, że żyje poza systemem, bo taki z niego luzak. Ten człowiek to istny dar niebios dla dziennikarzy kolorowych gazet i gospodarzy wieczornych talk - show.

Na dowód, że małżeństwo to odwieczna zagadka relacji międzyludzkich, Greenstreet od czasu studiów był żonaty z niejaką Dixie Cohen, jedną z tych bystrych, dynamicznych kobiet, które noszą czarne kostiumy i pną się po szczeblach kariery jak napelnione helem. Dixie była dyrektorem finansowym trzeciego co do wielkości producenta komputerów na świecie. W którymś momencie wspólnego życia oboje z Benem zorientowali się, że mają dom z dziewięcioma sypialniami, apartament z pięcioma, jacht z trzema, ale nie mają kogo położyć w nich spać. Zapomnieli o dzieciach.

W ich środowisku to częsty przypadek. W środowisku mojej siostry również. Meghan zna wiele kobiet w wieku okołomenopauzalnym, mających za sobą lata leczenia niepłodności. W jednym z mieszkań w budynku, gdzie mieszka, zawiązała się niedawno grupa wsparcia dla matek, które zaadoptowały chińskie dzieci. Odbywają się tam między innymi zajęcia z historii myśli konfucjańskiej i przyrządzania dim sum. Rozumiem, że kiedy jest się małą Chinką mieszkającą w trzypoziomowym apartamencie z obrazem Marka Rothko nad kominkiem, to ważne, by pamiętać o swoich korzeniach.

Greenstreet - Cohenowie obrali inną drogę. Wynajęli matkę zastępczą, od której pobrano jajeczka i zapłodniono je spermą Bena. Dwa zarodki, chłopca i dziewczynkę, z powodzeniem udało się wszczepić i wszystko byłoby pięknie - para wypoczywała na Pacific Heights (to coś w rodzaju nowojorskiej East Side tylko poranki są

chłodniejsze, a uliczki bardziej strome) - gdyby nie Ben. Będąc weganem, postanowił z zastanawiającą regularnością odwiedzać przyszłą matkę swego dziecka, aby kontrolować, jak się odżywia.

„I tu niespodzianka. Wiesz, co się okazało? - powiedziała Meghan, która w miesiącach zimowych podczas rozmów na temat małżeństwa stawiała się bardziej drażliwa, prawdopodobnie dlatego, że Evan mnóstwo czasu spędzał wtedy w Tokio, pracując nad ważnym kontraktem z producentem elektroniki użytkowej. - Oboje jedli to samo. Siebie nawzajem”.

„Ups”.

„Nie ja to wymyśliłam, tak to określił jeden gej u mnie w pracy. To niesprawiedliwe. Oni znają się na modzie, designie i jeszcze w dodatku mają poczucie humoru. Co zostaje nam, heteroseksualistom?”.

„Sport wyczynowy”.

„Łyżwiarstwo figurowe też opanowali”.

Pewnego popołudnia Ben Greenstreet odszedł od Dixie Cohen, a ona wniosła pozew o rozwód i przyznanie opieki nad bliźniakami, które miały się urodzić za sześć tygodni. Ben z kolei podał ją do sądu pod zarzutem porzucenia rodziny. Stwierdził, że nie sypiali ze sobą od dwóch lat, oraz ogłosił, że zamierza jak najszybciej poślubić „matkę swoich dzieci”.

Tak więc w poniedziałek był to trzeci najważniejszy temat poruszany we wszystkich trzech porannych programach telewizyjnych, zaraz po wzroście bezrobocia i śmierci prezydenta Francji. W studiu Morning in America pojawił się lekarz, który przeprowadził procedurę zapłodnienia matki zastępczej. W The A.M. Show wystąpił mąż tej kobiety, z zawodu nadzorca budowlany, walczący o przyznanie prawa do opieki nad pozostałą dwójką ich dzieci (przyprował je ze sobą do studia). Moja siostra natomiast zaprosiła głównych bohaterów afery, czyli Bena i Cindy (przyszłą matkę). Odkąd widzowie sięgają pamięcią, Meghan zawsze ma u siebie najważniejszych gości. Przed finałem Super Bowl byli to kapitanowie obu drużyn; jeśli zanosilo się na wojnę - rozmawiała z samym prezydentem.

Jedynie Dixie Cohen miała na tyle rozsądku i godności, aby trzymać się z dala od kamer.

Patrząc na powtórki pokazywane wieczorem, trudno było stwierdzić, czy Meghan od rana miała podły nastrój, czy też z równowagi wyprowadził ją Ben Greenstreet. Kilka dni później, kiedy miałam już nieco większe pojęcie o tym, co tak naprawdę się stało, zapytałam Irvinga, czy oglądał cały program i czy Meghan była zmierzła od samego początku. „Ujmę to tak, moje dziecko” - zaczął. - „Miało się nieodparte wrażenie, jakby prezydent Francji sam był sobie winien, że dostał wylewu”. Jednak dopiero widok Bena i Cindy, przytulonych na kremowej sofie w studiu, sprawił, że w mojej siostrze coś zaczęło się gotować.

- Panie Greenstreet, doprawdy, nawet nie wiem, od czego zacząć - powiedziała. - Mężczyzna po osiemnastu latach małżeństwa zostawia żonę dla kobiety, która ma im urodzić ich własne dziecko...

- Moje dzieci - sprostował Greenstreet. - Dwoje. I nie mają w genach żadnego innego DNA poza moim i Cindy. Ona nie jest tylko matką zastępczą, to po prostu matka moich dzieci. - I poklepał ją po brzuchu.

- Zostawmy na razie DNA i wróćmy do początku. Pan i pańska żona, według magazynu „Pennywise” należąca do grona pięćdziesięciu kobiet zajmujących najwyższe stanowiska kierownicze w Stanach, wynajęliście panią Benn, żeby urodziła dla was dziecko, którego oboje bardzo pragnęliście, czy tak?

Spółgłoski wymawiała twardo, aż chrzęściły w ustach, a jej brązowe oczy wpatrywały się w niego w taki sam druzgocący sposób, jakiego miałam już okazję doświadczyć. Pierwszy raz, kiedy wzięłam urlop na uczelni, żeby się najać do pracy w stadninie w Rock Hill, i ponownie, gdy przeprowadziłam się do Maine, aby zarabiać na życie lepieniem garnków dla małego sklepiku z rękodziełem. Nikomu nie życzę, żeby kiedykolwiek poczuł na sobie to spojrzenie.

Meghan była ubrana w czarny golf, jej znak firmowy. Na tym tle jej blada piegowata twarz wyglądała niczym maska plemienna. Ben Greenstreet, bezustannie gładzący okrężnymi ruchami brzuch Cindy, musiał dostrzec złowrogi błysk w jej oczach, bo nagle zaczął się usprawiedliwiać.

- Pani redaktor, każdemu zdarza się zakochać. Po prostu. Serce nie służy. Ale muszę powiedzieć, że przyszliśmy tutaj dlatego, że oboje uważamy, iż człowiek chyba jednak nie powinien bawić się w Boga i płacić innym ludziom, żeby mieć dzieci. Może taki jest właśnie

naturalny porządek świata - kiedy spojrzałem na tę kobietę kryjącą w łonie moje nasienie, zrozumiałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Ach, więc pan postrzega to jako komentarz na temat moralnych aspektów płatnego macierzyństwa, a nie jako przypadek mężczyzny porzucającego żonę dla kobiety młodszej od siebie o czternaście lat, która, nawiasem mówiąc, nie miała większych wyrzutów sumienia, kiedy szła zrealizować czek na dwadzieścia tysięcy dolarów, wypłaconych przez pańską małżonkę. .. - Meghan zajrzała do notatek, jakby chcąc się upewnić, że to nie pomyłka, po czym kiwnęła głową i zrobiła coś nieładnego z ustami, co miało wyrażać dezaprobatę - ...z jej osobistego konta?

- Wypisała czek, bo to ona potrzebowała pomocy - odezwała się Cindy irytująco piskliwym głosem. Bardzo prawdopodobne, że za rok czy dwa Ben będzie z nią walczył w sądzie o opiekę na dziećmi.

- Słucham? - powiedziała Meghan. To kolejna rzecz, której nikomu nie życzę - usłyszeć, jak moja siostra mówi: „Słucham?”. Kiedyś skwitowała w ten sposób wypowiedź wiceprezydenta, uparcie zapewnającego podczas wywiadu, że likwidacja podatku od nieruchomości umożliwi rządowi zwiększenie nakładów na pomoc medyczną dla starszych osób o niskich dochodach. Jego notowania spadły wtedy prawie o dziesięć procent w ciągu tygodnia.

- Ben nie musiał nikomu płacić. On może mieć dzieci. Jestem tego żywym dowodem. To jej problem, że ma zrośnięte jajowody.

- Endometriozę - pośpieszył z pomocą Ben, gładząc Cindy dalej po brzuchu i nie podnosząc wzroku na Meghan, która - o czym oni, w przeciwieństwie do mnie, nie mogli wiedzieć - przeszła w życiu dwie operacje związane z tą chorobą. Jedną jeszcze przed urodzeniem Leo, a drugą po, w ramach nieudanej próby podarowania mu siostrzyczki lub braciszka.

- Panie Greenstreet - zwróciła się do niego łagodnie moja siostra - czy określiłby się pan mianem człowieka moralnego?

- Mam silne poczucie moralności - odparł Ben. - Podpowiada mi to wewnętrzny głos. Dlatego zdecydowałem się tu przyjść. Żeby powiedzieć, że wybraliśmy niewłaściwą drogę, jeśli chodzi o płodzenie dzieci. - Przestał poruszać ręką. Oczy mu się zwięziły.

- A co z poczuciem prywatności? Innymi słowy: czy może pan w jakikolwiek sposób wytłumaczyć Amerykanom, dlaczego pan tutaj siedzi i opowiada te wszystkie intymne szczegóły ze swego życia?

- Zaraz, przecież pani nas tu zaprosiła.

- I przysłała ubranka dla dzieci - wtrąciła Cindy. - To nie ona? A, to ta druga.

- Cóż, taka jest współczesna telewizja, ale bywają sytuacje, kiedy to się wydaje po prostu niestosowne. To jest właśnie jedna z nich. Wrócimy po przerwie.

Moja siostra zdobyła popularność podobno dlatego, że potrafi przemawiać do uczuć zwykłych ludzi. Nie sądzę, żeby o to chodziło. Gdyby tak było, zachowywałyby się wylewnie, przymilnie, a wszystko byłoby przycięte do poziomu najmniejszego wspólnego mianownika amerykańskiego społeczeństwa z początku dwudziestego pierwszego wieku. Moim zdaniem siła Meghan polega na tym, że ona wygłasza opinie i zadaje pytania, które przeciętny człowiek sam chętnie by zadał, gdyby gość siedział u niego na kanapie, tyle że nie jest na tyle błyskotliwy, aby na nie wpaść, a przynajmniej nie od razu. Zabrakło ci celnej riposty, którą chciałaś rzucić w twarz niewiernej przyjaciółce? Albo wrednemu szefowi, który cię poniża? Potrzebujesz wymówki dla męża, gdy zastajesz go w łóżku z instruktorką? Meghan zawsze wie, co powiedzieć. Stacja przeprowadziła kiedyś badania wśród widzów programu i okazało się, że najczęściej powtarzającą się opinią na temat Meghan Fitzmaurice było: „Trzeba jej to oddać, jest świetna”. Zawsze była odważna i bojowa. Już wtedy, gdy w Montrose skoczyła do zalanego kamieniołomu z najwyższej skały, sprowokowana przez grupkę chłopaków z liceum. Miała dziewięć lat. Skoczyła wprost na nogi. Chłopcy zaczęli bić brawo, a ona po wyjściu z wody wspięła się na najbliższy głaz i ukloniła się. Następnego dnia ciocia Maureen odkryła, że Meghan ma złamaną kość. Siła wody zmiażdżyła jej śródstopie. Kiedy biegamy, zawsze używa wkładki ortopedycznej.

Pamiętam, że kiedy podrosłyśmy, byłam przekonana, że gdyby skoczyła z niższej skały, zrobiłaby równie wielkie wrażenie na widzach, a stopa by nie ucierpiała. Podobnie pomyślałam tego ranka podczas programu. Mogła spokojnie poprzestać na tym komentarzu. Ludzie powiedzieliby, że była zbyt obcesowa, ale na pewno wiele kobiet (zwłaszcza tych cierpiących na endometriozę), dyskutując o tym na przyjęciach, doszłoby do wspólnego wniosku, że na jej miejscu zrobiłyby to samo.

Nic by się nie stało, gdyby w tym momencie zeszła z wizji. Niestety, jakimś cudem przed reklamą wkradł się na antenę ułamek sekundy przerwy. Może dlatego, że Meghan nieco skróciła wywiad. W telewizji ułamek sekundy to wieczność. Wystarczy, aby pogrążyć polityka lub udusić inżyniera dźwięku, który do tej przerwy dopuścił. Pojawiły się potem spekulacje, czy ktoś, komu się naraziła, celowo nie zostawił programu na antenie, podczas gdy ona sądziła, że lecą już reklamy. Wątpię. Szeregowi pracownicy stacji - dźwiękowcy, techniczni, gońcy - zawsze bardzo ją lubili. Pamiętała o ich urodzinach, przysyłała do domu drobne upominki dla dzieci. Z pewnością trudno jest zrozumieć, jak ktoś z jej doświadczeniem mógł nie zauważyć, że nadal ma włączony mikrofon i jest na antenie. Faktem pozostaje jednak, że Meghan powiedziała: „Wrócimy po przerwie” i po chwili warknęła pod nosem: „Cholerny skurwysyn”. A potem poleciała reklama „Happy Heinies”, jednorazowych pieluszek nasączonych aloesem.

Rozdział 4

Wróciłam od Borowsów taksówką i w domu spędziłam frustrujące pół godziny, próbując się skontaktować z moją siostrą. Komórka nie odpowiadała. Pewnie zostawiła telefon w restauracji, a potem kazała któremuś z asystentów go zablokować, jak to się wielokrotnie przedtem zdarzało. Na domowy nie było sensu próbować. Nigdy nie dzwoniłam do siostry po dziewiątej. O tej porze zażywała tabletki nasenne, uruchamiała generator białego szumu, wyłączała telefon i szła spać. Nie zostało mi nic innego, jak usiąść na kanapie w szlafroku, który kiedyś należał do Evana (flanelowy, w kratkę, z wyblakłą metką Brooks Brothers), i zająć lody karmelowe prosto z półlitrowego pudełka. Włączyłam telewizor, a na oparciu kanapy tuż nad moim lewym ramieniem usadowiła się kotka. Meghan mawia z dezaprobatą, że siedząc w ten sposób, wyglądam jak typowa nowojorska stara panna: kubełek lodów, kot i miniaturowa sofa. Ale ja uwielbiam spędzać w ten sposób wieczory, zwłaszcza kiedy jest ze mną mój siostrzeniec Leo i mogę położyć mu stopy na kolanach. Dziewiętnastolatek, który nie ma oporów, żeby zrobić masaż stóp swojej ciotce, to piękna rzecz, zwłaszcza że ma on burzę rudych włosów i śmiertelnie poważne poczucie humoru.

Dziękowałam Bogu, że Leo jest daleko, w Hiszpanii, w miejscu, gdzie, jak przypuszczam, wszystkie odbiorniki nastawione są na telenowele i pokazy corridy. Kotka szarpnęła mnie pazurami za szlafrok. Odgoniłam ją i poszłam do lodówki po wino. Była noc, a ja oglądałam Meghan w telewizji. To tak, jakby zachód słońca przenieść na dwunastą w południe.

Żyjemy w czasach, gdy przeszłość może stać się teraźniejszością, a chwila trwać wiecznie, jak na zapętłonej taśmie. Wydarzenia poniedziałkowego poranka ominęły mnie, aby później zostać wskrzeszone i powracać wciąż na nowo. Każda stacja relacjonowała to wydarzenie z tą znamioną mieszaniną udawanego niedowierzania i tłumionej satysfakcji, która u początków tego stulecia cechuje wszystkie dyskusje na temat upadłych gwiazd. Samego programu nie oglądałam, ale jak miliony innych telewidzów nie straciłam kulminacyjnego momentu, bowiem puszczały go w kółko różne kanały kablówki: prawicowy (jako ilustrację degradacji moralnej popularnych mediów), BBC (jako ilustrację dziwacznych obyczajów Amerykanów) i komediowy (bo w gruncie rzeczy to było śmieszne).

Niektórzy widzowie mogli się poczuć trochę zdezorientowani, bo kiedy powtarzano kluczowy fragment, słowa Meghan zostały wypikane ze względu na przepisy Federalnej Komisji Łączności dotyczące używania wulgaryzmów na antenie, te same, które rano tak dokładnie podeptała. Zapowiadano to wszędzie tak samo: że wyraziła się bardzo nieprzyzwoicie, a potem oczom telewidzów pokazywano kobietę w czarnym golfie, która rusza ustami, stukając palcem w plik kartek na kolanach.

Ja oczywiście umiem czytać z ruchu jej warg. Czasami, gdy na przyjęciu siedzimy przy jednym stole, a Meghan udaje, że słucha faceta po lewej, tak naprawdę słucha mnie, i kiedy czuje, że zaraz popełnię jakąś gafę, jej wargi zaczynają się poruszać. Republikanin. Rozwodnik. Bankrut. Te wszystkie ruchome piaski, w które tak łatwo mogłabym wpaść.

Sięgnęłam po telefon, ale zaraz go odłożyłam. Byłoby okrucieństwem obudzić ją teraz, nawet gdyby mi się to udało. O 4.45 musi być już pod prysznicem, o 5.00 w samochodzie w drodze do studia, a dwie godziny później na antenie, świeża i promienna, z fryzurą ułożoną tak, że włosy wyglądają lekko i naturalnie, lecz nigdy nie opadają jej na twarz. Jest jedyną rudą prezenterką, więc siłą rzeczy dziennikarze piszą o niej, że najsłynniejsza rudowłosa gwiazda telewizji od czasów Lucille Ball. W początkach swojej kariery, kiedy jeździła po kraju jako zwykła reporterka, sama robiła sobie makijaż i nakładała na twarz dość grubą warstwę pudru, tak że jej ciemne oczy mocno kontrastowały z rudymi włosami i jasną cerą. W końcu, pół roku po tym, jak zaczęła czytać wiadomości w porannym programie, jeden ze współprowadzących bez namysłu palnął, że charakteryzatorki tuszują piegi Meghan pudrem. A było to w trakcie relacji z międzynarodowego konkursu piegusów w Des Moines. („Za cholere byś tego nie wymyślił” - powiedziała potem Meghan. „Meg, przy stole jest dziecko” - zwrócił jej uwagę mój szwagier, pokazując widelcem na Leo. „Co, co?” - zapytał chłopiec, który myślami często wędrował w zupełnie innym świecie niż jego rodzice).

Z dnia na dzień powstała organizacja dumnych posiadaczek rudych włosów, domagających się, aby Meghan robiono delikatniejszy makijaż. Zdaje się, że miały nawet swoje logo z hasłem: „Uwolnić piegi Meghan!”. Kiedyś w programie podającym najnowsze wieści ze świata gwiazd wyemitowano wywiad ze słynnym

dermatologiem, który nigdy nie widział Meghan na oczy, ale stwierdził, że moja siostra zbyt rzadko używa kremów z filtrem i z wiekiem powinna bardziej na siebie uważać, bo ma cienką skórę.

Meghan zawsze nienawidziła swych piegów, twierdząc, że wyglądają dziecinnie, i była wniebowzięta, kiedy odkryła, że w telewizji pod grubym makijażem nikt ich nie widzi. Teraz nakładała tylko lekki podkład, spod którego delikatnie prześwitywał nakrapiany nos, i w wieku czterdziestu siedmiu lat była bardziej zadowolona z faktu, że wygląda jak daleka kuzynka Tomka Sawyera, niż w wieku lat dwudziestu czterech, kiedy to wyrażenie „traktować poważnie” przewijało się w naszych rozmowach częściej niż inne. Może z wyjątkiem: „prowadzić wieczorne wiadomości”. Byłam dla Meghan czymś w rodzaju śmietnika, gdzie wrzucała wszystkie swoje myśli: te głębokie, te błahe i te zakazane.

Evan miał u siebie w gabinecie osobną linię telefoniczną i aparat z migającą lampką zamiast dzwonka, żeby hałas nie budził jego żony. Był jedyną osobą w kraju niecierpiącą na upośledzenie słuchu i posiadającą takie urządzenie. Przez kolejne pół godziny sześć razy wykreślałam jego numer, ale nikt nie odpowiadał. Wreszcie zadzwoniłam do Meghan do pracy na prywatną linię i nagrałam się na sekretarkę.

„Czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Jestem teraz w domu. Jeśli odsłuchasz to rano, zadzwoń do mnie do domu, obojętnie która będzie godzina. Albo zadzwoń zaraz po programie. Będę w pracy. Albo na komórkę. Musisz mi wszystko opowiedzieć. Tylko bez paniki”.

Skończyłam, odetchnęłam i odłożyłam słuchawkę. Jeżeli ja mówię starszej siostrze, że ma nie wpadać w panikę - siostrze, która na żywo relacjonowała akcję przewożenia helikopterem rannego prezydenta po tym, jak w czasie szczytu państw karaibskich zranił go nożem jakiś szaleniec; która przeprowadzała wywiad z prezydentem Rosji, podczas gdy ten bez przerwy trzymał jej rękę na tyłku; która mając dwanaście lat, zaniosiła mnie na barana do szpitala i kategorycznym tonem oznajmiła pielęgniarce: „Musicie jej natychmiast zszyć nogę!” - to może znaczyć tylko jedno: sprawa jest poważna.

Aż podskoczyłam, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

- Cześć, serduszko - odezwał się w słuchawce lekko ochrypły głos.

- Mój Boże, ciocia Maureen.
- Przede wszystkim, Bridget, musisz się uspokoić. Dlatego dzwonię o tej porze. Wiem, że siedzisz tam i gryziesz palce z nerwów.
- Widziałaś to?
- Widziałam. A potem miałam spotkanie w klubie brydżowym. Wyobrażasz sobie, co się działo? Lucy Selliger stwierdziła, że nigdy czegoś podobnego nie słyszała. Ja na to: „Cóż, Lucy, w takim razie rozumiem, że twój mąż nigdy nie uderzył się młotkiem w palec, wieszając obrazek”.
- Och, jesteś niesamowita. Zawsze stoisz murem za Meghan. bez względu na to, co robi.
- O, kochana, były momenty, kiedy twoja siostra usłyszała ode mnie parę ostrych słów, ale tym razem tak nie będzie.
- No jasne, to by ją dobiło.
- Nie tylko dlatego. Dziś rano Nelly Lee powiedziała: Mnie też się wydawało, że ten facet to skurwysyn”.
- Niemożliwe! Pani Lee tak powiedziała? A ona nie jest przypadkiem mormonką?
- Jej mąż jest mormonem, ona jest prezbiterianką. Podobno ich ślub wywołał niegdyś spory skandal. Ale nie o to chodzi. Jestem pewna, że także wielu mormonów uważa, że Meghan powiedziała prawdę.
- Szkoda, że nie mogłam tego obejrzeć. - Pierwszy poniedziałek miesiąca to jedyny dzień, kiedy nie oglądam Meghan przed wyjściem do pracy. Zawsze rano mamy zebranie, a potem trzeba się wygrzebać z zaległej pracy i stawić czoło problemom, które po weekendzie hurtem zwałają się nam na głowy. Zepsuł się przedpotopowy piec w schronisku przy Mount Morris Avenue. Jedna z kobiet mieszkających w budynku przejściowym postanowiła zrobić krzywdę innej, być może dlatego, że tamta wyjęła jej pranie z suszarki albo zrobiła jej chłopakowi laskę. Nigdy nie wiadomo, co może sprowokować człowieka bez pieniędzy i domu, spędzającego mnóstwo czasu przed telewizorem, gdzie pokazują ludzi wyglądających tak, jak on nigdy nie będzie, i mieszkających w domach, o jakich on może tylko pomarzyć. Tamtego ranka jak zawsze czekała na nas litania potrzeb, kolejna porcja aktów przemocy oraz niekończące się pasmo biedy i niedostatku, o wiele bardziej nieprzyzwoite niż jakiekolwiek słowa.

Bronx, gdzie pracuję, to zupełnie inny świat, przeciwieństwo East Side. Rap i salsa dobiegające z za co drugich drzwi, opuszczone budynki z kratami w oknach, strome uliczki, mury pomazane graffiti i przejeżdżające patrole z policjantami typu „Nikt nie zginął, to chodźmy na kawę”. Wiem z doświadczenia, że w pół godziny - bo tyle trwa podróż metrem na Manhattan - można się przenieść od Lupe's Brides Delux, który wypożycza na godziny kiczowate suknie z koronek na ekspresowe śluby, do Bergdorfa, gdzie kobiety przechadzają się leniwie, wyciągając wypielegnowane dłonie, aby dotknąć szala, torebki czy swetra, często kosztujących więcej niż cały miesięczny zasiłek niejednej naszej podopiecznej mającej na utrzymaniu trójkę dzieci. Obserwowałam, jak te kobiety wzdychają, marszczą brwi, spoglądają to na jeden naszyjnik, to na drugi, i wreszcie z niezadowoloną miną oznaczającą: „Nie do końca o to mi chodziło, ale niech będzie” wręczają kasjerce kartę kredytową, płacąc za coś, co założą może raz albo wcale. Lecąc do Hongkongu czy Paryża, pokonują mniejszy dystans, niż gdyby musiały dojechać linią numer 6 do mojej części Bronksu.

- Nie widziałam tego - powtórzyłam. - To znaczy w końcu widziałam, trudno było przeoczyć, powtarzają to przecież w kółko. Wygląda na to, że Meghan po prostu puściły nerwy.

- Kochanie, rozmawiałam z nią dziś po południu. Nie martw się, ona sobie z tym poradzi. Potrzebuje teraz trochę przestrzeni. Ostatnio sprawiała na mnie wrażenie nieobecnej myślami. Myślę, że mogły na to wpłynąć wyjazd Leo na studia i znużenie wieloletnią pracą w jednym miejscu. Od kilku tygodni po programie przyjeżdżała tu do mnie na lunch. Nie zwierzała się zbyt, ale to było widać.

- Odwiedzała cię? - Plan dnia mojej siostry wyglądał zwykle jak schemat elektrowni atomowej. Lunch u ciotki Maureen w Westchester to ogromne odstępstwo od normy.

- Mniej więcej od miesiąca. Zwykle nie miała czasu posiedzieć dłużej, ale przyrządzałam jej tosty z serem.

- Słynny lek Maureen Dougherty na wszystkie bolączki świata. Do dziś mi się wydaje, że powinnam sobie taki zaaplikować, ilekroć łapię grype.

- Taki ciepły tost każdemu poprawia samopoczucie. Ale to musi być prawdziwy ser, nie jakieś nowoczesne niskotłuszczowe wymysły. Zwłaszcza w przypadku twojej siostry. Ostatnio wygląda jak samotna

dachówka na wietrze. - Ciotka Maureen jest skarbnicą aforyzmów. Podejrzewam, że większość z nich wymyśla na poczekaniu.

- Teraz zerwał się prawdziwy huragan. Może ją porwać.

- Nic jej nie będzie.

- Nie mogę jej złapać przez telefon. Evana też. Zaczynam tu trochę wariować.

- Och, zapewne schowała się pod gankiem - powiedziała ciocia Maureen.

W rok po tym, jak zamieszkaliśmy u cioci, wujek sprezentował nam na Walentynki małego kota angorę. Chciałabym móc powiedzieć, że wywalczyłam sobie prawo do wybrania dla niej imienia, ale prawda jest taka, iż Meghan po prostu niewiele to obchodziło. Być może wydawało się jej, że jak ochrzci kotkę, to będzie oznaczało, że zostajemy. Nazwałam ją Pomponik. „To najgłupsze imię, jakie słyszałam” - szepnęła Meghan tamtego wieczoru, kiedy leżałyśmy już w łózkach.

Na przekór imieniu i wyglądowi, Pomponik okazała się być tym typem kotki, dla której każde inne zwierzę to potencjalny obiad. Z ochryplym, przeraźliwym miauczeniem składała więc na progu kuchni zamordowane krety, ptaki, myszy, wiewiórki, a nawet żaby. Czasem jednak zdarzało się jej zadrzeć z oposem, szopem czy bokserem sąsiadów i rezultatem takich spotkań była głęboka rana albo rozharatana głowa. Odkrywaliśmy to dopiero po fakcie, kiedy było już za późno na weterynarza, ponieważ kiedy Pomponik była ranna, zaszywała się pod gankiem i leczyła obrażenia, dopóki nie przestały krwawić i nie zaczęły się goić.

Meghan robiła dokładnie to samo - gdy jej najlepsza przyjaciółka w ósmej klasie znalazła sobie inne koleżanki, kiedy niesprawiedliwie nie przyznano jej wyróżnienia z angielskiego na zakończenie liceum, kiedy pominięto ją przy wybieraniu obsady do pasma weekendowego czy wreszcie kiedy lekarze powiedzieli, że już nigdy nie uda jej się donosić żadnej ciąży. W samotności, w ukryciu lizała swoje rany, dopóki nawet najbystrzejsze oko nie było w stanie dostrzec śladu blizn. A potem życie toczyło się dalej, jak gdyby nic się nie stało. Pewnego razu pożaliłam się ciotce: „Dlaczego ona nigdy ze mną nie rozmawia wtedy, gdy jest naprawdę załamana?”.

„To nie leży w jej naturze” - odparła ciocia.

Tak jak Pomponik (która odeszła cicho w wieku dziewiętnastu lat, położywszy się na stercie starej pościeli w bieliźniarce), Meghan zawsze potrafiła się pozbierać. Może więc i teraz sobie poradzi. Kto jak kto, ale ja nie powinnam nie doceniać mojej siostry. Nauczyła mnie jeździć na rowerze krótko po tym, jak sama opanowała tę sztukę, pewnego popołudnia wyciągnęła mnie ze wzburzonych wód cieśniny Long Island, kiedy porwał mnie silny prąd, załatwiła nam obu stypendium w Smith College, urodziła dziecko, chociaż jej powiedziano, że nie może, wygryzła ze stanowiska poprzednią prezenterkę wiadomości, choć nikt się tego nie spodziewał, i na dodatek nadal się z nią przyjaźni (o ile może istnieć przyjaźń w ich środowisku). Być może niczego nie zmieni to, że widzowie usłyszeli te same słowa, które zniszczyły karierę prezentera radiowego Tandy'ego Bannistera i skazały go na wygnanie do Detroit, skąd teraz na - daje wiadomości motoryzacyjne; słowa, które kandydata na gubernatora Nebraski pozbawiły niemal pewnego zwycięstwa w pierwszej turze wyborów.

Nazajutrz o siódmej rano włączyłam telewizor i na początku wszystko wyglądało tak, jakby nic się nie stało. Zabrzmiała czołówka, na ekranie pojawiły się napisy i to obskurne półkoliste biurko. Tyle że zamiast charakterystycznego: „Witam państwa w programie Zbudź się, szkoda dnia. Nazywam się Meghan Fitzmaurice i będę państwu towarzyszyć przez najbliższe dwie godziny”, rozległ się głos Toma McGregora. Tom to sympatyczny, wesoły człowieczek, wyglądający dziesięć lat starzej niż moja siostra, choć jest od niej o dziesięć lat młodszy. Widzowie go uwielbiają, ponieważ przypomina przeciętnego faceta z przedmieścia, ojca trójki słodkich dzieciaków, w niedziele grywającego ze swoim szwagrem w golfa. I tak rzeczywiście jest: Tom mieszka na przedmieściach, jego czwarte słodkie maleństwo jest w drodze, a na grze w golfa spędza całe weekendy. Panie charakteryzatorki strasznie narzekały, że w letnie poniedziałki musiały się mocno napracować, żeby doprowadzić jego czerwoną od słońca twarz do akceptowalnego stanu. W końcu zaczęły używać specjalnego podkładu, wykorzystywanego do maskowania szczególnie paskudnych blizn, a i tak Tom wygląda jak Irlandczyk w trzeciej godzinie parady z okazji dnia św. Patryka. Meghan mówiła, że wbrew pozorom jest bardzo inteligentny, a już zdecydowanie bardziej niż Bill Messereau, jego odpowiednik z konkurencyjnej stacji, jedyny kawaler

w zespole, który ciągle pojawia się na liście dziesięciu najbardziej pożądanym partii w Nowym Jorku.

- Witam państwa - powiedział Tom, przybierając poważną minę.
- Federalna Komisja Łączności ogłosiła wczoraj późnym wieczorem, że zamierza rozpocząć dochodzenie w sprawie użycia niestosownych słów podczas wywiadu w porannym programie. Komisja podjęła te działania po serii skarg od oburzonych widzów, w tym żony wiceprezydenta kraju. Kierownictwo stacji jest przekonane, iż po wnikliwym zbadaniu sytuacji przewodniczący Komisji uzna, że był to jedynie wypadek przy pracy, w żadnym razie niezamierzony.

Niesamowite, jak wiele zależy od sposobu, w jaki poda się informację. Tom nie jest ani atrakcyjny, ani charyzmatyczny, lecz bije od niego szczerść, którą politycy, gdyby mogli, kupiliby od niego za wszystkie pieniądze. Jest jak drzewo klonowe, z którego wypływa słodycz, trochę mdła, ale za to w najczystszej postaci. Posadzenie w studiu właśnie jego było doskonałym posunięciem. Gdyby szefowie stacji wykazali trochę inteligencji, Tom na tym by poprzestał i program toczyłby się dalej, jakby nic się stało. Cóż, gdyby telewizją rządziło więcej inteligentnych osób, wyglądałaby ona zupełnie inaczej.

- Meghan? - zakończył wypowiedź Tom.

Moja siostra była ubrana w blad różową bluzkę. To kolor, który każe jej zakładać, kiedy chcą, aby wyglądała bardziej kobieco, subtelnie, bezbronne - innymi słowy, by wydawała się inna niż jest. Miała ten wystudiowany wyraz twarzy, typowy dla ludzi w jej branży - przyjazny, choć bez uśmiechu.

- Chciałabym skorzystać z okazji, aby przeprosić widzów, którzy poczuli się urażeni tym, co miało być tylko luźnym pozaantennowym komentarzem na zakończenie wyjątkowo kontrowersyjnej rozmowy. Na żywo, przed kamerami straciłam nad sobą panowanie. Takie sytuacje przytrafiały się osobom znacznie bardziej prominentnym ode mnie: prezydentom, premierom, a w pewnej pamiętnej sytuacji nawet księciu Walii.

Można było niemal usłyszeć te śmiechy. Ja słyszałam w głowie odgłos klawiatury komputera. Meghan napisała to sama. Umiem rozpoznać jej głos.

Wiem też, kiedy przemawia głosem prawników. Parę razy miałam okazję to słyszeć, kiedy sama stacja trafiała na pierwsze

strony gazet. Tak jak wtedy, gdy wytoczyła im proces ta rodzina, o której nakręcili film, albo gdy jeden z niedzielnych prezenterów został aresztowany za jazdę po pijanemu.

- Nie było moim zamiarem ani zamiarem stacji dopuszczać lub w jakikolwiek sposób sankcjonować użycie takiego języka na antenie - kontynuowała Meghan, a gdyby jeszcze ktoś się nie domyślił, że odczytuje wcześniej przygotowane oświadczenie, cały czas spoglądała na kartki rozłożone na biurku, służące zazwyczaj - o czym wiedzą nawet rzadko oglądający telewizję - jedynie do tego, aby prenter miał co zrobić z rękami. - Nasza stacja podjęła już działania mające na celu zbadanie zaistniałych okoliczności i w pełni zastosuje się do zaleceń oraz weźmie pod uwagę wyniki śledztwa Komisji Federalnej.

Podniosła wzrok i delikatnie się uśmiechnęła. Tym razem uśmiechały się tylko jej usta, nie oczy. A może tylko ja jedna to zauważyłam?

- Tak przynajmniej mam tu napisane - dodała, charakterystycznie przechylając głowę. - Nazywam się Meghan Fitzmaurice. Oglądają państwo program Zbudź się, szkoda dnia.

Tyle lat słyszałam, jak wymawia te słowa na różne sposoby, ale nigdy nie sądziłam, że można to zrobić tak, by brzmiały: A teraz możecie mnie wszyscy pocałować w dupę".

Rozdział 5

Ho, ho, ho - przywitała mnie Tequila, gdy weszłam do biura.

- Wiem, wiem.
- A to się porobiło.
- Wiem.
- Jej mąż tu jest.
- Co?

Evana Gratera znam dłużej niż własnych rodziców, ciocię i wujka czy Irvinga Lefkowitza. Dłużej znam tylko Meghan, ale oni oboje zlewają mi się czasem w jedno i wtedy zaczynam wierzyć, że naprawdę pamiętam tego schludnego chłopczyka, wyciąganego z basenu Bensonów po tym, jak upokorzyła go jego przyszła żona.

Nie przypominam sobie jednak, żeby kiedykolwiek odwiedził mnie w pracy. Zresztą, po cóż miałby tu przyjeżdżać. Evan pracuje na Wall Street i, jak można się domyślić, zajmuje się czymś, co niewielu ludzi pojmuje, a co polega głównie na jakiejś tajemniczej zamianie pieniędzy na jeszcze więcej pieniędzy. To coś podobnego do tego, co Jezus zrobił z chlebem i rybami. Pracuje niedaleko przystani promowej na Staten Island i ma biuro, które zdaje się unosić ponad wodami Zatoki Nowojorskiej. Kiedy pod odpowiednim kątem spojrzysz się na Statuę Wolności, wygląda jak przycisk do papieru stojący na biurku (w stylu Hepplewhite'a). To stamtąd zawsze oglądamy pokazy sztucznych ogni w święto 4 lipca. Wrażenie jest takie, jakbyśmy się znajdowali w samym środku tych świetlnych kul. Gdy Leo był jeszcze mały, zawołał kiedyś: „Otwórz okno, tatusiu!”. Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, jedynie Meghan lekko się wzdrygnęła i zapięła sweter przed powiewem chłodnego powietrza z klimatyzacji. Może trudno w to uwierzyć, ale moja siostra ma lęk wysokości.

Moje biuro mieści się w małym pomieszczeniu na tyłach wąskiej szeregowej kamienicy przy Carolina Street, tuż przy skrzyżowaniu z Mount Morris Avenue. Z okratowanego okna (żeby okoliczne ćpuny nie skusiły się na mój komputer) widzę podwórko, które pierwotnie było ogródkiem, ale my zalaliśmy je asfaltem, żeby mieć gdzie trzymać nasze dwie furgonetki. Używamy ich do obwożenia podopiecznych po niezliczonych urzędach i instytucjach, co jest ceną ubóstwa w Nowym Jorku. Opieka społeczna, urząd imigracyjny, klinika metadonowa, szkoła. Kilka lat temu, niedługo po tym, jak zaczęłam tu pracować, zobaczyłam u Tequili znaczki do wpinania,

przygotowane na jedną z imprez dobroczynnych. Widniało na nich zdanie: „Bieda nie jest dla mięczaków”.

Jeden taki znaczek do dzisiaj wisi na mojej tablicy korkowej, choć ludzie ciągle mi go kradną i muszę prosić Tequilę o następny. Obok znajduje się wykaz najważniejszych telefonów: urzędy, schroniska, policja, pogotowie, szpital. Jest tam także przypięty jedną pinezką plik kartek z niezbędnymi przepisami prawnymi dotyczącymi uprawnień do otrzymania lokalu komunalnego, zasad odwiedzania dzieci przebywających w rodzinach zastępczych oraz listą tego, czego nie wolno robić, kiedy się jest na zwolnieniu warunkowym. W kącie stoi kosz pełen sfatygowanych zabawek, ponieważ wiele kobiet, które przewijają się przez moje biuro, przyprowadza ze sobą zmęczone, czasem głodne dzieci. Na biurku trzymam słoik ze słodyczami. Wszystko mam w zasięgu ręki, co oznacza, że moje biuro wygląda jak mieszkanie jednej z tych staruszek, co to za żadne skarby nie pozwolą nic wyrzucić.

A więc, kiedy wchodząc do biura ujrzałam Evana w samym środku tego mojego śmietnika, przeżyłam szok pomieszany ze wstydem. Mój szwagier stał i przewracał akurat kartkę pisma z policji z nowymi przepisami dla osób zgłaszających przypadki przemocy domowej. Jeden maleńki ruch i cała sterta papierzysk wylądowałaby na podłodze.

- Ev, nie! - zawołałam w ostatniej chwili.

Przez lata Evan był dla mnie odpowiednikiem stałego partnera życiowego, faceta, na którego można liczyć w trudnych sytuacjach. Gdy miałam w kuchni mysz, barykadowałam się w sypialni, dopóki mój szwagier nie przyszedł z pułapką i kawałkiem sera Jarlsberg. Gdy trzeba było powiesić lustro, właśnie jego prosiłam o pomoc, chociaż młotkiem operuje jeszcze gorzej niż ja. Kiedy odbierałam dyplom, kupił mi medalion; na urodziny dostaję od niego perfumy, a na gwiazdkę kaszmirowe szale. Evan potrafi słuchać, a to rzadka cecha wśród ludzi z jego kręgu. Niewiele osób poza mną wie, że jest nieśmiały; etykieta osoby towarzyskiej, za jaką uchodzi Meghan, przylgnęła także do niego. Przypuszczam, że był dla mnie kimś w rodzaju ojca i brata, których nigdy nie miałam.

Meghan i ja jesteśmy sierotami. Ludzie się na to łapią. Wiem, że to brzmi okrutnie, ale zauważyłam to już w dzieciństwie: te okrągłe oczy, ściszone głosy. Wszystkim wokół miękły nogi na dźwięk tego

słowa. Teraz w pracy też to obserwuję. Znacznie łatwiej znaleźć nam dom dla trójki rodzeństwa, która straciła rodziców (ojca zadźgano w więzieniu nożem ręcznej roboty, a matka zamarła na śmierć po libacji alkoholowej w opuszczonej ruderze). To autentyczny przypadek: te dzieci mieszkają teraz w domku jednorodzinny na dwudziestoarowej działce w New Jersey. Najmłodsze z nich wciąż gromadzi jedzenie pod łóżkiem, pamiętając czasy, kiedy chodziło głodne. Osobiście pomagałam załatwić adopcję. Ich mama, nasza podopieczna, kiedy miała dobry dzień, była miłą, pobożną kobietą, tyle że z mnóstwem szram wokół oczu. W gorsze dni zamieniała się - że zacytuję słowa jej średniego dziecka - w diabła.

Wprawdzie my zostałyśmy sierotami w nieco innych okolicznościach, ale to nie ma znaczenia. Z tym słowem zawsze wiążą się jakieś dickensowskie skojarzenia: to ktoś biedny, zagubiony i smutny. Mamy takie zdjęcie z dzieciństwa, na którym moim zdaniem tak właśnie wyglądamy. Zostało zrobione w Wielkanoc; nasi rodzice zginęli w grudniu, wracając swoim czarnym lincolnem do domu ze świątecznego przyjęcia. Jesteśmy ubrane w coś, co w wyobrażeniach ludzi z klasy robotniczej przedstawiciele klasy średniej zakładają na specjalne okazje. W dodatku jesteśmy ubrane jednakowo: dramat rodzinny zamienił nas w bliźniaczki. Granatowe płaszczyki z okrągłymi kołnierzykami zapinane na perłowe guziki, białe słomkowe kapelusze, białe rękawiczki i buciki ze sztucznej skóry. No i gumki pod brodą, żeby nam te kapelusze nie spadły. Właściwie to dwa zdjęcia. Na jednym obie patrzymy prosto w obiektyw: Meghan szczuplutka, niemal przezroczysta, jak zjawia uchwycona tuż przed zniknięciem, a ja - mała pyza z głupią miną i lekko otwartą buzią. Drugie powstało zapewne chwilę później, gdy palec ciotki przypadkowo nacisnął spust migawki. Stoimy w tej samej pozycji, ale Meghan spogląda w bok, a ja podciągam podkolanówki, które zsunęły mi się do kostek. Mój siostrzeniec Leo z przyczyn znanych tylko jemu trzyma te zdjęcia u siebie na biurku, oprawione w ramki.

Meghan ma tendencję do mieszania swoich wspomnień z dzieciństwa z moimi. Teraz, kiedy jesteśmy już po czterdziestce, cztery lata różnicy to niewiele, ale w dzieciństwie to różnica między niemowlęciem a dziewczynką, między gimnazjum a liceum, między niewinnością a seksem. Czasami mówi: „Pamiętasz, jak mama nosiła

ten koszmary liliowy kostium z boucle?" albo: „Pamiętasz, jak ojciec przyniósł do domu szczeniaka beagle'a, po czym stwierdził, że jednak nie jesteśmy psiarzami?". Niestety, nie. Pamiętam mgliście duży przedpokój i małą wnękę na telefon za schodami, garderobę matki z olbrzymimi różami na tapecie oraz krzesło obite spękaną zieloną skórą, stojące na w gabinecie ojca. Bywa jednak, że mam wątpliwości, czy tak było naprawdę, czy to tylko scenografia z jakiegoś filmu, który mocno zapadł mi w pamięć, replika naszego dawnego życia. Czasami, będąc na przyjęciu lub w sklepie, Meghan nagle pociąga nosem jak pies myśliwski i wtedy wiem, że wyczuła kogoś, kto używa takich samych perfum jak mama. Mnie ten zapach z niczym się nie kojarzy, tak samo jak woń wiśniowego tytoniu fajkowego, mokrej ceraty czy którykolwiek z pozostałych atrybutów „brytyjskości”, jaka najwyraźniej fascynowała naszych rodziców.

Spora część dzieciństwa Meghan upłynęła w tym świecie, w naszym starym domu, wśród tamtych ludzi. A potem nagle wszystko się skończyło, jakby przejechał po tym walec. Na szczęście miałyśmy ciocię i wujka, którzy przeprowadzili się osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód, żebyśmy nie musiały opuszczać rodzinnej miejscowości. Pewnie uznali, że najlepiej będzie w miarę możliwości nie odcinać nas od korzeni, ale gorsze warunki mieszkaniowe w połączeniu z wyraźnie okazywanym współczuciem praktycznie całego miasta nasuwały myśl, że jednak nie był to dobry pomysł. Powinni byli nas stamtąd wywieźć, zamiast wychowywać w cieniu przeszłości. Ja tego tak bardzo nie odczuwałam, ale Meghan tak. Osiem lat czekała, żeby się wyrwać. Po pierwszym roku spędzonym w Smith College nigdy już tam nie wróciła.

Z Evanem właściwie się nie znali i nie spotykali do czasu studiów, pomijając ten często wspomniany incydent z basenem. On chodził do miejscowej szkoły dla chłopców, siostrzanej placówki naszego liceum. Wychowankom obu szkół nie pozwalano się spotykać, na nieco swobody zezwalano dopiero w starszych klasach. Potem Evan wyjechał do Amherst. Historia stara jak świat: trafili na tę samą imprezę i oboje byli bardzo zaskoczeni swoim widokiem. Ona wciąż pozostawała pod wrażeniem pierwszych doświadczeń w Smith College, tego natłoku zdolnych dziewcząt, marzących podobnie jak ona o zrobieniu kariery dziennikarskiej. On był znudzony swoją uczelnią, która zaczynała mu przypominać trochę bardziej „dorosłą”

wersję szkoły średniej. Poszli razem na pokaz francuskiego filmu artystycznego, wyświetlanego na pustej ścianie muzeum sztuki w Smith College, i oboje uznali, że jest bezsensowny i pretensjonalny. Przypuszczam, że istnieją głębsze powody, dla jakich ludzie się pobierają - w każdym razie dla Meghan Evan był ostatnim okruchem tego dawnego życia, kiedy miałyśmy jeszcze rodziców, ganek przed domem i pewne poczucie luksusu.

Ja tego faceta po prostu uwielbiam. Dzień ich ślubu był jednym z najszcześniejszych w moim życiu.

- Ev, co ty tu robisz? Jak tu trafiłeś? Chcesz kawy? Mamy naprawdę paskudną, polecam.

- Brzmi zachęcająco - odparł Evan.

- Siadaj. Ten skórzany fotel jest bardzo wygodny.

To fakt. Jedna z członkiń zarządu fundacji zmieniała wystrój w swoim domu i podarowała nam wszystkie stare meble. Przyjełyśmy je z radością, bo dlaczego kobieta, która dopiero co straciła w pożarze mieszkanie, a potem odebrano jej dzieci, ponieważ nie ma mieszkania, ma siedzieć na zwykłym krześle?

- Nie mogę uwierzyć, że zdołałeś tu trafić.

- A kierowca nie mógł uwierzyć, że naprawdę tu jadę. Ciągłe powtarzał: „Panie Grater, chyba pomylił pan adres”.

- Przyjechałeś oczywiście limuzyną. - A jak?

- Hm. Kierowca pewnie się urodził albo wychował w tej okolicy. Lub w jakiejś podobnej. Założę się, że pozamykał samochód, jak tylko wysiadłeś.

Czarna limuzyna mogłaby być oficjalnym symbolem Nowego Jorku albo przynajmniej tego Nowego Jorku, w którym żyją Meghan i Evan. Zazwyczaj to lincoln town car, może nawet podobny do tego, w którym zginęli rodzice. Nowojorczyki z pretensjami, lecz zasobami finansowymi klasy średniej zamawiają taki, kiedy chcą jechać na lotnisko albo wybierają się jakąś uroczystość: rocznicę ślubu w River Cafe czy elegancką kolację w Waldorfie. Młodzi, dobrze zapowiadający się pracownicy wykorzystują je do obwożenia klientów, ewentualnie firma funduje im powrót do domu, kiedy zebranie czy prezentacja przeciągnie się do wczesnych godzin porannych. Wystarczy przejść się o północy wzdłuż Park Avenue, żeby zobaczyć sznur takich limuzyn zaparkowanych jedna za drugą od

dawnego budynku Pan Am aż do Pięćdziesiątej Siódmej. Za szybami widnieją wizytówki firm z Listy 500 miesięcznika „Fortune”.

No i są wreszcie takie osoby jak Meghan i Evan, którzy bez przerwy z nich korzystają. Z okresu swej pracy zawodowej zapewne najbardziej będą pamiętać siedzenie na tylnej kanapie nieskazitelnego town cara, czytanie „Timesa” i próby napicia się kawy z papierowego kubka bez ochlapania sobie ubrań, gdy kierowca wjeżdża na studzienkę. Samochód co rano odwozi Evana do pracy, przyjeżdża po niego, jeśli ma umówiony lunch na mieście, a wieczorem zawozi do restauracji lub hotelu na kolację, ewentualnie (rzadko) do domu. Gdzie indziej na świecie nastolatki robią sobie zdjęcia na tle limuzyny, zawożąc je na bal maturalny, ale w Nowym Jorku są dzieci codziennie jeżdżące jedną z nich do szkoły. Jest ich bardzo wiele. Meghan wybrała taką a nie inną szkołę dla Leo między innymi dlatego, że w dniu, kiedy odbywały się rozmowy kwalifikacyjne z rodzicami, naliczyła tam najmniej limuzyn na parkingu.

Zanim Leo wyjechał do internatu, limuzyna wozila go na Randalls Island na treningi piłki nożnej i softballu. Wiosną i jesienią w porannych godzinach szczytu z mostu Triborough można ujrzeć osobliwy widok: na obrzeżach boisk upstrzonych zielenią, żółcią i błękitem szkolnych strojów sportowych parku - je mnóstwo czarnych aut. Między nimi a polem do gry krążą widzowie w ciemnych garniturach. Kibicują, klaszczą, głośno dopingują i co jakiś czas pośpiesznie nachylają się nad tylnym siedzeniem, kiedy zadzwięczy komórka. Będąc kiedyś na meczu Leo, widziałam, jak jeden tatuś wyłonił się z samochodu, przybił piątkę z Evanem i rzekł: „W przerwie zarobiłem milion dolarów”. „Brawo” - odparł mój szwagier.

Kiedy docierałam do pracy, wlokąc się pod górę od stacji metra przy Sto Czterdziestej Dziewiątej w przenikliwym wietrze, unoszącym strzępy zatłuszczonego papieru i jakiś dziwny zwęglony miejski kurz, przed budynkiem nie było żadnej limuzyny. Raczej bym zauważyła. Pomyślałabym, że to Meghan przyjechała do mnie prosto ze studia. Kiedyś się zdarzyło, że rano oboje z Evanem pomylili się i wsiedli nie do swoich aut. Tego dnia Evan miał bardzo wcześnie samolot i śpieszył się na lotnisko. Później miesiącami opowiadali o tym na przyjęciach.

- Przyjechałem z Louistem - powiedział Evan. - To porządny facet. Właśnie on nas wtedy odwoził z Waldorfa. Tyle że nigdy nie jechał ze mną na Bronx.

- No dobra, ale orientował się w okolicy, prawda? Zaraz ci powiem, gdzie teraz jest. - Ruszyłam w kierunku drzwi, co równało się postawieniu niecałego kroku, jako że moje biuro jest wielkości czegoś, co w wielkim nowojorskim apartamencie nazywa się pokojem dla gosposi. Jest tam akurat tyle miejsca, żeby się zmieścił tapczanik, tania komoda, no i oczywiście gosposia. - Jest w barze za rogiem, wsuwa kanapkę kubańską i pije kawę, taką, co to w niej można postawić łyżeczkę. Tak wygląda mój lunch przynajmniej raz w tygodniu. - Zamknęłam drzwi i usiadłam za biurkiem. - No to sobie pogawędziliśmy, a teraz mi powiedz, co jest grane.

- Nie rozumiem. - Ty. Tutaj.

- No, wiesz.

- Wiem tyle, że świat porannej telewizji, jaki znaliśmy, rozpadł się z hukiem, a Meghan wygłosiła najbardziej nieszczerą przeprosiny, jakie słyszałam, odkąd powiedziała temu facetowi, który u was na kolacji bez przerwy zwracał się do niej per „Maggie”, że jest jej przykro z powodu oblania go kawą. Ale o tym - nie obraż się - wolałabym pogadać z nią. Jeśli do mnie zadzwoni.

Przyjrzał mi się bacznie, a potem opadł na fotel i wlepił wzrok w swoje dłonie.

- A więc nie rozmawialiście?

- Od niedzieli nie. W sobotę biegałyśmy, a wieczorem była ta cała impreza w Waldorfie. W niedzielę zadzwoniła do mnie, kiedy się przygotowywała do programu. W poniedziałek musiałam jechać do sądu z jedną kobietą, której groziło odebranie dzieci, więc programu nie obejrzałam. Dowiedziałam się o wszystkim wieczorem, na kolacji u Sama i Kate. Wchodzę tam niczego nieświadoma, a tu słyszę, że moja osobista siostra jest na ustach całego Nowego Jorku. Nie mogłam do niej zadzwonić, bo o dziewiątej wyłącza telefon. Zadzwoniłam więc do ciebie i też nikt nie odbierał. W końcu wykreciłam prywatny numer do pracy i nagrałam wiadomość. Do tej pory to już kilka. A dziś rano zobaczyłam, jak posyła do diabła stację i Komisję Federalną. Tequila! - ryknęłam (nie mamy interkomu, bo nasze biuro jest tak małe, że go nie potrzebujemy). - Dzwoniła może moja siostra?

- Jak zadzwoni, to powiem - odparła Tequila, która nie lubi, kiedy się na nią ryczy.

- No to pewnie teraz siedzi i odreagowuje, a jak się uspokoi, to zadzwoni, a wtedy na nią nakrzyczę, że nie zadzwoniła wcześniej. Dobry plan wymyśliłam?

Evan wziął głęboki oddech i zaczął poprawiać krawat.

- Czyli od niedzielnego popołudnia nie rozmawiałaś z nią?

- Skarbie, zaczynam się bać. O co tu chodzi? Bo chyba nie o tę głupią wpadkę na antenie. - Dotknęłam jego ramienia. - Ona jest chora.

- Nie. Boże, nie.

- Ty?

Potrząsnął głową. Jego patykowate ciało było tak skulone w fotelu, że końcówka różowego krawata dotykała podłogi. Zdaży się pokryć kurzem, zanim wsiądzie do tej swojej limuzyny.

- O Boże, Leo?

- Nic mu nie jest. Pojechał na kilka dni do hiszpańskiej wioski i mieszka u jakiejś rodziny na farmie. Wczoraj chwilę z nim rozmawiałem. Nie chciałem przedłużać, bo sprawiał wrażenie bardzo zajętego. Ale wydaje się szczęśliwy. Zresztą znasz go. Nie mówiłem mu o wywiadzie z Greenstreetem. Pomyślałem, że może zrobi mu się przykro, że jest tak daleko i w ogóle. Wolałem tego uniknąć. A potem doszedłem do wniosku, że pewnie by się tylko roześmiał i jak zwykle powiedział: „Cała mama”.

- Oni zawsze świetnie się rozumieli. Kurczę, jak ja za nim tęsknię. A Meghan miała okazję zamienić z nim choć parę słów?

Podniósł na mnie wzrok.

- Nie ma jej w domu. Mieszka teraz u Harriet, która, z tego co wiem, wyjechała do Afryki. Oba wejścia do naszej kamienicy okupują tabuny dziennikarzy i fotoreporterów.

- Ach, rozumiem. Daj mi w takim razie numer do Harriet.

- Nie mam. Ja mieszkam w hotelu. W tym nowym Four Seasons w śródmieściu.

Ja jednak bardzo wolno myślę. Zawsze taka byłam. Meghan opowiadała, że kiedy ciocia Maureen powiedziała nam, że rodzice umarli, poszłam podobno do kuchni i zaczęłam grzebać po szafkach. Wróciłam z pudełkiem płatków i zapytałam: „Znaczy co, tak całkiem?”

Na śmierć?". Wtedy pewnie myślały, że to efekt szoku, ale prawda jest taka, że czasem ciężko kapuję.

- W niedzielę wieczorem zdecydowaliśmy się rozstać - mruknął Evan tak niewyraźnie, że z trudem go zrozumiałam.

- Ty i Meghan?

- Właściwie to ja, Bridge. Ja zdecydowałem. Strasznie mi przykro, ale... sam nie wiem. Między nami już nic nie ma. To już nie jest małżeństwo. Nawet nie przyjaźń. Nie wracam do domu, mówiąc: „Cześć kochanie, męczymy się właśnie nad nowym kontraktem i ten mój asystent jest całkiem w porządku, ale jeszcze robi trochę błędów; a propos, spotkałem dziś kolegę ze studiów, Eda Lawrence'a, pamiętasz go, pracuje dla Ministerstwa Sprawiedliwości, a jego syn jest na Uniwersytecie Cornella". Nie siadam wieczorami z żoną przed telewizorem, żeby komentować wiadomości: „Uch, co za bydlak. Mam nadzieję, że go powieszają". Ani nie wstaję rano, nie sięgam po gazetę i nie mówię: „Patrz, Meg, remontują wiadukt. Zastrzelimy się, jak przyjdzie nam wyjeżdżać w piątki do Connecticut". Bo już nie jeździmy do Connecticut, za bardzo jesteśmy zajęci. Kiedy jem śniadanie, Meghan nie ma już w domu i tylko kubek po kawie przypomina, że w ogóle tu była. W nocy śpi w tej swojej masce, więc kiedy już mam okazję ją zobaczyć, to jesteśmy z jakąś inną parą na kolacji w Le Bernardin albo na przyjęciu, gdzie ona siedzi przy innym stoliku, a ja przy innym. Czasem tak na nią patrzę i myślę: „To nie jest moja żona. To nie jest ta kobieta, z którą bujałem się na hamaku i czytałem na głos książkę, kiedy prowadziła samochód". Bridge, kiedy ona ostatnio sama prowadziła auto? Patrzę na nią na jakiejś imprezie u ludzi, których nie znam, w apartamencie, który jest identyczny jak wszystkie inne w Nowym Jorku, i myślę: „A niech to, to Meghan Fitzmaurice".

Była to jego najdłuższa nieprzerwana wypowiedź od czasu, gdy na studiach przemawiał w dniu rozdania dyplomów. Kiedy skończył, nastąpiła cisza, jeżeli można mówić o ciszy w dzielnicy, gdzie co pół minuty rozlega się alarm samochodowy.

- To dlatego przejechała się po Greenstrecie - powiedziałam cicho.

- Uhm. To znaczy, ona i tak by się po nim przejechała, ale dlatego zrobiła to tak, a nie inaczej.

Za oknem jakaś kobieta zaczęła się wydzierać, w sposób, w jaki kobiety robiły to od zarania dziejów: „Do domu, łobuzie! Ale już! Żebym ja się nie musiała tam przejść!”. Dziwne, ale to w żaden sposób nie wypełniło ciszy.

- Jesteście małżeństwem od dwudziestu dwóch lat - przypomniałam Evanowi.

Skinał głową.

- Chcę mieć normalne życie.

„Idę po ciebie!” - ryczał głos za oknem.

- Nawet mi się nie waży tak mówić! - oburzyłam się. I nagle zrozumiałam, z czym miał do czynienia ten biedny dureń Greenstreet. Zaczął we mnie wzbierać gniew, napęliając mnie od stóp aż po czubek głowy jak dzbanek. Może to tak wyglądają słynne uderzenia gorąca. Niedługo się pewnie przekonam. - Nawet mi się nie waży tak mówić. Normalne życie? Chryste, jak możesz? Kocham cię, Ev, ale Meghan jest moją siostrą, a ty doskonale wiedziałeś, kim jest i jaka jest, kiedy się poznaliście. Jeżeli ci to nie odpowiadało, trzeba było się wycofać dwadzieścia dwa lata temu, nie teraz. Nie teraz, na Boga, kiedy macie za sobą kawał życia i wspólne dziecko. Co z Leo? - O mało nie dodałam: „Co ze mną?”.

- Leo jest na studiach. Widujemy go pięć razy do roku. Kiedy wyjeżdżał, było jeszcze gorzej. Nie mieliśmy o czym rozmawiać.

- A co to, syndrom opuszczonego gniazda? Czyżbym za tydzień miała o tym przeczytać w „Timesie”? „Objawy syndromu opuszczonego gniazda u mężczyzn”. To tylko kolejny powód, żeby trzymać się razem. Rozpoczynacie drugi rozdział. Czy tam trzeci, nieważne.

- Nie masz pojęcia, jak to jest.

- Och, przestań. - Nagle przerwałam. Aż taka tępa nie jestem. - Chwileczkę. - Tak mi się zrobiło gorąco ze złości, że poczułam strużkę potu spływającą po ciele. - Kim ona jest?

- O nie, Bridge, ty też? To samo pytanie zadała mi Meghan. Powiedziałem ci: mam dość tego tempa; biegamy jak chomiki w kole, wszystko jest jakieś nierzeczywiste. Nie ma już tego, co było, Bridge. Nigdy nie jesteśmy sami. Nigdy nie czujemy się swobodnie. Leo wyjechał. Od lat nie rozmawiałem z Meghan tak jak teraz z tobą. Nawet nie z powodu jej pracy, choć Bóg mi świadkiem, że ciężko z tym żyć: „Hej, Ev, widziałem dziś twoją żonę z papieżem”, „Ev,

wpadniesz na kolację? Słyszałem, że Meghan jest w Bangladeszu". Ale połowa tych facetów żyje w taki sam sposób. Nie znają swoich żon. Rozmawiają z nimi o dzieciach albo wcale nie rozmawiają. Tyle że ja już tak dłużej nie mogę.

Nachyliłam się tak blisko, że nasze głowy prawie się zetknęły.

- Kim ona jest? - szepnęłam. We frontowym pokoju panowała cisza. Tequila musiała się tam strasznie gimnastykować, żeby coś podsłuchać.

- Mam wrażenie, jakbym miał do czynienia z inwazją porywaczy ciała. Przyszli pewnej nocy, kiedy spaliśmy, przejęli nasze życie, tę kobietę, która nigdy nie śpi, która nie może wyjść za róg, żeby ktoś nie zrobił jej zdjęcia, która od lat nie była w sklepie spożywczym, i mnie. Mam najlepsze narty, najlepszy rower, najlepszą rakietę do tenisa i może raz do roku okazję, żeby ich użyć, bo zawsze albo siedzę w biurze, albo w samolocie, albo na jakimś beznadziejnym przyjęciu, albo w siłowni w Four Seasons, przy czym w połowie przypadków nie pamiętam gdzie, bo Praga wygląda dla mnie tak samo jak Dallas, o ile zdążę cokolwiek zobaczyć. Rok temu, kiedy jechaliśmy na jakieś badania czy coś, powiedziałem jej w samochodzie: „Skończmy z tym. Rzućmy to w diabły i cieszymy się życiem, które nam pozostało. Pieniądze już mamy, docenimy teraz czas". Wiesz, co mi odpowiedziała? „Kup sobie czerwone porsche".

Tak, to w jej stylu.

- Kim ona jest? - powtórzyłam. Evan pokręcił głową.

- Nie wiem, czemu sądziłem, że mnie zrozumiesz. Myślałem, że chociaż tobie uda się ją przekonać, że nie chodzi o inną kobietę.

- Ev - szepnęłam. - Zawsze o to chodzi. Kiedy nasza podopieczna przychodzi do nas i mówi, że jej chłop rozwalił telewizor, trzasnął drzwiami i wyszedł, to wiadomo, że polazł do innej. Jeśli twój współnik odchodzi od żony, to znaczy, że znalazł sobie inną, która tylko czeka, żeby zająć miejsce tamtej. Ben Greenstreet także odszedł z powodu innej kobiety. Faceci tak robią.

- A ja zawsze myślałem, że to Meghan jest cyniczką, a ty idealistką.

- Oboje wiemy, że Meghan ma w sobie tyle cynizmu, co noworodek, tylko ludzie przyzwyczaili się tak myśleć. Kto jak kto, ale ty chyba powinienesz znać ją lepiej niż oni.

- Dłużej nie dam rady.

- Postaraj się.

- Próbowałem, nie mogę. - Wstał. Na jasnoróżowej koszuli widniały ciemne plamy od potu. Zdrada to też niezła gimnastyka. - Ona będzie cię teraz bardzo potrzebować, Bridget. Ja wiem, ty myślisz, że jest odwrotnie. Ale jesteś jedyną osobą, która utrzymuje Meghan przy zdrowych zmysłach i pozwala jej zachować normalność. Względna normalność.

- Evan, jeśli to jakaś nasza znajoma, zabiję cię. Przysięgam, własnoręcznie zamorduję cię nożem do steków.

- Chciałem się tylko przekonać, czy nadal zostaniemy przyjaciółmi. Dlatego przyszedłem osobiście. Tak długo byliśmy rodziną.

- To ty zdajesz się o tym zapominać.

- Nie chcę, żebyś mnie znienawidziła.

- Tego nie mogę obiecać. Nie mogę, Evan. Ja już nawet nie potrafię z tobą rozmawiać. Po prostu daj mi ten numer do Harriet, żebyśmy mogła porozmawiać z moją siostrą.

- Nie mam - odparł. - Poproszę sekretarkę, żeby znalazła i ci przysłała.

I wyszedł. Przez moment chciałam za nim wybiec i patrzeć, jak wsiada do samochodu. Czułam się tak, jakbym go miała nigdy więcej nie zobaczyć. Oczywiście, to nieprawda. Spotkamy się na dziedzińcu uniwersytetu, kiedy Leo będzie odbierał dyplom, albo w zatłoczonym salonie mieszkania, gdzie poznamy rodziców dziewczyny, z którą Leo pewnego dnia się ożeni.

W pewnym sensie ta świadomość była nawet gorsza. Lepiej by było, gdyby Evan całkiem zniknął z mego życia, niż stał się tylko znajomą twarzą z dawnych lat.

„Czasem się zastanawiam, co takiego interesującego we mnie znalazła” - zwierzył mi się kiedyś, gdy siedzieliśmy w obskurnym mieszkaniu, wynajętym przez nich na lato w Bostonie. Moja siostra miała wakacyjny staż w tamtejszym oddziale stacji i zdobywała doświadczenie. Już wtedy zaczynała błyszczeć niczym miedziana Niobe w ogrodzie codzienności.

„Nie jestem pewna, czy to wypali” - powiedziała Meghan tego samego lata o Evanie, a po chwili, widząc moją minę, dodała: „O Boże, Bridget, przestań. Nie mogę wyjść za faceta tylko dlatego, że ty chcesz mieć starszego brata!”.

Evan ma trzy starsze siostry i nigdy nie wydawał się mieć coś przeciwko temu, że z dnia na dzień obdarowano go młodszą. Kiedy Meghan w czasie wakacji pracowała w Bostonie, a on miał letnie zajęcia na Harvardzie, zapisywali mnie na kurs poszerzający wiedzę z historii sztuki i wynajdywali mieszkanie z rozkładaną wersalką w salonie. Kiedy wybierali się z przyjaciółmi ze studiów na narty, upierali się, że świetnie umiem jeździć, nawet lepiej niż chodzić. (Coś w tym jest: przez wiele lat nie umiałam przejść od drzwi do krawężnika, żeby się nie potknąć. Kiedy miałam cztery latka, mama zaczęła mnie nazywać Gapciem, aż w końcu ojciec jej tego zabronił, bo stwierdził, że to się będzie za mną ciągnęło. Tak przynajmniej opowiadała Meghan). Kiedy odbierałam dyplom na uczelni, Meghan wysłano akurat do Kentucky na reportaż z katastrofy w kopalni, ale zjawiał się Evan i to on usiadł obok cioci i wujka. Dał mi w prezencie zegarek, który sam wybrał. Do dzisiaj go noszę. Pisałam już coś o przyzwyczajeniach.

- Tequila! - zawołałam. - Zadzwoń do biura Evana i poproś jego sekretarkę o numer telefonu koleżanki Meghan. Nazywa się Harriet Kraft, chyba przez „K”, ale może być też „C”. Albo nawet przez dwa „f” - Kraff. I zadzwoń też do asystentki Meghan i weź od niej najnowszy numer jej komórki. Ja po prostu muszę się z nią skontaktować.

- O kochana, idę o zakład, że cały świat próbuje namierzyć twoją siostrę - odparła - ale Tequila nie takie rzeczy załatwiała. - Stała w drzwiach. Miała na sobie legginsy z lycry, tak obcisłe, że widać było jej cellulit, i sweter z misiem koala, zapewne wydobyty z kosza z darami. Prawie przez cały weekend siedziała u fryzjera, splatając włosy w ciasne warkoczyki. Gdyby miała zmarszczki, miałyby za jednym zamachem zrobioną fryzurę i lifting, ale Tequila ma tylko trzydzieści pięć lat, choć jej najstarsze dziecko dobiega dwudziestki.

- Rzucił ją? - zapytała.

- Na to wygląda.

- Ma jakąś babę?

- Twierdzi, że nie.

Tequila wydała z siebie ciężkie westchnienie, podobne do tego, jakie wydaje sztangista, kiedy podrzuca sto kilogramów.

- Ech, te chłopcy - mruknęła. - Nie da się z nimi żyć. Kochana, znajdę twoją siostrę, gdzie by nie była.

Siedzi pod gankiem, pomyślałam.

Rozdział 6

Jutro już będzie po wszystkim, jutro już będzie po wszystkim - mruzczałam do siebie pod nosem, skręcając w Zachodnią Sześćdziesiątą Dziewiątą. Bardzo chciałam w to wierzyć. Minęła mnie jakaś para. Czterdziestotrzyletnia kobieta gada do siebie na ulicy, a oni się nawet nie obejrżeli. Kiedy zamieszkałam w tym mieście, sądziłam, że ludzie, którzy poruszają ustami na ulicy, to albo aktorzy powtarzający kwestie, albo wariaci. Teraz, kiedy tak się rozpowszechniły miniaturowe zestawy słuchawkowe, co trzecia osoba idąca Broadwayem wykrzykuje jakieś polecenia lub zanosi się od śmiechu. Ma się wrażenie, jakby całe miasto zamieszkiwali nieleczeni schizofrenicy.

- Jutro już będzie po wszystkim - powtórzyłam, skręcając w przecznice, gdzie mieszkam. Minęłam kiosk z gazetami i sympatycznego Hindusa, który co rano się do mnie uśmiecha. „Zszargana reputacja Meghan” - krzyczał nagłówek jakiegoś brukowca. Chwała Bogu, że nie wiedzą, co naprawdę się za tym kryło. „Meghan i jej małżeństwo - dziękujemy za uwagę”. Tequili udało się w końcu zdobyć numer Harriet, więc zadzwoniłam, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Jej lekko zdyszany głos w nagranej wiadomości informował, że przebywa ona obecnie w Kenii na konferencji poświęconej malarii.

- Meghan! - ryknęłam po sygnale. - Meghan! Odbierz w tej chwili!

Był wtorkowy wieczór; minęły zaledwie dwa dni od wywiadu z Greenstreetem i trzy od przyjęcia w Waldorfie, a czułam się tak, jakby całe moje dotychczasowe życie wchłonęła jakaś gigantyczna dziura w jezdni. Nie zdziwiłabym się, gdybym ujrzała swój dom w płomieniach, meble wystawione na ulicę, zatrzymane pociągi i pusty plac zamiast parku. Tymczasem zobaczyłam maszerującego w moją stronę Irvinga Lefkowitza - nagle mroczna zasłona strachu opadła. Krok miał sprężysty, pieśń w sercu, a w dłoni butelkę przeciętnego kalifornijskiego chardonnay. Jak widać, nagła ochota na wino dopada nawet tych, którzy na co dzień nie są zbyt wyrafinowani.

- Mówisz do siebie? - zapytał, szczerząc zęby.

- Skąd się wziąłeś?

- Ja tu mieszkam. Ty tu mieszkasz. Podoba mi się tu - odparł. - Co się z tobą dzieje, u licha?

- Pogadamy w środku - syknęłam. Meghan mówiła, że nigdy nie wiadomo, gdzie może się czaić reporter.

Moje mieszkanie mieści się na samej górze pięciopiętrowej kamienicy i roztacza się z niego widok na wypielegnowane ogródki na tyłach szeregowców. To jest plus, minusem natomiast jest brak windy w budynku. Trzeba zasuwać na górę po schodach. Irving, który jest ode mnie starszy o dwadzieścia cztery lata, nieraz na wysokości trzeciego piętra straszy mnie zawałem i wycieczką na pogotowie, ale potem wchodzi do mieszkania, pochyla się, opierając dłonie na udach, bierze parę głębokich wdechów i już jest gotów na cygaro oraz drinka.

- Posłuchaj, moje dziecko, chyba trochę za bardzo się tym przejmujesz - powiedział, wkładając wino do lodówki i wyjmując z niej piwo. - Wszyscy przesadzacie. Jeszcze dwa, trzy dni pogadają o tym w mediach i sprawa ucichnie. To się będzie ciągnąć za twoją siostrą przez rok albo dwa, a potem ani się obejrzysz, a ludzie będą się zastanawiali: „Co ona właściwie wtedy powiedziała?”.

- Oglądałeś dzisiaj program?

- Nie. Wiesz, że nie mogę oglądać tego gówna. Nocowałem na kanapie w biurze, rano wziąłem prysznic w łazience komisarza, a potem wezwali mnie do skoczka na Moście Brooklyńskim, ale okazało się, że to fałszywy alarm.

- Aż ciebie musieli wzywać? - Sięgnęłam po jego piwo i pociągnęłam łyk. Kotka przysiadła na sofie tuż nad ramieniem Irvinga. Podobno koty zawsze potrafią wyczuć tych, którzy ich nie znoszą. Irving odebrał mi piwo, podłożył kotu dłoń pod pupę i zepchnął go na podłogę.

- Nieważne - rzekł tajemniczo.

Irving jest komisarzem Biura Informacji Publicznej nowojorskiej policji - innymi słowy: rzecznikiem prasowym. To stanowisko tradycyjnie obejmowali dobrze ustosunkowani byli dziennikarze, których szeregowi policjanci nie darzyli zbyt wielkim szacunkiem. Jednak z jakiegoś powodu burmistrz na głównego komendanta policji powołał twardego glinę, a twardy glina mianował na rzecznika Irvinga, często nazywanego przez kolorowe gazety „gliniarzem z krwi i kości”. Legenda głosi, że brocząc krwią i będąc już na najlepszej drodze do spektakularnego policyjnego pogrzebu, zdołał zabić strzelającego do niego człowieka - seryjnego gwałciciela,

używającego pistoletu do czynności, do których jego penis najwyraźniej się nie nadawał.

Po tym wydarzeniu Irvingowi pozostał ślad po kuli wyglądający jak trzeci sutek, tuż poniżej lewego, i najwyższe policyjne odznaczenie. Poza tym „New York Post” ochrzcił go mianem „True Blue Jew.” [W wolnym tłumaczeniu: „prawdziwy Żyd” (przyp. red.)]

W policji pracuje niewielu Żydów. „To dlatego” - podsumowała Meghan podczas jednej z naszych licznych kłótni dotyczących Irvinga - „że żydowscy chłopcy wolą raczej iść na studia, a potem znaleźć dobrze płatną pracę w normalnych godzinach”.

„Chwileczkę” - odparłam. - „Większość znanych ci chłopców pracuje od siódmej rano do dziewiętej wieczorem, jeżeli nie siedzą akurat w samolocie do Bonn. To są według ciebie normalne godziny pracy?”.

„Oni nie śpią w biurze na kanapie”.

To prawda, że Irving prowadzi nieregularny tryb życia. Często widuję go tylko w telewizji, oglądając wiadomości. Zazwyczaj stoi wówczas przed rzędem mikrofonów, usiłując się oswoić ze słowem „sprawca”, podczas gdy na usta ciśnie mu się „bydlak”. Kiedy zarwie noc, widać to po nim: w oczy rzuca się cień zarostu na twarzy i krawat wyglądający jak psu z gardła wyjęty. Jest przystojny, ale w taki staromodny sposób: siwe włosy i duża, prostokątna twarz z dominującym nosem i brwiami.

- Zamówiłem pizzę! - zawołał z kuchni. Usłyszałam, jak otwiera następne piwo. Kotka przeszła po oparciu sofy i zwinęła w kłębek dokładnie tam, gdzie przed chwilą siedział Irving.

- Na twoim miejscu bym się przesiadła - powiedziałam do niej.

- Czemu pytałaś, czy widziałem program? - zapytał, jednym ruchem posyłając kota na drugi koniec pokoju.

- Wprawdzie ty lepiej się na tym znasz niż ja, ale wydaje mi się, że Meghan jeszcze pogorszyła sprawę. Miała wygłosić przeprosiny, a zrobiła to tak, jakby uważała ich wszystkich za idiotów. I nie sądzę, żeby tylko ja to zauważyła.

Irving nacisnął guzik pilota. Na jednym z kanałów wypowiedziała się akurat dawna gospodyni nieistniejącego już porannego show.

- Jezu, kto jej robił ten lifting... - skrzywił się Irving, pogłaśniając odbiornik.

„Mam wątpliwości, czy uda jej się zachować wiarygodność w oczach amerykańskiego społeczeństwa” - powiedziała kobieta, układając napompowane silikonem usta w coś na kształt litery „o”. - „Wydaje mi się, że istnieje cienka granica między bezpośredniością a tym, co niestosowne...”.

„Granica, na której zawsze balansowała” - dorzucił prowadzący.

- Stul pysk - rzuciłam w kierunku telewizora.

„Cóż, z pewnością są tacy, którzy tak uważają. Ale wiele osób jest zdania, że ta granica została właśnie przekroczona. Prawdopodobnie spadnie ilość jej zwolenników”.

- Liczba! - ryknęliśmy jednocześnie z Irvingiem. Oboje jesteśmy czuli na punkcie poprawności językowej.

„Jak się dowiedzieliśmy, stacja planuje wysłać Meghan Fitzmaurice na urlop do czasu, aż Komisja Federalna zakończy badanie sprawy” - powiedział prowadzący. Potem jeszcze raz puszczono końcówkę wywiadu z Greenstreetem. Słowa Meghan oczywiście wypikano. „New York Times” w swym niepowtarzalnym stylu podał, że Meghan użyła słów „rodem z rynsztoka”, co według mnie brzmi bardzo zgrabnie. Oczywiście nie zniżyliby się do napisania artykułu o gwiazdzie telewizyjnej, która zakłęła na antenie. W tekście autor zastanawiał się, czy już nastąpił zanik standardów w - jak to ujął - „potocznym wymiarze dyskursu publicznego”. Przypadek Meghan stanowił ilustrację, a odpowiedź brzmiała: tak.

Brukowce napisały po prostu, że Meghan ma niewyparzoną gębę i powinna solidnie dostać w tyłek.

- A co na to Meghan? - spytał Irving.

- Nie rozmawiałam z nią od niedzieli. Nie mogę jej namierzyć. Powoli odchodzę od zmysłów. Zostawiłam jej wiadomości, gdzie się da, ale nie oddzwoniła. Może leży gdzieś w rowie martwa.

- Nie leży - odparł Irving. - Coś bym o tym wiedział.

- Jest jeszcze coś. Dziś rano był u mnie w biurze Evan.

- Evan przyjechał na Bronx?

- Postanowił od niej odejść. Twierdzi, że... Boże, już sama nie wiem, co mówił. Przestali ze sobą rozmawiać, nic ich nie łączy...

- Ma jakąś laskę. Założę się.

- To samo powiedziałam!

- Teraz wszystko jasne. To dlatego poniosły ją nerwy. A ona, jak jest w podłym nastroju, robi się wredna. Wiesz o tym.

Zadzwoił domofon. Irving miał układ z dostawcą pizzy: otwierał mu bramę, potem spotykał się z nim na trzecim piętrze i wręczał dwadzieścia dolarów za pizzę wartą dziesięć. Obaj byli zadowoleni, a jeśli chodzi o kwestię wpuszczania obcych do budynku, nie było powodu do obaw, jako że Irving w chwili transakcji przeważnie miał na sobie szelki z kaburą.

- Nawet nie chodzi o sam romans - kontynuował z ustami pełnymi sera. - Żeby facet w ogóle miał odwagę to zrobić, musi za tym stać jakaś baba. Mężczyzna nie jest w stanie dobrowolnie skazać się na samotność. Przynajmniej heteryk.

- Pytałam go z pięć razy, kim ona jest. Jeśli ją znam, zabiję ją.

- Nieważne, kto to jest. Na pewno ktoś zwyczajny, normalny. Niezbyt sławny. Niezbyt zapracowany. To jest właśnie istotne. I tak się dziwię, że ten biedak wytrzymał tyle czasu.

- Hej! Mówisz o mojej siostrze! I o jej małżeństwie, które zawsze uważałam za bardzo udane.

- Skarbie, kocham cię, ale gdyby ludzie ciągle odsuwali mnie na bok, żeby się do ciebie dopchać, długo by to nie potrwało.

- Czyli to wina Meghan, że jej mąż po dwudziestu dwóch latach wystawia ją do wiatru?

- Tu nie ma winnych. Po prostu jest, jak jest. Żaden facet nie chce się czuć jak dodatek do swojej żony.

- Czym kobiety były dla mężczyzn od wieków.

- Nie sprowokujesz mnie. Wiesz, co myślę na ten temat. Wcale tak nie było. Teraz musimy się zastanowić, jak to wszystko się odbije na twojej siostrze. Myślisz, że gdyby szefostwo wiedziało, że jest zestresowana z powodu kłopotów w małżeństwie, bo trochę by jej odpuściło?

- To bez znaczenia. Ona prędzej poderżnęłaby sobie gardło, niż wyznała publicznie coś takiego. Meghan Fitzmaurice porzucona? Nie ma takiej możliwości. Dlatego właśnie mnie unika. Zresztą, pewnie nie tylko dlatego. Dobrze wie, jak kocham Evana. Czy raczej: kochałam.

- Nie przesadzaj - powiedział Irving.

- Dzisiaj rozmawiałam też z ciocią i okazuje się, że Meghan już od dłuższego czasu coś gryzła. Ponoć od kilku miesięcy regularnie przyjeżdżała do niej do Westchester na tosty z serem.

- To coś znaczy?

- Tak, mądralo - odparłam, dając mu kuksańca w ramię. - Maureen robiła nam je zawsze, kiedy byliśmy chore albo miałyśmy chandrę.

- Czyli przeczuwała, że coś się święci. Mówię o Evanie, nie o pracy.

- Ale jak? Jeżeli nawet, to czemu nic mi nie powiedziała? W sobotę rano przebiegłyśmy dziesięć kilometrów!

- Twoja siostra w życiu nie przyzna się do porażki - wyjaśnił Irving. - Zwłaszcza tobie.

Oczy mu się zwęziły. Zawsze podejrzewałam, że tak właśnie wyglądał, kiedy strzelał do tamtego faceta. Ostatni widok przed śmiercią: Irving Lefkowitz klęczy w wąskiej uliczce na Brooklynie przed wejściem do warsztatu samochodowego, krew kapie mu z rany i zlewa się z plamą oleju, a on nadludzkim wysiłkiem unosi broń.

- Muszę nad tym podumać - stwierdził.

- To nie twój problem.

Ale on się tym przejmował ze względu na mnie. Nie lubił Meghan, a ona jego. Być może było to nieuniknione; już ich pierwsze spotkanie o tym przesądziło. Kompletna katastrofa. Pół roku po tym, jak zaczęłam się umawiać z Irvingiem, przyprowadziłam go na kolację do Evana i Meghan. Siostra od dawna naciskała na mnie, żebym wreszcie znalazła sobie odpowiedniego mężczyznę: dojrzałego, inteligentnego, spełnionego zawodowo, dającego poczucie bezpieczeństwa. Irving idealnie pasował do tego wzorca, a poza tym miał pozwolenie na broń. W Nowym Jorku na porządku dziennym jest pseudopsychologiczny bełkot, półprawdy, ściemnianie i zwykłe kłamstwa, ale Irving zawsze nazywa rzeczy po imieniu. Meghan również. Wydawało jej się, że to właśnie robi, kiedy podczas kolacji nazwała kretynem starszego senatora ze stanu Nowy Jork. Przyzwyczaiła się, że tego rodzaju oświadczenia przyciągają uwagę słuchaczy.

„Nieprawda” - odezwał się Irving, obracając widelec w swoich wielkich palcach. - „Zrobił parę głupich rzeczy i nie bardzo potrafi się zachować przed kamerą, ale to w gruncie rzeczy bardzo inteligentny gość”.

Meghan przybrała znaną z ekranu uprzejmą minę. Nawet dziecko by się zorientowało, że ten neutralny wyraz twarzy jest nieszczerzy.

„Rozumiem, że osoba na twoim stanowisku musi respektować zasadę domniemania niewinności” - powiedziała - „ale ja przeprowadziłam z tym panem co najmniej tuzin wywiadów na różne tematy i mogę jednoznacznie stwierdzić, że jest kretynem”. - I zwróciła się do sąsiada po lewej.

„Nieprawda” - powtórzył Irving, tym razem nieco głośniej.

- „Chodziłem z nim do szkoły, więc znam go prawie trzydzieści lat. To bystry facet. Dużo czyta, dużo rozmyśla. Tak jak mówiłem, ma trochę problemów z publicznymi wystąpieniami, ale już w gimnazjum było widać, że jest bystry”.

„Gimnazjum?” - spytała Meghan, jakby to był jakiś termin techniczny.

„Tak, na Coney Island. Pamiętam, że już na jego bar micwie starsi mężczyźni mówili, że powinien się zająć polityką. Ciekawe, nie?” - Irving rozejrzał się dokoła. Evan posłał mu szeroki uśmiech. Meghan była cała czerwona pod makijażem.

- „Chłopak witał się serdecznie ze wszystkimi gośćmi. I ładnie przemawiał. Mówił o swoim fragmencie Tory i chyba coś o Adlaiu Stevensonie [Amerykański polityk, w latach 1952 i 1956 kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta (przyp. tłum.)] . Możliwe to? Nowy Ład? Jezu, to ja już jestem taki stary?”.

„Na to wygląda” - odparła słodko Meghan.

„Jest dokładnie taka, jak mi opowiadali” - stwierdził później Irving, a im bardziej nalegałam, tym mniejszą miał ochotę to ciągnąć. Jedynie od czasu do czasu towarzyszył mi podczas wizyt u niej w domu. Minęły cztery lata, a dwie najbliższe memu sercu osoby nadal trwały w stanie wojny o moją duszę. Główną bronią Irvinga był bierny opór, Meghan natomiast preferowała docinki na temat jego tanich cygar albo wymiętych ubrań. Najczęściej po prostu go ignorowała, jak gdyby uznała, że jeśli nie będziemy o nim rozmawiać, przestanie istnieć. Tyle razy specjalnie dla mnie przyjmowała, karmiła i rozpieszczała tych wszystkich młodych prawników, profesorów, analityków giełdowych i menadżerów, patrzyła, jak błyszczą im oczy od mieszanki merlota i bliskości władzy. A ja uparcie pakowałam się w związku a to z osobistym trenerem, a to z aktorem, dorabiającym jako bramkarz w klubie, piekarzem, dostarczającym chleb dla sieci restauracji, aż w końcu trafiłam na Irvinga, człowieka, który, kiedy się nad czymś intensywnie zastanawia, wygląda, jakby udawał wysiłek

umysłowy podczas zabawy typu „Zgadnij, jaki to film?”. Tak samo jak wtedy, kiedy jest wkurzony lub przeżywa orgazm. To jedna z rzeczy, jakie w nim kocham najbardziej. Żadnych niuansów. Mam w domu czerwoną kanapę, łóżko otoczone moskitierą, migające światełka i kotkę Kitty Foyle. Nie cierpię subtelności. Spośród kolorów najbardziej nie lubię beżowego.

„Jesteś żonaty?” - zapytałam, gdy pierwszy raz zaprosił mnie na kolację.

„W tej chwili nie” - odpowiedział.

Stał przed płonącym budynkiem, dwie klatki od naszego schroniska, i darł się na rzecznika straży pożarnej, właśnie zwołującego konferencję prasową. Bez wątpienia mieliśmy do czynienia z pożarem, ale wszystko wskazywało na to, że poprzedziło go morderstwo kobiety, jej konkubenta i trójki małych dzieci. „A to jest, do cholery, robota policji, Jimmy, chyba że nagle zajęliście się ściganiem kryminalistów!” - krzyczał Irving.

Przecisnęłam się do nich.

„Czy któryś z panów może mi pomóc?” - zapytałam. - „Mam tu dziewięć rodzin stojących na zimnie w piżamach i chciałabym je odesłać z powrotem do domu, ale nie wiem, czy tam jest bezpiecznie”.

Irving odwrócił się do mnie z wściekłym wyrazem twarzy. Było to bardzo przekonujące, więc umilkłam. Jednak za plecami słyszałam przeraźliwy płacz jednej z dziewczynek z naszego schroniska, która rok wcześniej straciła dom w pożarze, kiedy ojciec próbował podpalić jej matkę. Postanowiłam nie rezygnować.

„Niech strażacy zadecydują” - powiedział w końcu Irving i odszedł w stronę grupki reporterów.

Później, kiedy do schroniska zapukało dwóch funkcjonariuszy, żeby wypytać, czy ktoś z mieszkańców znał ofiary i wie, kto mógłby chcieć je zabić, był z nimi Irving. Przyszedł, żeby przeprosić. Zaparzyliśmy kawę i poczęstowaliśmy wszystkich policjantów i strażaków, a nad ranem Irving wysłał samochód po bułki i dodatkowe mleko. Ruiny domu już przestały się tlić, pozostała tylko martwa czerń, odpadająca farba i wybite okna. Kiedy wzeszło słońce, Irvingowi wyczerpała się bateria w trzecim telefonie komórkowym, więc pozwoliłam mu skorzystać z naszego aparatu. Kilkoro dzieci wstało już z łóżek i szperało w szafkach w poszukiwaniu płatków.

Były pobudzone świadomością tragedii i lękiem - uczuciami towarzyszącymi im od urodzenia.

„Zjesz owsianki?” - zapytałam Irvinga. Miał zaczerwienione oczy, a jego kołnierzyk od koszuli był zszarzały od dymu.

„Pani Bridget, to jest pani narzeczony?” - zapytał śpiewnie chłopczyk o imieniu Taurus i wykonał taneczny ruch biodrami.

„Taurus, zostaw panią w spokoju!” - zawołała ze schodów jego matka.

Wyszliśmy na zewnątrz i, krztusząc się resztkami dymu, usiedliśmy na schodach. Białe obłoczki naszych oddechów mieszały się z parą unoszącą się znad kubków z kawą. Irving zjadł trzy miski błyskawicznych płatków owsianych i wrzucił dwadzieścia dolarów do ustawionej przy drzwiach skrzynki na datki. Zanim kupiliśmy ten budynek, mieścił się w nim klasztor. Pozostałość po czasach, gdy katolickie szkoły w Bronksie zatrudniały jako nauczycielki zakonnice.

„Lubisz włoską kuchnię?” - zapytał.

„Kto nie lubi”.

Irving dysponował najlepszą limuzyną na świecie: policyjnym radiowozem, kierowanym przez świeżo upieczoną policjantkę Valerie Morales. Zabrał mnie do małej knajpki we włoskiej dzielnicy. Po czterech lampkach wina stwierdziłam, że chyba pora poprosić o rachunek.

„Widać, że nie umawiasz się z gliniarzami” - powiedział.

Nie było rachunku. Ani wtedy, ani nigdy potem.

Odprowadził mnie pod same drzwi. Jestem dosyć wysoka, ale Irving jest jeszcze wyższy, ma ponad metr osiemdziesiąt. Patrzył na mnie z góry roziskrzonymi oczami i przygryzał dolną wargę.

„Następnym razem na deser zjem ciebie” - stwierdził i odszedł. Nazajutrz zdarzył się w mieście wypadek - jeden ze statków wycieczkowych linii Circle Line rozbił się o nabrzeże z kortami tenisowymi, zabijając dziewięcioro ludzi, w tym dwie mieszane pary deblowe z East Side - więc nie widziałam Irvinga przez ponad tydzień, chyba że w telewizji. To już norma w moim życiu. Dni mijają, a on nie daje znaku życia. I nagle zjawia się w drzwiach, skubiąc wąsa i poluźniając krawat.

„Nie rozumiem, co ty w nim widzisz” - powiedziała raz Meghan podczas sobotniego joggingu.

„Chyba nie chcesz, żebym się wdawała w szczegóły?”.

„Jezu, nie”.

„A na dodatek on mnie kocha. Naprawdę”.

„Na litość boską, Bridget, ciebie wszyscy kochają. Jesteś ostatnią dającą się lubić osobą na tym świecie”.

„Hm, dzięki. A jednak mówisz to tak, jakby było w tym coś złego. Poza tym, Irving jest szczery”.

„Irving jest nieokrzesany. A to zasadnicza różnica”.

Meghan nie rozumie, jak wiele nas łączy. W pracy, jaką wykonujemy, oboje mamy do czynienia z tego rodzaju sytuacjami, od których większość ludzi odwróciłaby się ze wstrętem. Żadnemu z nas nie jest obcy widok worka na zwłoki czy pokoju zbryzganego krwią. Irving żyje w tym samym Nowym Jorku co ja. Nowym Jorku, jakiego Meghan i jej znajomi nigdy nie poznają. Przechodzą przez eleganckie foyer swych apartamentowców o ścianach wyłożonych wapieniem, wsiadają do limuzyn, gdzie czeka już na nich poranna gazeta i cafe latte z odtłuszczonym mlekiem, potem wysiadają, przechodzą przez kolejne lśniące hole i udają się wprost do biur. Dzięki temu mają prawo myśleć, że Nowy Jork to cudowne miejsce, a burmistrz świetnie wywiązuje się ze swoich obowiązków.

W Nowym Jorku mieszkają dwa rodzaje ludzi: ci, którzy stąd wyjadą, jak tylko nadarzy się okazja, oraz ci, którzy nie wyjadą nigdy. Druga grupa dzieli się jeszcze na dwie podgrupy: tych, którzy utkwili tu ze względu na okoliczności, i tych, których trzyma tu miłość do miasta. Ja należę do tej ostatniej. Tak samo jak Irving.

Niewielu z nas mieszka na Manhattanie. Wyspa stanowi rdzeń, wokół niej są skupione pozostałe cztery dzielnice. Irving ma ciotkę w domu opieki w miasteczku Elizabeth (nazwa jest znacznie ładniejsza niż miejscowość) i kiedy od niej wracamy, mijamy po drodze jeden ostry zakręt na autostradzie, wiodący stromo pod górę. Kiedy osiąga się szczyt wzniesienia, oczom ukazuje się panorama Manhattanu. Zawsze wtedy myślę: „Oto i on”. Irving podziela to odczucie, a ma ku temu więcej powodów: urodził się w Queens, mieszka na Brooklynie, a większość czasu spędza przy Zachodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej. Za to ja, jako neofitka, mocniej przeżywam i bardziej się obnoszę ze swoją religią. Ja też uważam, że Nowy Jork to cudowne miejsce, ale burmistrz jest nieudolny i dba tylko o te rejony Manhattanu, gdzie mieszczą się butik Prady i mieszkają najhojniejsi sponsorzy Partii Republikańskiej.

„Meghan Fitzmaurice to jedna z najsłynniejszych mieszkanek naszego wspaniałego miasta” - powiedział burmistrz w wieczornych wiadomościach. - „Jestem przekonany, że postąpi właściwie”.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - zapytałam, przyciskając poduszkę do piersi.

- Nic. Mówienie o niczym to jego specjalność. Lepiej się to sprawdza na dłuższą metę. Zawsze bardzo się stara, żeby nic nie powiedzieć, bo ilekroć powie coś konkretnego, wpada w kłopoty.

- On jej nienawidzi. Meghan mówi, że on jej nienawidzi.

Następnego dnia obudził nas budzik. Irving włączył telewizor. Tom McGregor miał na sobie krawat w drobny wzorek, który migotał na ekranie jak lustrzana kula w dyskotecie.

„Witam państwa” - powiedział. - „Meghan Fitzmaurice nie ma dzisiaj ze mną w studiu”.

- Tego już za wiele! - krzyknęłam. - Ja muszę się z nią natychmiast skontaktować! A kiedy już to zrobię, powyrywam jej nogi z dupy! Jak ona może mi to robić?

- Uspokój się - powiedział Irving, gramoląc się z łóżka. - Jestem gliniarzem. Znajdę ją. Muszę tylko wykonać parę telefonów.

Nie doceniłam jednak innego detektywa, któremu już wcześniej powierzyłam to zadanie. Kiedy dotarłam do biura, Tequila rozmawiała z kimś przez telefon.

- Tak, tak, kochana - ryknęła do słuchawki swoim donośnym, szczekliwym śmiechem. - Coś o tym wiem.

Na zewnątrz przy naszym parkingu dwóch chłopców puszczało bańki mydlane. Siedzieli na ściętym pniu bożodrzewu, odpornego na wszystko chwastu Nowego Jorku - raz widziałam, jak wyrasta ze sterty betonowego gruzu na opuszczonym placu budowy. Scenka urocza, jak ze starej pocztówki: zadarte brody, zaciśnięte usteczka i wzrok podążający za ulatującymi w niebo bąbelkami. Śledząc trajektorię ich spojrzeń, domyśliłam się, że bańki dolatują do schodów przeciwpożarowych z tyłu budynku, gdzie pękają, tworząc małe mydlane plamy. Był chłodny marcowy dzień, ołowiane chmury zasnuły niebo, a chłopcy nie mieli na sobie kurtek.

- Hej, wy tam. Wejdźcie do środka i załóżcie coś na siebie - zawołałam przez okno. Dzieci znieruchomiały na dźwięk tego głosu znikąd.

Tequila wydała z siebie głośny okrzyk.

- Ha! Wiem, o czym mówisz, dziewczyno. Czasem sobie powtarzam: Tequila, wpakujesz się w kłopoty. Ale nasz Pan pomaga mi powściągnąć język. - Tequila należy do Kościoła Ewangelicznego, lecz jest dosyć niestała w pobożności. Mam wrażenie, że podoba jej się śpiew. Dysponuje wspaniałym altem. „Natural Woman” w jej wykonaniu, wyśpiewane pełnym głosem, to niemal pozaziemskie doświadczenie.

Usłyszałam przeciągły gwizd.

- Uuu, kochana, ściga cię sam prezydent, lepiej uważaj. Tutaj wiemy jedno: ten rząd ma wszystko gdzieś. Nie zależy im na prawdzie. Robią, co robią. I tyle. Wszystko potrafią przekreślić. Raz też to przeżyłam na policji, jak mnie chcieli na wszystkie sposoby wplątać...

- Z kim ty rozmawiasz? - zapytałam, podchodząc do jej biurka i wygrzebując lizaka ze słoika.

- Zaczekaj chwilę. - Wielką dłonią zasłoniła słuchawkę. Tequila nosi więcej pierścionków niż Liz Taylor, choć trudno stwierdzić, z jakiego są kruszcu, zwłaszcza te starsze. - Z twoją siostrą. Szuka jej sam prezydent Stanów Zjednoczonych. Niech lepiej na siebie uważa.

- Meghan? Przez cały ten czas rozmawiałaś z Meghan?

- A tak sobie gawędziłyśmy.

- Przełącz ją do mnie. Ale już!

Tequila prychnęła z oburzeniem, burknęła coś pod nosem do słuchawki i po chwili telefon na moim biurku delikatnie zabrzęczał. Linie wewnętrzną instalował nam człowiek, któremu kiedyś pomogliśmy, a pracę w firmie telekomunikacyjnej dostał w ramach programu wyrównywania szans mniejszości.

- Dzień dobry - odezwała się Meghan.

- Dzień dobry? Dzień dobry? Nie zwracasz się do publiczności. Tu mówi twoja siostra. Gdzie się podziewałaś, do cholery?

- Daj mi z powrotem Tequilę, była znacznie miłsza.

- Meghan, od niedzieli usiłuję się z tobą skontaktować. Wszędzie zostawiłam wiadomości. Odchodziłam od zmysłów. Już miałam iść na policję i zgłaszać zaginięcie.

- Założę się, że policja, którą masz w domu, wołałaby mnie nie znaleźć.

- Och, zamknij się. Dlaczego nie dzwoniłaś?

- Skarbie, może nie zauważyłaś, ale byłam zajęta. Całowaniem tyłków szefom i podlizywaniem się prawnikom. Choć co do Greenstreeta zdania nie zmienię. Jeżeli ten palant myśli, że uda mu się wydusić ze mnie prywatne przeprosiny, a tym bardziej publiczne, to jest głupszy, niż myślałam.

- Tak się o ciebie martwiłam. Dobrze się czujesz?

- Ja? Oczywiście.

- Nie zbywaj mnie.

- Jezu, Bridget, zaczynasz się zachowywać jak ciocia Maureen.

- I nie zmieniaj tematu. Czemu nie prowadziłaś dziś programu?

- Nie prowadziłam programu, ponieważ podobno na najwyższych szczeblach kierownictwa panuje przekonanie, że komuś potrzebny jest czas na ochłonięcie. Komu, tego nie wiem. Bo mnie na pewno nie. Ja już dawno ochłonęłam. Jestem spokojna jak nigdy. Ale ponieważ i tak w sobotę miałam wyjechać na urlop, zdecydowano, że zacznę wakacje kilka dni wcześniej. Wprawdzie byłoby miło, gdyby ktoś raczył mnie o tym poinformować, żebym nie musiała wstawać o czwartej rano, dzwonić po samochód i dopiero wtedy się dowiadywać, że na dziś nie przewidziano dla mnie limuzyny. No, ale prezesi zapewne doszli do wniosku, że jak będę mogła się wydrzeć bladym świtem na jakiegoś biedaka imieniem Ramon, to pomoże mi to nieco ochłonać, a im się upieczą. Wprawdzie plan się nie udał, ale zapewne tak rozumowali.

- O Boże - westchnęłam.

- Nie mogę sobie nawet pobiegać - dodała już nieco słabszym głosem, jakby ten monolog ją wyczerpał. - Ani popływać. Wczoraj pierwszy raz od jedenastu lat opuściłam basen. Kiedy jechałam na olimpiadę w Sydney, jak tylko wysiadłam z samolotu, poszłam na basen i pływałam do oporu, żeby zrekompensować te dwadzieścia trzy godziny w powietrzu i różnicę czasu.

- Przykro mi.

- Nie przejmuj się. Co za ulga porozmawiać wreszcie z kimś, kto nie robi tak - i zaczęła wydawać z siebie dziwne odgłosy, coś między gruchaniem a zawodzeniem: - „Oooch, Meghan, biedactwo, jak się czujesz?”. Co oczywiście należy rozumieć: „Jezu, kobieto, aleś się wkopała. Nie mogę się doczekać, żeby podczas lunchu opowiedzieć wszystkim, jak niemal z dnia na dzień stałaś się swoim własnym cieniem”. A właśnie, jadłaś już lunch?

- Gdzie ty w ogóle mieszkasz? Próbowałam cię złapać u Harriet, ale bez skutku.

- Skąd wiedziałaś, że jestem u Harriet?

To kolejna moja specjalność. Kiedyś zapytałam kobietę, która wcale nie była w ciąży, kiedy rodzi. Na jednym z przyjęć pogratulowałam producentce Meghan, że świetnie się spisuje, w kwadrans po tym, jak została zwolniona. No i byłam święcie przekonana, że Meghan żartuje, kiedy powiedziała, że zamierza nazwać synka Leo.

- Bridget! Bridget Anne Fitzmaurice?

- Evan.

- Evan do ciebie dzwonił?

- Przyjechał do mnie do pracy.

- Na Bronx, Evan?

- Wczoraj rano.

- Limuzyną, jak się domyślam? - Ba.

- I co mówił?

- Był przygnębiony. - O nie. Spuściłam głowę i ukryłam ją w dłoniach. Kiedyś zapytałam żonę laureata literackiego Nobla, czy recenzuje poezję męża, nie wiedząc, że trzy miesiące wcześniej rzucił ją dla kogoś o wiele młodszego. Kelnera z restauracji Repaste.

Pewnie tylko mi się wydawało, że cisza w słuchawce aż wibruje. Być może to zakłócenia na łączach.

- Masz długopis? Mieszkam przy Central Park West, numer 432. To jest na rogu Dziewięćdziesiątej Czwartej. Apartament 8N. Zamówię coś do jedzenia. Może być z hinduskiej knajpy?

- Jasne. Mam coś przynieść?

- Nie trzeba. Daj mi jeszcze Tequilę, proszę. Przełączyłam telefon

- No jestem - usłyszałam z pokoju obok. Potem była długa cisza i w końcu Tequila dodała: - Pomodłę się za ciebie.

- Co ci powiedziała? - zawołałam.

Sekretarka stanęła w drzwiach i rozpakowywała gumę do żucia, wznosząc oczy ku niebu.

- Mówiła, że jeśli jej mąż znów się tu zjawi, mam mu odciąć to i owo.

- O Jezusie.

- Wzywanie imienia Pańskiego jeszcze w niczym nie pomogło.

- Mam spotkanie w sądzie mieszkaniowym, muszę je odwołać.
- Już nie musisz. Ta kobieta wyjechała do Karoliny Północnej. Zadzwoiła dziś rano i powiedziała, że ma w dupie to miasto i wszystkich jego mieszkańców. Mówiła, że jedzie tam, gdzie jest ładnie i ciepło.
- Chyba ją rozumiem.
- Ja też.

Rozdział 7

Budynek, w którym rezyduje Harriet, znajduje się niedaleko miejsca, gdzie mieszkałam przez dwa lata, kiedy jeszcze zajmowałam się garncarstwem. Prawdę mówiąc, niewiele jest miejsc na Manhattanie, gdzie nie napotkałabym jakiejś znajomej bramy czy schodów i nie stwierdziła z przyjemnym zdziwieniem, że niegdyś wynajmowałam w okolicy mieszkanie. Mała kawalerka w budynku w stylu federalnym w dzielnicy South Village, z kominkiem w salonie - pewnego razu wyskoczyła z niego przerażona wiewiórka. Jednopokojowe mieszkanie w Chelsea przy zielonym skwerze pełnym drzew - musiałam je opuścić, bo budynek sprzedano jakiemuś inwestorowi, chcącemu mieć całe sześćset metrów kwadratowych dla swojej trzyosobowej rodziny. Kolejne lokum znajdowało się przy Dziewięćdziesiątej Szóstej. Wynajęłam je, kiedy zapisałam się na studia dla pracowników socjalnych na Uniwersytecie Columbia i dorabiałam wieczorami w restauracji przy Columbus Avenue. Z samych napiwków wyciągałam więcej niż teraz zarabiam, pracując w wyuczonym zawodzie. Przez dwadzieścia lat człowiek może się poobijać po Nowym Jorku jak „kaczka” puszczona po powierzchni jeziora. Nie zostawia po sobie nic prócz zmarszczek na wodzie. Pierwszego dnia każdego miesiąca na ulicach parkują furgonetki firm przeprowadzkowych i do domów wprowadzają się nowi lokatorzy, identyczni jak ci, którzy właśnie wyjechali.

- Hej - powiedziała Meghan, otwierając mi drzwi. Bez makijażu, w koszulce i spodniach od dresu moja siostra może udawać nastolatkę. Tym razem jednak wyglądała jak bardzo zmęczona nastolatka. Nie spodobało mi się też to, co zobaczyłam w jej oczach.

Jadąc w telepiącej się windzie przesiąkniętej zapachem wosku i płynu do mycia szyb, cały czas się zastanawiałam, jakimi słowami ją przywitać. Wydaje się, że to proste. Moja siostra została publicznie zdyskredytowana w pracy i jednocześnie odszedł od niej mąż. Wszystko wskazuje na to, że od kilku dni powinna być nieszczęśliwa albo przynajmniej przygnębiona. Powinnam więc wziąć ją w ramiona, poklepać po plecach, pocieszyć. Jednak u podłoża tych wszystkich działań leży założenie, że współczucie jest mile widziane. Meghan robiła wszystkie te rzeczy po pogrzebie rodziców, kiedy żałobnicy rozeszli się i zostaliśmy same w pokoju, a także gdy okradziono mi mieszkanie i dwie moje podopieczne zostały zamordowane podczas

napadu na ich dom. Również wtedy, gdy wykoleił się wagon metra, którym jechałam. Meghan robiła to wszystko dla mnie.

Ja zrobiłam to dla niej tylko dwukrotnie: kiedy leżała w szpitalu po rym, jak jej druga ciąża zakończyła się po osiemnastu tygodniach, oraz w dniu jej ślubu, podczas upinania jej welonu.

„Co ja, do cholery, wyprawiam?” - jęknęła płaczliwie, odwracając do mnie twarz. - „Mam dopiero dwadzieścia pięć lat. Po co mam wychodzić za męża? Dlaczego dałam mu się na to namówić?”. Poklepałam ją po plecach okrytych jedwabną satyną i zaoferowałam, że zadzwonię po taksówkę. Wtedy gwałtownie się odsunęła. „Och, Bridget, na miłość boską, bądźże realistką”. Ta chwila nadała nowe znaczenie określeniu „wziąć się w garść”. Niepowtarzalna okazja ujrzenia rozklejonej Meghan Fitzmaurice trwała, jak obliczyłam, około pięciu sekund. Następne, co pamiętam, to wewnątrz kaplicy uniwersyteckiej - moja siostra kroczyła w stronę ołtarza i sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej.

- Hej - odparłam i chwyciłam ją za ramię. Wciąż nie bardzo wiedziałam, jak się zachować. Meghan wysunęła rękę. Zbliżyła się i trąciła mnie ramieniem. Potem jeszcze raz. Oddałam jej, a później obie zrobiłyśmy miny zawsze towarzyszące temu rytuałowi: coś w rodzaju groźnego ściągnięcia brwi. Okazujemy sobie w ten sposób naszą solidarność, braterstwo. Tak chyba robią faceci, kiedy chcą sobie okazać uczucia, a uścisk to byłoby za dużo. Nie pamiętam, skąd się to wzięło, ale z pewnością musiała to wymyślić Meghan.

W kuchni Harriet (oczywiście z oknem), na tyle dużej, że w kącie zmieścił się malutki stół i dwa krzesła, mocno pachniało curry. Meghan rozpakowała torby i zanim zaczęłyśmy rozmawiać, wyjęłyśmy na stół jedzenie i przełożyłyśmy je na talerze. Zajrzałam do lodówki. Stały tam piwa z całego świata: Tsingtao, Grolsch, Sapporo, Kirin. Wyjęłam butelkę, a Meghan pokręciła głową. Ona rzadko pije alkohol, chyba że do meksykańskich potraw. Wówczas między jednym kęsem a drugim pociąga łyk piwa i szczyrzy zęby ze szczęścia. Dos Equis i enchilady - idealne połączenie. Gdyby tylko producenci wiedzieli! Tyle że Meghan odmawia występów w reklamach. Kiedyś pewien producent rajstop oferował jej za to milion dolarów. Meghan zawsze chodzi z gołymi nogami.

- No to opowiadaj - zaczęła.

- Zaraz, chyba ty masz więcej do opowiadania. Co się dzieje w pracy? Dlaczego mieszkasz u Harriet? Skoro nie mogłaś zostać w domu, czemu nie jesteś w hotelu Carlyle?

- Żeby portier natychmiast sprzedał tę informację tabloidom, a potem jakiś paparazzo w przebraniu przyniósł mi śniadanie do pokoju i sfotografował mnie w szlafroku? Bridge, gdzie ty żyjesz? Mogłabyś czasem pomyśleć. Lepiej powiedz, co mówił Evan. Chcę wiedzieć wszystko. Od momentu, gdy wszedł do twojego biura. Ze szczegółami, proszę.

- Przecież wiesz, co powiedział. Twierdził, że z tobą rozmawiał. Mówił, że się prawie nie widujecie, że się od siebie oddaliliście, ty jesteś zapracowana, on jest zapracowany. Nie to usłyszałaś?

- Dokładnie to. Ale to są wszystko bzdury. Z jakiej planety on nadaje? Greenwich w Connecticut, gdzie pan Mąż codziennie wraca z pracy o szóstej trzydzieści dwie i ktoś w fartuszku czeka na niego, gotów wysłuchać, jak mu minął dzień? Czy on ma zamiar zostać jedynym facetem w Nowym Jorku, który nigdzie wieczorami nie wychodzi, którego żona nigdzie nie wyjeżdża służbowo, która ma tak napięty plan dnia, że nie starcza czasu na wieczorne pogaduszki? Ja tego nie wymyśliłam. Chciałam to przerwać już dawno temu, kiedy Leo był mały. Zostańmy dziś wieczorem w domu, mówiłam. Nie róbmy żadnych planów, proponowałam. W połowie przypadków słyszałam, że jesteśmy zaproszeni do kogoś tam na kolację i jeśli z nim nie pójde, to się obrażą. To nie moja wina, że premier Izraela miał atak serca i musiałam lecieć do Jerozolimy albo że prezydent wygłosił przemówienie i trzeba było lecieć do Waszyngtonu. Na tym polega moja praca. Czy on uważa, że to przyjemne przebywać z dała od domu w jakimś obskurnym hotelu? Czy sądzi, że lubiłam opuszczać szkolne przedstawienia albo przeglądać prasę po nocach? Ale to jest moja praca i nie zamierzam za to przeproszać tylko dlatego, że jemu się nagle zachciało cofnąć do lat pięćdziesiątych i pobawić w Ozziego i Harriet [Serial amerykański, którego bohaterowie przez wiele lat byli synonimem wzorowej i szczęśliwej amerykańskiej rodziny (przyp. tłum.)]. W ciągu tych lat dokonałam pewnych wyborów. On też. Winna jest tu tak samo jego praca, jak i moja, ale nagle cała odpowiedzialność spada na mnie. Nie przyjmuję tych zarzutów. Staralam się, jak mogłam, na ile pozwalały warunki. Jeździłam na mecze, chodziłam na przedstawienia do szkoły. Wydawałam kolacje

na cześć jego współników. Udawałam, że mnie interesuje, co mają do powiedzenia ich nudne żony. To nie tak, że on o tym nie wiedział. Taka już jestem i za późno, żebym mogła się zmienić.

Bywają widoki, które wywołują taki szok, że umysł w pierwszej chwili odmawia przetworzenia informacji. Nowojorczyków mało co jest w stanie zaszokować, ale jestem przekonana, że wielu byłoby mocno wstrząśniętych, widząc, jak Meghan Fitzmaurice odkłada na bok kawałek chrupkiego chleba, tłustymi rękami zasłania twarz i zaczyna szlochać. Moja siostra zanosila się od płaczu jak dziecko zostawione przez mamę w pierwszym dniu przedszkola. I tak jak u dziecka, jej szloch przerodził się w przeciągłe żalodne zawodzenie. Podeszłam, uklękłam i objęłam ją ramionami. Czułam pod palcami, jak drży każdy kręg na jej plecach. Próbowałam tchnąć trochę ciepła w jej ramiona, jedyną szeroką część w jej szczupłym, rozedrganym ciele. Po chwili wydmuchala nos w papierową serwetkę z restauracji z napisem „Dobra karma” i wizerunkiem jakiejś bogini, tej z rękami.

Zawsze podejrzewałam, że odległość między sobotą wieczór a poniedziałkiem rano to coś więcej niż te trzydzieści sześć godzin. To dystans między randką w pubie a zebraniem w pracy, między prywatką a pierwszą lekcją w szkole, między upojnym seksem z nieznanym a tępym gapieniem się w okno wagonu metra. Na pozór jednego z drugim nic nie łączy. Zupełnie jakby ta kobieta w obcisłej sukience tańcząca w Chelsea z rozwianymi włosami była zupełnie inną osobą niż pani w czarnym kostiumie i przeciwsłonecznych okularach stojąca na rogu dwie przecznice dalej na tle majaczących w oddali w bladym świetle miejskiego słońca sylwetek wieżowców i machająca na taksówkę.

- Bridge - szlochała Meghan. - Bridge. Spędziłam z nim całe życie. Całe życie.

- Wiem, skarbie.

Przeszliśmy daleką drogę - od połyskującej sukni w sobotni wieczór, poprzez nieszczęsną wpadkę w poniedziałkowy poranek, aż po łzy w to dzisiejsze środowe popołudnie. W życiu Meghan wiele się wydarzyło od chwili, gdy w samochodzie wsuwała Evanowi dłoń pod ramię, do teraz, gdy siedziała i ocierała łzy papierową serwetką z hinduskiej restauracji. Dwa razy mocno wydmuchala nos, a potem uniosła twarz, jak gdyby nagle wstąpiła w nią inna kobieta. Wstałam z kolan i usiadłam na krześle.

- Ma kogoś - stwierdziła chłodno. Wyglądała, jakby nigdy ani przez chwilę nie płakała.

- Pytałam. Powiedział, że nie.

- A co by było, gdybym powiedziała, że mnie to nie obchodzi?

- Nie rozumiem.

Westchnęła. Na jej twarzy dostrzegłam bruzdy - wcześniej ich nie było widać, ani gdy się uśmiechała, ani kiedy była na antenie. Dziesięć lat wstawiała przed świtem, gdy na zewnątrz jest jeszcze ciemno, a nigdy nie wyglądała na tak zmęczoną jak teraz.

- Skarbie, połowa znanych mi kobiet w tym mieście jest zdradzana przez mężów. Zresztą połowa kobiet robi to samo. Czego to ja się nie nasłuchałam. Ze szczegółami.

- Obrzydliwe - powiedziałam.

- Nawet nie wiesz, jak. Wiedziałaś, że Sam Borows zostawił kiedyś Kate?

- Co? Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

- Wystraszyłaś się, co?

- No jasne.

- No to jak ci miałam powiedzieć? - odparła zniecierpliwiona.

Czułam się tak, jakby uchylone na moment drzwi z powrotem zatrzasnęły się z hukiem. Drzwi do pokoju, w którym to ja chroniłam Meghan, a nie odwrotnie. Wstała i zaczęła sprzątać ze stołu, wrzucając wszystko do torby przyniesionej z restauracji.

- Mówiliście już Leo? - zapytałam. Meghan pokręciła przecząco głową.

- To był ostatni punkt mojej rozmowy z Evanem. Powiedziałam: „Skoro ty podjąłeś tę decyzję, to ty będziesz musiał poinformować o niej Leo”.

To był fatalny pomysł.

Widać było, że Meghan żałowała swojej chwili słabości. I nastawiła wodę na herbatę i usiadła przy oknie.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała. - Metraż w sam raz. Przypuszczam, że będziemy zmuszeni sprzedać nasze mieszkanie, ale wcale nie cierpię z tego powodu. I tak było za duże. Teraz, kiedy Leo wyjechał, wydaje się wręcz olbrzymie. Ale tutaj mi się podoba. Trzy sypialnie, łazienka, gabinetek, salon z widokiem na park. Kto wie, może poszukam czegoś takiego dla siebie.

Rozejrzałam się. To było urocze mieszkanie urządzone przez kogoś, kto ma dobre oko do mebli, ale brakuje mu pieniędzy na dekoratora. W salonie naprzeciwko siebie znajdowały się dwie pasiaste sofy, na środku stała ława ze szklanym blatem, obok skórzany fotel, a na ścianach wisiały jakieś afrykańskie maski. Harriet zajmuje wysokie stanowisko w UNICEF - ie. Kiedy widziałyśmy się ostatnio, dwa lub trzy lata temu, odbyłyśmy ciekawą rozmowę na temat rytuału obrzezania kobiet w Afryce. Jej mieszkanie jest typowe dla kobiety w pewnym wieku, o określonych dochodach i pozycji zawodowej. Meghan nigdy by takiego nie kupiła.

- A co w pracy?

Meghan machnęła ręką, rozwiewając parę unoszącą się nad czajnikiem.

- Josh chodzi podminowany. Ale on zawsze się denerwuje. Jest producentem, na tym polega jego praca. Oglądalność skoczyła w górę, więc to go trochę uspokaja. Ja wyjeżdżam na wakacje. Wyniki zaczną spadać, kiedy ludzie się zorientują, że zostali sami faceci. A newsy, jak to newsy. Ktoś umrze, ktoś weźmie ślub, wykolei się pociąg, wybuchnie wojna. Spędzę urlop na Jamajce i wrócę delikatnie opalona, z miedzianymi refleksami we włosach. Kiedy się pojawię na ekranie, wszyscy będą pisali tylko o tym, jak świetnie wyglądam. Wspominałam ci, że żona Bena Greenstreeta przysłała mi kwiaty? Wielki bukiet ostróżek i lewkonii. Asystentka mówiła, że wyglądał jak dekoracja z hotelowego holu.

- I porozmawiasz z Evanem i wszystko się ułoży. Meghan zalała herbatę i postawiła kubki na stole. Potem zmrużyła oczy i popatrzyła na mnie.

- Też tak w pierwszej chwili myślałam. Trzeba ratować rodzinę i tak dalej. Ale zmieniłam zdanie. Leo jest na studiach, a to silny psychicznie chłopak. On sobie z tym poradzi. I ja też. Skoro Evan nie umiał dostrzec, jakie ma fantastyczne życie, to jego problem. Nawet nie wie, jak wielki, bo za dwa, trzy lata, kiedy będzie załatwiał kontrakt z jakimś ważnym klientem, facet mu powie: „Czy pan przypadkiem nie był mężem Meghan Fitzmaurice?”. Wtedy zrozumie, że jest nikiem, że sam jest wszystkiemu winien, i pozostanie nikiem na zawsze. - Pociągnęła łyk herbaty

- Cholera! - wykrzyknęła i zobaczyłam, że jej górna warga robi się czerwona. Wciąż ma delikatną skórę rudowłosej pieguski.

- Teraz mam ochotę po prostu się od tego oderwać. Potrzebuję wakacji. W końcu przysługuje mi urlop. To mi dobrze zrobi.

- A co z Leo? Nie sędzę, żeby to był najlepszy pomysł, aby Evan powiedział mu o tym sam. Może poczekacie z tym, aż wrócisz, i wtedy porozmawiacie we trójkę?

Meghan zmierzyła mnie wzrokiem.

- Bridget, zdaję sobie sprawę, że w tym momencie wszystko wygląda nieco chaotycznie, ale jeszcze potrafię rozpoznać to, co jest dobre dla mojego syna.

- Ja tylko staram się pomóc.

- Wiem.

- Nie wiem, co robić - zwierzyłam się Irvingowi tego wieczoru, kiedy o północy wgramolił się do łóżka, pachnąc tytoniem i whisky.

- Czuję curry - stwierdził. - Widziałaś się z siostrą? Kiwnęłam głową.

- To było jak w tym filmie Sybil. W ciągu trzech godzin była pięcioma różnymi osobami. Cały czas się zastanawiałam, która z nich w końcu zawładnie jej ciałem.

- Musi dostawać fioła. Tyle lat pociągała za sznurki, wszystko odbywało się według jej reguł i nagle za jednym zamachem straciła robotę i faceta.

- Nic nie straciła. Po urlopie wróci do pracy i wszystko będzie dobrze. A Evan potrzebuje jej znacznie bardziej niż ona jego.

- Przepraszam, czy ktoś jeszcze jest na linii? - Co?

- Czy ktoś jeszcze jest na linii? Bo nie wiem, czy się nie przesłyszałem. Ty chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że to był tylko drobny incydent.

- To był przypadek. Nie wiedziała, że ma włączony mikrofon.

- Taak? Nic się nie dzieje przypadkiem. Może twoją siostrę zmęczyło bycie tym, kim jest? Może Evan był zmęczony życiem w jej cieniu? Ja jestem zmęczony już po pięciu minutach przebywania w ich towarzystwie.

- Gdzież to pan kończył psychologię, doktorze Freud? Irving objął mnie za szyję.

- Oboje mamy o wiele większe kwalifikacje niż niejeden psychiatrę. Spędzamy dużo czasu, próbując zrozumieć, dlaczego ludzie robią te wszystkie szalone rzeczy. Tylko że ty tracisz dystans, kiedy w grę wchodzi twoja siostra.

- Teraz to mnie naprawdę wkurzasz.
- Okej, w takim razie wyjdź wreszcie z roli młodszej siostry. Jesteś na to za stara. Młodsza siostra to obciążenie. Jak wóz, który trzeba za sobą ciągnąć. Przestań być tym wozem.
- Od kiedy to jesteś ekspertem od dynamiki rodziny?
- Idę spać - mruknął i po kilku minutach dodał: - Nikt nie lubi wlec za sobą ciężaru, moje dziecko. - Zaraz potem zaczął cicho chrapać. I ten dźwięk ukołysał mnie do snu.

Rozdział 8

O jakości dzisiejszych publicznych programów pomocy społecznej najdobitniej świadczy fakt, że prowadzę w naszej fundacji kurs dla rodziców. Właściwie lepiej byłoby użyć słowa „matek” - od trzech lat nie zjawiał się u mnie ani jeden ojciec, a zaledwie garstka kobiet ma stałego partnera. Tequila nie może prowadzić zajęć, bo nie ma tytułu licencjata, a Alison brakuje jakiegoś tajemniczego państwowego certyfikatu. Z kolei Jasmine, która kieruje naszym schroniskiem i miała w życiu pod opieką tyle dzieci, że galeria zdjęć w jej salonie wygląda jak kronika niewielkiej szkoły podstawowej, nie może tego robić, ponieważ jako nastolatka była notowana, kiedy jej chłopak handlował crackiem w ich mieszkaniu.

Tak więc to mnie przypadło prowadzenie kursu, odbywającego się raz w tygodniu w świetlicy kompleksu bloków socjalnych imienia Harriet Tubman, [Harriet Tubman - czarnoskóra działaczka abolicjonistyczna; wydostała się z niewoli, a następnie zaangażowała się w pomoc innym uciekinierom oraz walczyła o ich prawa (przyp. tłum.)] na północ od stadionu Jankeśów. Tak się składa, że mieszka tam Tequila. Na szczęście świetlica jest na parterze, w przeciwnym razie żadna z nas nigdy by nie przyszła na zajęcia. Zwykle w tego typu blokach regularnie psują się windy. Otyłe kobiety wciąż piszą podania do administracji o przeniesienie na drugie, ewentualnie trzecie piętro, żeby nie musiały drałować po schodach kilka razy w tygodniu, gdy winda nie działa. Tequili udało się dzięki temu zdobyć czteropokojowe lokum - powiedziała, że jej nie przeszkadza mieszkanie na najwyższym piętrze.

Gdyby światem rządziła logika, ten kurs prowadziłyby właśnie ona. Jej życiorys jest dowodem, że nasza praca ma sens. Trafiła do nas dziesięć lat temu jako dziewczyna bez matury (wyrzucono ją ze szkoły), z czworgiem dzieci, wszystkie pod opieką państwa, po tym, jak zadzwoniła na policję, żeby ojciec jej najmłodszego dziecka przestał ją bić. Kiedy przyjechali funkcjonariusze, zabrali faceta do więzienia, Tequilę na komisariat w celu złożenia zeznań, a dzieci tymczasowo do zakładu opiekuńczego. „Tymczasowo” w żargonie pracowników opieki społecznej oznacza coś innego niż w normalnym języku. Tequila pojawiła się w naszym biurze pół roku po tym, jak odebrano jej dzieci. Wówczas jeszcze tutaj nie pracowałam, ale moja

poprzedniczka stwierdziła, że w życiu nie widziała kobiety, która miałaby w sobie tyle złości.

Ludzie w fundacji powiedzieli jej to wszystko, co zawsze mówimy przychodzącym w potrzebie: „Znajdź przyzwoite mieszkanie. Zapewnij wystarczającą liczbę miejsc do spania i pilnuj, żeby w lodówce nie brakowało jedzenia. Chodź do kościoła i na spotkania klubów AA, NA czy co ci tam akurat pasuje. („Cholera, chyba w końcu założę grupę Anonimowych Biedaków” - stwierdziła kiedyś Tequila). Zapisz się na kursy wieczorowe i zdaj maturę”. Tequila to wszystko zrobiła i po kolei odzyskała swoje dzieci. Pewnego dnia, kiedy nasza niesumienna sekretarka zadzwoniła, że nie przyjdzie do pracy, bo jest chora (co znaczyło, że ma cotygodniowego poniedziałkowego kaca), Tequila zastąpiła ją przy biurku i zaczęła odbierać telefony. Tubalne „Taaak?” stało się jej znakiem firmowym. Wszyscy urzędnicy w Bronksie go nienawidzili. Jej też. „Dobrze wiecie, że macie tam dla mnie wolne miejsce” - stwierdziła, dzwoniąc kiedyś do ośrodka odwykowego. „Wstrzymajcie jej talony na żywność, a mała umrze z głodu i znajdziecie się na piątej stronie »Daily News«” - powiedziała pewnemu drobiazgowemu biurokracie, któremu brakowało jakiegoś papierka. Jeden z jej synów wstąpił do Akademii Policyjnej, drugi uczy się w dwuletnim studium pomaturalnym, a najmłodszy jest wzorowym uczniem małej szkoły, zlokalizowanej niedaleko kompleksu. Najbardziej baliśmy się o to, czy pewnego dnia nie zginie od kuli jakiegoś handlarza narkotyków, ponieważ za każdym razem, gdy Tequila odbierała go z popołudniowych zajęć w szkole, rzucała pod ich adresem rozmaite wyzwiska. Bynajmniej nie pod nosem.

No i jest jeszcze najmłodsze dziecko, księżniczka Margaret, jedyna córka. Kiedy Tequila ją odzyskała, była zrozpaczona. Uczennica czwartej klasy wychodziła rano do szkoły i wracała nie wcześniej niż o siódmej wieczorem, z podkrążonymi oczami i włosami w nieładzie. Nie chciała się przyznać, gdzie była i co robiła, a Tequila, korzystając z wiedzy nabytej na kursie dla rodziców, powstrzymała się - choć niechętnie - od wydobycia tego z córki pasem. Wreszcie pewnej soboty, kiedy namówiła dzieci, aby jej towarzyszyły w wyprawie do salonu manikiuru (gdzie folgowała swojej jedynej słabości: malowaniu kwiatków na długich jak szpony akrylowych tipsach), spotkali po drodze pastora z kościoła, do którego

uczęszczają. „Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby jakieś dziecko czytało tyle książek, co ona” - powiedziała żona pastora, pracująca na pół etatu w filii biblioteki przy Mount Morris Avenue, w niebezpiecznej okolicy (jak zawsze powtarzała dzieciom Tequila). Tym właśnie sposobem dowiedziała się, że po pierwsze księżniczka Margaret jest mołem książkowym, a po drugie, że jest małym geniuszem. Zaczęła więc od zapisania córki na specjalne zajęcia dla uzdolnionych dzieci, odbywające się na górnym Manhattanie, a potem załatwiła jej stypendium w ramach programu mającego na celu wydostanie dzieci z niezamożnych rodzin z ich środowiska i umieszczenie ich w najbardziej ekskluzywnych szkołach Nowego Jorku.

Wydało mi się to skokiem na głęboką wodę, ale Tequila twierdziła, że księżniczka Margaret czuje się absolutnie szczęśliwa w szkole dla dziewcząt Carlisle Benedict przy Wschodniej Osiemdziesiątej Ósmej. Może dlatego, że nigdy nie była zmuszona uczestniczyć w imprezach towarzyskich, na których uwidoczniłyby się społeczne różnice między nią a koleżankami. Tequila prawie nie wypuszczała córki z domu, chyba że do szkoły. „Strażniczka” - mawiała o niej Margaret. „Pani Fitzmaurice, niech jej pani powie, że dziewczyna za rok kończąca liceum potrzebuje trochę swobody. O której pani siostrzeniec musi się meldować w domu?”.

„Siostrzeniec nie zajdzie w ciążę i nie spieprzy sobie reszty życia” - wtrąciła Tequila.

„Ile razy mam to powtarzać: nie zajdę w żadną ciążę. Chcę tylko czasem gdzieś wyskoczyć w sobotni wieczór”.

„Jak pójdiesz na studia, to będziesz sobie łąziła na imprezy” - ucięła Tequila. Szkolny doradca zawodowy powiedział jej, że najlepszym wyborem dla córki byłby któryś z uniwersytetów Ivy League [Stowarzyszenie ośmiu elitarnych uniwersytetów w północno - wschodniej części Stanów Zjednoczonych (przyp. red.)]. Na dziś Tequila skłania się ku Princeton.

Z okien jej mieszkania Bronx wygląda tak samo magicznie jak Manhattan widziany z wysokiego piętra na Piątej Alei. Większość spotykanych przeze mnie ludzi woli skupiać się na różnicach, jakie dzielą miejsce mojej pracy od miejsca, gdzie mieszkam, tymczasem mnie bardzo często zdumiewa, jak wiele jest między nimi podobieństw. Pokonując niemal codziennie drogę od stacji metra do

biura, dają się omamić zwyczajności toczącego się wokół życia. Może dlatego, że jest rano, a większość najgorszych rzeczy zdarza się nocą, pod osłoną ciemności, w strefach mroku między latarniami i w piwnicach slumsów. A poza tym Bronx to takie samo miejsce jak każde, tyle że biedniejsze. Czasami idzie przede mną grupka dziewcząt z liceum św. Marii Goretti. Ich długie, gładkie nogi wystają spod kraciastych spódniczek szkolnego mundurka. Spódnice mają podciągnięte do góry - opuszczają je niżej, gdy tylko w zasięgu wzroku pojawi się brama szkoły.

Wówczas sobie przypominam, jak my podciągałyśmy spódniczki w Harper School, a pani Means stała w drzwiach i podając dłoń na powitanie, unosiła brew: „Czy pani o czymś nie zapomniała, panno Fitzmaurice?”. Musiałam wtedy obciągnąć spódnice i dopiero wtedy mogłam iść dalej. Niedaleko naszego schroniska mieszkają dwaj mali chłopcy, którzy każdego ranka wychodzą razem do szkoły. Trzymają się za ręce, a matka z niemowlęciem przytulonym do piersi obserwuje ich z okna. Różnica wieku między nimi jest mniejsza niż między mną a Meghan, lecz mimo to starszy chłopczyk, najwyżej ośmioletni, już przejawia to poczucie wyższości i ma cały arsenał wymagań wobec brata: „No, chooodź. Ale się guzdrzesz. Przez ciebie się spóźnimy”. Starsza pani w ogródku podnosi się sztywno i odprowadza ich wzrokiem. W marcu nie ma tu co robić, można tylko przechadzać się wokół grządek i marzyć o maju: tu będą pomidory, obok papryka, a tam dalej aksamitki, żeby odstraszyć mszyce. Mszyce tak samo atakują ogródki warzywne w Bronksie, jak i w Connecticut, Iowa czy gdziekolwiek indziej. Chłopcy tak samo chodzą do szkoły, a dziewczęta pokazują nogi. Po prostu zwyczajne życie.

Pewnego dnia postanowiłam zrezygnować z typowej, nudnej rozmowy dorosłej z nastolatką o szkole, nauczycielach i koleżankach, i zapytałam księżniczkę Margaret, czy nie jest jej trudno tak przeskakiwać między szkołą, gdzie większość uczennic uznaje za tragedię, jeśli znajdzie dziurę po molu w kaszmirowym swetrze, a środowiskiem, w którym strzelanina nie jest niczym niezwykłym. („Wiesz, dlaczego tak głośno o tym bębnią?” - zapytała raz Tequila, kiedy wszystkie gazety na pierwszych stronach pisały o dwóch chłopakach, którzy otworzyli ogień do uczniów jednej ze szkół w Nebrasce. - „Masz trzy podpowiedzi: biali, biali, biali”). Księżniczka Margaret ma w sobie godność i pewne surowe piękno, którego

chłopcy w jej wieku nie dostrzegają, dopóki nie staną się dojrzałymi, a także nieugiętość graniczącą czasem z odrętwieniem, co zapewne stanowi reakcję na impulsywną osobowość jej matki.

„To nic trudnego, pani Fitzmaurice” - odparła obojętnie. - „Człowiek po prostu staje się dwiema różnymi osobami. Jedną tu, a drugą tam. A kiedy jadę metrem, mam całą drogę na to, żeby się przeobrazić”. Doskonale wiedziałam, co ma na myśli, lecz podejrzewałam, że jeszcze nie zdaje sobie w pełni sprawy z ceny bycia takim społecznym Janusem z jedną twarzą zwróconą ku bieli kamienic przy Piątej Alei i drugą spoglądającą ku brudnym molochom osiedli socjalnych, miejscu jej zamieszkania, gdzie jednak nigdy nie będzie się czuła u siebie.

Spośród kompleksów tubmanowskich (Tubs, jak nazywają je dzieci), to, na którym mieszka Tequila, nie należy do najgorszych. Głównie dzięki stałej grupie wkurzonych i zdeterminowanych kobiet, niedających żyć chuliganom, przynajmniej tym młodszym, którzy nie zaczęli jeszcze chodzić z bronią zatknętą za bokserki. Jedyna działająca winda cuchnie moczem, jak wszystkie w tego typu miejscach, chociaż odkąd pracuję w opiece społecznej, nigdy nie zauważyłam, żeby ktoś w nich sikał. Na szczęście w świetlicy zazwyczaj pachnie smażonym kurczakiem albo pieczonym ciastem, ponieważ obok mieszka starsza pani, zagłuszająca swoją samotność gotowaniem obiadów, jak gdyby jej dzieci nadal z nią mieszkały lub przynajmniej zamierzały wpaść z wizytą. Uwielbiam zapach tłuszczu i cukru. Gdybym miała opracować własne perfumy, nazywałyby się „Sklep z pączkami” i pachniałyby dokładnie jak ta świetlica, tylko może bez nuty lizolu. Tuż obok mieści się pralnia, a to oznacza, że w trakcie zajęć co chwilę przychodzą mieszkańcy i proszą, żeby im rozmiąć pieniądze.

- Nie widzisz, że mamy spotkanie? - odezwała się jak co tydzień Charisse, tym razem do jakiejś nastolatki zaglądającej przez drzwi z pomiętym banknotem w dłoni i chcącej szybko wyprać swoje dżinsowe biodrówki przed ważną randką.

Charisse chodziła na kurs już od dwóch lat, ale najwyraźniej żadne nauki do niej nie docierały. Jej czternastoletni syn zrobił dziecko swojej dziewczynie, dwunastoletni trafił do poprawczaka za kradzież komputerów ze szkoły, a ośmioletni cierpi na ADHD, i to do tego stopnia, że koktajl leków, po jakim większość dzieci by

odpłynęła, na niego ledwo działa. Najgorsze, że najmłodszy ubóstwia swych starszych braci, co nie najlepiej wróży na przyszłość.

Mimo to Charisse przychodzi co czwartek i tak samo jak rok wcześniej bierze udział w dyskusjach o żywieniu i ustalaniu granic, o komunikacji z dzieckiem i sterowanej zabawie. Kiedyś wychodziłyśmy razem, bo Charisse wybierała się do osiedlowego sklepu (drogiego i brudnego) i zdradziła mi, że chodzi także na inne kursy: jogi, obsługi komputera i gotowania. Najwyraźniej ktoś kiedyś wpadł na genialny pomysł, że mieszkańcy osiedli socjalnych wzbogacą swój potencjał, ucząc się rzeczy przydatnych w lepszym świecie, ale absolutnie zbędnych w miejscu, gdzie żyją. Mają więc zajęcia sportowe zamiast ubezpieczenia zdrowotnego, szkolenia zawodowe zamiast miejsc pracy, kursy rodzicielskie, uczące wychować dzieci, które zapewne niedługo zginą, zajdą w ciążę albo trafią do więzienia.

- Porozmawiajmy dzisiaj o karach cielesnych - zaczęłam. - Uważacie, że lepiej jest dawać dzieciom klapsy czy nie?

- To zależy - powiedziała Maria, jedyna Latynoska w grupie. - Weźmy moją Gabriellę. Wystarczy, że groźnie na nią spojrzę, i już jest grzeczna. No i płacze. Bez przerwy płacze. Ale już z Tomaszem jest inaczej. On dostawał ode mnie po tyłku już od małego, bo inaczej robiłby, co chciał.

- Chłopakom trzeba czasem wlać - dorzuciła matka czterech synów. - Inaczej się nie słuchają.

- Jak będziesz żałować ręki, to się dzieciak rozpuści - powiedziała Charisse, która śpiewa w chórze w kościele mieszczącym się w byłej synagodze przy Mount Ararat Avenue. - Tak mówi Biblia, a z nią się nie dyskutuje. Jak jest napisane, to tak musi być.

- Ale czy to się sprawdza? - zapytałam. W moim podręczniku podano, że powinnam stosować metodę Sokratesa, czyli „intelektualne rozważania, mające doprowadzić uczestników do wspólnego zrozumienia ograniczeń kar cielesnych w procesie kształtowania zachowań”. Nie było tam ani słowa o Biblii.

- U chłopców tak - przytaknęła Maria. - Ale w przypadku dziewczynek to nie jest konieczne.

- A jak zaczyna być konieczne, to one są już na to za duże

- dodał ktoś inny. - Patrzą na ciebie jakoś tak spod oka. Jakby chciały oddać czy co.

- Z dziewczynami są same problemy - odezwała się kobieta, która wszystkie swoje trzy córki odesłała do swojej matki do Karoliny Południowej, jak tylko zaczęły miesiączkować. Może myśli, że na Południu nie wiedzą, co to seks.

- A z chłopakami to nie? - wtrąciła matka samych synów.

- Ale istnieją chyba lepsze sposoby skłonienia ich do posłuszeństwa niż bicie? Czy w ten sposób nie pokazujecie im, że można akceptować przemoc?

- Pani źle zrozumiała, pani Fitz; przemoc to jedna rzecz, a dawanie klapsów to całkiem co innego - powiedziała Charisse,

- My tu nie mówimy o biciu dzieci. Nie ma mowy. Spierzesz dzieciaka, wsadzą cię do więzienia, dziecko odbiorą i jest kłopot. Nikt tu nie jest za tym, żeby je bić. Ale klaps to co innego. Trzeba czasem trzepnąć, żeby gówniarz wiedział, że jak się nie uspokoi, to będzie źle.

- Jak się pani dorobi własnych, to pani sama zobaczy - skwitowała Maria.

Większość kobiet obecnych w tej sali nie miała pojęcia, że jestem w tym wieku, w którym mieszkanki osiedli socjalnych mają już wnuki, co więcej, bardzo często same muszą je wychowywać, bo średnie pokolenie haruje na trzy zmiany, miota się między odwykiem a nałogiem albo odsiaduje dwuletni wyrok. Te kobiety zachowują się tak, jakby wszystko inne w życiu było tylko poczekalnią, a urodzenie dzieci faktycznym dostaniem się do lekarza. I nieważne, że niektóre chodzą na te zajęcia właśnie dlatego, że jakiś sędzia uznał, że jako matki zawiodły na całej linii, bo urodziły dzieci z kokainą we krwi albo przywiozły na pogotowie syna czy córkę z połamanymi kośćmi lub śladami po przypalaniu papierosami. Charisse ma pod opieką dwie córki swojej siostry, i kiedy ja rozwodzę się na temat zdrowych substytutów napojów gazowanych, ona się zamartwia, czy jej najstarszy syn nie sypia czasem ze swoją kuzynką. Poznałam tę dziewczynę i skłaniałabym się ku odpowiedzi twierdzącej. Jest niemal pewne, że Charisse także będzie kiedyś wychowywała własnego wnuka, więc może dobrze się złożyło, że wróciła na kurs.

- O, to by było śliczne dziecko - stwierdziła jedna z kobiet, mierząc mnie wzrokiem z góry na dół.

- I duże. Patrzcie, jaka ona wysoka jak na kobietę. Tak, to byłby ładny, dorodny dzieciak.

- Trzeba jeszcze znać tatusia. Czasem tak dużo biorą po ojcu, jakby matka była tylko tym, co to mają w szpitalach, żeby dziecku było ciepło...

- Inkubatorem - uzupełniła Charisse.

- Czy możemy wrócić do tematu kar cielesnych? - przerwałam.

- Pani nie ma dzieci? - zapytała ładna młoda dziewczyna po raz pierwszy uczestnicząca w zajęciach.

- Nie - odparłam. Gdyby to były początki mojej pracy w fundacji, odpowiedziałabym: „Nie, nie jestem mężatką”. Teraz wiem, że prawie wszystkie kobiety na tej sali poczułyby się dotknięte: pomyślałyby, że im coś wytykam.

Ja nawet nie mam psa. Ludziom mówię, że to z powodu alergii, żeby sobie o mnie źle nie myśleli. Mam za to kota, zwierzątko pod względem wymagań plasujące się tuż powyżej podnóżka.

Najbliżej posiadania własnego dziecka byłam, gdy urodził się Leo. Nie tylko jest moim siostrzeńcem, lecz również chrześniakiem. Trzymałam go do chrztu w kościele św. Stefana. Kiedy ksiądz pokropił mu główkę wodą, mały się rozplakał, a ja instynktownie zaczęłam kołysać się na boki w tym łagodnym rytmie, który później nauczyłam się rozpoznawać w kolejkach w supermarkecie albo przed bramami przedszkoli. Wolny, nieświadomy taniec macierzyństwa. Zabierałam Leo na karuzele do Central Parku, na lody do Serendipity i do zoo w Bronksie, żeby obserwować niedźwiedzie. Opiekunki spoglądały to na mnie, to na niego i kiwając głowami, mówiły: „Od razu widać, kto jest twoją mamusią”. Z początku nieśmiało je poprawiałam, lecz potem dałam sobie spokój. Ale cały czas wiedziałam, kim jestem. Niezameżną ciotką, tą kłamrą, która spina fikcję i kino z prawdziwym życiem. Troskliwą i kochającą, choć może trochę dziwną. Kimś, kto zabiera dziecko w miejsca, gdzie rodzice nie mogą lub nie chcą, i przeprowadza rozmowy, których unikają. U mnie kasztanowe włosy Meghan mają odcień marchewkowy, a jej szczupła, umięśniona sylwetka poszerza się i łagodnieje w zarysie. Ona - to kolorowa fotografia, ja jestem wersją w sepii. Prawie to samo. Leo nazywa mnie Bridey, dlatego że jak był mały, nie potrafił wymówić zbitki spółgłosek w imieniu Bridget i tak już zostało.

„Podoba mi się ten smarkacz” - powiedział pewnego razu Irving, kiedy Leo wpadł do nas po szkole. Było to jeszcze zanim mój siostrzeniec wyjechał do internatu w Crenshaw Academy. Siedzieli we

dwóch na kanapie i oglądali mecz Jankesów, rozmawiając w ten bezosobowy, dziwnie poufały sposób, w jaki faceci dyskutują o sporcie. Leo wyjął z plecaka zgniecioną kanapkę z jakimś słodkim smarowidłem, którą się z kimś wymienił na lunchu (Meghan niechybnie by zemdląła; przy całym swoim zamiłowaniu do sportu jest też bardzo wybredna w kwestii - jak to określa - paliwa, jakie członkowie jej rodziny dostarczają swoim organizmom, chociaż sama nie umie zrobić nawet jajecznicy), i obaj panowie podzielili się nią po przyjacielsku.

„Nigdy tego nie próbowałem. Rewelacja” - oblizał się Irving.

Pokręciłam głową.

„Boże, jesteś typowym Żydem”.

„Nie powinnaś tak mówić” - zwrócił mi uwagę Leo.

„Nie przejmuj się, synu” - powiedział Irving. - „Twoja rodzina ma u mnie specjalne względy, ale gdyby to zrobił ktoś obcy...” - uderzył pięścią w otwartą dłoń. - „Na księżyc, Alicjo”.

„To z Honeymooners” [Popularny amerykański serial z lat pięćdziesiątych; jego polską wersją są Miodowe lata (przyp. tłum.)] - uśmiechnął się Leo.

„No, no, jestem pod wrażeniem. Przestali to nadawać na długo, zanim się urodziłeś. Nawet twojej ciotki jeszcze nie było na świecie”.

„Często oglądam stare programy. Gilligans Island, Hogan's Heroes, Beverly Hillbilies”.

„Posłuchajcie opowieści o facecie zwanym Jed” - zaintonował basem Irving, a Leo natychmiast to podchwycił. Potem odśpiewali jeszcze Flintstonów i piosenkę z serialu Ed, koń, który mówi. Na moment doznałam uczucia fizycznej błogości, kojarzącego się z leżeniem na zalanej popołudniowym słońcem plaży.

„Nie przepadam za twoją siostrą” - powiedział później Irving - „ale musi być z niej fantastyczna matka”.

Meghan jest bardzo dobrą matką. Gdy Leo był malutki, często pomieszkiwała w Waszyngtonie jako korespondentka w Ministerstwie Sprawiedliwości, a kiedy szedł do pierwszej klasy, prowadziła już weekendowe serwisy informacyjne i realizowała cykl reportaży o nazwie Prawdziwa Ameryka, opowiadający o życiu zwykłych ludzi. Wiązało się to z częstymi podróżami po kraju. A jednak potrafiła wsiąść w samolot i lecieć wiele godzin, żeby zdążyć na wywiadówkę. Leo zaś przysyłał jej faksem do hotelu swoje wypracowania, żeby

mogła je przejrzeć. Evan także był cudownym ojcem: czytał synowi bajki do snu i był świetnym kompanem do wygłupów. Mieli też bardzo sympatyczną nianię ze Szkocji, opiekującą się Leo do czasu, aż poszedł do szkoły, i wspaniałą gosposię, Filipinkę o imieniu Mercedes, która pracowała u nich chyba od zawsze. No i oczywiście byłam też ja. Jesteśmy z Leo na tyle do siebie podobni, że mogliśmy uchodzić za matkę z synem.

Kiedy Leo miał siedem lat, Meghan trafiła do porannych wiadomości. Codziennie wieczorem o szóstej cała rodzina spotykała się na obiedzie. Minęło półtora roku i moja siostra dostała propozycję poprowadzenia całego programu. Zaoferowano jej kontrakt na sumę, która wówczas wydawała się astronomiczna, a teraz ledwie przekracza dodatek, jaki otrzymuje na zakup ubrań. Jej pierwszy występ na antenie oglądałam wspólnie z Evanem i Leo. Rozsiedliśmy się w trójkę na kanapie i jedliśmy owsiankę. Kiedy usłyszałam: „Dzień dobry, nazywam się Meghan Fitzmaurice. Witam państwa w programie Zbudź się, szkoda dnia”, rozplakałam się. Zabrzmiało to dokładnie tak jak wtedy, w dzieciństwie, gdy ośmioletnia Meghan zeskakiwała z tapczanu, aby tymi właśnie słowami obudzić swą czteroletnią siostrzyczkę. Słowa te niosły w sobie obietnicę czegoś niezwykłego, jakby nadchodził najważniejszy dzień mego życia - w którym pierwszy raz pojedę rowerkiem bez bocznych kółek, zdołam dotrzeć do popołudnia, nie plamiąc bluzeczki i nie denerwując mamusi, skłonię dziewczynkę z sąsiedztwa, żeby mnie polubiła. Spotkam wspaniałego mężczyznę. Zarobię fortunę. Odniosę sukces. Zakocham się. Zaczę żyć bez lęku.

Jednak Leo siedział naburmuszony. Zmrużył oczy i zmarszczył swój piegowaty nosek.

„Ona to powiedziała w telewizji” - burknął. - „Zawsze mówi mi to rano; nie chcę, żeby mówiła to w telewizji”.

W jego pojęciu Meghan zatarła w ten sposób pewną granicę między pracą a domem, a on się tego nie spodziewał. Evan i ja wymieniliśmy pytające spojrzenia ponad jego głową. W końcu mój szwagier powiedział:

„Trochę nam zajmie, zanim się oswoimy”.

Rozdział 9

Przez wiele lat mój terminarz przede wszystkim uwzględniał plany rodziny mojej siostry. M. do Filadelfii na konferencję, E. cały tydzień w Tokio. No i wszędzie L. L. - mecz. L. - egzaminy. L. - wycieczka szkolna. To nie znaczy, że wszędzie tam z nim jeździłam. Byłam jednak rodzicem rezerwowym.

„To jest Bridey” - tak Leo przedstawiał mnie swojej nauczycielce od angielskiego czy trenerowi. Matki jego kolegów mnie znały, a koledzy lubili. Panowało wśród nich przeświadczenie, że jako „nie - rodzic” będę mniej skłonna, żeby ich - jak się wyrażali - zakapować. Przeświadczenie to było błędne, a przekonali się o tym pierwszy i ostatni raz, kiedy pod nieobecność Evana i Meghan pilnowałam mieszkania i któregoś dnia zastałam tam imprezę, a w saunie dwóch młodzieńców pociągających piwo przez lejek. Odkręciłam prysznic i kompletnie przemoczonych wyrzuciłam na ulicę. Na szczęście ich koledzy uznali, że to było bardzo zabawne, i ilekroć mnie spotykali, zaczęli rechotać. „O co chodzi z tobą i tymi chłopakami?” - pytała potem Meghan, nieomal z zazdrością.

„L. na JFK”. Taki wpis ujrzałam w terminarzu, kiedy przewróciłam kartkę na następny tydzień, i w związku z nową atmosferą wewnętrznej anarchii nie wiedziałam, co zrobić. Meghan poleciała na Karaiby, Evan wyniósł się gdzieś do hotelu, a ja nie byłam przygotowana na to, aby oznajmić ich synowi, że ojciec się wyprowadził, a matka stała się ogólnonarodowym symbolem degeneracji amerykańskiego społeczeństwa.

To ostatnie nie do końca jest prawdą. Najpierw w mediach pojawiła się oczywiście sucha informacja, potem artykuły, a dopiero na końcu komentarze, a te nie zawsze były negatywne. Były więc moralizatorskie polemiki na temat norm obyczajowych, felietony autorów domagających się, aby Meghan odeszła z programu, oraz opinie sugerujące, że powinna zostać, tylko za dużo zarabia i nie liczy się z tą częścią kraju, którą jeden z ekspertów w studiu nazwał „wielkim rosnącym brzuchem Ameryki”.

Ukazało się także sporo artykułów w pewnym sensie popierających Meghan. Stwierdzano w nich, że jej wybuch był zrozumiały, że nie można wynosić ludzi na piedestał za to, że są odważni i mają cięty język, a potem rzucać się na nich, kiedy posuną się ciut za daleko, że Ben Greenstreet wystawiłby na próbę

cierpliwość samego śp. Edwarda R. Murrowa [Legendarny amerykański dziennikarz telewizyjny (przyp. tłum.)]. „Wstałam i zaczęłam bić brawo” - napisała jedyna felietonistka „New York Timesa”. Na przeciwnym biegunie znalazła się pewna antyfeministka. W jej tekstach zawsze pobrzmiewa tęsknota za latami pięćdziesiątymi, jak gdyby to był najbardziej sielankowy okres w historii Ameryki (choć oczywiście w tamtych czasach nie mogłaby mieć własnej rubryki w gazecie). Owa dziennikarka zasugerowała, że gdyby żona Greenstreeta nie była tak zajęta robieniem kariery, to do niczego by nie doszło. Meghan czytała mi to kiedyś przez telefon. „Upewnij mnie, czy dobrze zrozumiałam” - powiedziała na koniec. - „Czyli ten facet jest palantem, bo jego żona pracuje?”.

Choć Meghan nadal zachwycała się mieszkaniem Harriet, zaczęło ono działać na nią klaustrofobicznie. Do tego była wkurzona z powodu przymusowej przerwy w pracy, mimo że przecież i tak planowała tygodniowy urlop.

- Wyjeżdżam dziś po południu - oznajmiła przez telefon nazajutrz po naszym środowym lunchu, co najmniej pół godziny przed wschodem słońca.

- Boże. Prosiłam, żebyś była ze mną w kontakcie, ale niekoniecznie o piątej rano.

- Przepraszam. Jakby wszystkiego było mało, ta cholerna praca doprowadziła do tego, że mam kompletnie rozregulowany zegar biologiczny.

Podawała mi listę ciuchów na wyjazd, które mam jej przywieźć z mieszkania.

- Nie boisz się, że fotoreporterzy dorwą cię na lotnisku?

- Lecę czarterem.

Ach, prywatny odrzutowiec, powietrzny odpowiednik limuzyny.

Nie byłam w stanie oglądać programu, kiedy prowadzili go sami faceci. Obaj byli jacyś sztywni i bez polotu. To przypominało spoglądanie na puste łóżko Meghan, kiedy wyjechała na studia. Narzuta wygładzona, poduszki ułożone jedna na drugiej. Czasami na nie wskakiwałam, żeby wyglądało, jakby ktoś tam spał. Przez ostatnie dziesięć lat widywałam swoją siostrę prawie każdego ranka, głównie wtedy, gdy obie przebywałyśmy w Nowym Jorku, ale także wówczas, kiedy ja byłam w Waszyngtonie, a ona w Londynie, ja w Filadelfii, a ona w Bagdadzie. Przeważnie piłam wtedy kawę, a ona piła swoją

(choć większość widzów pewnie sądzi, że w tym wielkim kubku na jej biurku jest woda). I co rano witała mnie tymi samymi słowami, jakimi budziła mnie w dzieciństwie.

Potrafiła sprawić, że w pierwszych dniach po atakach z 11 września brzmiały przygnębiająco. Później, w drugim tygodniu, zmieniła ton na buńczuczny. Jeden z dziennikarzy napisał, że rzuciła w ten sposób rękawicę tym, którzy sądzili, że Stany Zjednoczone dały się znokautować. Jeżeli wierzyć ratingom, jej program oglądała większość Amerykanów.

„Kogo to obchodzi?” - powiedziała niedługo po opublikowaniu najświeższych wyników oglądalności. - „Nikt nie traktuje poważnie telewizji śniadaniowej. Chwała Bogu, że mam zastrzeżone w kontrakcie »żadnych wstawek o gotowaniu«”.

„Zarabiasz milion dolców rocznie” - zauważyłam.

„Zawsze musisz mi to wypomnieć. Ty i tablety”.

„To jest pewien czynnik łagodzący”.

„No tak, ale kogo tak naprawdę interesują te bzdury? Dietetycy, politycy, którzy nie dopuszczają innych do głosu, psychiatrzy. Kto to ogląda?”.

„Ja”.

„No tak, ale tylko dlatego, że znasz moje prawdziwe poglądy. O widzisz, to by dopiero była fajna telewizja, gdyby wprowadzić u dołu ekranu napisy mówiące, co naprawdę myślę o rozmówcy”.

To byłoby coś dla mnie. Łatwa robota. Lepiłam już w życiu garnki, oprawiałam obrazy, byłam kelnerką, asystentką w kancelarii adwokackiej, a teraz pracuję w opiece społecznej. Sądzę, że na razie przy tym pozostanę, lecz jeśli kiedyś stwierdzę, że pomaganie tym, którzy sami sobie pomóc nie mogą, straciło swój urok, zawsze mogę się zająć opracowywaniem napisów do Zbudź się, szkoda dnia”.

Meghan do słynnego autora kryminałów, który właśnie wydaje jedenastą powieść: „Jak by pan ją porównał do poprzednich?”.

Tłumaczenie: „Wszystko piszesz na jedno kopyto”.

Meghan do sekretarza obrony: „Mówiono mi, że co rano odbywa pan spotkanie z prezydentem. Skąd wziął się ten zwyczaj?”.

Tłumaczenie: „Wszyscy wiemy, że gość nie ma bladego pojęcia o polityce zagranicznej i wszystkie decyzje podejmujesz ty”.

Meghan do aktorki promującej swój nowy film, w którym występuje nago, a w trakcie realizacji wdała się w romans z partnerem

ekranowym, katolikiem i ojcem pięciorga dzieci: „Opowiedz nam trochę o atmosferze, jaka panowała na planie”.

Tłumaczenie: „Dziwka”.

Moja siostra prywatnie ma niewyparzoną gębę, mimo że cieszy się opinią jednej z najbardziej elokwentnych osób publicznych w kraju. Pierwszym słowem, jakiego nauczył się Leo, było cholera”, chociaż nie wymawiał jeszcze wtedy „r”. Na szczęście nowojorskie place zabaw słyszały już niejedno dziecko używające słownictwa zakazanego w telewizji przez Komisję Federalną. Nierzadko też po hiszpańsku.

„W ten sposób wyładowuję nerwy” - tłumaczyła kiedyś Meghan. - „Wiem, że to śmieszne, ale bycie czarującą przez dwie godziny dziennie na oczach milionów telewidzów wymaga więcej energii, niż się wydaje. I zanim znów coś powiesz _ wiem, ile zarabiam”.

Mojej siostrze podobało się, że oglądam ją każdego ranka. „No i jak?” - pyta zawsze, kiedy dzwoni do mnie o wpół do dwunastej, już po zmyciu makijażu i naradzie z ekipą producencką. „Nie byłam za ostra dla Pierwszej Damy?”. Reprezentuję widownię docelową programu Zbudź się, szkoda dnia. „O matko!” - krzyknął producent, kiedy poznaliśmy się na przyjęciu u Meghan. - „Więc to ty jesteś tą słynną siostrą! Boże, jeżeli jeszcze raz usłyszę, że zdaniem siostry program o supermodelkach był beznadziejny, że siostra uważa, iż powinniśmy byli zaprosić Philipa Rotha, kiedy umarł Bellow, albo że siostrze nie podoba się nowa kanapa w studiu...”.

I ta siostra powinna była spojrzeć w terminarz, zanim Meghan wyjechała na Jamajkę. Kiedy zobaczyłam notatkę o powrocie Leo, spróbowałam się dodzwonić na najnowszy numer komórki, podany Tequili przez asystentkę Meghan. Po dziesięciu sygnałach odezwała się skrzynka. Westchnęłam i zadzwoniłam do Evana. Na dzień dobry zirytowała mnie sekretarka, bo kazała mi przeliterować nazwisko, a potem bardzo długo mnie łączyła. Mam nadzieję, że to tylko praktykantka.

Po kilku minutach w słuchawce odezwał się Evan.

- Co znowu? - zapytał cichym, lekko drżącym głosem. - Ev?

- O, Bridget, to ty. Ta nowa sekretarka powiedziała mi, że dzwoni pani Fitzmaurice, więc myślałem, że to Meghan.

- Tydzień temu patrzyłam, jak obejmujesz ją w talii i prowadzisz w tłumie gości na eleganckim przyjęciu, a teraz robisz z niej Ewę Braun.

- Przepraszam, ale nie mogę się z nią skontaktować, a ilekroć ona dzwoni, od razu zaczyna wieszać na mnie psy. Rozumiem, że nie była na to przygotowana, ale na litość boską, Bridge, ona niepotrzebnie jeszcze pogarsza sytuację. Dobrze wie, że to nie było tak, że żyliśmy w idealnej harmonii i nagle - bach! - usunąłem jej grunt spod nóg.

- Szczerze mówiąc, Ev, to właśnie zrobiłeś.

- Może z twojego punktu widzenia. Gdybyś tak pomieszkała z nami na co dzień, przez parę lat, wiedziałabyś, że mam rację.

- Evan, przecież ja praktycznie połowę czasu spędzam u was w domu. Słuchaj, nie chciałabym się przyłączać do tej wojny, ale muszę przyznać, że udało ci się całkiem wiarygodnie odegrać rolę szczęśliwego męża.

- Dobrze powiedziane. To była tylko gra. - Jak tam twoja nowa dziewczyna? - Co?!

- Wiem, że kogoś masz.

- Czy wy dwie macie wspólny mózg? Mówicie jednymi ustami? Czekać, muszę kończyć, wołają mnie.

- W porządku, i tak nie chcę teraz o tym gadać. Chciałam tylko spytać, co z niedzielą.

- Jaką niedzielą?

- Mam zapisane w kalendarzu, że Leo przylatuje z Barcelony. Jedziesz po niego na lotnisko?

- Sądziłem, że Meghan wszystko załatwiła. Ona się tym zawsze zajmuje.

- Meghan jest na urlopie, zapomniałeś? W poniedziałek rano mieliście razem lecieć na Jamajkę. Ona wyjechała trochę wcześniej. Nie wiem, jakie mieliście plany w związku z Leo.

- Meghan mówiła, że Leo nie będzie miał nawet czasu wpaść do domu. Jeśli dobrze pamiętam. Zresztą chyba właśnie dlatego zdecydowaliśmy się na ten wyjazd. Zdaje się, że ma jechać prosto na uczelnię. Ale oczywiście mogę się mylić. Jestem strasznie zmęczony tymi podróżami, pracą i w ogóle. Może źle ją zrozumiałem. Mam wysłać po niego samochód?

- Samochód? Żartujesz sobie? Może jestem staroświecka, ale nie sądzę, żeby najwłaściwszym pomysłem na przywitanie syna, którego

świat pod jego nieobecność legł w gruzach, było wysłanie jakiegoś faceta w czarnym garniturze z tabliczką. Szczególnie że zaraz po przylocie może zobaczyć zdjęcie swojej matki na okładkach czasopism. Ach, no i jeszcze macie mu do przekazania ważną nowinę. Kierowca ma to zrobić? Coś ci powiem, Evan: lepiej rusz tyłek i śmigaj w niedzielę na lotnisko.

- Ale ja jestem w Tokio.

- Co?

- Sekretarka ci nie powiedziała? Jestem w Tokio do końca przyszłego tygodnia, pracujemy nad tym nowym kontraktem. Poleciałem, bo Meghan mówiła, że Leo prosto z Hiszpanii będzie jechał na uczelnię i nie zatrzyma się w domu. Poza tym byłem przekonany, że ona wylatuje dopiero w poniedziałek. Teraz to już całkiem zgłupiałem. Nie wiem, co robić. Poradź, Bridge.

Poradź, Bridge. Powinno się im te słowa wprogramować do komputerów albo nagrać jako wiadomość na automatycznej sekretarce. Chodziło jednak o Leo, a to zmienia postać rzeczy.

- Dobra, ja go odbiorę. Ale wiesz co? Nie masz za grosz wycucia czasu. Widzisz, co się dzieje; mogłeś na razie odłożyć te swoje plany i odczekać parę miesięcy, dopóki nie skończy się zamieszanie w mediach.

- Te pretensje to nie do mnie. Zaproponowałem to Meghan, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy. Chciałem, żeby sprawa ucichła i wtedy moglibyśmy znaleźć spokojną chwilę, żeby we dwójkę pogadać z Leo.

- No i?

- Powiedzmy, że Benowi Greenstreetowi i tak się upiekło. To Meghan stwierdziła, że to wykluczone. Użyła wprawdzie innych słów, głównie niecenzuralnych, ale sens był właśnie taki.

- Dobra, w tej chwili nie mam ochoty rozmawiać z tobą o mojej siostrze. Powiedz mi tylko, dokąd mam zawieźć Leo z lotniska.

- Jak to dokąd? Do domu. On i tak chyba w poniedziałek musi być na zajęciach. Ferie już się skończyły. Zawieź go do naszego mieszkania.

- Tam nikogo nie ma. Z tego, co wiem, Mercedes wzięła tydzień wolnego w związku z waszym wyjazdem. W ogóle jest coś do jedzenia w lodówce?

- Nie umiem ci powiedzieć. Meghan zmieniła zamki. Portierowi powiedziała, że ukradli nam klucze. Czuję się jak ostatni idiota,

kiedy przyjechałem zabrać swoje garnitury. Od tygodnia noszę dwa krawaty na zmianę.

- Paul Stuart.

- Nie, oba od Zegny.

- Paul Stuart, taki sklep. Jedź, kup sobie nowe krawaty i przestań tak się rozczulać nad sobą. Jak, do cholery, mam się dostać do mieszkania?

- Mówiła, że masz klucze.

Zajrzałam do torebki. Meghan wysłała mnie do swego domu po rzeczy na wyjazd, jak gdyby sama nie chciała tam jechać z obawy, że duchy szczęśliwej przeszłości wypełzną spod orientalnych dywanów i zaczną ją dusić wspomnieniami. A może chodziło o duchy nieszczęśliwej przeszłości. Przed budynkiem czaiło się na Meghan czterech fotoreporterów, ale najwyraźniej żaden z nich nie wiedział o istnieniu bocznego wejścia. Jeden z portierów, Rafael, ukłonił mi się z poważną miną i powiedział:

- Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia pani F. Portierzy lubią Meghan, ponieważ w przeciwieństwie do nadzianych bubków, poklepujących wszystkich po ramieniu, nigdy nie udaje, że są jej przyjaciółmi. A poza tym, w przeciwieństwie do nadzianych bubków, na święta daje sowite napiwki.

Kiedy dyktowała mi listę rzeczy, pomyślałam, że zgłupiała: Białe bikini, czerwone bikini, czarna koszulka na ramiączkach, niebieska koszulka na ramiączkach, buty do biegania, spodenki do biegania, trzy pary białych majtek, trzy białe T - shirty, klapki, złote sandały, złota sukienka z odkrytymi ramionami" - zestaw dla kobiety planującej dużo pływać i jadać w drogich restauracjach. Kiedy jednak znalazłam się w mieszkaniu, ucieszyłam się, że poprosiła o to mnie, zamiast przyjeżdżać tu sama. W pokojach panowała cisza; wydawało się, że wszystko zamarło w bezruchu. Ciężar przeszłości: łóżko, w którym został poczęty Leo, biurko obite zieloną skórą, które niegdyś stało w gabinecie ojca Evana. Pozostałości po różnych dekoratorach: epoka wzorków w różyczki, epoka biedermyera, epoka bieli, epoka czerwieni. Jak większość apartamentów na Manhattanie, ten również wygląda raczej jak scenografia do sztuki Noela Cowarda niż czyjeś mieszkanie, w którym toczy się życie. Meghan nie trzyma się niewolniczo obowiązujących trendów, ale często przerabiała wystrój pokoi, mimo że wyglądały zupełnie dobrze. Leo kiedyś mi opowiadał,

że pytanie budzące największą trwogę wśród jego kolegów z uczelni brzmi: „Może byśmy tak pojechali wybrać tapetę do twojego nowego pokoju?”. Pociągi. Futbolówki. Scenki uliczne. Paski. Kratki. Ci biedni chłopcy widzieli już w życiu wszystko.

W torebce miałam dwie tabletki przeciwbólowe luzem, pięć rachunków ze sklepu, sztyft do warg z brakującą zatyczką, bardzo drogi portfel, otrzymany od Meghan na urodziny, oraz klucze do jej mieszkania. Wolałam myśleć, że dała mi je, ponieważ pamiętała o Leo i wiedziała, że nie będzie mógł się dostać do domu. Nie potrafiłam dopuścić myśli, że wyleciało jej to z głowy, że była tak zaaferowana swoimi problemami, iż zapomniała o jedynej osobie na świecie, którą kocha miłością pozbawioną cienia egoizmu. Jakże okropnie by się czuł mój ukochany siostrzeniec, gdyby wrócił do domu i zastał wymienione zamki. Mówię to z pozycji osoby codziennie widującej dzieci nocujące w metrze. „Wszystko jest względne”, jak lubi mawiać Meghan, zarzucając mi rękę na ramię, kiedy wychodzimy z wieczornego przyjęcia.

- Bridget? - powtórzył Evan. - Masz nowe klucze do mieszkania?
- Mam. - Przełknęłam ślinę. - Ale ty ich nie dostaniesz.

Rozdział 10

Wszystkie lotniska wywołują uczucie zniechęcenia. Nie chodzi o to, jak wyglądają w środku (na przykład w kilku miastach na Południu poustawiano w halach bujane fotele; gdy samoloty toczą się z łośkotem po pasie startowym, czekający na lot pasażerowie mogą usiąść i wyobrazić sobie, że odpoczywają na werandzie domu), ale o ich lokalizację. Nikt nie chce marnować najlepszych działek na pasy startowe i hangary, więc większość lotnisk usytuowano w tych częściach miast, które najmniej chciałoby się zwiedzić. Lecąc do ciepłych krajów, marzy się tylko o pinacoladzie i o tym, żeby się zanurzyć po szyję w wodzie, tymczasem pierwszą rzeczą, którą się widzi, są rozpadające się budynki z pustaków, rudery bez okien, a czasem nawet wrak starego samolotu. Poleciliśmy kiedyś z Irvingiem do Meksyku. To był duży błąd, ponieważ dla niego wymarzone wakacje to strzelanina pod molo na Coney Island w środku lipca. Jest typem faceta, który z chwilą, gdy koła samolotu dotkną asfaltu, zaczyna odsłuchiwać wiadomości w komórce. W Meksyku tuż za lewym skrzydłem maszyny zobaczyliśmy na pół wykończony hangar bez dachu. Ktoś nabazgrał na nim czarnym sprayem jakieś zdanie po hiszpańsku. Irving, który przez lata pracy w policji nauczył się tego języka, powiedział, że to znaczy: „Zginiesz, śmieciu”.

„Powinniśmy się tu czuć jak w domu” - stwierdził. I od razu zaczął wcielać to w życie. Wykonał grzecznościowy telefon do szefa tamtejszej policji, a ten pozwolił mu wziąć udział w akcji aresztowania członków gangu handlującego podrabianymi kartami telefonicznymi. Ja wybrałam się ponurkować, a potem poszłam na ćwiczenia pilates (i nadwerżyłam sobie kręgosłup).

Jednak z tego, co wiem, nie ma takiego lotniska na tej planecie, które można by porównać z lotniskiem im. Johna Fitzgeralda Kennedyego w Nowym Jorku. Wszystkie dzieci, które przewijają się przez nasze placówki, prędzej czy później muszą odbyć obowiązkową wycieczkę na Ellis Island. Ostatnio wyspę zmodernizowano - doświadczenia pierwszych imigrantów wydają się być skrzyżowaniem rejsu wycieczkowego z pochwałą różnorodności. („Jezu, gdyby naprawdę tak to wyglądało, nie odesłaliby mojego ojca do domu z tyfusem” - usłyszałam od starszego pana podczas jednej z takich wycieczek). Nasze dzieci jeszcze nie dostrzegają ironii, jaka kryje się w tej całej ideologii („Dajcie mi waszych biednych, strudzonych...”)

[Wiersz Emmy Lazarus wyryty na cokole Statui Wolności, który widzieli przybywający imigranci (przyp. tłum.)], którą karmią ich przewodnicy; są dziećmi, więc nie zdążyły się zorientować, że to one są tymi biednymi i strudzonymi obecnego pokolenia. Być może następne pokolenie otworzy muzeum przytułków dla bezdomnych - w środku będzie wyglądało tak, jakby tam zawsze były wypastowane podłogi i wygodne łóżka.

Współczesnym wcieleniem Ellis Island jest lotnisko im. Johna Fitzgeralda Kennedyego. Samolot najpierw wlatuje nad Queens, gdzie w dole widać stłoczone ceglane kamienice i niewielkie bloki mieszkalne, a potem podchodzi do lądowania nad fragmentem oceanu, szaroburym jak okręt wojenny. Nieprzeniknione wody są gotowe pochłonąć bez śladu wszystko, co tylko się zbliży.

Dopiero jednak wnętrza terminali mówią wszystko. Obskurne, brudne, pełne krętych korytarzy, zdających się prowadzić donikąd, a potem nagle docierają do rozległych hal z ciemnymi posadzkami, wypełnionych wielojęzycznym gwarem. W innych amerykańskich miastach porty lotnicze zaczęły obrastać w salony kosmetyczne, sale zabaw dla dzieci, sklepy z butami, kosmetykami, biżuterią i pamiątkami. W wielu miejscach umieszczono mobile Caldera i pojawiły się malowidła na ścianach. Ale nie na JFK. Pasażerowie przybywający z innych krajów, podobnie jak niegdyś tamci na Ellis Island, pewnie się zastanawiają, co im, do cholery, strzeliło do głowy, żeby tu przyjeżdżać. Ci, którzy wracają, znają odpowiedź. Przed punktami odpraw linii lotniczych, czeskich, koreańskich, Varig czy Aerocaribes widać się kolejki ludzi poodgradzane spłowiałymi linami na słupkach. Lecą jako towarzysze podróży dla swoich kartonowych pudeł z nowiutkimi mikrofalówkami, odtwarzaczami DVD, płaskimi telewizorami, klimatyzatorami, a nawet lampami Lava. Przylecieli, przedarli się przez chaotyczną jednorodziną zabudowę Queens, dotarli do Szmaragdowego Grodu, zrobili zakupy po korzystnej cenie i wracają do domu.

„Turyści” - mruczemy pod nosem, ilekroć usiłujemy szybko przejść przez Rondo Kolumba, a przed nami w spacerowym tempie wlecze się rodzinka w szortach i koszulkach z napisem „I love NY”.

Nikt nie umknie szarej i nieprzyjaznej monotonii lotniska JFK. Wiem to z własnego doświadczenia. Meghan i ja wyjeżdżałyśmy wspólnie parę razy. Do spa, na konferencję, na pięć dni do Paryża z

noclegiem w Ritzu. Przybywamy na lotnisko w stylu, w jakim robią to sławni i bogaci. Limuzyna zatrzymuje się w ściśle określonym miejscu, gdzie z notatnikiem w ręku czeka już przedstawicielka linii lotniczych ubrana w firmowy mundurek z kolorową apaszką. Wydaje polecenie i ktoś z personelu znika z bagażem. Nie zobaczymy go, dopóki nie pojawi się znów niczym samotna wysepka na środku hotelowego apartamentu - małeńka częśćka domu. (Meghan opowiadała, że kiedyś przez cały pobyt nie widziała swoich walizek. Mieszkała w zamku w Szkocji, realizując reportaż o synu kierowcy autobusu, który stał się najbogatszym człowiekiem w Anglii.

Bagaż został przewieziony z samolotu do zamku w osobnym samochodzie, wniesiony na górę osobną klatką schodową, rozpakowany przez służące i przechowywany w oddzielnym pokoju. „Teleportuj mnie, Scotty” - podsumowała ten pobyt Meghan. Przed kamerą). Prowadzą nas ukrytym korytarzem do specjalnego pomieszczenia, a stamtąd jeszcze jednym korytarzem do poczekalni. Na pokład samolotu wchodzimy jako ostatnie. Kiedy siadamy, natychmiast rozlega się charakterystyczne bzyczenie, jakby przelatywał rój pszczół. Wszyscy pasażerowie pierwszej klasy jednocześnie nachylają się do sąsiadów i szepczą: „Meghan Fitzmaurice”. Właśnie to środkowe „zzz” wywołuje ten szmer. Dzieci należące do tej uprzywilejowanej klasy dzielą się na dwie kategorie: pierwsza to rozpieszczeni gówniarze, bez oporów korzystający z przywilejów i rozstawiający po kątach obsługę hotelową. Zazwyczaj narzekają, że w spa nie można kupić porządnych szortów. Leo zalicza się do drugiej kategorii. Wybrałam się z nim kiedyś do Stanfordu na dni otwarte uniwersytetu. Zaplanował to dokładnie na ten weekend, gdy Meghan miała lecieć do Seattle, żeby wystąpić na zjeździe ekspertów od cybertechnologii. Nigdy nie wiem, do jakiego stopnia Leo robi to celowo. Wiem natomiast, że Meghan staje się zawsze główną atrakcją każdego wydarzenia. Narzeczone dobrze zapowiadających się młodych reporterów stacji lub partnerów biznesowych Evana są zawsze ogromnie przejęte perspektywą goszczenia jej na swoim weselu, natomiast dziewczyny, które same są reporterkami, już nie. One wiedzą, że bez względu na to, co na siebie włożą, kto zaprojektuje dekoracje i jak pyszne będzie jedzenie, gości będzie interesowało wyłącznie to, że przy stoliku numer 3 siedzi Meghan Fitzmaurice. Gdyby Leo pojechał do Stanfordu z matką,

wizyta wyglądałaby zupełnie inaczej. Odbyłoby się spotkanie z rektorem, zwiedzanie kampusu w towarzystwie najlepszego studenta oraz szefa działu PR, a później ojcowskie telefony od absolwentów, którzy, tak się składa, są szefami wytwórni lub współwłaścicielami kancelarii prawnych.

Będąc ze mną, wziął udział w sesji informacyjnej w towarzystwie setki ludzi tak zdenerwowanych, że powietrze w auli aż lepilo się od potu. Ze mną musiał przeżyć kolejki na lotnisku, normalną kontrolę na bramce i nieuprzejmą stewardessę (na tyle, na ile nieuprzejma może być stewardessa w klasie biznes).

A z paczką przyjaciół to nawet miał okazję przeżyć podróż w klasie ekonomicznej, utratę bagażu i tumana z ochrony, który wyciągnął ich z kolejki i obmacał od stóp do głów. Kiedy zobaczyłam, jak Leo idzie korytarzem ze słuchawkami na szyi, taszcząc tylko jedną dużą torbę, i ryczy: „Jak jest, byku?” do kolegi, z dzikiej radości wyskakującego w górę, żeby dotknąć palcami sufitu, załapała mnie nagła fala szczęścia, a zaraz potem strachu. Ciekawe, czy Meghan też go czuła, kiedy byliśmy małe: „Nie, Bridget, oni już nie wrócą. Nie, nie możemy tu zostać. Nie, nie będziemy miały osobnych pokoi”. Meghan ma dużą wprawę w przekazywaniu złych wiadomości, zwłaszcza że od tylu lat zajmuje się tym zawodowo. Nie chwytają ją za gardło tak jak mnie. Ona potrafi powiedzieć, że siedmiu górników zginęło w katastrofie kopalni w Monongahela w Pensylwanii, i nawet się nie zająknie przy wymawianiu nazwy miasta.

Od czego lepiej zacząć, myślałam, patrząc, jak Leo zarzuca na ramię plecak, z którym się nigdy nie rozstaje. Jego ruda czupryna lśniła w przyćmionym świetle jarzeniówek (też przyczyniających się do ogólnej atmosfery tego lotniska). Od nieparlamentarnych słów ogłoszonych przez jego matkę na oczach wielu milionów widzów czy decyzji ojca o odejściu? Co najpierw: kompromitacja czy separacja? Z pierwszego pewnie będzie się śmiał, drugie złamie mu serce.

- Bridey! - zawołał. - Niepokorna córo świętego Patryka!

- Leo FM Grater - odpowiedziałam. - Duma Jankesów.

Kiedy mnie objął, poczułam się mała. Jest jedyną osobą, przy której tak się czuję. Nie wiem, dlaczego tak to uwielbiam.

- Co ty tu robisz? - Wypuścił mnie z objęć i rozejrzał się dookoła, przeszukując wzrokiem tłum. Ogarnęła mnie złość, zarówno na

Meghan, jak i na Evana. Nagle Leo pokazał coś palcem i szeroko się uśmiechnął. Po drugiej stronie gromady ludzi stał kierowca limuzyny z tabliczką: „Witaj w domu, Leo!”.

- To nie jest nasz kierowca - powiedziałam.

- Nie, tego przysłała mama. Dzwoniła do mnie i załatwiła wszystko już w zeszłym tygodniu. Mówiłem jej, że nie będę mógł zostać, bo na jutro muszę machnąć pracę z literatury porównawczej, więc powiedziała, że przyśle samochód, żeby mnie zawiózł prosto na uczelnię. Nie będę przecież jechał pociągiem - zaśmiał się ironicznie.

- Co się stało? Zakłócenie na łączach? Nieporozumienie? Powielenie wysiłków? Czy po prostu tak się cieszyłaś z mego powrotu, że chciało ci się telepać aż do Queens? W sumie możemy gdzieś pójść na obiad, a kierowcę poproszę, żeby odwiózł mnie później. Ale jeśli zawalę tę pracę, zrzucę winę na ciebie, a wtedy twoja siostra będzie wkurzona. A jak mama się wkurzy...

Jego koledzy kłębili się wokół nas, wsiadali do taksówek, skinieniem głowy przywoływali szoferów i podawali im bagaże. Niewielu odbierali rodzice.

- Może chcesz kogoś podwieźć? - szepnęłam mu w ramię.

Odsunął się i spojrzał na mnie, wykrzywiając usta w grymasie, który można uznać za uśmiech tylko wtedy, gdy jest się osobą obdarzoną stałym wyczuciem ironii. Jego niania zawsze powtarzała, że Leo ma duszę dorosłego. Z pewnością ma oczy, które nigdy nie kłamią, choćby nie wiem jak je do tego zmuszał. Jeżeli Leo kogoś kocha, wyglądają jak światełka za bursztynowym szkłem. Jeśli kimś gardzi, stają się mętne jak kałuża błota.

- Może lepiej pojedźmy sami, Bridey. - Wiedziałam, że już wie, co się stało podczas programu.

- Pewnie myśleliście, że mieszkałem w takim prawdziwym wiejskim gospodarstwie, co? - zaczął opowiadać, kiedy zakłopotana odesłałam kierowcę Meghan, i wsiedliśmy do samochodu przysłanego po mnie przez Evana. - Ale to wyglądało raczej jak farma Holdernessów albo Bekonów. - Obie rodziny mieszkały w pobliżu wiejskiej posiadłości Evana i Meghan, a cały ich kontakt z rolnictwem polegał na tym, że panie domu od czasu do czasu wychodziły narwać szczypiorku i z dumą dodawały go do twarożku podawanego na niedzielne śniadania. Lubiłam Vannie Holderness, bo zawsze traktowała Meghan jak każdego innego gościa, ale kiedy zaczynała się

rozwodzić, jakie to Hamptons zrobiło się snobistyczne, musiałam się powstrzymać, żeby nie rzucić jakiejś ciętej uwagi na temat jej ogrodu, w całości obsadzonego białymi kwiatami.

W samochodzie Leo otworzył butelkę wody mineralnej.

- Ci ludzie mają ponad tysiąc hektarów ziemi i stajnię. Bardzo tam ładnie. Gospodyni była super. Ona zajmuje się tylko końmi, hoduje je, rozmnaża, czasem jeździ z nimi na wystawy. Jej mąż pracuje w administracji publicznej, ale wcześniej chyba musiał robić coś innego. Albo ona. W każdym razie nad kominkiem mają Picassa. - Spojrzał za okno. - Dużego Picassa, jak powiedziałaaby pani Booth, nie żadną grafikę.

Peter Booth to najlepszy kolega Leo. Fakt, że jest fantastycznym chłopcem i planuje zostać w przyszłości onkologiem dziecięcym, dowodzi, że pewne cechy są jednak wrodzone i nie zależą od wpływu środowiska. Jego matka to jedna z najbardziej obrzydliwych snobek w Nowym Jorku. To trochę tak, jakby powiedzieć, że ktoś jest największą elegantką w Paryżu. Hadley Booth nie potrafi mówić o Leo, nie wymieniając przy tym nazwiska jego matki, dlatego też chłopcy większość czasu spędzali u Leo w domu.

- W każdym razie senora to bardzo ciekawa i inteligentna kobieta, ale tak jak ty lubi czytywać te kolorowe pisemka. Mają tam takie, które się nazywa „Ole!”. Wiesz, mnóstwo zdjęć sławnych aktorów, członków rodziny królewskiej i takich tam. No i w zeszłym tygodniu siedzimy sobie w pokoju, ona przegląda to „Ole!” i nagle raptownie podnosi wzrok, jakby ją osa ugryzła. Idzie do kuchni i bardzo cicho mówi coś po francusku do Georges'a. To jej mąż.

- Po francusku?

- Znają też niemiecki i angielski. Amerykanie to straszni ceniarze. Myślą, że jeden język wystarczy. Trochę mi było wstyd, że znam tylko dwa. Chyba się zapiszę na chiński w przyszłym semestrze. W każdym razie ich syn, też Georges, ale nazywają go Googy, pyta, co jest grane. Mówię, że pewnie zobaczyli kogoś znajomego w gazecie. On na to, że oni nie mają takich znajomych. No nic. Kładziemy się spać, ale jego rodzice dalej zachowują się dziwnie. Więc wygrzebujemy z kosza tę gazetę, przeglądamy, przeglądamy, a tam - wielki artykuł. Nie taki, jak ten o piłkarzu i aktorce z serialu, ale i tak duży. Chcesz wiedzieć, jak jest po hiszpańsku „cholerny skurwysyn”?

- Nie wyrażaj się.

- Mnie to mówisz? - To prawda. Leo znany jest ze swej powściągliwości w używaniu wulgaryzmów, odkąd tylko wyrósł z etapu czystego naśladownictwa we wczesnym dzieciństwie. Uważa zapewne, że jedna taka osoba w rodzinie wystarczy. - A w ogóle jak się miewa mama? Fotoreporterzy ją ścigają?

- Nie ma jej w mieście, kochanie. Poleciała do Grosvenor's Cove trochę wcześniej niż planowała. Nie mówiła ci?

- Tak, tak; tak, rzeczywiście. Czyli rodzice balują. Tak, mama miała straszne wyrzuty sumienia, że to się zbiegło z moim powrotem i w ogóle. Chciała wszystko przekładać, ale ja jej mówię: „I tak nie mogę zostać, więc cierpliwości, semestr się skończy, to będziemy mogli pobyć wszyscy razem”. Jak tata się trzyma? Założę się, że trochę się cieszy w duchu. Od lat jej powtarzał, że przez ten swój niewyparzony język narobi sobie kiedyś kłopotów.

- Jest w Tokio. Nie byliśmy pewni, jakie masz plany. Ale można się było domyślić, że mama o wszystko zadba.

- Mama sama poleciała na Jamajkę?

Kiwnęłam głową. Szofer gwałtownym manewrem ominął taksówkę stojącą na autostradzie z otwartą maską i dymiącym silnikiem. Kierowca w turbanie z wściekłością kopał auto. Porcja mokrego błota wleciała łukiem w powietrze i opadła z chrzęstem na szybę po stronie Leo.

- Pogoda do kitu - powiedział bezmyślnie, gapiąc się w okno. - Co u Irvinga?

Nachyliłam się do niego, a on otoczył mnie ramieniem. Kołysanie samochodu sprawiło, że zaczęło mi się robić niedobrze. Także ze strachu. Mam taką tabliczkę z hasłem, zawsze ją przynoszę na zajęcia: „Rodzice są skałą, na której dziecko buduje swój dom”. Mam też inne: „Pan Bóg nie mógł być wszędzie, dlatego stworzył matki” albo: „Każdy mężczyzna może spłodzić dziecko, ale nie każdy może być ojcem”. Cukierkowe frazesy, ale jakże prawdziwe. Moje kursantki je uwielbiają.

Jeszcze bardziej przysunęłam się do Leo.

- Nie jest ci zimno? - zapytałam. Na sobie miał tylko T - shirt. Od wewnątrz widniał na nim napis: „Walcz z władzą”. Leo wywrócił koszulkę na lewą stronę, żeby móc ją ponosić jeden dzień dłużej.

- Stęskniłem się za Nowym Jorkiem - powiedział, gdy u wylotu tunelu ukazała się sylwetka Manhattanu.

- Tak, ale przed tobą jeszcze miesiąc pobytu tam, gdzie powietrze jest czyste, a trawa zielona.

- Mocno przereklamowane - odparł.

- Witamy w domu! - zawołał radośnie Rafael, podbiegając, aby otworzyć nam drzwi od samochodu, ale Leo zdążył już wysiąść.

- Dzień dobry, panie Sanchez.

Mój siostrzeniec to dżentelmen. Portierzy w drogich apartamentowcach Nowego Jorku zostają rytualnie pozbawieni nazwisk z chwilą, gdy założą te śmieszne pseudowojskowe uniformy. Tak samo jak opiekunki do dzieci czy pomoce domowe, zostają zredukowani do samych imion. Nie mówiąc już o tym, że nikt w rozmowie z nimi nie dodaje jakichkolwiek zwrotów grzecznościowych. Leo powiedział mi kiedyś, że uważa to za brak szacunku.

Apartament Meghan zajmuje całe ósme piętro budynku. Na korytarzu na wprost windy znajduje się stojak na parasole, duże lustro i półokrągła konsola („Niektóre paniusie mówią na to »demilune«" - śmiała się kiedyś) na listy, klucze i drobne pieniądze. Któryś z portierów był tak miły, że przyniósł wielki kosz na zaległą pocztę, której nagromadziło się tyle, że wyglądało, jakby nikt jej nie odbierał przez rok, a nie tydzień. W większości było tam to, co zwykle: katalogi, czasopisma, wytlaczone zaproszenia na kolacje i przyjęcia. Wysłane zapewne, zanim Ben Greenstreet i jego nowa partnerka popełnili błąd, wystawiając swoje uczucie na ostrze krytyki w programie Zbudź się, szkoda dnia.

- Myślałem, że mama dopiero co wyjechała - powiedział Leo, patrząc na stertę korespondencji. Zrzucił plecak na białą - czarną posadzkę i przyjrzał się swojej twarzy w lustrze.

Otworzyłam drzwi. Mieszkanie wydało mi się jeszcze bardziej duszne niż wtedy, gdy przyjechałam po rzeczy dla Meghan. W powietrzu fruwały drobinki kurzu migoczące w słabym świetle wpadającym przed okno. Podskoczyłam na dźwięk jakiegoś stukotu, lecz zaraz sobie przypomniałam, że zaczął padać marznący deszcz i to ostre bryłki lodu uderzają o szyby w salonie.

Dlaczego akurat w horrorach tak podkreślają sceny, w których czyjeś oczy ze zdjęcia śledzą bohatera po całym pokoju? Czy nie

zawsze tak jest? Te wszystkie twarze w srebrnych ramkach wypełnionych życiem jak z bajki. Meghan i Evan w strojach ślubnych; Meghan i Evan z synem; Meghan z księżną Walii, Meghan z prezydentem, Meghan z Dalajlamą. Meghan trzymająca na rękach Leo. Meghan stojąca za Leo. Leo stojący za Meghan. Wyrzałam przez okno. Białe punkciki samochodowych reflektorów na Central Park West rozmywały się w padającym deszczu. Koń zaprzężony do dorożki zaparkowanej przy krawężniku przeżył się za każdym razem, gdy jakiś kierowca mijał go w bliskiej odległości. Portier Rafael wyszedł na ulicę z gwizdkiem w ustach i najwyraźniej go użył, bo taksówka przyhamowała i skręciła pod zadaszenie. Przez potrójne szyby nie docierał jednak żaden dźwięk poza odgłosami bębniących w okno kropli zmrożonego deszczu.

Odwróciłam się, Leo nie było w salonie. Przeszłam długim korytarzem w stronę sypialni i zastałam go w jego pokoju. Stał przy biurku i kolejno brał do ręki różne przedmioty. Pokój chłopca, który wyprowadził się z domu, to smutne i puste miejsce. Atrament w piórach wysechł, w szufladach zostały stare ubrania, te, z których wyrósł, i te, które od początku na niego nie pasowały. Fotografie przypięte do tablicy spłówiały, pokryły się kurzem i pozaginały na rogach. Mam nadzieję, że Meghan trzyma się z dala od tej części domu.

Na biurku stała oprawiona w ramki fotografia Evana i Meghan. Kroją tort weselny, pięciopiętrowe monstrum ozdobione przekwitłymi różami z cukru i uwieńczone tanią plastikową figurką młodej pary. Dwa lata temu z okazji dwudziestej rocznicy ślubu Leo wyprawił rodzicom przyjęcie niespodziankę w stylu płaszcza i szpady, z czego miał ogromną frajdę. Jedzeniem zajęła się ta sama firma cateringowa co zwykle, ale Leo wymyślił, żebyśmy pojechali do starej cukierni przy Amsterdam Avenue i kupili największy i najbardziej ozdobny tort weselny, jaki mają. Taki z polewą smakującą jak margaryna utarta z cukrem. Na zdjęciu Meghan z Evanem szczerzą zęby w uśmiechu i trzymają wspólnie nóż z rękojeścią z kości słoniowej. Jej dłoń jest na wierzchu. Te uśmiechy nagle przestały być wiarygodne. Na zaproszeniach widniało ich ślubne zdjęcie opatrzone tekstem: "A mówili, że nie przetrwa..."

- Czyli co - odezwał się Leo, nie odwracając się - tata jest w Japonii, tak?

- Tak. Pojechał do Tokio w interesach.
- W interesach, aha. A mama jest na Jamajce.
- Na wakacjach.
- Na wakacjach. Sama.
- W Grosvenor's Cove.
- Aha. - Odwrócił się i spojrzał na mnie zwięzonymi oczami. - Co jest grane, Bridey?

- Och, skarbie, tu się dzieją strasznie dziwne rzeczy.
- Zdażyłem zauważyć. - Z powrotem przeniósł wzrok na biurko. Potem mruknął coś pod nosem.

- Co mówiłeś? - zapytałam.

Wbił ręce w kieszenie spodni i wpatrywał się w kulę śnieżną, służącą mu niegdyś za przycisk do papieru. W środku zamknięte były strzeliste wieże Manhattanu. Przez bardzo długą chwilę nie odpowiadał. Czekałam. W końcu powtórzył, tym razem głośniej:

- Rozwodzą się?

- Na to wygląda, skarbie. Myślę, że musisz o tym porozmawiać z ojcem, bo ja wiem tyle co ty. Przykro mi. Też nic z tego nie rozumiem.

- Bridey, daj spokój - powiedział cicho. - Co tu jest do rozumienia? Zdarza się i już. Ludzie się pobierają, ludzie się rozwodzą. Wyjeżdżasz, potem wracasz, dzwonisz do kumpla, żeby się spotkać, i słyszysz: „A wiesz, przeprowadzam się. Do mieszkania mamy. Do mieszkania taty. Do nowego mieszkania chłopaka mojej mamy”. Pełno tego wokół. Tylko że ja... Ja myślałem, że my jesteśmy inni. - Kopnął w orientalny dywan. - Jaki byłem głupi!

Łzy, jedna za drugą, zaczęły skapywać mu na czubki butów. Leo nosi takie charakterystyczne białe buty ze skóry, przeznaczone dla starszych panów. Ma ich chyba z sześć par i jakimś cudem udaje mu się je utrzymać w nieskazitelnej czystości. Przytuliłam go. Cały drżał i przez chwilę miałam wrażenie, że trzymam w ramionach Meghan, tyle że ona jest mała, a Leo wysoki, wyższy ode mnie. Ale w obu przypadkach czułam, jakby przez ich ciała przechodziło trzęsienie ziemi, jakby coś pękło w mostku, który ochrania serce.

- Bridey, nie zostanę tu ani minuty dłużej - powiedział w końcu.

- Jasne. Chcesz pójść coś zjeść?

- Nie, nie. Jedźmy do ciebie. Nie masz nic przeciwko temu? Zamówimy pizzę.

- A co z twoją... - chciałam zapytać, ale zrezygnowałam.

Kiedy zjechaliśmy na dół, deszcz ze śniegiem zdążył się zamienić w śnieg, który zaczynał osiadać na gałęziach drzew wystających znad kamiennego muru otaczającego Central Park i na grzbiecie tego nieszczęsnego konia przy dorożce. Woźnica stał obok i palił papierosa. Rafael przywołał dla nas taksówkę.

- Dziękujemy, panie Sanchez - powiedział Leo, wsiadając.

- Vaya con Dios, señor Leo. - Kiedy podniosłam głowę i zajrzałam w ciemne oczy tego człowieka, zobaczyłam w nich tyle sympatii i współczucia, że usiadłam bokiem do okna, aby Leo tego nie widział. Drzwi się zamknęły, szyby zaparowały i odjechaliśmy, wyrzucając spod kół fontannę słonego błota.

Rozdział 11

Istnieje dość rozpowszechniony stereotyp, że w Nowym Jorku łatwo zachować anonimowość. Można zrozumieć, dlaczego sądzą tak obywatele Ames w stanie Iowa czy Eugene w Oregonie. Stoją tutaj apartamentowce zamieszkałe przez tyle samo osób, ile żyje w niejednym małym miasteczku. Jadąc w nich windą, można odnieść wrażenie, że lokatorzy nie tylko nigdy nie zamienili ze sobą słowa, lecz nawet nie nawiązali kontaktu wzrokowego.

A jednak nowojorczyki się znają. Niektórzy na takiej zasadzie jak ja i pewien mężczyzna, którego poznałam kiedyś na koktajl party. Jego siostra jest żoną młodszego brata mojego pierwszego chłopaka - chodziłam z nim tuż po przeprowadzce do Nowego Jorku. Podejrzewam, że zasada ta obowiązuje zarówno w Savannah, jak i w San Francisco. Jednak u nas istnieje jeszcze inny sposób, w jaki się nawzajem poznajemy: jako tak zwani znajomi nieznajomi. Tak jest z pewną rodziną zajmującą dwupoziomowe mieszkanie w kamienicy, którą obserwuję z okien mojego mieszkania. Dziewczynka ma biurko przy oknie wychodzącym wprost na moje. Jest pilną uczennicą, więc ciągle przy nim przesiaduje, czytając coś i notując, jeszcze długo po tym, jak niebo zmieni barwę z szarej na ciemnopopielatą. Jej starszy brat ostatnio coraz częściej zasłania u siebie okno, co zapewne oznacza, że leży w tym czasie na łóżku ze „świerszczykiem” w dłoni, przy drzwiach zamkniętych na klucz. W przeciwieństwie do większości mieszkańców tej okolicy, ich rodzice zdają się naprawdę używać kuchni do przyrządzania wieczornych posiłków. Czasem, gdy jest na tyle ciepło, że można otworzyć okna, lecz nie aż tak gorąco, by włączać klimatyzację, czuję ostry, smakowity aromat duszonego mięsa dolatujący z ich mieszkania.

Tak pachnie życie rodzinne, cos', co znam głównie z drugiej ręki. Nasza matka nie umiała gotować, a Murzynka zajmująca się domem - i nami przy okazji - wcześniej przyrządzała zapiekanki lub desery i przynosiła je ze sobą do odgrzania. Rodzice cztery, pięć razy w tygodniu jadali kolacje w klubie lub restauracji. „Zjedzcie coś, dziewczynki” - rzucała ogólnikowo matka, machając dłonią z pierścionkiem z szafirem wyglądającym jak zimne niebieskie oko. Te słowa, jako jedne z nielicznych, utkwily mi w pamięci. Inne to: „Jestem kompletnie wykończona”, wygłaszane przez matkę z westchnieniem do słuchawki, obojętnie kto znajdował się po drugiej

stronie. (Później się zorientowałam, że jeśli po tej skardze następowało wściekle: „Nawet nie masz pojęcia!”, to znaczyło, że prawdopodobnie rozmawia z ciocią Maureen, która pracowała jako pielęgniarka asystująca przy operacjach, więc doskonale wiedziała, co to znaczy być naprawdę wykończonym). Najczęściej robiłyśmy sobie z Meghan kanapki z masłem orzechowym, a jedzenie odkładałyśmy do lodówki. „Byłyśmy z rodzicami w restauracji” - tłumaczyła się później moja siostra, kiedy Nelly pytała, dlaczego obiad stoi nieruszony. Już wtedy próbowała tworzyć własną wersję wydarzeń na użytek publiczny, znacznie lepszą od oryginału. Dość wcześnie nauczyłam się w milczeniu tolerować takie kłamstwa - dzięki nim wydawałyśmy się lepsze, niż byłyśmy w rzeczywistości.

W naszym kwartale mieszka co najmniej tuzin osób, które znam z widzenia, a czasem udaje mi się o nich dowiedzieć na tyle dużo, że do twarzy mogę przyporządkować jeśli nie nazwisko, to chociaż kategorię. Jest więc profesor uniwersytetu - chyba każde osiedle musi takiego mieć - i szef działu poezji w gazecie. Jest matka trzech nastoletnich dziewcząt oraz matka dwóch aroganckich chłopców. No i jest starszy pan, spec od komputerów, cały dniami grający na giełdzie przez internet. Jednak w porównaniu do Tequili jestem amatorką. Czasem, kiedy idziemy ulicami dzielnicy, w której mieści się nasze biuro, Tequila komentuje: tamta dziewczyna zadaje się z żonatym kolegą z pracy, ten chłopak wybiera się do miejscowego college'u, bo nie zdał egzaminów do straży pożarnej, ta jest w ciąży, tamta handluje narkotykami. Kiedy ją zapytać, skąd zna tyle szczegółów z życiorysu niemal każdej napotkanej osoby na Mount Morris Avenue, odpowiada: „Słyszysz się to i owo”. Dlatego tak świetnie nadaje się do swojej pracy. Ktoś powiedział, że jakieś małżeństwo poszukuje pomocy domowej, więc dlaczego by im nie podsunąć jednej z naszych podopiecznych. Gdzieś zwolniło się mieszkanie, więc kolejna rodzina mogłaby wreszcie mieć własny dach na głowę. Gdyby Tequila mieszkała w Bees Knees w Dakocie Południowej, nie wiedziałaby o sąsiadach tyle co tutaj, gdzie wystarczy, że nadstawi uszu, pchając wózek w supermarkecie czy stojąc w kolejce, i już może zapisać syna na dofinansowany obóz w Fordham.

Ale w Nowym Jorku nie można się ukryć jeszcze z innego powodu: wbrew teorii wielkich liczb wciąż niespodziewanie wpada się na znajomych na ulicy, w metrze czy w restauracji. Meghan ma na

to nawet swoje określenie: nazywa to „efektem bumerangu” i twierdzi, że z zasady są to akurat te osoby, z którymi najmniej mamy ochotę się spotkać. „Weźmy taki przykład” - tłumaczyła. - „Jeśli mam beznadziejną asystentkę i ją zwolnię, na sto procent wpadnę na nią w damskiej toalecie klubu uniwersyteckiego, gdzie akurat wstąpię na lunch, w windzie, kiedy będzie szła w odwiedziny do znajomych, mieszkających w tym samym budynku co gospodarze przyjęcia, na które się wybieram, albo na zakupach u Saksa, kiedy będę przymierzała nowy płaszcz”.

„Od lat nie byłaś u Saksa”.

„Ale wiesz, o czym mówię”.

Wiem. Kiedy miałam dwadzieścia parę lat, związałam się z pewnym facetem (jeżeli można nazwać związkiem coś, co polega głównie na seksie i żywieniu się daniami na wynos; nawiasem mówiąc, na tej zasadzie funkcjonuje większość związków w Nowym Jorku). Facet miał na imię Ken i prowadził sklepik o nazwie „Potpourri”. Było to jedno z jedenastu niepowiązanych ze sobą przedsiębiorstw o tej samej nazwie figurujących w nowojorskiej książce telefonicznej, co już powinno mi było dać do myślenia na temat granic jego wyobraźni. Nosił brodę, która zaczynała mnie coraz bardziej irytować, i miał zwyczaj przybierania znieczuśki różnych pozycji jogi, tak że czasami wyskakiwał z łóżka i zamiast, na przykład, iść do toalety, wykonywał Kruka albo Czaplę. Sytuacja wymagała podjęcia jakichś kroków, więc po miesiącu wspólnego życia oznajmiłam mu, że odchodzę.

„Moim zdaniem będziesz tego żałować” - powiedział. - „Ja w każdym razie zostawiam drzwi otwarte”.

W ciągu następnych kilku tygodni spotkałam Kena w Shanghai Palace w chińskiej dzielnicy, w banku w Chelsea, na Ósmej Alei, wśród wychodzącej z teatru widowni, i na imprezie u znajomej - nawet nie wiedziałam, że go zna. Nie znała. Kena przyprowadziła tam jego nowa dziewczyna, instruktorka jogi, która nie wiadomo dlaczego mówiła do niego Kenyon. A zatem drzwi zostały zamknięte.

Nie byłam więc w najmniejszym stopniu zdziwiona, gdy podczas lunchu z ciocią Maureen w restauracji na środkowym Manhattanie (gdzie zabrałam ją z okazji jej urodzin) zobaczyłam, że kilka stolików dalej siedzi Kate Borows. To była zupełnie nowa azjatycka knajpa oferująca tak zwaną kuchnię fusion (co znaczy, że wszystkie dania w

karcie, łącznie z deserami, zawierają albo sos tamari, albo imbir), a Kate, z racji zbierania materiałów do przewodnika po nowojorskich restauracjach, który wydaje wspólnie z mężem, często jest jednym z pierwszych gości w każdym nowo otwieranym lokalu w mieście. Kiedy zauważyłam, jak macha do mnie spod czegoś, co wyglądało jak ślubny baldachim z batiku obwieszony lampkami choinkowymi, nawet nie drgnęła mi powieka.

- Przepraszam, muszę się z kimś przywitać - powiedziałam do cioci Maureen.

- Rozumiem - uśmiechnęła się. - Wy dziewczyny macie tu tylu znajomych. Ja tymczasem skorzystam z toalety. Nie śpiesz się. Zamierzam jeszcze wypić drinka przez lunchem. W końcu jest okazja.

- Znalazłam w menu czekoladowe martini - powiedziała z oburzeniem Kate, kiedy się do niej przysiadłam. - Ja nawet nie chcę słyszeć tych słów obok siebie.

- Pewnie na kogoś czekasz?

- Tak, ale za wcześnie przyszłam. Strasznie się cieszę, że cię spotykam. I tak miałam zadzwonić. Chciałam ci dać znać, że Meghan ma się dobrze. Sam rozmawiał z Edwardem Prevaricatorem, tym, który zasiada z nim w radzie muzeum, no i Edward mówił, że spotkał ją w Grosvenor's Cove. Gra w golfa, pływa. Podobno ograła go w tenisa.

- Brawo, siostrzyczko - uśmiechnęłam się.

- W każdym razie znaleźli się kiedyś przy jednym stoliku na kolacji i ponoć Meghan zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Wszystko gra, wakacje cudowne, życie jest piękne, bla, bla, bla. Mówiła o Leo, o tobie. Domyślałam się, że mówiła o wszystkim i o wszystkich z wyjątkiem Evana i Bena Greenstreeta.

Westchnęłam.

- A więc wiesz. Pewnie się rozniosło. Mam na myśli Meghan i Evana.

- Owszem, rozniosło się, ale ona powiedziała mi o tym jeszcze przed wyjazdem. Wiesz, że producenci to kretyni, że nie może nigdzie znaleźć swoich złotych szpilek, aha, a ten palant, za którego i tak nie chciała wychodzić, nie ma już ochoty być jej mężem.

- Czyli udaje, że wszystko toczy się zwykłym trybem. O, Meghan jest w tym specjalistką.

- Wiem. Pamiętam, jak pierwszy raz poroniła. Kiedy ją zobaczyłam rano w telewizji, byłam po prostu w szoku, ale co gorsza, tematem programu była opieka nad niemowlętami i w studiu było kilkoro dzieci. Mogła się przecież zamienić z którymś z kolegów. Ale ona siedziała i jak gdyby nigdy nic dyskutowała o wyższości pampersów nad zwykłymi pieluchami - To jedna z moich najbliższych przyjaciółek, ale wciąż mam wrażenie, że jest jakaś sfera w jej duszy, do której nie umiem dotrzeć. Wychowywałyście się razem, więc ty pewnie znasz ją na wylot. Rozmawiałaś z Evanem?

- Tak. My też się znamy od dziecka i teraz usiłuję się nie czuć tak, jakby to m n i e rzucił.

- No bo rzucił. Tego właśnie faceci nie potrafią pojąć. Myślą, że odchodzą od kobiety, gdy tymczasem porzucają całe życie. Co za głupiec. Ma kogoś, co?

- Mówi, że nie.

- Pewnego dnia spotkam takiego mężczyznę, który odchodzi od kobiety z powodu głębokiego poczucia znużenia i przekonania, że życie ma dla niego w zanadru coś więcej. Ale na razie nie spotkałam. Znasz Carrie Dwyer? - Skinęłam głową. Mieszkała w jednym akademiku z Meghan. - Mąż ją rzucił dla współlokatorki ich córki.

- O kurczę. - Niemal każdy, kogo spotykam, wyraża głębokie współczucie z powodu faktu, że nigdy nie wyszłam za mąż. Czasami naprawdę się zastanawiam, dlaczego.

- Moim zdaniem Meghan się z tego otrząśnie - dodała Kate. - Tylko na razie chce przez parę dni poudawać, że nic się nie stało. Że nie poniosły ją nerwy na antenie, że stacja nie robi jej z tego powodu piekła, a na urlop przyjechała sama, bo mąż nie mógł się wyrwać z pracy albo lada dzień do niej dołączy. Zresztą, dobrze zrobiła, że teraz wyjechała. To miasto potrafi być wyjątkowo brutalne. Kiedy Sam mnie zostawił, już po tygodniu znaleźli się ludzie, którzy zaprosili go na kolację i posadzili między dwiema wolnymi kobietami.

- Sam cię zostawił?

Kate nachyliła się i zajrzała mi w oczy. Ma taką specyficzną bladą, końską twarz, modną w epoce renesansu, i oczy przenikające człowieka na wylot, jakby był ze szkła.

- Nie udawaj, że nie wiedziałaś. Boże, wyście się naprawdę dobrały. Sól i pieprz. Jin i jang. Flip i Flap. Ty w ogóle nie potrafisz kłamać, a Meghan jest tak nieprzenikniona, że nigdy nie wiem, co tak

naprawdę siedzi w jej głowie. To było dawno temu, między drugim a trzecim dzieckiem. Stracił rozum. Myślę, że to z braku snu. Ale znalazło się kilka pań, które wciągnęły go na listę rezerwowych, zanim zdążył spakować przybory do golenia. Ja im tego nie zapomnę. A nie życzę nikomu, żeby kiedykolwiek się znalazł na mojej czarnej liście.

- Oj, zgadzam się.

Moja ciocia torowała sobie ku nam drogę między stolikami. Dopiero co była u fryzjera i jej srebrzyste włosy lśniły w blasku tych idiotycznych lampek zawieszonych nad stołem. Kate wstała, żeby podać jej dłoń, ale ciocia od razu pocałowała ją w policzek.

- My już miałyśmy okazję się poznać - powiedziała - podczas tego uroczego przyjęcia, wydanego przez stację Meghan z okazji pięciolecia jej programu.

- Przepraszam najmocniej - jęknęła Kate. - Mam pamięć jak sito.

- Proszę się nie przejmować, to przechodzi z wiekiem - uśmiechnęła się ciocia. - Ja pamiętam teraz wszystko tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Może dlatego, że odkąd jestem na emeryturze, nie muszę zaprzętać sobie głowy problemami typu: czy ten pacjent potrzebuje więcej morfiny, tamten więcej tlenu, et cetera, et cetera. A i prowadzenie domu staje znacznie prostsze, kiedy zakupy robi się tylko dla jednej osoby. - Położyła rękę na mojej dłoni. - Ciągłe zdarza mi się zapomnieć gdzie położyłam klucze, ale pamiętam każdą chwilę z życia tej dziewczyny. Niezła z niej była kucharka. Stawała obok mnie na stołeczku i pomagała mi robić ciasto. Kiedy tylko jej siostry nie było w domu, nie odstępowała mnie na krok. Tak spędzałyśmy całe dni.

Przyszła osoba, na którą czekała Kate. Nie była to kobieta, jak sądziłam, lecz mężczyzna mniej więcej w moim wieku, brunet, w okularach, jakie zakłada się po to, żeby przyciągały uwagę. Kate podała mu tylko moje imię, za co byłam jej wdzięczna, bo w ten sposób uniknęliśmy szeptanych dopytywań, czy nie jestem czasem spokrewniona ze znaną prezenterką. Nie na darmo znamy się od lat.

Przedstawiła swego towarzysza jako architekta projektującego dobudówkę w ich domku na wsi, ale różne myśli przemknęły mi przez głowę. Nikomu już nie wierzyłam. Kiedyś przejrzałam nawet portfel Irvinga, kiedy spał. W środku były wizytówki dziennikarzy, kilku prawników i jakiegoś handlarza bronią. Było też zdjęcie jego

siostrzenicy sprzed co najmniej dziesięciu lat i wycinek z gazety dotyczący siostrzeńca, który kilka lat temu wraz z drużyną Małej Ligi Baseballu zdobył puchar okręgu. I wreszcie mała serwetka z czymś, co wyglądało na płamę z sosu sojowego i słowami: „Gdzie byłeś całe moje życie?”. Nagryzmoliłam je, będąc niezupełnie trzeźwa, jakieś dwa lub trzy lata temu. Musiałam wtedy wyjść z domu o trzeciej na ranem, bo pękła rura wodociągowa w schronisku i ktoś się musiał tym zająć. Widząc tę serwetkę złożoną wśród pliku dwudziestodolarówek, poczułam wstyd i jednocześnie triumf.

W głębi sali kelnerzy zaczęli rozstawiać przed Kate talerzyki z przekąskami. Lądowały na stole niczym opadające liście. Dojrzałam lekki grymas na jej twarzy. Wiedzieli, kim jest, i dania, które za chwilę mieli jej podać, będą zauważalnie lepsze niż te przeznaczone dla zwykłych gości. Prawem skojarzenia również i my, kilka stolików dalej, korzystałyśmy z tych samych przywilejów.

- Nie pamiętam, żebyśmy to zamawiały - powtarzała ciocia Maureen, kosztując coraz to innej potrawy. - Nie bardzo wiem, co to takiego, ale smakuje wybornie. Wiesz, lubię tę kobietę. To ona wydaje z mężem przewodnik po restauracjach, prawda? Wygląda na bardzo sympatyczną osobę.

- To bliska przyjaciółka Meghan. Czasem mara wrażenie, że zna ją lepiej ode mnie. Ja chyba za często odbieram ją tak, jak widzą ją inni. Taka byłam na nią wściekła, kiedy jechałam po Leo na lotnisko, a tu się okazało, że zawczasu o wszystko zadbała, a ja przyjechałam tylko jako rezerwa. Myślę, że czasami jej nie doceniam.

- Och, nie sądzę, żeby na tym polegał problem. Wydaje mi się, że wy po prostu za bardzo trzymacie się swoich ról. Z siostrami tak bywa, a mało która wie, jak z tego wyjść. Już w dzieciństwie przyklejają wam etykiety: ta ładna, tamta mądra. To duże obciążenie.

- A więc uważasz, że pozwalam, aby Meghan była tą lepszą, bardziej odpowiedzialną? To samo mówi Irving.

Ciocia Maureen powoli pokręciła głową i upiła łyk wina.

- To zbyt duże uproszczenie, zupełnie do niego niepodobne. Meghan pragnie, by świat był idealnie bezpieczny. Ale w tym celu musi zawsze sprawiać wrażenie, że sama jest pewna siebie.

- Ależ ona jest pewna siebie! To nie tylko fasada.

- Czasami fasada staje się budynkiem - rzekła z pewnym smutkiem Maureen. - Powiedziałam to kiedyś mojej siostrze.

Chciałam, żeby mi pomogła podjąć pewne decyzje po śmierci naszej mamy. „Ty zawsze byłaś świetna w tych sprawach” - odparła wtedy. I byłam. Czasem robimy rzeczy, które potrafimy najlepiej, czy nam się to podoba, czy nie.

Indolencja - tego słowa używała Meghan, gdy próbowała opisać naszą matkę, ładną, dość korpulentną kobietę, której cały świat ograniczał się do mahoniowego łóżka z liliową narzutą, stolika nocnego przykrytego obrusem i łazienki. W ustach Meghan to słowo brzmiało jak przekleństwo.

- Wiem, że to nie fair pytać o to właśnie ciebie, ale czy ona rzeczywiście była aż tak straszna, jak opisuje Meghan?

Ciocia Maureen zadumała się nad kawałkiem przegrzebka na widelcu.

- Przede wszystkim nie spędzała w łóżku aż tyle czasu, jak lubi opowiadać twoja siostra. Myślę, że przemawiają przez nią emocje. Z drugiej strony to prawda, że wasza matka była dziewczynką lubiącą, żeby jej podawać śniadanie na tacy. Gdy była młodsza, miała pewne przywileje. Mama była przekonana, że ona ma astmę, chociaż nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek jakiś lekarz potwierdził tę diagnozę. No i należała do tych osób, które nie mogą się pokazać ludziom, jeśli nie mają na sobie czegoś nowego i ładnego.

- Jak połowa kobiet w Nowym Jorku.

- O, tak. Ona by się tutaj czuła jak ryba w wodzie. Nie mam na myśli towarzystwa, w jakim wy się obracacie, ale te inne kobiety. Wiesz, o których mówię.

- Musiałyście stanowić dziwny duet.

- Moja siostra nie była silną osobą. Ale tym nie powinnyście się przejmować. Wcale nie jest dobrze, jeżeli silna kobieta ma dwie silne córki. Natomiast, jeśli dwie silne kobiety wyrastają ze słabości, to jest coś wspaniałego. Bo oznacza, że same siebie stworzyły.

- Cóż, ja miałam Meghan.

- A Meghan ciebie.

- A obie miałyśmy ciebie, ciociu.

Maureen machnęła ręką. Zawsze wygodniej jej było mówić, że ona i jej mąż tak naprawdę nic wielkiego nie zrobili, poświęcając swoje życie i biorąc pod opiekę dwójkę małych dzieci, jedno nieprzystępne i krnąbrne, a drugie ufne i gapowate. Wolą chęba

przyjąć wersję mitologiczną, że obie wyskoczyłyśmy z morskiej piany w pełni gotowe i ukształtowane.

- Ja też mam dziurawą pamięć - stwierdziłam. - Kompletnie nie przypominam sobie wspólnego pieczenia ciasta.

Większość wydarzeń z dzieciństwa znam tylko z opowiadań Meghan. Niewiele pamiętam z przeszłości, a teraz, widząc, co się porobiło, zaczynam myśleć, że nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje w teraźniejszości.

- Cóż, po to właśnie mamy przyszłość, nieprawdaż? - Ciocia Maureen jeszcze raz poklepała moją dłoń. - A przyszłość zawsze wydaje się być tui za rogiem. Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę na deser. Co słyszeć u Irvinga?

- Wszystko po staremu.

- To się cieszę. - Ciocia zawsze darzyła go sympatią. „Pewnie dlatego, że to bardziej jej pokolenie niż twoje” - zadrwiła kiedyś Meghan.

Oto coś, czego moja siostra nie wie o Irvingu Lefkowitzu: ten facet sprawia, że dziewczyna czuje się przy nim jak królowa. Nie jest młodzieniaszkiem; to mężczyzna starej daty w najlepszym tego słowa znaczeniu. Irving pamięta czasy, kiedy kobiety nosiły podwiązki i pasy do pończoch, a ich sukienki miały skomplikowane zapięcia; kiedy nawet te mniej pruderyjne opanowały do perfekcji wyrafinowany „taniec z wachlarzami” - na przemian uwodząc, to znów odmawiając - co wymagało prowadzenia półrocznej gry wstępnej, zanim sprawy posunęły się dalej. Pamięta i strach przed ciążą, i lży wstydu, i plany małżeńskie czynione nie na bazie oświadczeń, lecz utraconego dziewictwa.

I nagle obudził się pewnego ranka - po tym, jak żona numer dwa stwierdziła, że woli pogodę w Kalifornii - i znalazł się w świecie, gdzie błona dziewicza była anachronizmem (być może wyparta przez ewolucję, tak jak wkrótce, zdaniem dentystów, stanie się z zębami mądrości), biologicznym reliktem. Bluzeczki ochoczo wędrowały w górę, a spodnie w dół. Odprowadzało się dziewczynę do mieszkania i zanim zdążyło się zarejestrować wzrokiem kolor kanapy i plakaty na ścianach, bielizna już leżała na podłodze. Irving, jak tylko otrząsnął się z szoku, połączył w sobie pożądanie mężczyzny, któremu przez lata odmawiano, ze szczęściem mężczyzny, który nagle mógł się nasycić do woli. W przeciwieństwie do typowych młodych facetów

zachowujących emocjonalny dystans („O, tu. Nie, tutaj. Czy tak jest dobrze? A teraz?") stanowił prawdziwe studium pożądania. Nawet gdy po roku wchodziłam czasem do łóżka nago, dostrzegałam na jego twarzy ten sam wyraz, jaki miał Leo, kiedy na swych pierwszych urodzinach wpakował sobie do buzi garść tortu czekoladowego po roku karmienia piersią i przetartym szpinakiem. Wciąż mam tamto zdjęcie. Można by je zatytułować: „Radość i zdumienie".

Irving odsunął kołdrę i popatrzył na mnie.

- Mniam.

Właśnie tak.

Nie da się nie kochać faceta zachowującego się na twój widok jak pięcioletni chłopczyk dostający loda na patyku, nawet jeśli ma tyle lat - o czym moja siostra przypomina mi co najmniej tak często, jak opowiada Amerykanom o obronie narodowej, piramidzie żywienia i konieczności sterylizacji zwierząt domowych - że mógłby być moim ojcem.

Tyle tylko, że nasz ojciec był ewidentnym oszustem, co odkryliśmy dość wcześnie, gdy dom został sprzedany, meble wstawione do komisju, testament odczytany, a rachunki podliczone.

Irving w przeciwieństwie do niego jest w stu procentach autentyczny. Jego rodzice byli komunistami, a dziadkowie niepiśmiennymi wędrownymi kramarzami we wschodniej Europie. On sam jest inteligentnym dyslektykiem, który wyleciał z Brooklyn College, ożenił się z kelnerką, potem rzucił ją dla właścicielki księgarni, ta zaś rzuciła go dla Kalifornii. Bywa napuszony i czasem zachowuje się jak macho, a w rozmowach można go uznać za bigota, co okazuje się nietrafne, gdy tylko ma się okazję zaobserwować go w otoczeniu osób czarnoskórych, gejów czy niepełnosprawnych. Nie chce się żenić po raz kolejny i nigdy nie chciał mieć dzieci, które - jak twierdzi - w równym stopniu przerażają go, co nudzą. Z wyjątkiem Leo, ale on dla Irvinga nie liczy się jako dziecko.

Gdybym miała dziesięć lat mniej, zaniepokoiłabym się faktem, że sypiam z facetem i o tydzień spóźnia mi się okres, ale czterdziestotrzyletnia kobieta ze względnie nową spiralą wie, co to oznacza. Nie chciałam jednak mówić Irvingowi, że podejrzewam u siebie początki menopauzy, bo jeszcze gotów by wyskoczyć pod sufit i krzyknąć: „Hurra!". Nigdy nie należałam do dziewczynek, które troskliwie opiekują się lalkami, ale zawsze sobie wyobrażałam, że

kiedyś będę miała dzieci. Oczywiście w tych wyobrażeniach był także mąż, własny dom i niezła pensja.

- Rozluźnij się - powiedział, kiedy skończył miętosić moje piersi i przeszedł do ugniatacia ramion.

- Cuchniesz whisky - odparłam. Zdecydowanie moglibyśmy uchodzić za małżeństwo.

- Ha, przecież to uwielbiasz.

Miał rację. Ten zabiegany pan z butelką wina pod pachą wychodzący pośpiesznie ze swego gabinetu chirurgii plastycznej lub z eleganckiego biura z widokiem na budynek Chryslera pachnie najwyżej kremem do golenia lub krochmalem z chińskiej pralni automatycznej, używanym do prania koszulek z najwyższej jakości bawełny. Mężczyźni mego pokolenia zaczęli dbać o swoją skórę, ubiór, włosy i higienę jak młode kobiety, a to w moich oczach odarło ich nieco z męskości. Kiedy myślę o moim ojcu, przypominam sobie, że przesadną uwagę poświęcał swoim garniturom oraz obuwiu i zawsze rozstaczał woń będącą połączeniem cytrusów, mentolu i szkockiej whisky. Meghan może sobie wyznawać teorię, że Irving jest dla mnie namiastką ojca, ale ilekroć siedzę na przyjęciu i wdycham te ostre, świeże zapachy wymieszane na ciele jakiegoś młodego brokera, przychodzi mi na myśl, że jest jego zupełnym przeciwieństwem.

To kolejna rzecz, której Irving nie cierpi - przyjęcia, prośzone kolacyjki, koktajle. Sam raz w miesiącu jada obiady w małej włoskiej knajpce w śródmieściu wspólnie z kolegami z pracy, starszymi policjantami, którzy razem z nim zaczynali w wydziale. Również raz w miesiącu jest na obiedzie u ciotki w domu opieki w Elizabeth, a kilka razy w tygodniu w ogóle nie jada obiadu, bo jedzie na miejsce potrójnego morderstwa na Staten Island lub przez telefon miesza z błotem jakiegoś dziennikarza. Najczęściej zatrzymuje się z piskiem opon przed Gray's Papaya, kupuje trzy hot dogi i to jest jego cały posiłek. Ewentualnie przyjeżdża do mnie i jemy gotowe kurczaki z chińskiej knajpy. Na przyjęcia chodzę więc sama, choć często jestem zmuszona odwoływać wizytę z powodu jakiejś katastrofy I nie mam tu na myśli katastrofy, jaką jest zobaczenie własnej siostry na okładce „National Enquirer”.

We wtorek oboje z Irvingiem zostaliśmy wyrwani ze snu („Pyszności!” - tak się rozpoczęły zaloty tej nocy) przez dzwonki naszych komórek. Moja pierwsza myśl: to na pewno Meghan, która

nie może spać i potrzebuje z kimś pogadać. Ale wtedy odezwała się komórka Irvinga.

- Podwójny alarm - jęknął.

Zdarzało się to tylko czasami i oznaczało, że w Bronksie wydarzyło się coś na tyle poważnego, że wymaga wezwania zarówno policji, jak i przedstawiciela naszego schroniska. Takie sytuacje mają jedną dobrą stronę: mogę się zabrać z Irvingiem radiowozem, zamiast tłumaczyć pakistańskiemu taksówkarzowi, że można pojechać do Bronksu w środku nocy i wrócić żywym.

Zanim dotarłam na miejsce, już byłam wykończona. Nieduża poczekalnia w naszym biurze pękała w szwach i zdołałam uchylić drzwi tylko na tyle, żeby się wślizgnąć do środka. Przekroczyłam dwie dziewczynki w piżamkach z wizerunkiem Pocahontas, przytulone do siebie nad sfatygowanym egzemplarzem książki Kto zje zielone jajka sadzone?. Zwykle petenci nie czekają cierpliwie. Głośno narzekają na twarde plastikowe krzesła, typowe dla każdej instytucji tego typu: szpitala, biura pomocy społecznej, poczekalni więzienia. Ewentualnie ich dzieci biorą do ręki kredki i zmierzają ku ścianom, doszedłszy do wniosku, że skoro i tak są odrapane i brudne, to nikt nie będzie się skarżył.

Ci ludzie jednak zachowywali się inaczej: byli przerażeni i osłupiali. I nic dziwnego. Po drodze Irving opowiedział mi, co się stało. Dziewięć rodzin zamieszkujących niewielki budynek w pewnej chwili odczuło wstrząs, usłyszało potężny łoskot i zobaczyło, jak zewnętrzna ściana domu wali się w gruzy, wprost na pustą działkę obok, gdzie miasto prowadziło akurat wykopy w związku ze skargami na wyciek z jakiegoś starego zbiornika paliwa.

Widziałam potem zdjęcia w gazetach. Wyglądało to jak przekrój budynku narysowany przez architekta. Cały nieliczny dobytek i tanie wyposażenie leżały na widoku. Rozklekotane meble wypożyczane od złodziei za dwadzieścia dziewięć dolarów miesięcznie (co może się wydawać niezłą okazją, dopóki sobie nie uświadomisz, że po jakimś czasie wybuliłeś pięć stów za piętrowe łóżko, które nawet nie jest twoje, a mogłeś je kupić o stówę taniej w sklepie). Winyłowa wykładzina położona na linoleum przykrywającym drewnianą podłogę. Kuchnie, w których pozostał bałagan z poprzedniego wieczoru albo może w ogóle nikt tam nie sprzątał. Porozrzucane skrawki życia, jakby zniecka do mieszkania wpadła ci ekipa

filmowa akurat w dniu, kiedy sobie obiecywałaś, że wreszcie się pozbierasz i ogarniesz ten bałagan. Nocowało tam aż dziewięć rodzin - trzy z nich już wcześniej straciły dach nad głową i wprowadziły się do swych krewnych lub przyjaciół, ewentualnie ludzi, którzy kiedyś byli ich przyjaciółmi, zanim przyjaźń nie zaczęła oznaczać posiadania wspólnej łazienki, lodówki i szafy, od samego początku za małej.

Tequila i Alison siedziały w drugim pokoju i sporządzały listy potrzebujących.

- Już wcześniej wszystkie miejsca były zajęte - kręciła głową Alison.

- Musimy coś wymyślić - powiedziała Tequila. - Jak teraz stąd pójdą, to będą musieli łązić po ośrodkach pomocy i całą noc spędzą na krzesłach, a rano od nowa wędrówka po noclegowniach.

Potężny producent sprzętu sportowego z Long Island pozwolił nam kiedyś przejrzeć swój magazyn towarów z reklamacji. Dzięki temu udało nam się zdobyć trzydzieści śpiworów. Trzy były już w użytku. Tequila zadzwoniła do kierowniczkii schroniska, żeby wyciągnęła pozostałe. W jednym z pomieszczeń w budynku przejściowym znalazło się też trochę miejsca na podłodze i dwie wolne wersalki.

- Lopez? - zawołałam w poczekalni. - Delgado? Hurston? - Matki powybierały z pudeł ciepłe bluzy, a nawet kilka kurtek dla dzieci, które przecież były w samych piżamach. Wzięłam na ręce małą dziewczynkę z bosymi stópkami i zaniiosłam ją do schroniska. Była druga połowa kwietnia, ale wiał silny wiatr i dziecko skuliło swe wątle ramionka i mocno wtuliło główkę w moją szyję. Jej matka szła z niemowlęciem zawiniętym w ręczniki i prowadziła za rękę chłopczyka. Miał na sobie śniegowce, wyciągnięte przeze mnie spod biurka. Były za duże, więc człapał w nich po chodniku, tak że cholewki uderzały po goleniach. Miałam gdzieś listę sklepów deklarujących się, że nieodpłatnie przekażą nam obuwie. Trzeba będzie podzwonić, jak tylko otworzą. Tanie buty sportowe w każdym rozmiarze.

- O, Annette - powiedziałam, gdy wróciłam do biura. Kobieta, która podniosła się z krzesła, mieszkała już w naszym schronisku w zeszłym roku. Ma dwoje dzieci; wówczas jedno z nich było jeszcze niemowlakiem, teraz już chodziło. - Gdzie się podziewałaś przez ten czas?

- Tu i tam, pani Fitz - odparła ze smutnym uśmiechem. - Przeprowadziłam się do siostry, na Brooklyn, ale ją wyeksmitowali i wyjechała do Jersey. Trafiłam w takie fajne miejsce w Lefrerts prowadzone przez zakonnice, ale mąż powiedział: wracaj, no to wróciłam, a on zaczął znowu... wie pani. - Wiem. Kiedy do nas trafiła, Annette miała złamane trzy zębra. - No to uciekłam do koleżanki i spaliśmy z jej dziećmiakami w pokoju, a tu nagle - szu! - i nie ma ściany. A Delon leżał zaraz obok.

Delon spojrział na mnie. Przynajmniej miał na sobie kurtkę i skarpetki. Wyglądało, jakby w nich spał.

- Bum! - powiedział. Oceniałam, że ma jakieś trzy latka.

- Pamiętasz Mercedes? - zapytała Tequila. - Przeniosła się ze schroniska do budynku przejściowego, ma tam teraz ładny pokoik. Może się jakoś razem pomieścicie?

- Pamiętam, fajne ma dzieciaki - powiedziała Annette, skubiąc górną wargę. Miała lekko przekrzywiony nos, a na jednym policzku widniały dwie głębokie blizny. Była piękną kobietą, ogłaszającą światu, na co jest gotowa się godzić.

- Jakaś dziewczyna siedzi u ciebie - powiedziała do mnie Tequila. - Jej dziecko spało w łóżeczku zaraz przy ścianie. Runęło razem z nią.

Usłyszałam jej zawodzenie, zanim jeszcze otworzyłam drzwi. To była przysadzista czarnoskóra dziewczyna w wieku może szesnastu, a może trzydziestu lat. Zdążyła już skorzystać z pudełka chusteczek i poczęstować się karmelkami. Podłoga wokół niej wyglądała niemal dekoracyjnie: tu błyszczący papierek od cukierka, tam biała róża z chusteczki - papierowy krąg rozpaczy. Musiała być albo bardzo gruba, albo w zaawansowanej ciąży. Sięgnęłam do słoika i wyjęłam sobie cukierka.

- Nic nie mów. Wypłacz się - powiedziałam, gdy wydmuchiwała nos. Trudno jest dobrać słowa pocieszenia w obliczu takiej tragedii, ale te są w miarę bezpieczne. Nie daj Boże zapytać: „Co ci jest?” albo jeszcze gorzej: „Wszystko w porządku?”. Irving opowiadał, że kiedyś młody funkcjonariusz, dopiero od roku patrolujący ulice, ukląkł przy mężczyźnie, któremu jakiś pirat drogowy uciął nogę poniżej kolana i zapytał: „Wszystko w porządku?”. Irving był gotów wałnąć gówniarza w łeb, ale zanim zdążył o tym pomyśleć, policjant zemdłał, upadł do

przodu i uderzył głową w zaparkowany samochód. Trzeba było wzywać drugą karetkę.

„A dzisiaj ten gliniarz jest komendantem” - kończy triumfalnie Irving, ilekroć opowiada o tym w towarzystwie. I wszyscy wybuchają śmiechem. Tylko kilka osób zdołało się zorientować, że ta historia jest prawdziwa. Między innymi oczywiście Meghan, i kiedy pewnego razu komendanta zaproszono do studia, żeby porozmawiać o planach zatrudnienia większej liczby młodych ludzi w policji, zagadnęła go o to.

„Psiakrew, a niech ją wszyscy diabli!” - wydarł się Irving. przekleństwa, jakich używa, są równie staroświeckie jak jego podejście do seksu.

- Płacz, skarbie, płacz - powtórzyłam, głaszcząc dziewczynę po ramieniu.

- Moje dziecko - zaczęła lamentować. - Moje dziecko nie żyje.

Rozdział 12

Z naszą pracą wiąże się pewne ryzyko zawodowe, mianowicie w obliczu wielkiego dramatu szybko zaczynamy postrzegać to, co tragiczne, jako heroiczne. Do tego nieustannie podzęgają nas media, uwielbiające takie historie, kiedy pogrążona w żałobie matka w ciągu tygodnia z osoby anonimowej przeistacza się w Madonnę Cierpiącą świata ubogich. Oczywiście wolą, jeśli później się okazuje, że nie jest ani jednym, ani drugim. Tak właśnie się stało z naszą młodą matką o imieniu DeBra. Jak twierdzi Tequila, ona od dawna była niezłą aktorką, a te kilka dni, gdy fotografowano ją nad białą trumną z płyt wiórowych (ilekroć umiera jakieś dziecko, dostarcza je nam za darmo zakład pogrzebowy Romero), ściskając różowego misia (wygrzebała go z pudła z darami) i lamentującą wniebogłose, pokazały tylko upadek moralny ludzi i lokalnej telewizji.

- Teraz to płacze, a ja słyszałam, że nieraz to dziecko sprąła - powiedziała Tequila, wkurzona jak nigdy. - To czego teraz ryczy?

Nie minął tydzień, a musieliśmy poprosić DeBrę, żeby się wyprowadziła, ponieważ paliła crack i piła mnóstwo alkoholu. Poskarżyła się dziennikarzowi z telewizji, ale woń whisky wpłynęła nieco na obniżenie jej wiarygodności jako rozpaczającej matki, którą odgrywała przed kamerami.

- Czemu ona głupia chleje? - powiedziała Tequila. - Zobaczysz, jak tylko urodzi, odbiorą jej to dziecko i tyle.

- To ona jest w ciąży? Myślałam, że jest po prostu gruba. Przepraszam: puszysta.

- Kochana, do mnie możesz mówić gruba. Ja nazywam rzeczy po imieniu. Ja też jestem gruba, ale piękna. A ona jest i gruba, i w ciąży. Za jakieś trzy miesiące zadzwonię po kuratora, bo jak Boga kocham, nie chcę mieć tego dzieciaka na sumieniu.

- Kurczę, a ja myślałam, że to porządna dziewczyna. Tak mi jej było żal.

- Nabrała cię, złotko. My jesteśmy w tym dobrzy. Wiemy, czego wy, biali, od nas oczekujecie, i gramy odpowiednie role. powinnaś słyszeć, co opowiadają wieczorami te dziewczyny, które robią jako niańki. Uuu, włosy dęba stają.

- Zachowaj to dla siebie.

- No pewnie.

W związku z zawaleniem się budynku codziennie musiałyśmy odprawiać ludzi z kwitkiem, a ja przez dwanaście godzin na dobę starałam się znaleźć jakieś wolne lokale albo miejsca w szkołach dla dzieci. Do wszystkich matek zwracałam się: „mamusiu”. Nie było czasu, żeby poznać wszystkich z imienia. Do dzieci mówiłam: „skarbie”, „złotko”, „przystojniaczku”, „księżniczko”. Uniwersalne zdrobnienia, będące ostatnim ratunkiem zabieganego pracownika opieki społecznej.

- Mamusiu, zostawiamy ją na razie w starej szkole czy mam ją zapisać do tej nowej, bliższej? - zapytałam matkę trzecioklasistki, tulając się do jej ramienia i głośno ssając kciuk. W poszukiwaniu jakiegoś zaświadczenia kobieta wypakowała całą zawartość torebki, wyjmując przy tym taką ilość leków, że moje biurko wyglądało jak lada w aptece. Na wszelki wypadek na wierzchu zostawiła inhalator. To nieodłączny symbol dzielnic takich jak nasza. Tutaj wszystkie dzieci mają astmę. Przeprowadzone przez jakichś lekarzy badania wykazały, że to z powodu karaluchów, ale równie dobrze przyczyną może być kruszący się tynk. farby z dużą zawartością ołowiu, emisja spalin z autostrady Cross Bronx albo kiepskie odżywianie.

- Ona w zeszłym tygodniu w ogóle nie była w szkole - odparła matka. Zajrzałam w dokumenty. Ta miała na imię Jackie. - Mieszkałyśmy przy parku i tam chodziła do szkoły, ale potem pękła ta rura i przeprowadziłyśmy się do mojej siostry, więc chodziła tam. Chciałam ją później z powrotem umieścić w poprzedniej szkole, ale gdzieś zgubili jej papiery. Ona może wymagać zajęć wyrównawczych. Nie czyta najlepiej.

Nic dziwnego. Jak się okazało, dziewczynka w ciągu trzech lat chodziła do sześciu różnych szkół.

- Tequila! - ryknęłam.

- Nie musisz na mnie krzyczeć.

- Przepraszam. Dałoby się jakoś załatwić miejsce dla tej małej w szkole?

Tequila wydała z siebie charakterystyczne cmoknięcie, oznaczające mniej więcej: „Te twoje nedorzeczne wymagania wpędzą mnie kiedyś do grobu”. Potem ciężko westchnęła, co z kolei znaczy: „Ale ja, Tequila Johnson, jakoś sprostam temu wyzwaniu”. Takie przedstawienia kabuki regularnie odbywają się w naszym

biurze. Na koniec uśmiecham się słodko, przechylam głowę i wzruszam ramionami. Ja jestem tylko pionkiem w tej grze.

- Chodźcie ze mną - powiedziała Tequila, pakując się do mojego biura. - Pani Fitzmaurice i tak musi odebrać telefon. Jakiś Joseph Murphy chce z tobą gadać, ale taki z niego waźniak, że sam się nie pofatygował, tylko kazał to powiedzieć jakiejś babie: „Czy zastałam panią Fitzmaurice? Pan Joseph Murphy chciałby z nią rozmawiać”. „Nie wiem” - mówię. - „A ten pan Murphy to na pewno tam jest, bo nie wydaje mi się, żeby to był jego głos?”.

- Czekaj - przerwałam jej i podniosłam słuchawkę. Kobięcy głos spytał mnie, czy to ja, i dodał: „Proszę poczekać, łączę z panem Murphym”. Podałam słuchawkę Tequili. - Jak podejdzie do telefonu, powiedz mu: „Proszę poczekać, łączę z panią Fitzmaurice”. - Tequila uśmiechnęła się diabelsko. Ona uwielbia pokazywać ludziom, gdzie ich miejsce.

Joseph Murphy to prezes stacji telewizyjnej, w której pracuje Meghan. Wcześniej był prezesem firmy produkującej i sprzedającej samochody, a jeszcze wcześniej innej, wytwarzającej urządzenia gospodarstwa domowego. Na pierwszym zebraniu z pracownikami popełnił błąd, opisując strategię rozwoju stacji jako zbliżoną do tej, jaką stosował w tamtych firmach. „To nie jest tylko tworzenie programu” - powiedział. - „Musicie to traktować jak produkt”.

Meghan przezwiała go Kundelek Joe - Joe i tak jakoś zostało. Czasami, gdy wychodził z newsroomu, dokąd lubił wpadać, aby pokazać, że wie, jak to ujął, „gdzie bije serce stacji”, ludzie zaczynali szczekać. Sądził, że to jakaś dziennikarska tradycja, taka sama jak to, że aby zrobić reportaż, koniecznie trzeba się udać na miejsce zdarzenia, chociaż według niego równie dobrze można by wykorzystać gotowy materiał z lokalnego oddziału stacji.

- Dzień dobry, pani Fitzmaurice - przywitał się. - Chyba nie mieliśmy okazji się poznać. Jak się pani miewa?

- Dziękuję, dobrze, panie Murphy. Prawdę mówiąc, spotkaliśmy się na przyjęciu z okazji pięciolecia programu. Odbyłam wtedy długą pogawędkę z pańską żoną. - Najwyraźniej Joe i Rita po beztrudnych latach spędzonych w Detroit i Indianapolis mieli ogromne trudności z opanowaniem kodeksu towarzyskiego Nowego Jorku. Ludzie mediów uważali, że za bardzo myślą kategoriami biznesu, ludzi biznesu natomiast zawsze drażniło to, w jaki sposób działał informacyjny stacji

przedstawia ich praktyki. Rita była wyjątkowo niedyskretna. Piła białe wino jak wodę i zachowywała się tak, jakbyśmy gawędziły na kalifornijskiej plaży w samo południe. Z miejsca ją polubiłam. W dodatku była wielbicielką Meghan i potrafiła cytować z pamięci najlepsze teksty z jej programów. Lubiłam sobie wyobrazać, że tak robiliby nasi rodzice, gdyby żyli, tylko że najpierw musieliby być tego typu rodzicami. To wszystko jednak wydarzyło się, zanim moja siostra wypowiedziała na głos słowa „cholerny skurwysyn”. Wątpię, czy Rita zalicza się do kobiet uważających, że Meghan postąpiła słusznie, nazywając tak Greenstreeta. Kiedy Joe obejmował stanowisko prezesa, pierwszą rzeczą, o jaką go poprosiła, było załatwienie audiencji u papieża.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Naruszyłam jedną z żelaznych zasad obowiązujących w tym mieście: jeżeli ktoś mówi, że cię nigdy wcześniej nie spotkał, nie wyprowadzaj go z błędu, zwłaszcza jeśli masz niższą pozycję. Jakże mogłam o tym zapomnieć, biorąc pod uwagę, ilu dziennikarzom, dyplomatom, pisarzom czy zarządcom funduszy hedgingowych byłam przedstawiana trzy, cztery, pięć razy?

- Panie Murphy?

- Mów mi Joe. Ty jesteś Bridget, prawda? Mam siostrę o tym samym imieniu.

Pewnie też Coleen, Maureen i Mary Pat, mogę się założyć. Usłyszałam czyjś nosowy oddech w słuchawce, ale nierozsądnie byłoby teraz krzyknąć: „Tequila!” Niewielu ludziom z jego środowiska to słowo kojarzy się z imieniem.

- Pozwoliłem sobie zadzwonić, Bridget, ponieważ próbuję się skontaktować z twoją siostrą i mam z tym ogromne problemy. Zostawiłem ze sto wiadomości u jej asystentki i na automatycznej sekretarce w domu. Dzwoniłem nawet do agenta i do biura jej męża. Nijak nie mogę jej namierzyć.

- Wyjechała na urlop, Joe. Nieczęsto ma ku temu okazję, ale jak już się uda, lubi porządnie odpocząć. Zaszyć się gdzieś. Zniknąć z pola widzenia. Odciąć się od świata. - Skończyły mi się pomysły.

- Oczywiście, rozumiem. Ja też lubię, chociaż moja małżonka narzeka, że zbyt często wydzwaniam do pracy. Ale chodzę na golfa, trochę grywam w tenisa. Twoja siostra gra w tenisa, o ile dobrze pamiętam?

Dobrze pamiętał. Wycisnęła z niego kiedyś siódme poty w meczu par mieszanych podczas turnieju charytatywnego. Biedak zrobił się taki czerwony od słońca, że sanitariusze w narożniku kortu prawie przez cały mecz trwali w półprzysiadzie, gotowi w każdej chwili biec na pomoc. Przypomniawszy to sobie, a teraz sam zamierzał zapędzić ją pod siatkę. Stary dobry Joe "Hau - hau" Murphy.

- Na pewno skontaktuje się z tobą, jak tylko wróci.

- Hm, jest pewien problem, Bridget. Ja muszę się z nią skontaktować natychmiast. Ostatnio zrobiło się tu trochę gorąco i wyniknęło kilka kwestii, które musimy z Meghan wyjaśnić. Wiem tylko tyle, że pojechała na tydzień do Grosvenor's Cove. Nasi starzy przyjaciele Braithwaite'owie - znasz ich? On zasiada w radzie muzeum - widzieli ją tam. Susan Braithwaite mówiła Ricie, że Meghan wyglądała cudownie.

- Joe, jestem pewna, że recepcjonista w Grosvenor's Cove chętnie cię z nią połączy.

- O tak, to bardzo miły człowiek. Ma na imię Cecil, ale wymawiane po brytyjsku: Ce - cil. I piękny głos przy okazji. Problem w tym, że ona się wymeldowała.

- Aha. - Dyszenie w słuchawce ustało. Tequila albo intensywnie nad czymś myślała, albo wykręcała właśnie numer do Cecila.

- Mieszkała tam tydzień, a później wyjechała. A tu mija prawie miesiąc, odkąd się nie odzywa. No i ktoś mi podpowiedział: „Jeżeli ktokolwiek będzie umiał ją znaleźć, to tylko jej siostra”. Dlatego właśnie postanowiłem najpierw zadzwonić do ciebie, zanim skontaktuję się z ambasadorem. Wyobrażasz sobie być ambasadorem na Jamajce? To dopiero fucha.

Gwałtownie szukałam w głowie jakiegoś pomysłu.

- Ojej, przypomniałam sobie, że wyjeżdżając, zostawiła jakiś numer w Cove - powiedziałam. - Tutaj go nie mam, ale zadzwonię do ciebie z domu, dobrze?

- Byłbym bardzo wdzięczny, Bridget. I przekaż Meghan, że cały czas o niej myślimy. - Goście z Federalnej Komisji Łączności pewnie też.

- Jezusie Nazareński! - zawołała za ścianą Tequila. Obie z Alison weszły do mnie i zamknęły za sobą drzwi.

Kiedy w moim biurze przebywają trzy osoby, można się poczuć jak w metrze w godzinach szczytu. Tequila, siadając, strąciła z biurka plik kartek.

- Zaginęła - powiedziała.

- Nie bądź śmieszna. Po prostu Murphy nie umie jej znaleźć. Gdybyś ty była jego sekretarką, rozmawiałby z nią teraz przez telefon.

- I co by jej powiedział? - zapytała Alison.

- Ja też kiedyś uciekłam - wyznała Tequila.

- Kiedy?

- Nieważne. Czasem człowiek nie ma ochoty patrzeć na ludzi. Ani wysłuchiwać żadnych pytań, tych wszystkich bzdur, jak to się martwią o twój los, tych zatroskanych spojrzeń typu: „Och, nie, Tequilo, czasy teraz ciężkie”. Człowiek woli się gdzieś zaszyć.

- W jakiejś gazecie dzisiaj czytałam, że Meghan poszukuje nowych możliwości realizacji zawodowej - powiedziała Alison.

O oskarżonym mówi się, że wszystkie fakty przemawiają przeciwko niemu, o pacjencie, że ma złe rokowania. Ale w telewizji nazywa się to poszukiwaniem nowych możliwości. W każdym przypadku oznacza to pocałunek śmierci.

- Już lepiej, gdyby napisali, że wyjechała na odwyk - powiedziałam, biorąc do ręki stary, nieforemny garnuszek, w którym trzymałam przybory do pisania. Moje pierwsze własnoręcznie wypalone naczynie. Pocałunek śmierci dla bezdziejnej, czterdziestotrzyletniej kobiety. Wykonany własnoręcznie koślawy gliniany przedmiot na biurku.

- W innej gazecie napisali, że jest w klinice odwykowej. Zadzwonił mój telefon. Tequila podniosła słuchawkę i znów odezwała się tym swoim wyniosłym tonem, a następnie nacisnęła guzik HOLD.

- Masz dzisiaj powodzenie u mężczyzn - powiedziała. - "Pan Altercation" [Ang. „kłótnia, scysja" (przyp. tłum.)].

- Nie znam nikogo takiego. Szczerze mówiąc, nie chce mi się też wierzyć, że może istnieć ktoś o takim nazwisku.

- Musiałaś się przesłyszeć, Tequilo - wtrąciła Alison. Tequila wypięła swój ogromny biust, co robi zawsze, gdy jest zirytowana. Ma piersi babki i patykowate nogi dziadka, co podkreśla jeszcze bardziej, nosząc z uporem obcisłe legginsy i wielkie, luźne bluzy, modne w czasach, kiedy była nastolatką, zwykle z czymś błyszczącym z przodu. Dzisiaj z wypiętej piersi spozierał na nas groźnie tygrys

wyszywany cekinami. Tequila się najeżyła, pewnie dlatego, że dobrze pamięta, jak często jej własne imię było podawane w wątpliwość.

- Altercation, Altercation. Znasz go. To ten, co nam dał kupę forsy. Myśmy myślały, że nas robisz w konia, a ty powiedziałaś, że to nie żart.

- Prevaricator?

- Przecież mówię! - Tygrys o mało się na nas nie rzucił.

- Pani Fitzmaurice? - odezwał się łagodny głos w słuchawce.

- Proszę mówić do mnie Bridget. Jak się miewa pańska wnuczka?

- Moja wnuczka?

- Ta, która nauczyła się na pamięć Kota Prota. Delikatnie się zaśmiał.

- Jak miło, że to pamiętasz. Teraz jest na etapie Amelii Bedelii.

- Założę się, że panu też się podobała.

- Prawdę mówiąc, właśnie niedawno rozmawiałem o niej z twoją siostrą. Stąd mój telefon. - Szybko sięgnęłam po notes i ołówek, przy okazji strącając z biurka przycisk do papieru z logo Patrolmen's Benevolent Association [Stowarzyszenie policjantów (przyp. tłum.)] i pudełko spinaczy. Notowałam, a Alison i Tequila w tym czasie siedziały nieruchomo na krzesłach. Kiedy zapytałam: „No i jakie wrażenie na panu zrobiła?”, obie nachyliły głowy.

- Dziękuję - powiedziałam po chwili. - Jestem panu niewymownie wdzięczna. Jeszcze raz dziękuję.

Odłożyłam słuchawkę.

- Miałaś rację, Tequilo. Ona po prostu chce zniknąć na jakiś czas. Nie odbiera komórki, nie zostawiła nikomu telefonu ani adresu. Ale mam numer faksu do niej.

Wyrwałam kartkę z notesu i napisałam wielkimi literami: „KIEDY WRACASZ DO DOMU?”. Tequila natychmiast wzięła ją ode mnie i za chwilę usłyszałam pikanie naszego starego faksu, podarowanego nam przez kancelarię prawniczą. Całe wyposażenie biura pochodzi z darów od firm. Każde biurko, komputer, krzesło. Pikanie ustało. W tym momencie gdzieś w głębi Jamajki, w małym domku nad oceanem, użyczonym Meghan przez Edwarda Prevaricatora, który spotkał ją w Grosvenor's Cove i zrozumiał, że potrzebuje azylu, stojący w kuchni faks wypluwał moje słowa.

- Padam z nóg - jęknęłam. - Jadę do domu.

- Dzwonił też twój siostrzeniec. Nic ważnego, chciał tylko pogadać. A komisarz Lefkowitz powiedział, że ma dziś wieczorem zebranie na Staten Island. I jeszcze, że ta dziewczyna, DeBra, siedzi w więzieniu, bo znaleźli przy niej prochy. Podobno ryczała, awanturowała się, mówiła, że to dlatego, że jej dziecko umarło.

- Jezu, naprawdę jestem zmęczona. - Usłyszałam krople deszczu uderzające w metalowy włącz do piwnicy na tyłach domu. Przydałoby się wymienić dach w budynku przejściowym, ale jeszcze nie znalazłam sponsora. Mam nadzieję, że nie przecieka. Zaczynało padać coraz intensywniej. - Nie masz może zapasowej parasolki? - zapytałam Alison.

Nazajutrz rano znalazłam na biurku gazetę otwartą na stronie z notatką o aresztowaniu DeBry, wezwanie do sądu dla jednej z matek ze schroniska w związku ze starą sprawą o narkotyki oraz kartkę papieru, na której było napisane: „NIE WRACAM. O NIC SIĘ NIE MARTW”. Mój gliniany kubek z niewiadomego powodu zachwiał się i wylądował na ziemi, rozbijając się na dwie duże, niezgrabne części. Długopisy schowałam więc do szuflady, a skorupy wyrzuciłam do śmieci.

Rozdział 13

Meghan zabrała mnie raz na lunch do pewnej knajpy na środkowym Manhattanie, słynącej z tego, że przychodzą tam na lunch ludzie tacy jak Meghan. Prawdę mówiąc, ona rzadko jada na mieście, bo woli skosztować sałatkę przy biurku albo w domu, po powrocie z basenu. Jednak kiedy już się gdzieś wybiera, to właśnie do tej knajpy, gdzie karmią średnio, a klientelę stanowią głównie ludzie mediów. Część jej uroku polega na tym, że personel zna wszystkich, którzy cokolwiek znaczą w telewizji, w przemyśle filmowym lub w mediach drukowanych. Wiele z tych osób spędziło tyle czasu z nosem przy szybie, zaledwie ocierając się o świat prawdziwej amerykańskiej arystokracji czy nowych amerykańskich fortun, że usłyszenie, jak maitre d' mówi: „Dzień dobry, pani Fitzmaurice”, daje im to poczucie spełnienia, którego nie jest w stanie zepsuć żadna ilość przesolonego łososia.

Nie rozumiem fenomenu tego miejsca. Tam nie da się o niczym sensownym porozmawiać. Wtedy, gdy tam poszliśmy z Meghan, nie mogłyśmy obgadać dziennikarki z konkurencyjnej stacji, od lat próbującej wygryźć moją siostrę ze stanowiska, ponieważ siedziała kilka stolików dalej. Nie mogłyśmy obgadać Josha, producenta programu Meghan, nazywanego przez nią Josh 3.0 (powtarza, że kiedy wyjdzie wersja 4.0, będzie miała od razu zainstalowaną umiejętność selekcji newsów i poczucie humoru), ponieważ jego żona, agentka, siedziała przy stole obok. Nie mogłyśmy nawet obgadywać ludzi nieobecnych w knajpie, bo za plecami Meghan siedział dziennikarz z plotkarskiej gazety i tak skrupulatnie przysłuchiwał się wszystkiemu, co mówimy, że nazajutrz ukazała się wzmianka o tym, że Meghan skrytykowała sałatkę Cobb. Ja też ją jadłam i wierzcie mi, była kiepska. Za mało sera i boczku, a za dużo sałaty.

Byłyśmy więc zmuszone przez cały czas rozmawiać b szkole Leo, o tym, czy powinnam poszukać większego mieszkania i czy nie należałoby przenieść cioci Maureen do domu seniora z całodobową opieką. Miałam więc rewelacyjny lunch. Apetyt dodatkowo odbierał mi widok tych wszystkich nienawidzących się nawzajem ludzi, całujących się dwa razy w policzki, jakby urodzili się we Francji, a nie na przedmieściach Chicago czy Filadelfii. Większość z nich to mało

sympatyczne osoby, które triumfalnie wkroczyły do klasy średniej za pomocą własnych łokci.

Był jednak jeden ciekawy moment, kiedy to przy stoliku, gdzie siedzieli sami faceci - dwóch menedżerów z telewizji, jeden producent filmowy i jeden agent - jednocześnie odezwały się komórki. Wszyscy oczywiście odebrali telefony, wstając i oddalając się w ustronne miejsce na wypadek, gdyby to dzwoniła asystentka w sprawie kontraktu, w którym próbują wyrolować kogoś ze współbiedniaków. Gdy kolejno wrócili na swoje miejsca, zapanowała ogólna wesołość. Po chwili cała sala została wprowadzona w temat: trzy asystentki zadzwoniły z informacją, że czwarty kolega spóźni się na lunch, a tymczasem jego asystentka zadzwoniła do niego, aby mu powiedzieć, że poinformowała pozostałych o rym, że się spóźni.

- I żeby się chociaż spóźnił! - rechotali.

Wtedy zjawił się kierownik restauracji, aby osobiście dostarczyć właśnie otrzymaną wiadomość, że pan Jakiśtam nieco się spóźni. Sala dosłownie zatrzęsała się od śmiechu. Fakt, że wszyscy uznali to za najzabawniejszy punkt dnia, znakomicie wyjaśnia kiepską jakość większości filmów i programów telewizyjnych, zwłaszcza tych w zamierzeniu śmiesznych.

I żeby się chociaż spóźnił! Już słyszę ten śmiech z taśmy.

To zdarzenie uświadamia także, jak trudno w dzisiejszych czasach „zniknąć z radarów”. A jednak Meghan to się udało, skutecznie i całkowicie. Później pokazała mi zakurzoną stertę faksów z firmy z błaganiami o telefon i umówienie się na lunch z prezesem: prosili o spotkanie w celu omówienia kwestii jej przyszłości w firmie, żądali, aby się skontaktowała natychmiast po powrocie, straszili, że narusza warunki kontraktu. Ale w świecie, gdzie każdy człowiek jest dostępny na zawołanie, Meghan stała się absolutnie nieosiągalna. W świecie, który upodobił się do tej restauracji (przyjaciele, rywale i sojusznicy - wszyscy nadstawiają uszu na wiadomości płynące z telefonów komórkowych, e - maili i rozmów przy stoliku), aby mieć święty spokój, trzeba zniknąć.

To mi przypomniało czasy, kiedy Meghan była na pierwszym roku studiów w Smith College i nie zjawiła się w domu aż do Bożego Narodzenia. Posyłałam jej długie, rozwlekłe listy. Pisałam w nich o wszystkim: o moich kłopotach z algebrą, o kocie przygarniętym ze

schroniska, o namalowanym przeze mnie obrazku przedstawiającym park o zachodzie słońca. W odpowiedzi dostałam kilka pocztówek, z tak zdawkowymi zdaniami, że brzmiały jak wróżby z chińskich ciasteczek: „Pomiziaj ode mnie kota!”, „Nie przejmuj się matką!”, „Pierwszy rok jest najtrudniejszy!”. To było tak do niej niepodobne, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie zaczerpnęła tych haseł z jakiegoś podręcznika dla starszych sióstr. Dopiero później się dowiedziałam, że Meghan czuła się tam bardzo źle i uważała, że to dla niej za wysokie progi. Z tego powodu zaczęła unikać zajęć i w sumie większą część semestru przesiedziała w swoim pokoju.

„Ona jest jakby zawieszona między dwoma światami” - powiedziała kiedyś o niej koleżanka z liceum.

Cioci Maureen łatwo jest mówić, że Meghan zawsze taka była i że teraz też na pewno zapragnęła się „ukryć pod gankiem i w samotności zmierzyć z problemami. Ja jednak miałam złe przeczucia. Jej zniknięcie zaczynało nabierać poważniejszego, bardziej złowrogiego charakteru, zupełnie jakby była objęta programem ochrony świadków dla osób na zakręcie życiowym. Być może gdzieś tam odzyskiwała siły, ale mnie nie dawała spokoju jedna myśl: z daleka moja siostra sprawiała wrażenie strasznie rozbitej, słabej i zagubionej.

Artykuły na jej temat powoli znikły z gazet, a wzmianki o dochodzeniu Komisji stały się rzadsze, odkąd nałożyła ona na stację karę w wysokości stu tysięcy dolarów. To suma z grubsza współmierna do kwoty, jaką pochłaniają rocznie koszty reprezentacyjne Meghan. Jeśli chodzi o miejsce jej pobytu, stacja nie mogła zdradzić, że go nie zna, a inne stacje nie mogły pokazać po sobie, że obchodzi ich los największej gwiazdy konkurenta. Poważne gazety nic nie pisały, bo nie zajmują się takimi sprawami, chyba że da się z nich ukreślić artykuł biznesowy - „Spadek notowań stacji po zmianach personalnych w paśmie porannym” - a brukowce były zajęte seryjnym mordercą z Ohio, gwiazdorem sitcomu, który postanowił się „ujawnić” (sensacja, o ile czytelnik nie jest przypadkiem gejem, bo wówczas jest to informacja spóźniona o jakieś pięć lat), oraz - co z tego wszystkiego najsmutniejsze - zaginioną żoną z East Side. Ma długie blond włosy, dwójkę dzieci i coś, co dziennikarze z uporem nazywają „apartamentem” wartym dwa miliony dolarów, jak gdyby na

dzisiejszym rynku nieruchomości mogło to oznaczać coś więcej niż dwie sypialnie i pokój dla służby.

Kolorowe pisemka nadal śledziły losy Meghan, ale odkąd opuściła Grosvenor's Cove, ograniczyły się do relacjonowania sporadycznych doniesień, że ktoś ją gdzieś widział. Meghan na jachcie znanego producenta programów komputerowych, jednego z konkurentów Bena Greenstreeta. Meghan w buddyjskim ośrodku medytacyjnym w Nepalu. Meghan starająca się po cichu o stanowisko prezenterki wieczornych wiadomości, o czym zawsze marzyła. To akurat prawda. Że o tym marzyła, a nie że coś potajemnie knuje.

Pewnego ranka odebrałam telefon od Hadley Booth, znanej bywalczynie salonów, wstrętnej babsztyla, jak mawia o niej Meghan. Przez wiele lat musiała się bardzo pilnować, żeby nie wyskoczyć z tym w obecności Petera Bootha, przyjaciela Leo, syna Hadley.

- Bridget? Tu Hadley - odezwała się w słuchawce, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółkami. - Pomyślałam sobie, że powinnaś o tym wiedzieć. Leo jest strasznie przybity. Strasznie. W ogóle nie ten sam chłopak. Wiesz, że jest dla nas jak drugi syn.

Zadrzałam na myśl, że ktokolwiek inny mógłby się uważać za matkę zastępczą dla Leo, tym bardziej jeśli miałyby to być Hadley Booth, kobieta, która pewnego razu zrobiła awanturę, kiedy na pokazie mody Chanel zamknęto jej drzwi przed nosem, ponieważ się spóźniła. Jednak wiadomość, że Leo cierpi - mimo że pochodziła z kłamliwych, napompowanych kolagenem ust Hadley Booth - przygnęła mnie znacznie bardziej.

- Nie wiedziałam, że Leo widział się w college'u z Peterem - powiedziałam.

- Są tacy zaprzyjaźnieni - gruchała. - E - maile, telefony, te wszystkie techniczne nowinki, w których ja się w ogóle nie łapię. Peter jest bardzo dużym oparciem dla Leo. Powiedziałam mu, że wielu moich przyjaciół wyszło z takich kłopotów. Widziałam to nie raz i wiem, że na końcu tego tunelu jest światło.

- Miałaś wielu przyjaciół, którym wyrwało się z ust brzydkie słowo na antenie ogólnokrajowej telewizji?

- To przecież symptom, Bridget, nie choroba, czyż nie? Nie połknęłam przynęty.

- Nie dalej jak wczoraj powiedziałam komuś: „Znam Meghan Fitzmaurice i mówię ci, że Meghan Fitzmaurice wyjdzie z tego kryzysu jeszcze wzmocniona”.

- I opalona - dodałam.

- Słucham? - spytała Hadley, nawet nie próbując ukryć zniecierpliwienia. Z trudem wykroiła wolną chwilę między laserowym peelingiem, ćwiczeniami pilates a zakupami na Madison Avenue, żeby wyciągnąć najświeższe plotki od biedniejszej, mniej znanej siostry i wieczorem na przyjęciu móc je rozgłosić na mieście. Tymczasem nadziała się na sarkazm. Zdałam sobie sprawę, że zachowuję się trochę jak Meghan.

- Mówiłam, że wróci opalona - powtórzyłam. - Ona wypoczywa na plaży, Hadley. Przepraszam, muszę kończyć: ćpun i gliniarz na mnie czekają. Zawsze miło jest z tobą porozmawiać.

Tak, zdecydowanie przemawiała przeze mnie Meghan. Kiedy zadzwoniłam do Leo, żeby mu powiedzieć o telefonie, on tylko westchnął do słuchawki.

- Bridey, nie słuchaj tego, co mówi pani Booth - odparł znużonym tonem. - To głupia baba. Peter nigdy jej o niczym nie opowiada. Poza tym przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że tak jest nawet lepiej. Tata nie chce za bardzo o tym gadać, dopóki nie będzie mógł tego zrobić z mamą, a z mamą nie rozmawiam, bo jej nie ma. A skoro nie muszę o tym gadać, będę miał trochę czasu, żeby się oswoić z sytuacją.

- To miło, że zdobyłeś się na taką wyrozumiałość wobec swojej matki.

- Miałem dobrego mistrza - powiedział. Nie bardzo wiem, czy miał na myśli Evana, czy mnie. To zły znak.

Kierownictwo stacji pozwalało porannej serwisantce (sympatycznej młodej dziewczynie, notorycznie zacinającej się przy co trudniejszych słowach) prowadzić czasem program w zastępstwie Meghan. Słowa „Zbudź się, szkoda dnia” wypowiadała tak, jakby wcześniej długo trenowała przed lustrem. Bardzo mnie to zdołowało. Leo jako dziecko miał prawo mieć żal, że mama upubliczniła ich własne, prywatne powitanie, lecz dla mnie usłyszeć z ust Susan Lomenty te same słowa, którymi moja siostra budziła mnie co rano - najpierw gdy nasza matka odbywała swą obowiązkową drzemkę dla urody (czym tak się chełpiła) i później, kiedy ciocia Maureen

pracowała na rannej zmianie w szpitalu - było nieskończenie większym zgrzytem niż publiczne obrażenie Bena Greenstreeta.

- Nie wierzę ci, Bridget - powiedział Evan, kiedy usiłowałam go przekonać, że nie mam pojęcia, jak się skontaktować z Meghan, co było prawie prawdą, jak tyle innych rzeczy. Od czasu tej pierwszej deklaracji nie dostałam od niej żadnej wiadomości. Dałam numer faksu jej asystentce, zaznaczając, by korzystała z niego oszczędnie, ale absolutnie nie miałam zamiaru przykładać ręki do tego, aby papiery rozwodowe zniecka zakłóciły Meghan te parne, wypełnione słodką wonią dni, jakie w mojej wyobraźni teraz spędzała, wpatrzona w błękitne wody oceanu roztaczające się przed nią niczym zwiewna połyskliwa tkanina znikająca na horyzoncie gdzieś w pobliżu Kuby.

Leo poinformował mnie, że zamierza dwa razy w tygodniu spotykać się z ojcem na obiedzie. Jak później stwierdził, pierwsze dwa spotkania były przyjemne, lecz - jak przewidywałam - trochę puste w treści, jako że mój siostrzeniec ogłosił moratorium na wszelkie wzmianki o mamie, jej miejscu pobytu czy wadach oraz o małżeństwie rodziców. Wyobraziłam sobie, jak to mogło wyglądać: Leo siedzi w milczeniu w jakiejś rajskiej, greckiej lub włoskiej knajpie niedaleko stacji Grand Central (żeby miał blisko do pociągu), a Evan wraca wspomnieniami do studiów w Amherst - zawsze się przy tym nienaturalnie ożywia, przyjmuje pozę równego, wesołego gościa, jakby chcąc pokazać, że jest kimś, że b y ł kimś.

„Tacie zrobił się łysy placek z tyłu głowy” - zauważył Leo. To mi przypomniało, że jest on tak samo skory do formułowania sądów i wynajdywania u ludzi słabych punktów, jak jego matka, chociaż nie ze złej woli. Kiedy go zapytałam, o czym rozmawiali, odparł: „O Jankesach”.

- Jankesi górą - powiedział Irving, kiedy później zdawałam mu relację w taksówce.

- Są beznadziejni - odezwał się kierowca z silnym obcym akcentem.

- Czyżby fan Metsów?

- Jasne. Metsi to drużyna klasy robotniczej.

- Widzisz? - mruknął do mnie Irving. - Dlatego powinniśmy wszędzie jeździć moim samochodem. - I już na głos dodał: - No tak, ja jestem gliniarzem. - Taksówkarz zaczął jechać tak wolno, że Irving dosłownie rwał sobie włosy z głowy. - Nam się śpieszy! - Wtedy

kierowca dodał gazu, tak że o mało nie wpadliśmy na mężczyznę idącego z psem przez przejście dla pieszych. Zanim dotarliśmy na miejsce, dostałam choroby lokomocyjnej. Wybieraliśmy się oczywiście do baru z owocami morza, jednego z trzech ulubionych typów restauracji Irvinga. Biedak siedział kiedyś naprzeciwko mnie na przyjęciu i przez pół godziny bez słowa wpatrywał się posepnie w miskę ogórkowego gazpacho. Ten facet kocha ketchup, azotyny i pączki.

Kocha też mnie. Przytrzymał mi włosy, kiedy obezwładnił mnie zapach sosu z małży pomieszany z odorem lekko sfermentowanych śmieci i zwymiotowałam do rynsztoka na rogu Grand i Mercer. Potem zrezygnował z zupy di pesce i zaprowadził mnie do malutkiego baru, gdzie serwują naleśniki, kluski i inne słodkie i ciężkie potrawy, pomagające uspokoić żołądek.

- Jadłaś coś dzisiaj w ogóle? - zapytał. Pokręciłam przecząco głową. - Widzisz? Tak nie wolno. Jesteś za bardzo zestresowana i nie dbasz o siebie. Weź jutro wolne, ja też wezmę.

- Nie mogę wziąć jutro wolnego - powiedziałam przez telefon do Alison jeszcze tego samego wieczoru.

- Owszem, możesz. Tylko wydaje ci się, że jesteś niezastąpiona.

- Wcale nie! - Nie ma to jak jedno celne spostrzeżenie, żeby nawet w małym dziecku obudzić jeszcze mniejsze dziecko.

Zrobiliśmy sobie więc wagiary i pojechaliśmy na Coney Island. W dodatku metrem, moim ukochanym środkiem transportu, zwłaszcza kiedy jadę w towarzystwie Irvinga. Co on takiego ma w sobie? Czasem patrzę na niego i myślę, że wygląda jak średniej rangi capo w przestępczej rodzinie Gambino, zamożny właściciel rodzinnej firmy sprzedającej tanią odzież sportową Kmartowi, dyrektor szkoły średniej w Sheepshead Bay, a nawet jak reporter brukowca. Może to te cały czas lekko przymrużone oczy o głębokim brązowym kolorze, wyglądające jak czarne. Ale jeśli w tym samym wagonie jedzie facet, który ma przy sobie nóż, spluwę, nożyk do tapet lub puszkę farby w sprayu, czy więzień na zwolnieniu warunkowym, odrobinę spóźniony z zameldowaniem się na policji, od razu pozna, że Irving to glina. Wokół niego tworzy się jakieś pole siłowe, a ja chowam się w środku razem z nim.

Starsi panowie obserwujący ocean z ławek na promenadzie pozdrawiali go pełnym szacunku skinieniem głowy. Do oceanarium

wpuszczono nas za darmo i mogliśmy popatrzeć, jak białugi uśmiechają się do nas zza grubej szyby i zgrabnym ruchem prześlizgują się w wodzie na drugą stronę basenu, ukazując przy tym swoje blade brzuchy. U „Nathana” facet za ladą podał nam trzy hot dogi z chili, dwie porcje frytek i dwa piwa korzenne, po czym machnął ręką, gdy Irving chciał mu wręczyć banknot dwudziestodolarowy.

- Zwariowaliście? - powiedział. - Chcecie płacić?

- Ech, gliniarze - mruknęłam, kiedy jedliśmy.

- To nie o to chodzi - wybełkotał Irving ustami wypchanymi bułką i chili. - Kiedy byłem młodszy, w każdą niedzielę zabierałem tu moją babcie. Jak spotkamy jakąś starszą panią, przyjrzyj się, jak się będzie zachowywać.

- No właśnie, dlaczego tak mało tu starszych kobiet? Wszędzie widzi się tylko facetów. A przecież statystycznie rzecz biorąc, kobiet w tym wieku powinno być dziesięć razy więcej niż mężczyzn. Na osiedlach socjalnych prawie wcale nie ma emerytów.

Irving przymknął jedno oko i wykrzywił wargę, co miało znaczyć: „Skądżeś ty się urwała, moje dziecko?”. To jest bardzo skuteczne. Widziałam, jak kiedyś podczas konferencji prasowej spojrzał w ten sposób na gubernatora i ten wycofał się z pozostałych trzech pytań, które chciał zadać komendantowi.

- Tam nie ma facetów powyżej dwudziestego piątego roku życia. Albo nie żyją, albo kiblują, albo poszli sobie gdzieś w diabły.

- Niemożliwe, żeby było aż tak źle.

- Jest źle. Tutaj to co innego. Ci goście na ławkach to ostatni żyjący żonaci mężczyźni. Dzień w dzień żony wyganiają ich z domów, żeby móc wypastować podłogę w kuchni, a potem wyskoczyć na lunch z koleżankami. Weszło im to w nawyk już w młodości: mąż wychodzi rano do pracy, żona sprząta, ogląda seriale, plotkuje z innymi babkami. Jak mąż przejdzie na emeryturę, ona nie może tego znieść. No to mu mówi: idź na spacer, przewietrz się, poćwicz trochę, przynieś mleka ze sklepu. Przyjedź tu kiedyś w lutym, a zobaczysz, jak te nieszczęsne sukinsyny siedzą w rękawiczkach, czapkach uszankach, okutani szalikami i telepią się z zimna na tych ławeczkach. Jak babcia jeszcze żyła, opowiadała mi o jednym takim, żonatym od pięćdziesięciu siedmiu lat. Pewnego razu zostawił żonę dla wdowy, mieszkającej w tym samym budynku co oni, tylko trzy piętra niżej.

Przychodzi do niego syn i mówi: „Co ty, do licha, wyprawiasz, ojczy?” A on na to: „Ona mi pozwala w dzień siedzieć w domu”.

- Zmyśliłeś to.

- Przysięgam, że to prawda.

Irving dokończył swojego hot doga i zgniótł tackę. To był jeden z tych złudnych wiosennych dni, kiedy słońce świeci tak przekonująco, że człowiek zaczyna myśleć o schowaniu zimowego płaszcza do szafy, a prezenter pogody w wieczornych wiadomościach dostaje dodatkową minutę lub dwie, żeby pokazać ujęcia dzieci grających w piłkę w parku lub parę spacerującą wśród żonkili. Przeszliśmy z Irvingiem pod podporami rollercoastera. Ten na Coney Island wygląda, jakby się trzymał na słowo honoru. Irving zarzeka się, że jest bezpieczny. Siedział tam bezdomny mężczyzna z psem; miał na sobie koszulkę z logo maratonu nowojorskiego, a w rękę trzymał kawałek tektury z napisem: "Weteran wojny w Zatoce. Czynniki pomarańczowy. Nie mam z czego żyć. Mój pies jest głodny. AIDS".

- Coś tu nie gra - mruknął Irving wrzucając mu do czapki banknot, którego nie chciał przyjąć sprzedawca u „Nathana”.

- Myślę, że małżeństwo to wielka tajemnica - powiedziałam, patrząc na dwóch skulonych staruszków, siedzących na odrapanej ławce tak blisko siebie, jakby chcieli się ogrzać w ten niezbyt ciepły majowy dzień.

- Raczej męczarnia. Jak leci, panie Kanterman? Dzień dobry, panie Beck.

- Irving! - zawołał jeden z mężczyzn. - Jak się czuje babcia?

- Przecież ona nie żyje - warknął na niego drugi i trzepnął go po żebrach wierzchem dłoni. - Umarła cztery lata temu. Odbywałeś sziwę, nie pamiętasz?

- Nic się nie stało, panie Kanterman, ja też bez przerwy o wszystkim zapominam.

- A co u żony?

I znów szybki cios, niczym u mistrza sztuk walki.

- On się rozwiódł, durniu! - Pan Beck (jak zdążyłam się zorientować) zmierzył mnie wzrokiem. Jego niebieskie oczy były tak przejrzyste, że można by go wziąć za ślepcę, gdyby nie wpatrywał się we mnie tak oskarżycielsko. - Chyba że się pojawiła nowa.

- Ja tylko jestem jego dziewczyną - wyjaśniłam. Pan Beck wydał się być zdegustowany faktem, że w ogóle umiem mówić, lecz pan Kanterman pokiwał głową, uśmiechnął się i rzekł:

- A, to dobrze, dobrze.

Ruszyliśmy dalej, ale pan Beck zawołał za nami:

- Irving! Irving! Masz przy sobie broń? Musisz być ostrożny. Oni są wszędzie.

- Twoja babcia zmarła dopiero cztery lata temu? - zagadnęłam, gdy Irving zapalił cygaro i energicznie wydmuchał dym pod wiejący od oceanu wiatr. Na horyzoncie widać było dwa tankowce, z tej odległości podobne do podpórek na książki wspierających z obu stron dwa wysokie bloki, zamieszkane przez tych wszystkich starych ludzi. Być może pewnego dnia te domy odcumują i odpłyną na południe, powiedzmy do Miami. Może właśnie na to czekają mieszkańcy.

- Nie, w osiemdziesiątym ósmym. Panu Beckowi wydaje się, że wszystko się zdarzyło cztery lata temu. Ciągłe tłucze tego biednego Kantermana. Aż się dziwię, że nie ma jednego wielkiego siniaka z boku.

- Tyle lat, a oni wciąż cię pamiętają?

- Tutaj czas się zatrzymał. W mieście, owszem, wszystko ciągle się zmienia, ale tu równie dobrze mogło to być cztery lata temu.

- To zupełnie tak jak na City Island. Pamiętasz, mówiłam ci kiedyś, że mieszkałam na City Island.

- Aaa, tam - Irving opuścił dłoń z cygarem, a drugą ręką mnie objął. - To prawie skansen.

- Kochałam to miejsce. - Jak większość prostych zdań oznajmujących, stanowiło to przesadne uproszczenie pomieszane z kłamstwem i zasnute mgiełką łaskawej niepamięci, zacierającej co gorsze chwile. Zaproponowano mi zaopiekowanie się domem, który właściciel budynku, gdzie wówczas wynajmowałam mieszkanie, dostał niedawno w spadku po śmierci swojej ciotki. Był to nieduży domek nad wodą. Ten pan nie mógł się zdecydować, czy go zatrzymać, czy sprzedać, ale wiedział, że jeśli będzie stał pusty, zostanie zalany, zdewastowany lub w jakiś inny tajemniczy sposób straci na wartości. W dniu, kiedy go poinformowałam, że wyprowadzam się z końcem miesiąca, zapytał, czy nie chciałabym pomieszkać przez jakiś czas za darmo. Właśnie w tym domu. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o istnieniu City Island, a jako mieszkanka

Nowego Jorku również po raz pierwszy usłyszałam, że można gdzieś mieszkać za darmo.

„Jak tam dojechać?” - zapytałam.

Nie jest łatwo dostać się na wyspę. Najpierw trzeba dotrzeć metrem do autobusu, a potem autobusem przez most. Nie bez przyczyny. City Island jest tak bardzo odmienna od reszty miasta, że ilekroć tam wracałam (a w ciągu trzymiesięcznego pobytu opuściłam ją zaledwie kilka razy), byłam przygotowana na to, że jej nie będzie, że zniknęła we mgle, jak miraż. Była niczym malutka wioska rybacka z Nowej Anglii ulokowana o rzut kamieniem od topornych sowieckich wysokościorców centralnego Bronksu. Równie trudno było trafić do domu. Stał przy wąskiej ślepej uliczce schowanej za szerokim bulwarem wychodzącym na ocean. W środku były niebieskie wykładziny, kraciasta kanapa we wczesnoamerykańskim stylu, jaki zapewne przypadłby do gustu purytanom, gdyby zaopatrywali się wówczas w sklepach dyskontowych, oraz rozkładany fotel z zielonym obiciem ze skaju, stojący pomiędzy ciasną i niską kuchnią a telewizorem.

„Taka młoda dziewczyna nie wytrzyma tu długo” - powiedział miejscowy aptekarz, do którego poszłam kupić podpaski i tabletki przeciwbólowe.

To było idealne miejsce, żeby się zaszyć po utracie pracy i usunięciu ciąży. Udało mi się zaoszczędzić trochę pieniędzy, zarobionych w kancelarii adwokackiej Stinson, Reilly i Jacoby. Nic dziwnego, że mnie wyrzucili. Tkwiłam tam w zawieszeniu pomiędzy dwiema grupami entuzjastek: starszymi kobietami ze średnim wykształceniem, które odnalazły swoje powołanie w byciu służebnicami jednego ze wspólników firmy, a młodymi, dynamicznymi panienkami w czarnych kostiumikach, absolwentkami najlepszych uniwersytetów, odbywającymi obowiązkowy dwuletni staż przed studiami w Columbia Law School i mającymi ambicje na siedmiocyfrowe kontrakty. Asystentka w nowojorskiej kancelarii adwokackiej uważająca, że powinna pracować mniej niż osiemdziesiąt godzin tygodniowo i mieć wolne weekendy, a na dodatek konsekwentnie przychodząca do pracy w kwiciastej spódnicy i chodakach, aż się prosi, by wylecieć i wylądować jako kelnerka w knajpie. Tak też się stało. Mieszkając na wyspie, pracowałam przez jakiś czas na porannej zmianie w małym barze. Podawałam śniadania

od piątej do dziesiątej rano. Jednak większość czasu spędzałam w domu, leżąc na kanapie przykryta dzierganym pledem w rudawym kolorze, wydzielającym ten charakterystyczny, duszący, słodkawy zapach starej kobiety, i gapiłam się w telewizor, zajadając pączki. Boże, jak ja uwielbiam pączki. Mogłabym je jeść całymi dniami. No i jadłam. Do czasu, gdy krwawienie ustało, zdołałam przytyć pięć kilogramów i dałam się na dobre uwikłać w intrygi seriali One Life to Live oraz powtarzanych - o ironio - Prawników z Miasta Aniołów. Miałam trzydzieści trzy lata i robiłam się coraz grubsza i głupsza w tej zapomnianej wiosce. Z ludźmi miałam kontakt jedynie w barze, kiedy na zachmurzonym lutowym niebie niemrawo wschodziło słońce - zazwyczaj ktoś prosił o więcej masła na toście lub o dodatkowy kubek kawy.

„Boże, to jednak jest nora” - powiedział właściciel, zjawiając się tam pewnego razu ze swoim znajomym, który miał mu pomóc wycenić dom. Milcząco pokiwałam głową, choć miałam zamiar go zapytać, czy nie wynająłby mi go na następne dwa lata.

W dniu, kiedy odwiedziła mnie Meghan, wróciłam po skończonej zmianie, zrzuciłam z siebie przesiąknięty zapachem syropu i masła służbowy strój w postaci białej bluzki oraz czarnych spodni i wepchnęłam go w głąb szafy. Potem wyciągnęłam się na kanapie ubrana w coś, co ciocia Maureen nazwałaby podomką. Zaczęłam nawet nosić ciuchy, które znalazłam w szafach: workowate koszule zapinane na zatrzaski, bezkształtne spodnie ze śliskiej syntetycznej tkaniny i sukienki z wielkimi naszywanymi kieszeniami zapinane na zamek.

„Robiłaś naleśniki?” - zapytała Meghan, zdejmując czarny wełniany płaszcz i przewieszając go przez oparcie fotela. - „A kawę masz?”.

Pokręciłam głową w milczeniu. Zmyliły ją barowe zapachy, wniesione przeze mnie do domu we włosach i na ubraniu. Słyszałam, jak tłucze się w kuchni. Wróciła z pączkiem i ciepłą colą. Meghan potrafi się przystosować do każdego warunków. Między innymi dzięki temu, że ryle razy przebywała w miejscach, gdzie trwała wojna. Jadła już konia, psa i chyba też węża.

„Tak sobie leżysz i oglądasz?” - zapytała, wskazując na telewizor, w którym leciał akurat teleturniej.

„Pracuję od piątej do dziesiątej. Jestem kelnerką w barze” .

Meghan przeżuwała w milczeniu. Na twarzy wciąż miała ślady telewizyjnego makijażu.

„Mary Todd Lincoln” - rzuciła. To była odpowiedź na pytanie zadane przez prowadzącego. - „Teoria względności. W tysiąc dziewięćset czternastym. Boston Red Sox. David Copperfield. Dziewiętnasta poprawka”. - Zadzźwięczały szyby w oknach. Wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam, jak mała, na pół uschnięta jabłoń na podwórku sąsiadów pochyła się na wietrze, zginając w ukłonie powykęcany pień. Na wyspie pogoda zapewniała podkład muzyczny.

Meghan schyliła się i wyłączyła telewizor.

„To miejsce wygląda jak mały kawałek Nantucket” - stwierdziła - „zanim przyszli bogacze i je zniszczyli”.

„Kocham to miejsce” - rzuciłam tak samo bezmyślnie, jak wiele lat później do Irvinga. Podejrzewam, że to była kropla, która przelała czarę.

„Co się z tobą dzieje?” - grzmiała Meghan, krążąc po pokoju. - „Spójrz na siebie! Zaczynasz się zachowywać jak ona. Już nie pamiętasz, jak to było? Jak całymi dniami wylegiwała się u siebie w pokoju, i ten zapach Chanel nr 5, Boże, można się było udusić, jak się tam weszło. Śmierdziało, jakbyś zwiędłe kwiatki zalała whisky”.

„Nie wiem, o czym mówisz”.

„Och, przestań, Bridget! Myślisz, że gdybym codziennie, od rana do wieczora przesiadywała w łóżku, czytała durne romansidła, jadła posiłki przynoszone na tacy i raz dziennie widywała się z Leo, żeby zapytać: »Jak było w szkole, kochanie?«, to on by tego nie pamiętał?”.

„Właśnie ci to mówię, Meghan. Ja nie pamiętam tego, co ty”.

„Nie pamiętasz, jak co rano przygotowywałam ci ubranie do szkoły? Nie pamiętasz, jak wieczorem pomagałam ci w lekcjach? Nie pamiętasz, jak uczyłam cię dzielenia?”.

„Możliwe”.

„Możliwe?!” - teraz już zaczęła na mnie krzyczeć i nie wiem dlaczego, ale w tym momencie przypomniało mi się, jak pewnego razu w nocy zdawała relację z wydarzeń w jakimś państwie w Ameryce Środkowej. Powiedziała wtedy szeptem Jo mikrofonu: „Partyzanci bezustannie się ostrzeliwiają, ale w tej chwili na moment zapadła taka cisza, że słyszę własny oddech”. Nikt na świecie poza mną nie potrafiłby zdekonstruować tego zdania. Jeżeli Meghan była w

stanie słyszeć własny oddech, to znaczy, że oddychała szybko. A ponieważ jej tętno spoczynkowe, przez to całe pływanie, waha się gdzieś między stanem śpiączki a snem, to skoro miała przyspieszony oddech, musiała czuć strach. A kiedy Meghan się boi, to znaczy, że naprawdę jest czego. Była akurat w ciąży z Leo, kiedy ją tam wysłali. Zarzekała się później, że nic o tym nie wiedziała, ale do dziś mam wątpliwości.

Gdy Meghan podnosi głos, to znaczy, że ktoś zrobił coś bardzo, bardzo niedobrego. Nie powiedziałam jej o aborcji, ale chyba sama się domyśliła. Ściągnęła ze mnie pled i rzuciła go na podłogę.

„Zbudź się!” - krzyknęła. - „Idź pod prysznic, załóż na siebie jakieś normalne ciuchy i weź się w garść. Nie leż w łóżku, wystaw nos z domu i zrób coś wreszcie ze swoim życiem”.

„Ja nie jestem tobą, Meghan”.

„Nikt tego od ciebie nie oczekuje. A najmniej ja. Ale, na miłość boską, Bridge, nie sądzisz, że już pora wydorosnąć? Te twoje garnki, dziwne prace, ciągle przeprowadzki. Ile razy musiałam przepisywać twój adres w notesie, dziewięć? Dziesięć? A teraz ta nora... Równie dobrze mogłabyś zamieszkać na zadupiu w Arkansas”.

„Może powinnam”.

„Przestań pieprzyć. Za bardzo tęskniłabyś za Leo. On za tobą też. Bez przerwy się dopytuje, kiedy go odwiedzisz. Dwudziestego siódmego mają w szkole Dzień Dziadka. Tylko mi tu znowu nie wyjeżdżaj z tekstem, że po cholere szkoła, której większość uczniów ma rodziców po pięćdziesiątce, organizuje imprezę poświęconą dziadkom, skoro przeważnie już nie żyją albo są w domu starców, albo mają Alzheimera, albo wyemigrowali do Boca Grande”.

„Zawsze przyjeżdżam na Dzień Dziadka. W zeszłym roku byłam nawet na meczu softballu matki kontra synowie”.

„Słuchaj, miałam tam być, ale musiałam pilnie polecieć do Waszyngtonu, bo wyniknęła ta sprawa w senacie. No, wiesz”.

Szczerze mówiąc, żadna z nas nie umiała sobie przypomnieć, o co wtedy chodziło, tyle tylko, że było to coś ważnego.

Z końcem miesiąca przeprowadziłam się z powrotem na Manhattan. We wrześniu dzięki pożyczce udzielonej mi przez ciotkę Maureen poszłam na studia dla pracowników socjalnych. Nie zgodziłam się, żeby sfinansowali to Meghan z Evanem, choć bardzo nalegali. Od sześciu lat nie zmieniłam mieszkania. Od czterech

spotykam się z Irvingiem. Któregoś dnia zaproponował, żebyśmy pojechali na ostrygi do pewnej restauracji na City Island, ale stwierdziłam, że to nie najlepszy pomysł.

Tej nocy, kiedy Irving zaczynał już miarowo oddychać, zmęczony i syty nadmiarem morskiego powietrza, odezwałam się na głos:

- Muszę odszukać moją siostrę i sprowadzić ją do domu.
- Widzisz, znowu to robisz. Już prawie zasypiam, a ty zaczynasz gadać. Potem nie mogę zasnąć.
- Przepraszam.
- Poza tym, przestań to traktować jak wygnanie. Może wcale tak nie jest? Może ona po prostu odpoczywa?
- Meghan nigdy nie odpoczywa.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Rozdział 14

Nazajutrz rano znalazłam na biurku trzy olbrzymie sterty dokumentów. To cena, jaką musiałam zapłacić za dzień wolnego. Irving odłożył wszystkie trzy telefony komórkowe oraz pager na regał i kiedy wychodziliśmy z domu, spojrzął na nie tylko raz. Zlecił swemu zastępcy, żeby zajął się wszystkim, co ewentualnie może się tego dnia wydarzyć. Według jednej z gazet zastępca podczas konferencji prasowej nazwał zastrzelenie cywila „pomyłką”, a przecież w każdej szkole komunikacji publicznej uczą, że tego słowa używać nie wolno. Oboje wyruszyliśmy więc do pracy wcześniej rano.

Na wierzchu jednej ze stert leżał faks: „ZAMIESZKAJ U MNIE Z LEO”. Jakoś moja siostra pamiętała, że z końcem maja kończy się też rok akademicki. Na odwrocie ulotki z ofertą dań na wynos napisałam „NIE” i zawołałam na całe gardło:

- Tequila!

- Nie drzyj się tak, jakbym była jakąś niewolnicą - zachnęła się. Miała na sobie legginsy rybaczkki i luźny T - shirt z napisem „PMS”. To oficjalna koszulka szkoły Pelham Manor, do której chodzi jej najmłodsze dziecko. Ludzie jednak czasem nie myślą.

Tequila spojrzała na faks.

- Coś ty taka surowa dla tej biedulki?

- To jest czterdziestosiedmioletnia kobieta z całym mnóstwem obowiązków, która nagle gdzieś zniknęła. Powinna się cieszyć, że w ogóle dostanie odpowiedź.

Tym bardziej, że Meghan i ja mamy za sobą bogate doświadczenie w tej formie komunikacji. W różnych okresach naszego dzieciństwa pozostawałyśmy przejściowo w stanie skłócenia. Pogorszenie stosunków nasiliło się w momencie przeprowadzki z domu rodzinnego do mniejszego domu cioci i wujka, na którego zakup musieli się porządnie zadłużyć. Tam byłyśmy zmuszone zamieszkać we wspólnym pokoju. To bardzo osobliwe uczucie - nie móc się odzywać do kogoś, z kim dzieli się jedno pomieszczenie. Wiele lat później Meghan powiedziała, że to był dobry trening przed wyjściem za męża.

„Proszę mi oddać mój automatyczny ołówek” - głosił tekst na karteczce znalezionej na poduszce.

„Ja go nie wzięłam” - odpisałam na oderwanym rogu kartki z zeszytu i podrzuciłam jej na biurko.

„Kłamiesz”.

„Ciągłe coś gubisz”.

„Widziałam go w twoim tornistrze”.

„Wara ci od mojego tornistra”.

To Meghan zawsze przełamywała impas. Leżąc w łóżku, nagle przewracała się na bok i wzdychała, jak gdyby ostatnie cztery dni w ogóle się nie zdarzyły, i mówiła:

„Czemu ciocia Maureen uważa, że wszyscy muszą lubić paluszki rybne?”.

Nie było potrzeby przenosić się do Meghan. W jej mieszkaniu panowała teraz atmosfera opuszczenia. Było niczym wypchane zwierzę, starannie zachowana powłoka czegoś, co od dawna nie żyje. Leo i tak zdążył się już wprowadzić do mnie na wakacje, co oznaczało, że moja sofa nabrała tego charakterystycznego zapachu wiecznego chłopca (nieodbiegającego od zapachu piwnicy serów w L'Occidental).

Jedną z dobrych stron bycia studiującym dzieckiem na Manhattanie jest to, że w czasie wakacji twoi rodzice oraz ich znajomi zatrudniają cię na przeróżnych ważnych, choć niepłatnych stanowiskach. Leo zawsze wykazywał pewną pogardę dla tego zwyczaju. W konsekwencji, gdy jego koledzy z Biltmore i Crenshaw załatwili sobie staże w piśmie „Time”, w U.S. Trust, w telewizji, w muzeach, a nawet w ekskluzywnych sklepach, Leo pozostał bez żadnego zajęcia. Zamierzał za to nadrobić zaległości w spaniu i wylegiwać się u mnie w salonie do późnych godzin popołudniowych, a nawet wczesnowieczornych.

Na szczęście zdarzył się pomyślny zbieg okoliczności: kierowca furgonetki zawsze wożący nasze podopieczne w czasie ich obowiązkowych, uciążliwych odysei po biurach, urzędach i instytucjach, postanowił się przenieść na Florydę, a ja dowiedziałam się, że Leo ma prawo jazdy. Ludziom zamieszkującym inne rejony kraju może się wydawać, że to nic takiego, ale w Nowym Jorku, gdzie nastolatkom środek transportu kojarzy się metrem, a koledzy Leo korzystają głównie z limuzyn z szoferem, odkrycie, że ten chłopak nie tylko umie prowadzić samochód, ale jeszcze ma do tego uprawnienia, stanowiło dla mnie spory szok.

- Pamiętasz, jak w zeszłe wakacje brałem udział w tym programie, co to pomagaliśmy budować domy dla biednych? Tam

wszyscy musieli umieć prowadzić samochód - powiedział, wsypując sobie do ust prażoną kukurydzę prosto z pudełka. Ilekroć patrzę na jego jabłko Adama, przechodzi mnie lekki dreszcz. Moja siostra jakimś cudem wydała na świat mężczyznę.

- Ubieraj się. Jesteś przyjęty.

Rano zabrałam go ze sobą metrem do Bronksu. Idąc ze stacji, minęliśmy bar kanapkowy, knajpę oraz sklep z artykułami ślubnymi, i w końcu dotarliśmy do siedziby fundacji „Kobiety dla kobiet”. Tego dnia plan pracy Leo przewidywał przejazd ze schroniska do przychodni, z przychodni do biura pomocy społecznej i z biura na osiedle. Odchodzący kierowca, LeMar, udzielił mu wielu rad, a przede wszystkim przykazał, żeby zawsze zamykał drzwi od środka.

- Klamę masz? - zapytał.

- Coś ty - odparł Leo.

- Ale wiesz, o co on pytał? - powiedziałam do niego w drodze powrotnej. Chłopak wyrócił oczami.

- Bridey, skarbie, posłuchaj. Kultura uliczna czarnych to w tej chwili dominujący styl w Ameryce. Przejeżdż się do centrum handlowego Americana na Long Island, a zobaczysz, że każdy nadziany pozer mówi w taki sposób, jakby się wychował w getcie. Dlatego wyraz „klama”, który znaczy tyle co „spluwa”, jest zrozumiały dla wszystkich od Los Angeles po Nowy Jork.

- Czyli jednym słowem umiałbyś się dogadać w slangu.

- Tak, ale tego nie robię. Spójrz na mnie. Jestem, kim jestem. Uwłaczałoby mi, gdybym się w ten sposób zwracał do tych ludzi. Zauważ, że nawet Tequila zabrania córce odzywać się tak w domu. Traktuje uliczny slang tak, jakby to było coś nieprzyzwoitego. A już podwójnie nieprzyzwoite byłoby, gdyby taki biały chłopak jak ja udawał, że to jego język. To jest tak jak z Amerykanami w Europie, którym się wydaje, że jak będą bardzo głośno mówić, to Czesi, Hiszpanie czy Grecy ich rozumieją. Był u nas w liceum taki jeden dupek...

- Hej!

- Sorry. No więc był u nas w liceum taki chłopak, biały raper. Nosił wielkie gacie, z których wystawały majtki z logo Ralpha Laurena, i czapkę z daszkiem odwróconym do tyłu. I śpiewał tak: „Żyjesz na ulicy, tutaj rządzi pięść. Życie jest do dupy, jak nie masz co jeść”. A gość miał w domu własną salę projekcyjną!

- A teraz jest w...?

- Duke [Duke University - jedna z najbardziej prestiżowych uczelni w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.)], oficjalnej siedzibie białych ziomali mających własnych doradców inwestycyjnych.

- No tak. Ale miałeś też kolegę, jak mu było na imię, Landon? Też podobno rapował.

Leo zaczął wystukiwać palcami skomplikowany rytm na plastikowym siedzeniu wagonu, a potem zaczął:

- Jestem dociekliwy, nuda mnie dołuje. Błogostan jest funkcją, ja ją zróżniczkuję.

- O, rap matematyczny.

- To akurat nie jest moja bajka, ale miał jeden niezły tekst o Pierwszej Poprawce, a drugi o Placu Tiananmen.

- Rap inteligencki.

- E tam, trochę poezji i parę bitów.

- Bystry chłopak z ciebie, wiesz?

Zawsze taki był. Od małego wykazywał się inteligencją i rozsądkiem, a do tego był wrażliwy. Trudno stwierdzić, jak to się właściwie stało. Myślę, że jego charakter trochę peszył Meghan. Ona lubi kreować. Wiem, bo sama przez wiele lat byłam jednym z jej ulubionych projektów. Ale ja byłam plastyczna, podatna na wpływy, a w pewnym okresie także nieco zagubiona, Leo zaś należy do tych dzieci, które sprawiają wrażenie, jakby niemal od samego początku stanowiły gotowy produkt. U trzylatka widać było już wszystko: uczciwość, lojalność, lekką skłonność do wybierania towarzystwa dziewczynek i oznaki natury filozofa, która potem kazała mu oddalać się od towarzystwa na przyjęciach i zaszywać gdzieś w kącie z „New Yorkerem”, żeby poczytać żarty rysunkowe. Nie było w nim wiele do kształtowania. Po matce odziedziczył determinację, lecz w przeciwieństwie do niej nie musiał niczego udowadniać, do niczego dążyć.

Po tygodniu wszystkie kobiety i dzieci ze schroniska były w nim zakochane. Mieszkanki osiedla również. Zawsze woził ze sobą w aucie koszyk z lizakami. Obdarowywał nimi każdego pasażera, nie wyłączając mam, wiecznie zirytowanych, że urzędnicy, jeśli już w ogóle czymkolwiek się przejmują, to tylko ich dziećmi, a one są traktowane jak kłopotliwy dodatek. Jeżeli "dzieci to nasza przyszłość" - jak mawia każdy ubiegający się o urząd polityk, kiedy odwiedza

dzielnice, gdzie przyszłość od lat jawi się mniej więcej tak samo - to matki są przeszłością.

Leo traktował je inaczej. Zamaszystym ruchem odsuwał Przed nimi drzwi furgonetki, choć zużyte i przyrdzewiałe prowadnice irytująco skrzypiały, po czym wystawiał dłoń w geście zaproszenia.

- Dzień dobry - mówił. - Nazywam się Leo Grater.

Pewna jędzowata kobieta mieszkająca z trojgiem nieśmiałych dzieci w budynku przejściowym (zadarła już z tyłoma osobami wynajmującymi jej mieszkanie, że straciłyśmy nadzieję, iż kiedykolwiek uda nam się coś dla niej znaleźć) uśmiechnęła się kpiąco pod nosem:

- Wiem, kim ty jesteś. Dostałeś tę robotę po znajomości.

- To prawda - odparł Leo i przykucnął przy jej dzieciach. - Wasza mama ma rację. Jestem tutaj, bo moja ciocia tu pracuje. Chcecie po lizaku? - Cała trójka zaczęła radośnie kiwać główkami, jak te pieski stawiane na tylnej półce samochodu.

- Zęby się od tego psują - mruknęła matka.

- Jutro przyniosę marchewki - odparł Leo.

Po dwóch wyjątkowo ciepłych jak na tę porę roku dniach marchewki trzymane pod przednią szybą zwiędły i zaczęły pleśnieć.

- Wyrzuć te śmieci - powiedziała trzeciego dnia owa kobieta, częstując się lizakiem o smaku pomarańczowym.

Czasami Leo miał chwilę wolnego w ciągu dnia, kiedy wszystkie dzieci były w szkołach, a matki robiły pranie lub wymykały się na papierosa na zaplecze schroniska. Nawet te, które nie miały za co żyć i gdzie mieszkać, w żaden sposób nie potrafiły zrezygnować z palenia.

- Moje panie, policja chce z wami rozmawiać - oznajmił, wchodząc do biura.

- Irving?

- Prawdziwy policjant, Bridey. Taki w mundurze, z odznaką.

Tequila wyszła do poczekalni. Najpierw dobiegły nas stłumione odgłosy rozmowy, a następnie jej podniesiony głos:

- W życiu nie słyszałam takich bzdur! - krzyczała.

Leo odznaczał się też zawsze świetną intuicją. Niemal równocześnie ruszyliśmy do drzwi. Tequila stała z palcem wymierzonym w twarz funkcjonariusza. Jak na policjanta był raczej niewysoki, pewnie ledwie spełniał minimalne wymagania. Sprawiał wrażenie, jakby był drażliwy na tym punkcie. Irving twierdzi, że niscy

gliniarze mają tendencję do sięgania po broń dwa razy częściej niż inni, ale sądzę, że to zmyślił. On ma prawie metr dziewięćdziesiąt.

- Proszę pani, nie przyszedłem tu, żeby się kłócić - powiedział policjant. Za nim stał młody mężczyzna w taniej skórzanej kurtce i wystrzępionym krawacie. Już z daleka było widać, że to kurator sądowy. Udaje im się wytrwać w tej pracy rok, może dwa, a potem przytłoczeni ogromem nieszczęść wpadają w depresję i dochodzą do wniosku, że bardziej chlubnym zajęciem będzie telemarketing.

- Ja myślę. To porządna kobieta i bardzo dobra matka, słyszy mnie pan? Nikt mi nie wmówi, że mogła zrobić temu dzieciakowi jakąś krzywdę. Nikt! - Tequila ma tendencję do unoszenia się na palcach, gdy jest rozgniewana. Może to efekt wieloletniego nachylania się nad kontuarami i biurkami rozmaitych urzędników, których ulubionym zdaniem było: „To jest sprzeczne z polityką naszej instytucji”.

- Polecono mi tylko się zorientować, czy dziecko jest zdrowe i ma się dobrze. Jeśli chce pani, żebym przyszedł z innym funkcjonariuszem, zrobię to.

- Ha! - prychnęła oburzona Tequila, aż powietrze wokół zadrzało.

Wkroczyłam do akcji.

- Witam serdecznie, panie posterunkowy. Słucham, w czym problem? - Wyniosłam unізoność do rangi sztuki. Meghan mówi, że czasem robi jej się niedobrze, kiedy mnie słucha.

- On mi tu mówi, że Annette bije Delona. Ja mówię, że niemożliwe. I założę się, że wiem, która to suka nagadała im tych głupot. Zazdrość ją zżera, bo przestała być w centrum uwagi, od kiedy znowu siedzi w ciupie. I bardzo dobrze, bo tam jest jej miejsce.

- Proszę pani, chciałbym tylko rzucić okiem na tego chłopca. - Widać było, że ten gliniarz dopiero co skończył akademię, bo jeszcze nie zdążył się wyzbyć postawy typu „ja tylko wykonuję polecenie służbowe” i nie nauczył ufać własnej intuicji w kontaktach z ludźmi. Ktoś na komisariacie wysłał go do schroniska dla bezdomnych i kazał się przyjrzeć jakiemuś dziecku bezrobotnej matki i nieznanego ojca, więc chłopak czuje się w obowiązku wypełnić ten rozkaz.

- Proszę pana, rozumiem, że musi pan wykonać polecenie przełożonych, ale matka tego dziecka naprawdę przeżywa teraz ciężkie chwile. Od wielu miesięcy nieustannie musiała się

przeprowadzać z miejsca na miejsce, a w dodatku jest jedną z ofiar tej katastrofy budowlanej z zeszłego miesiąca. Ona się załamie, jeśli tu przyjdzie i zobaczy policjanta w mundurze. Nie wiem, dlaczego pan kurator musiał pana fatygować.

- Ostatnim razem ta pani mi groziła - odezwał się kurator, wskazując służbowym ołówkiem na Tequilę.

- Jeśli to była groźba, to znaczy, że jeszcze nikt panu w życiu nie groził - odparła wzburzona. W zetknięciu z policją i urzędnikami Tequila robi się bardzo wojownicza. W końcu to oni odebrali jej kiedyś dzieci.

Leo tymczasem gdzieś zniknął, lecz nagle, ni stąd, ni zowąd dobiegło nas jego podśpiewywanie. Była to stara dziecięca piosenka zaczynająca się od słów: „Patataj, patataj, pojedziemy w cudny kraj!”.

Ciocia Maureen śpiewała to zawsze, kiedy w jej ramiona trafiało jakieś dziecko, a potem oczywiście ja i Meghan śpiewaliśmy to Leo. Gdy był malutki, przychodził to do jednej, to do drugiej i obejmował nas za nogi niczym silne, rosłe drzewa, wołając cienkim głosikiem: „Patataj! Patataj!”. Wtedy brałyśmy małego rudzielca na ręce. Jego włoski wyglądały jak kolorowa flaga zatknięta na szczycie okrągłej, piegowatej twarzyczki. „Mama, Bridey, husiu, husiu!”.

A teraz sam był takim drzewem. Wbiegł do poczekalni, niosąc na barana małego Delona, który wplótł swe pulchne paluszki w jego długie włosy. Chłopczyk miał na sobie tylko majteczki ze Spidermanem. Postacie bohaterów były zniekształcone i wyblakłe po niezliczonej ilości prań. Jego skóra była brązowa i gładka, bez śladu siniaków czy blizn. Zanosił się szczerym, beztroskim śmiechem szczęśliwego dziecka, ukazując przy tym swoje białe ząbki.

- Hej, Delon - zawołał Leo. - Co ty na to, żebyś trochę odsapnął? - Przełożył chłopca nad głową i postawił na ziemi. Chwycił go swymi kościstymi dłońmi za rączki i zaczął wykonywać taneczne ruchy, kręcąc biodrami i podskakując. Delon uważnie starał się go naśladować.

- Na barana! - zażądał. - Chcę na barana! - Jadłeś już lunch, Delon? - zapytał Leo.

- Parówki! - wykrzyknął Delon.

- A śniadanie?

- Chrupki!

- A umiesz stać na głowie?

Z okrzykiem triumfu chłopczyk zgiął się w pasie i oparł dłonie na podłódze. Z wypiętej pupy spoglądał na nas Spiderman w pozie z rękami na biodrach. Był to najpełniejszy pokaz dziecięcego wigoru i zadowolenia z życia, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Na barana! - dopominał się Delon i Leo znów wziął go na ręce.

Gdy kurator z policjantem wyszli, Tequila ciężko opadła na krzesło. Z szuflady biurka wyjęła dwie tabletki od bólu głowy, w milczeniu wypłała pół puszki coli i starała się wyregulować oddech. Niekiedy mam wrażenie, że praca u nas, gdzie wciąż na nowo musi przeżywać najgorsze epizody z własnej przeszłości, zbyt wiele ją kosztuje. Kiedy indziej zdaje mi się, że w ten sposób odpędza demony. Przede wszystkim jednak Tequila jest istnym darem niebios dla kobiet, którym pomagamy. Mają po swojej stronie prawdziwą megierę. A teraz wydaje się, że także anioła za kierownicą furgonetki.

- Odszczekuję wszystko, co mówiłam złego na temat zatrudniania tutaj tego chłopaka - powiedziała.

- Nic nie mówiłaś.

- Nie przy tobie - odparła, ocierając szyję chusteczką.

Kwadrans później, gdy kończyłam wypełnianie jakichś formularzy, oczywiście w trzech egzemplarzach, Tequila odezwała się przez interkom:

- Ten miły pan o głupim nazwisku chce z tobą rozmawiać.

Spodziewałam się usłyszeć w słuchawce zachrypnięty głos jego asystentki, tymczasem odezwał się sam Edward Prevaricator.

- Bridget, czy nie myślałaś kiedyś o spędzeniu tygodnia na Jamajce? - zapytał w ten swój szarmancki sposób.

- Co za zbieg okoliczności - odparłam. - Właśnie o tym myślałam. Ale dlaczego pan pyta?

- Prowadząc interesy, nauczyłem się, że aby osiągnąć sukces, trzeba wyczuć odpowiedni moment. Wydaje mi się, że on właśnie nadszedł. Przynajmniej takie mam odczucie po rozmowach z twoją siostrą. Potwierdzają to też ludzie, którzy tam dla mnie pracują. To cudowne miejsce. I bardzo relaksujące. Myślę, że czułabyś się tam znakomicie.

- O, z pewnością. Mam tylko jedną wątpliwość: wydaje mi się, że Megan nie chce tam widzieć żadnych gości.

- Doświadczenie mi podpowiada, że chęć i potrzeba to często dwie różne rzeczy - odparł. - Choć z drugiej strony, co również wiem

z doświadczenia, osoby bardzo niezależne zwykle nie umieją tej różnicy dostrzec. Pozwolisz, że zaoferuję ci swój samolot?

- Lubię takich, co mają własne samoloty - rozmarzyła się później Tequila, która naturalnie podsłuchiwała całą rozmowę.

- A ja lubię takich, którzy lubią moją siostrę. Zastanawiam się tylko, jak daleko sięga ta sympatia.

- Od przybytku głowa nie boli - stwierdziła Tequila.

- No, nie wiem.

Rozdział 15

Wakacyjne wyprawy najbogatszych i najbardziej wpływowych mieszkańców Mahattanu poprzedzają osobliwe rytuały. Mówiąc o wakacjach, nie mam myśli letniego domku na wsi. Te są czymś zwyczajnym, elementem codzienności i często przedmiotem nieustannych narzekań - „Dzieci wcale nie chcą tam jeździć! Dozorca nie zauważył, że dach przecieka! Rury zamarzły!” - jak gdyby posiadanie pięćsetmetrowej, krytej cedrem rezydencji na dwustuarowej działce z widokiem na ocean było ni mniej, ni więcej tylko nieustannym sprawdzianem charakteru.

Większość mieszkańców East Side, chcąc uciec od miejskiego zgiełku, kupuje domy w Connecticut (gdzie co chwila się natykają na ludzi z miasta, często tych samych, z którymi widują się na przyjęciach i grywają w tenisa). Podobnie jest z ich zagranicznymi wypadami. Na całym świecie w lotniskowych poczekalniach pierwszej klasy można ujrzeć taką scenkę: bankier inwestycyjny A wstępuje do baru na wódkę z tonikiem i spotyka prawnika B. Obaj nie mogą się nadziwić, co za niezwykły zbieg okoliczności, że znaleźli się w tym samym czasie w Atenach/Bangkoku/Nowej Zelandii/Pekinie, gdy tymczasem zaledwie tydzień wcześniej oni oraz ich żony (aktualnie zatopione w głębokich skórzanych fotelach i gawędzące o dzieciach, które najprawdopodobniej szaleją po sali, wyrrywając kable z laptopów podróżujących biznesmenów) widzieli się na Manhattanie.

"Quelle surprise!" - zawołała kiedyś żona jednego ze współników Evana, gdy ujrzała Meghan w hali odlotów w Nicei, gdzie właśnie dotarła helikopterem z Monte Carlo. Meghan twierdzi, że odpowiedziała jej: „Quelle pech”, ale to nieprawda. Tylko się przechwala.

Rodzice i dziadkowie tych osób natykali się na siebie w Palm Beach czy w Paryżu (mówię o przedstawicielach „starych” fortun, bo przodkowie nuworoczy pracowali przy fabrycznych taśmach lub prowadzili miejskie autobusy), obecnie zaś celem wakacyjnych wypraw są bardziej egzotyczne rejony. W Nowym Jorku stało się niemal oczywiste, że jedynym godnym odwiedzenia miejscem jest takie, do którego prawie nie da się dotrzeć. Dlatego też nikt, kto dysponuje dużymi pieniędzmi, nie wybiera się wypoczywać do St. Thomas. Zamiast tego leci do St. Thomas, stamtąd małą awionetką dociera do małej wyspy (dziewiczej, jak wszyscy twierdzą), a

następnie taksówką wodną do jeszcze mniejszej, gdzie praktycznie nic nie ma, oprócz stadka kóz i czterogwiazdkowego ośrodka z centrum pilates, światowej sławy stylistką i restauracją mieszczącą w razie potrzeby setkę gości weselnych.

Z dumą mogę powiedzieć, że moja siostra nigdy nie była w stanie zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Po co narażać się na przeciągi w jakimś mrocznym zamku na szkockim zadupiu, skoro można odpocząć w małym hoteliku w Mayfair? Po co tłuc się pociągiem do średniowiecznej wioski w północnych Włoszech, skoro istnieje hotel Hassler w Rzymie? I wreszcie: po co ryzykować lot rozklekotaną maszyną na zapomnianą wysepkę na Grenadynach, skoro Nowy Jork ma bezpośrednie połączenie z Jamajką?

„Po prostu nie chce mi się wierzyć, że ocean przy Fidzi jest ładniejszy niż ten w okolicy Grosvenor's Cove" [Ekskluzywna dzielnica w centrum Londynu (przyp. tłum.)] - powiedziała kiedyś.

„Albo przy Atlantic City" - dorzucił Irving.

„Bądźmy poważni" - ucięła Meghan.

Oczywiście moja siostra nie miała zamiaru schodzić poniżej pewnych standardów ani też spędzać wakacji w spartańskich warunkach. Grosvenor's Cove to ośrodek założony przez małżeństwo Brytyjczyków, dalekich powinowatych rodziny królewskiej, niedługo po wielkim krachu na giełdzie w 1929 roku. Przez to panuje tam ten pociągający klimat kolonializmu, który dla spadkobierców dawnych fortun jest czymś normalnym, a na nuworyszy działa krzepiąco. Wciąż jest to miejsce typu „cmok - cmok, a co ty tutaj robisz?!", lecz ci, którzy się tam spotykają, to ludzie z poczuciem własnej wartości, i mają głęboko w nosie, kiedy ktoś, kto właśnie wrócił z małej wioski oddalonej o godzinę jazdy wielbłądem od Maroka, unosi brew, mówiąc: „Jamajka?". W Nowym Jorku jednak zostali wyparci przez snobów, więc obecnie do Cove przyjeżdża coraz więcej ludzi z Kansas City czy Nowego Orleanu. Ale świeża krew się przydaje, jak mawia Evan. Kiedy próbują robić Meghan zdjęcia, ona pozuje z uśmiechem, a potem kierownik dyskretnie prosi ich, by przestali. Jak wszystkie ekskluzywne ośrodki na świecie, tak i ten zupełnie nie pasuje do swego otoczenia. Innymi słowy, gdyby ściszyć płynące z głośników reggae i odciąć dostawy trawki, rozprowadzanej dyskretnie przez personel wśród młodszych lub żądnych przygód gości, równie dobrze mogłoby to być Miami, Nicea czy Sardinia - jedno z tych

miejsc, gdzie świeci słońce, szumi ocean, a zwykły człowiek nie ma do niego dostępu, chyba że jest zatrudniony w obsłudze albo dysponuje platynową kartą American Express.

Ja jednak znalazłam się w zupełnie innym świecie, odległym od Grosvenor's Cove, kiedy człowiek przysłany po mnie na lotnisko przez Edwarda Prevaricatora wioził mnie stromymi, wijącymi się drogami wśród gór i dolin tworzących falisty kręgosłup wyspy. Tandetne przeszczepy z Ameryki w Montego Bay, hotele Holiday Inn pomalowane na karaibski róż i McDonaldy pełne opalonych turystów ustąpiły miejsca dużym białym willom ukrytym za bramami dróg dojazdowych, a jeszcze dalej osadzie rozpadających się szałasów postawionych wzdłuż górskiej drogi. Kiedy je mijaliśmy, małe dziewczynki w sukienkach oferowały na sprzedaż owoce mango i homary, a obok unosił się dym z przeciętego na pół bębna przerobionego na grill. Mężczyzna w koszulce z logo uniwersytetu w Georgetown przyrządzał na nim lokalne smakołyki z kurczaka i wołowiny. Przyznaję, że spodziewałam się czegoś w rodzaju limuzyny, tymczasem mój kierowca, Derek, chudy facet o niesamowicie długiej szyi, przyjechał po mnie szafirowym pontiakiem GTO ze srebrnym napisem „BAD BOY” naklejonym na przedniej szybie. Po drodze widziałam jeszcze „SLO MON”, „LOVE MOBILE”, a na jednym czerwonym hyundaiu wypisane złotymi literami: „JEZU, JEDŹ ZE MNA”. Dwukrotnie musieliśmy przystawać, żeby przepuścić żywy inwentarz. Raz była to półprzutomna koza, a drugi raz stado masywnych wołów z ogromnymi rogami.

Przejeżdżaliśmy przez jakieś miasteczko. Wzdłuż drogi szły gęsiego odświętnie ubrane kobiety z dziećmi: wykrochmalone kołnierzyki, liliowe spódnice, kapelusiki ozdobione kwiatami lub wielkie słomkowe kapelusze. Ostrożnie stawiali kroki po kamienistym poboczu, a od czasu do czasu jakiś niesforny chłopczyk obrywał od matki torebką po głowie.

- Czy tu się odbywa jakiś festyn? - zapytałam Dereka, który uparł się, żebym jechała z tyłu.

- Jest niedziela. Idą do kościoła. - Mówił cicho, jak gdyby rzadko używał głosu, trzymał go złożonego w szufladzie i wyciągał tylko na specjalne okazje.

- A pan nie idzie? - dopytywałam się, próbując być miłą. - Jestem adwentystą. Dla nas niedziela jest w sobotę – odparł tak oziębło, że zrozumiałam, iż nie powinnam się odzywać.

Pamiętam nasz pobyt w Grosvenor's Cove z okazji czterdziestych urodzin Meghan. Zachwycaliśmy się sympatyczną i życzliwą obsługą. Jeden z chłopców uczył Leo pływać na desce, inny zabrał go, żeby zobaczyć łódź przywożącą homary wiecznie niezadowolonemu szefowi kuchni, emigrantowi z Paryża. Podczas wspólnych kolacji hostessa w restauracji śpiewała melodyjne pieśni ludowe, a jeden z kelnerów, podając dania, wykonywał taneczne ruchy. Nie da się zaprzeczyć, że całe to przedstawienie było podszyte fałszem, a utwierdziłam się w tym, kiedy któregoś popołudnia pomyliłam drogę, wracając z kortu tenisowego, i natrafiłam na kwaterę personelu, podłużne baraki z pustaków. Wszyscy ci mężczyźni i kobiety, których widzieliśmy ubranych w białe koszule i kwaciaste sukienki, siedzieli na zewnątrz na odwróconych skrzyniach w znoszonych codziennych ciuchach i spoglądali na mnie nieprzyjaźnie, gdy wychyliłam się z za zakrętu.

„Tędy, proszę pani” - odezwała się jedna z kobiet, wskazując mi drogę ręką.

Być może oschłość Dereka wynikała z tej samej niechęci, jednak mijane po drodze dzieci uśmiechały się i machały do nas, a jeden chłopczyk nawet zaczął biec za samochodem, dopóki mama nie przywołała go ostrym: „Lawrence!”. Wtedy zwolnił i za chwilę już go nie widziałam. Po obu stronach drogi stały małe, niskie domy z gankami osłoniętymi metalową kratą. Gdzieniegdzie przy tych gankach widać było usypane mogiły. Kamienie nagrobne były nieco zapadnięte, jakby same, centymetr po centymetrze, grzebały się w ziemi.

Tequila mówiła mi, że pochodzi właśnie z takiego miasteczka i jej matka też jest pochowana przy domu. Podobnie jak wiele innych osób, które wsiadały dziś ze mną do samolotu - obecnie mieszkają we wschodniej części Nowego Jorku, na Brooklynie albo w dzielnicy Jamaica w Queens - również i ona niegdyś przyjeżdżała co lato do domu z torbą pełną ubrań i dużą ilością przeróżnego sprzętu elektronicznego. W kolejce do odprawy na lotnisku Kennedy'ego te pudła służą dzieciom jako siedziska.

Ja nie przywiozłam dla Meghan nic, poza paroma kryminałami. Nie wiedziałam, czego jej potrzeba, czy może raczej: czego chce.

- Zna pan moją siostrę? - zagadnęłam Dereka. Skinął głową. Przez dłuższy czas milczał, aż w końcu odchylił nieco głowę w moją stronę i dodał:

- Nieźle pływa.

Po chwili wjechaliśmy na grzbiet wzgórza i w oddali ukazały się błękitne wody Morza Karaibskiego. Poniżej droga wiodąca w dół wiła się licznymi zakrętami. Daleko na horyzoncie dojrzałam żaglówkę. Powietrze było parne i duszne. Jakiś gryzoń o długim ciele wyskoczył nam przed maskę, kiedy zatrzymaliśmy się na postój.

- Mangusta - powiedział cicho Derek. - Jeżeli idzie w stronę morza, to znaczy, że będziemy mieli szczęście, a jak w stronę góry, to pecha.

- A ta w którą szła? Derek rozejrzał się.

- Chyba w żadną.

Dwukrotnie mijaliśmy małe domki kempingowe. Przed jednym z nich stała para młodych ludzi z plecakami i studiowała mapę. Poza nimi nie widziałam żadnych turystów ani ośrodków wczasowych. W pewnym momencie szosa zaczęła biec równoległe do oceanu, a przez jakiś czas niemal tuż nad nim. Widziałam, jak przy kamienistej plaży jakiś stojący po pas w wodzie mężczyzna namydla ciało. Wreszcie Derek zatrzymał samochód przy drewnianej bramie pomalowanej na intensywnie czerwony kolor. Po obu stronach rosły olbrzymie drzewa o rudobrazowych pniach, tworzące cieniste zadaszenie. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego, jakiejś okazałej rezydencji. Tymczasem za bramą, na końcu wyznaczonej muszlami ścieżki, stał skromny bungalow. Centralne pomieszczenie domu stanowiło otwartą przestrzeń wychodzącą na ocean. W środku była nieduża kanapa i dwa fotele przy drewnianym stoliku, na którym leżała sterta książek. Po podłodze przebiegła jaszczurka, dopadła owada, połknęła go i zniknęła pod olbrzymim filodendronem z nakrapianymi liśćmi pokrywającymi prawie całe zbocze.

Domek miał patio i schody prowadzące do wąskiego pomostu nad skrawkiem kamienistej plaży. Słońce rzucało złociste pasmo od horyzontu aż po brzeg i oświetlało czółna kołyszące się na wodzie. Straciłam poczucie czasu i miejsca. Jeszcze rano piłam kawę w swoim nowojorskim mieszkaniu, za oknem walił o szyby zimny majowy

deszcz, a rodzina z naprzeciwka ewidentnie postanowiła z tego powodu dłużej pospać. Leo spędził tę noc u kolegi z Biltmore.

„Pozdrów ją ode mnie” - rzucił krótko, kiedy się zegnaliśmy.

„Nie chcesz jej nic przekazać? Żadnego listu, nic?”.

„I co miałbym napisać? Cześć? Jak leci? Ciągle jeszcze żyję? Istnieję? Nie, dzięki. Tyle to ona wie”.

- Nic dziwnego, że żeglarze musieli płynąć z Anglii miesiącami, żeby tu dotrzeć - powiedziałam do siebie na głos. - Trzeba czasu, żeby się przestawić.

Na końcu pomostu zauważyłam postać. Jakiś szczupły młody chłopak stał w rozkroku i opierał ręce na biodrach. Głowę miał schowaną w cieniu, widać było tylko kontur zmierzwionych włosów. Nagle podniósł rękę i pomachał w stronę jednego z czółen, wykrzykując coś, czego nie dosłyszałam. Miał na sobie szorty i kusy T - shirt. Nagle zrzucił spodenki i wskoczył do wody. Wpłynął w jasny pas światła i wtedy właśnie po rudej czuprynie i wprawnych ruchach ramion poznałam, że osoba, którą wzięłam za chłopca u progu męskości, to moja siostra, wycieńczona i zaniedbana.

- Boże Świąty - wyszeptałam.

- Musi się pani uzbroić w cierpliwość - odezwał się Derek. - Ona potrafi przepłynąć wiele kilometrów. Co wieczór moja zona gotuje jej posiłki, z wyjątkiem sobót. Mówi, że pewnego dnia dopłynie do Kuby.

- I zrobi wywiad z Fidelem - dodałam.

W bocznej części bungalowu znajdowała się łazienka i dwie małe sypialnie. W każdej stało łóżko przykryte baldachimem z moskitiery. Nie mogłam poznać, z której korzysta Meghan, ponieważ w obu stało zdjęcie Leo oprawione w ramkę, a obok wazonik z bukietem jakichś dziwnych kwiatów w różowawym kolorze. Przebrałam się w kostium, założyłam szorty i gumowe sandały i ostrożnie zeszłam po stopniach na pomost. Spojrzałam w dal na ocean. Jak okiem sięgnąć horyzont był pusty. Siedzący w jednym z czółen mężczyzna wskazał na mnie ręką i powiedział coś do swego towarzysza, po czym obaj się roześmiali. Linia brzegowa zataczała łuk w kierunku szerokiej plaży i biegnącej wzdłuż niej drogi. Słychać było dalekie głosy ludzi skaczących przez niskie fale. Położyłam się na plecach. Nad głową miałam teraz drzewo bananowca z zielonymi owocami. Jakiś ptak ukryty wśród gałęzi wydał z siebie ostry, chrapliwy odgłos. Zasnęłam.

Obudziły mnie śmiechy. Meghan była w wodzie obok jednego z czołen. Mężczyźni podali jej worek z siatki, a ona przywiązała go sobie wokół kostki i zaczęła płynąć w moją stronę. Kiedy unosiła ramiona nad powierzchnią wody, widziałam każdy jej mięsień, jak w podręczniku anatomii. Piegami na skórze prawie zupełnie zlały się z mahoniową opalenizną. Gdy zbliżyła się do pomostu, wynurzyła lewą rękę z wody i złapała mnie za kostkę, a prawą uchwyciła się desek i wyskoczyła z błękitnej toni niczym złota rybka, ochlapując mnie wodą. Mężczyźni w czołnie cały czas nas obserwowali.

- Co u niego? - spytała z miejsca. - Nic innego mnie nie interesuje.

- Dawno go nie widziałam - odparłam. - Rozmawialiśmy parę razy przez telefon.

- Co? - Zagłębienia zmarszczek na jej czole były bledsze niż reszta skóry. Wyglądało, jakby przebywając na słońcu, miała cały czas napiętą twarz. - Myślałam, że mieszka u ciebie. Dopiero co dostałam faks od Mercedes, że mieszka z tobą i pracuje u was na Bronksie. Boże, tak mi ulżyło. Nigdzie nie mogłam go namierzyć - Myślałam, że pytasz o Evana.

- O Evana? A cóż mnie obchodzi Evan?

- Leo ma się dobrze. Przesyła pozdrowienia.

Meghan uśmiechnęła się i zarzuciła mi ręce na szyję. Na przemian przyciskała mnie do siebie, to znów wypuszczała, przyciskała i wypuszczała. Jakby wykonywała ćwiczenia. Woda w morzu była ciepła, ale od jej ciała bił chłód.

- Nigdy nie umiałaś kłamać. Zawsze to w tobie podziwiałam. To było tutaj najtrudniejsze - oduczyć się kłamać.

- Oduczyłaś się też jeść?

Przesunęła dłońmi wzdłuż bioder. Meghan zawsze była szczupłą, a w okresach stresu nawet więcej niż szczupłą. Kiedy wyjeżdżała na zagraniczne reportaże, czasami na ekranie wyglądała na lekko wychudzoną, ale podejrzewam, że pielęgnowała ten wizerunek. „Spójrz, Ameryko, ile nas kosztuje zdobywanie dla ciebie najnowszych wiadomości!”. Gdy byłam małą, wyczytałam gdzieś określenie „walczyć z wagą” i przyszło mi do głowy, że można to odnieść do Meghan. W kilka miesięcy po śmierci rodziców schudła tak bardzo, że musiała spinać agrafką spory fałd szkolnej spódniczki, bo inaczej by się jej zsunęła. Każdego ranka i każdego popołudnia,

kiedy wracałyśmy po szkole do naszego nowego domu, przygotowywała mi posiłek: cynamonowe tosty z gorącą czekoladą, pączki z mlekiem. Nawet nauczyła się przyrządzać mleczne koktajle w mikserze. Potem siadała przy stole, nachylała się nad blatem i pilnowała, żebym wszystko zjadła. Pod koniec roku szkolnego z majtek wylewały mi się różowe fałdki tłuszczu, a szkolna pielęgniarka powiadomiła ciocię i wujka, że jeśli Meghan nie zacznie jeść, będzie musiała opuścić szkołę. „Ale ja jem” - broniła się wtedy moja siostra.

- Ale ja jem - powiedziała teraz. I to chyba prawda. Trzeba dużo jeść, żeby zgromadzić kalorie potrzebne, aby dopłynąć do Kuby.

Żona Dereka z początku nie tylko gotowała, lecz także podawała posiłki, ale później umówiły się z Meghan, że będzie zostawiała jedzenie w starym piekarniku w kuchni. Nie mogłam zrozumieć, jakim cudem Meghan udało się tu schudnąć. Pierwszego wieczoru zaserwowano nam homary z farszem z cebuli i tartej bułki, puree z ziemniaków i sera, miejscowe warzywo o nazwie callaloo i tartę z kremem limonkowym. Meghan przyrządziła dla mnie poncz rumowy, a sama piła piwo. Miała na sobie prostą żółtą sukienkę z taniej bawełny, kończącą się kilka centymetrów nad kolanami. Nie widziałam jej wcześniej.

- Parę tygodni temu zrobiłam małe zakupy na targu.

Po kolacji wyszliśmy na patio i położyliśmy się obok siebie na starych tekowych leżakach. Gwiazdy świeciły tak jasno, że miało się wrażenie, jakby chciały się na nas zwalić. Nagle Meghan pokazała palcem w górę. Spadająca gwiazda przeleciała łukiem po niebie i wypaliła się jak fajerwerk. Nietoperze zataczały ósemki nad naszymi głowami. Bardzo długo leżałyśmy w milczeniu. Potem Meghan poszła do kuchni po kolejne piwo i wyjęła po drodze jointa z pudełeczka na biurku. Kiedy podsunęła mi go pod nos, pokręciłam przecząco głową. Teraz, gdy już się tam znalazłam, nie wiedziałam, od czego zacząć. Tyle jej miałam do powiedzenia.

- Skąd wytrzasnęłaś to miejsce? - odezwałam się w końcu.

- To domek Edwarda - odparła. - Edwarda Prevaricatora. Mówił, że się znacie. Spotkaliśmy się w Cove. Jeden z kelnerów zrobił mi zdjęcie komórką i chciał je sprzedać do gazet. Wywalili go z roboty, ale reszcie obsługi nie bardzo się to spodobało. Poza tym zbliżała się niedziela, a więc kolejna grupa turystów. Już nie wspomnę, jakie tam mają ceny. Edward zabrał mnie kiedyś tutaj na przejażdżkę.

Dwadzieścia lat temu kupili z żoną ten bungalow od znajomego. Mówił, że korzystali z niego może dwa razy do roku. Pięć lat temu jego żona zmarła na raka piersi i od tej pory domek prawie cały czas stoi pusty. Spytał mnie po prostu, czy nie chciałabym się tu na jakiś czas zatrzymać. Pierwszego dnia wyszłam rano pobiegać i wszyscy strasznie się na mnie gapili. Dzieci, kobiety niosące kosze z bielizną, facet z tej smażalni przy posterunku policji. Wróciłam i mówię: „Nic z tego nie będzie, wszyscy mnie tu rozpoznają”. Strasznie miły z niego człowiek; uśmiechnął się tylko i powiedział: „Przypuszczam, że po prostu niewielu z nich widziało kiedykolwiek rudowłosą osobę”. Czy to nie żałosne? Ci biedni ludzie mają może ze dwa programy w telewizji, jeśli w ogóle mają telewizor, a ja wmówiłam sobie, że jestem taka ważna, że nawet tu mnie rozpoznali. A to po prostu dlatego, że jestem ruda. W każdym razie zdecydowałam się zostać.

- Na jak długo?

Meghan wzruszyła ramionami, pociągnęła spory łyk piwa i zaciągnęła się jointem. Wbiła wzrok w niebo.

- Wiesz, o kim ostatnio często rozmyślam? - O kim?

- O mamie. Pamiętasz, jak wyglądał jej stolik przy łóżku? Gazety, książki, aspiryna, termos z herbatą, karafka wody, jakieś fiolki z lekarstwami - do dzisiaj nie wiem, co to było - telefon, ten jej mały kalendarzyk w różowej okładce ze złotymi literami i pełno innych rzeczy, czasem jakieś pudełko z ciastkami, czasem bombonierka. No i miętówki. Zawsze leżało tam pudełko miętowych pastylek.

- Pamiętam - odparłam. I na moment rzeczywiście sobie przypomniałam. Ale nie termos czy kalendarz, lecz zapach. Zapach rozgrzanego ciała, perfum Chanel nr 5 i miętowych pastylek. Błąkał się chwilę na skraju pamięci, po czym się ulotnił, zupełnie jak ta spadająca gwiazda. Fotel i kwaciasta narzuta w sypialni, tapety w paski i widok z okna nad biurkiem, delikatna kobieta o nieco zaokrąglonych kształtach, która mówi: "A kto to tak pobrudził buzię? Cała jest polepiona". Na ułamek sekundy wszystko stanęło mi przed oczami. To musi gdzieś we mnie siedzieć, ale tak głęboko, że dotąd dostrzegałam tylko sam koniuszek.

Meghan mówiła dalej, nieśpiesznie, spokojnym i łagodnym głosem, jakoś inaczej niż przedtem. Spółgłoski nie brzmiały już w jej ustach tak pewnie.

- Jej cały świat zamykał się w tym jednym pokoju. Prawie wcale nie ruszała się z łóżka, a jeśli już, to wstawała, ubierała się i wychodziła z domu. A jeśli wychodziła, to tylko do klubu. Nawet tam ograniczała się tylko do jadalni. Zawsze uważałam, że jest po prostu leniwa. I głupia. Tak, najdłużej w życiu uważałam ją za głupią. Może i była, ale nieważne, teraz już się tego nie dowiemy. Czasem jednak leżę tu sobie wieczorem i myślę, jak ona miała to wszystko doskonale opanowane. Dokładnie wiedziała, co gdzie leży w pokoju i w łazience, znała na pamięć menu w klubie, wiedziała, kto tam będzie. Wychodziła z sypialni, schodziła po schodach, otwierała drzwi, wsiadała do samochodu, wchodziła do klubu i kierowała się prosto do jadalni. A potem to samo, tylko w odwrotnej kolejności. Po co było robić coś więcej? Po co gdzie indziej chodzić? Nie było takiej potrzeby. - Meghan westchnęła i w tej samej chwili rozległ się brzęk potrącanej butelki. Ten dźwięk przywołał kolejne wspomnienie. I kolejne. I jeszcze jedno.

- Ona piła - powiedziałam.

Meghan wybuchnęła gwałtownym śmiechem i złapała mnie za ramię. Kóleczko dymu powoli uniosło się w górę i spłoszyło nietoperze, które umknęły w stronę bananowca.

- To ci dopiero nowina! Ona piła! Ona piła, on pił, wszyscy pili! Manhattany, martini, wódka, whisky. Pamiętasz tego miłego starszego pana, współpracownika taty? Roger Highwater się nazywał. Pamiętasz, jak się potrafił ubzdryngolić? Jak śpiewał? - Potrząsnęłam głową. - Jezu, Bridget, co ty masz za pamięć?

- Pamiętam tylko ciebie. Mnie i ciebie.

Spojrzałam na nią i zobaczyłam łzy na jej policzkach. Na niebie wschodził księżyc i rzucał na powierzchnię wody srebrne pasmo światła w tym samym miejscu, gdzie po południu było złote. Z gęstwiny dolatywał jednostajny świergot. To mógł być ptak, świerszcz albo żaba.

- Cudownie jest tak żyć - powiedziała Meghan. - Wstajesz rano, idziesz pobiegać, potem wracasz do domu, jesz śniadanie.

Czytasz książki. Pływasz. Masz trzy stroje kąpielowe, a zakładasz jeden. Masz trzy pary szortów i wybierasz jedną. Czytasz, pływasz, jesz, pijesz. Spisz. Czego więcej chcieć? Może mamie właśnie o to chodziło?

- Nie zapominaj o jednym: ona miała dzieci. Dwie córeczki.

- Może uważała, że jej nie potrzebujemy? Myślała, że mamy własne życie i ona nie jest nam do niczego potrzebna?

- Zwariowałaś? Byłyśmy dziećmi. Oczywiście, że jej potrzebowałyśmy.

- Czyżby? Całe dni spędzałyśmy w szkole, obiady gotowała nam Nelly. Do czego miałyby nam być potrzebna?

- Do niczego. Matka, będąc przy dziecku, niczego przez to nie udowadnia. Za to udowadnia bardzo wiele, kiedy jej przy nim nie ma!

- Ach, wiedziałam, że w końcu do tego dojdziemy. - Ściągnęła twarz i zacisnęła usta. Zdałam sobie sprawę, że jest pijana. Być może dopiero tutaj, w tych mglistych zaświatach, udało jej się w końcu pogodzić z tym, co zapamiętała z naszego dzieciństwa. A może z samą sobą.

- Nie przyjechałam tu, żeby się z tobą kłócić. Stęskniłam się i tyle. Leo też. Wprawdzie nic nie mówi, ale jak ty byś się czuła na jego miejscu? Wraca do domu z Hiszpanii, jego matka jest na pierwszych stronach wszystkich gazet, ojciec siedzi w jakimś hotelu w Japonii, a dom, w którym się wychował, stoi pusty. I teraz musi sobie z tym wszystkim radzić sam. Nie może pogadać o tobie z Evanem, bo uważa, że to byłoby niełojalne. A z tobą też nie, bo zaszyłaś się na końcu świata.

- Dzwoniłam do niego. Zostawiłam mu mnóstwo wiadomości. Raz w tygodniu idę do Dereka i korzystam z ich telefonu. Kupiłam nawet kartę do komórki, żeby im nie zawracać głowy. Aż mi głupio, tyle razy się nagrywałam. Kiedy byłam w Cove, przemyślałam, gdzie go mogę zastać, i dzwoniłam, dzwoniłam, ale odzywała się tylko sekretarka.

- Na jaki numer?

- Nie wiem. Na numer Leo. Chyba do akademika.

- Oni nigdy nie korzystają z tego telefonu. Nie wiem, czy w ogóle mają go podłączony do gniazdka. Wszyscy używają komórek.

- Dzwoniłam też do mieszkania. Wiele razy. Długo się nagrywałam. Pewnie nagadałam strasznych głupot.

- Leo tam w ogóle nie zagląda. Nie masz numeru jego komórki?

- Mam, ale w telefonie, a wyładowała mi się bateria.

- A e-mail? Pamiętam, że pakowałam do torby twój BlackBerry.

- A, BlackBerry. Tutaj nie ma zasięgu. Ale kiedyś Derek mnie zabrał do miasta i na chwilę go włączyłam. Wyjeżdżaliśmy z za tej

wielkiej góry i nagle - cyk! - jest zasięg. Mój Boże, odkąd tu przyjechałam, nie byłam tak przerażona jak wtedy. Zupełnie jakby całe życie zważyło mi się na kolana. Dwieście osiemnaście wiadomości i ani jednej od kogoś, z kim chciałabym się skontaktować. Reporterzy, współpracownicy, ludzie, którzy mówią ci na imprezie, że są twoimi przyjaciółmi, choć to gównem prawda. Normalnie czułam się, jakby to urządzenie miało szpony.

- Więc dałaś sobie spokój.

- Tak. Jak dojechaliśmy do miasta, wypieprzyłam go do wody. Leży gdzieś na dnie oceanu. Tam, gdzie jego miejsce, moim zdaniem.

- Dojrzała decyzja.

Meghan zagryzła wargi i spojrzała na morze. W końcu powiedziała:

- Leo mógł wsiąść z tobą do samolotu i teraz byśmy sobie rozmawiali.

- On nie ma takiego obowiązku, Meghan. On jest dzieckiem, a ty jesteś matką. To nie on ma się troszczyć o ciebie, lecz odwrotnie. Tak to powinno być.

- Nie zawsze - odparła leniwie, dopalając jointa.

- Wracaj do domu.

Świergot stawał się coraz bardziej donośny i rytmiczny. W oczekiwaniu, aż moja siostra coś powie, niemal dałam mu się ukołysać do snu. Meghan cały czas miała oczy otwarte i wpatrywała się w gwiazdy. Przeczesła palcami włosy - na czubku głowy skręcały się teraz w takie same loczki, jakie widziałam na jej zdjęciach z dzieciństwa.

- Dom to nie tylko miejsce - odezwała się po chwili. - To szereg układów. Najpierw jest praca. Dzięki niej poznajesz takich, a nie innych ludzi, a w życiu spotykają cię takie, a nie inne rzeczy. Potem są przyjaciele i to, co z nimi robisz, oraz ludzie, których za ich pośrednictwem spotykasz. Potem dzieci. Czy też dziecko, jak w moim przypadku. No i wreszcie małżeństwo. To najważniejszy z układów. Dzięki tobie czuję się mądra, a ty dzięki mnie dobry. Dzięki tobie jestem bogata, ty dzięki mnie hojny. Dzięki tobie wydaję się interesująca, ty dzięki mnie godny zaufania. Dlatego po pewnym czasie wystarcza jedno słowo. Kate - i - Sam. Mama - i - Tata. Jak nazwa firmy. Tu nie chodzi o to, czy ludzie się lubią, kochają, sypiają

ze sobą czy w ogóle chcą ze sobą być. To jest pewna umowa. Brutalne?

- Tak.

- Strasznie jesteś naiwna. A pamiętasz, jak siedziałaś w chodziku, chwyciłaś się mojej spódnicy i pozwalałaś się wozić po domu?

- Nie. - Nawet gdybym pamiętała, byłoby to wspomnienie wygrzebane z setek wielokrotnie powtarzanych opowieści z dzieciństwa, które słyszałam przez całe moje życie.

- Miałaś taki drewniany chodzik ozdobiony metalową taśmą z kolorowymi koralikami. Woziłam cię w nim po całym domu. Nie chciałaś się ruszyć beze mnie.

- Wiem.

- Wysłałam za Evana. Kochałam go i on mnie też. Nie uwierzyłabyś, jaka to rzadkość. Nie umiem nawet zliczyć, ilu spotkałam w życiu ludzi, którzy biorąc ślub, nawet się nie lubili. Mniejsza z tym. Ale po jakimś czasie po raz setny zaczynasz wysłuchiwać tych samych tekstów i tych samych żartów. Do tego dochodzą najprzeróżniejsze pierdoły. Kate i ja schlałyśmy się kiedyś wieczorem i wspólnie doszłyśmy do wniosku, że jeśli potrafisz znieść odgłosy, jakie on wydaje przy jedzeniu, to zniesiesz wszystko. Poradzisz sobie nawet ze zdradą, jeśli tylko wytrzymasz to mlaskanie. - I Meghan zaczęła głośno mlaskać. To nie brzmiało jak Evan, którego zwyczaj brania do ust miniaturowych kęsów doprowadzał mnie zawsze do szału. To brzmiało dokładnie jak Irving Lefkowitz. Może w tym tkwi sedno.

- Evan nadal się upiera, że nikogo nie ma. Meghan zamachała ręką.

- Nie o to chodzi. Po prostu po jakimś czasie zaczynasz rozumieć, że zawarliście jakąś umowę. Meghan - i - Evan. Zupełnie nowy byt, inny niż każde z was z osobna. Miałam raz w studiu psychiatrę i on stwierdził, że najważniejszym pojedynczym czynnikiem decydującym o tym, czy ludzie pozostaną ze sobą w małżeństwie, jest to, czy są pewni, że chcą to zrobić. Pamiętam, że usłyszałam wtedy w słuchawce głos Josha, bo powiedziałam temu psychiatrze, że to brzmi trochę jak tautologia, a Josh się zaniepokoił, że widzowie mogą tego słowa nie znać. Może dlatego, że sam go nie znał. Boże, Josh... - Meghan zdusiła niedopałek na kamiennej płycie patio. - To dopiero było wieki temu. - Wydawało mi się, że w ciszy

słyszę czyjeś śmiechy dobiegające z plaży. - W każdym razie, o czym to ja...? Aha, o psychiatrze. Facet miał rację. Umawiasz się na coś, więc tej umowy dotrzymaj. To tak jak z hamakiem: musisz mieć dwa drzewa, żeby go rozwiesić. Nie rozwieszisz, jak masz jedno albo dwa, ale zbyt oddalone od siebie.

- Sama to wykombinowałaś?

- Nie, no coś ty. Chyba jestem bardziej pijana, niż myślałam. To z takiej jednej książki. Robiłam wywiad z jej autorem. Boże, jakie pierdoły zostają człowiekowi w głowie. Czy ja w ogóle wiem coś poza tym, czego się dowiedziałam z wywiadów z idiotami?

- Taak... A więc ten hamak miał być niby dla Leo. Co w takim razie z nim?

- Leo miał w te wakacje pracować w bibliotece publicznej w Bostonie, ale widzę, że zmienił zdanie. W zeszłym roku był na Południu. Zadzwoił do mnie stamtąd raptem dwa razy. Nie, żebym się skarżyła, ale taka jest prawda. Jeszcze rok wcześniej... cholera, na pewno sobie przypomnę. Londyn! University College. Leo ma swoje życie, w którym nie ma dla mnie miejsca. Tak chyba zresztą powinno być. Dzieci przestają potrzebować rodziców. Rodzice zaczynają potrzebować dzieci. Z wyjątkiem nas, sierot. Dla nas zabrakło hamaków - zachichotała.

- Leo cię potrzebuje. Ja też. Tęsknię za tobą. Wróc.

- Do czego? Do życia, w którym będę osobą znaną niegdyś jako Meghan Fitzmaurice? Nadliczbową kobietą na przyjęciach, gdzie każdy ma żonę lub męża? Widziałaś kiedyś wywiad z którymś z tych dawnych graczy Jankesów? Gruby, po pięćdziesiątce, stoi i słucha, jak ktoś opowiada o jego wspaniałych wyczynach sprzed dwudziestu pięciu lat. Tak wyglądałoby moje życie. Pamiętam, jak Evan zabierał mnie na biznesowe kolacje, kiedy jeszcze obecni tam faceci byli bardziej zainteresowani nim niż mną. Zawsze spotykałam tam jedną strasznie sympatyczną i inteligentną kobietę. Na imię miała Julie. Julie Jakaśtam. I nagle, pewnego dnia, gdzieś się rozpląnęła. W końcu zapytałam którejś z żon: „Dawno nie widziałam Julie. Co się z nią dzieje?”. A ona mówi: „A, mąż ją zostawił”. Tak po prostu. Została skasowana. Nie chodzi o to, że straciła męża. Ona straciła całe dotychczasowe życie.

- Czasem, kiedy jestem dostatecznie nietrzeźwa - kontynuowała po chwili - patrzę sobie w dal i mam wrażenie, jakbym widziała na

horyzoncie Nowy Jork. I wiesz, jak on wygląda? Jak Paszcza pełna ostrych kłów. To najbardziej przerażający widok na świecie. Tam jest fajnie, jeżeli jesteś nikim, a jeszcze fajniej, kiedy pniesz się w górę. Ale to miejsce, które bardzo brutalnie obchodzi się ze wszystkimi „byłymi”. Rozwiedzione żony, zapomniani pisarze i aktorzy, miliarderzy, którzy dawno przepuścili swoje fortuny. Koniec. Zostają skasowani.

Meghan powoli podniosła się z leżaka i przeciągnęła się.

- Idę popływać.
- Oszalałaś? Jesteś pijana.
- No to co?
- Poza tym tam jest kompletnie ciemno.
- Wiem, ale jak się otworzy oczy, można dojrzeć na dnie takie świecące żyjątka, jakby morskie robaczki świętojańskie. Chodź, zobaczysz.

Gdy byłyśmy małe, Meghan miała zwyczaj stawiać wieczorem słoik pełen świetlików na szafce między naszymi łózkami. Zasypiałam, mając przed oczami migoczące iskierki, które na długo zostawały pod powiekami. Rano jednak słoika nie było. Pewnie zniknął, jak tylko zasnęłam. Nigdy się nie budziłam w nocy, nawet wtedy, gdy rodzice wracali późno z przyjęcia, potykając się na schodach.

Tym razem musiałam czuwać, aż Meghan powróci z bezkresnej srebrnoczarnej otchłani, rozciągającej się tuż przede mną. Byłam przekonana, że jeśli zasnę, ona utonie. A potem przeszło mi przez myśl, że może właśnie o to jej chodzi. Pewnego dnia będzie miała tak dość, że zacznie płynąć, płynąć w stronę horyzontu, aż stopniowo odpłynie w sen ponad świecącymi żyjątkami. Leżałam i wsłuchiwałam się w dalekie odgłosy plaśnięć, ale nie umiałam rozpoznać, czy to jej niestrudzone ramiona uderzają o wodę, czy to ruchy zbliżającego się i oddalającego od brzegu oceanu. Po niebie przemknęła kolejna spadająca gwiazda. I jeszcze jedna. Zamknęłam oczy tylko na chwilkę, a kiedy je ponownie otworzyłam, niebo było czyste, błękitnofioletowe, a zza gór, nad którymi zawisła bladozłota chmurka, nieśmiało wyłaniało się słońce. Znowu usłyszałam jakieś plaśnięcie, lecz tym razem był to odgłos adidasów Meghan uderzających o bitą nawierzchnię głównej drogi osady tuż za bramą.

Wydawało mi się, że przed wyjściem powiedziała do mnie: „Zbudź się”, ale możliwe, że to był tylko sen.

Gdyby świat nie wyglądał tak, jak wygląda, a Meghan nie była tym, kim jest, potrafiłabym całkowicie zrozumieć jej decyzję. Mało tego: zazdrościłabym jej. Powietrze tutaj było tak lekkie i czyste. I ten zapach. Woda, kwiaty, a od czasu do czasu woń dymu dolatująca z głębi wyspy, gdzie spalano łądygi trzciny cukrowej. Wszystkie sprawy, które normalnie nas absorbowały, tutaj nie miały żadnego znaczenia. Znamienne było to, że kiedy wspominałam o czymś, co ściśle wiązało się z Nowym Jorkiem - na przykład o znajomej, zmuszonej chodzić z opadającą powieką, bo lekarz wstrzyknął jej botoks nie tam, gdzie trzeba, albo o człowieku oferującym ufundowanie nowego akademika dla college'u w Amherst, o ile tylko uczelnia zgodzi się przyjąć trójkowego studenta uzależnionego od ekstazy - to jakoś żadna z nas nie potrafiła pociągnąć tej rozmowy dalej. Z Nowym Jorkiem jest tak, że dopóki tam jesteś, wydaje ci się, że jest absolutnym centrum wszechświata. Twój metabolizm stara się za nim nadażyć, więc serce jakby przyśpiesza, a umysł reaguje sprawniej na szybko zmieniające się sytuacje. Masz wrażenie, że Ziemia aż po samo jądro jest zrobiona z betonu. Jednak gdy się na niego spojrzy z dostatecznej odległości, wydaje się być zjawiskiem nieprawdopodobnym, wręcz niemożliwym. Ilekroć wylegiwałyśmy się na pomoście albo wspinałyśmy się na wzgórza, szukając miejsc, gdzie rośnie kawa (mijając jaszczurki demonstrujące swą siłę wachlowaniem jaskrawo ubarwionymi fałdami skóry na szyi albo kolibry z głośnym szelestem dobierające się do jakiejś fuksji), problemy tamtego życia wydawały się kompletnie nieistotne. Ale nie tylko o to chodziło. Po prostu trudno było teraz uwierzyć, że na tej samej planecie może istnieć jakaś inna wyspa, wypełniona wieżowcami ze stali, podziemnymi pociągami i niekończącymi się potokami ludzi.

Dostosowałam się do rytmu życia Meghan. Rano jadłyśmy na śniadanie papaję i mango, a potem wskakiwałyśmy do wody i płynęłyśmy do plaży i z powrotem. Miałyśmy do dyspozycji dwuosobowy kajak i wyprawiałyśmy się nim wzdłuż brzegu w stronę zarośli mangrowych, gdzie, jak zarzekali się rybacy, mają swoją kryjówkę krokodyle. Później była sałatka z homara na lunch i kilka godzin czytania w cieniu, gdy słońce prażyło najmocniej. Późnym

popołudniem Meghan znowu szła godzinę popływać, a ja pluskałam się przy pomoście lub kładłam się na wąskim skrawku plaży i obserwowałam dzieci zrzucające z siebie szarobrazowe szkolne mundurki i idące się wykapać w morzu. Wieczorami, tak jak pierwszego dnia, rozkładałyśmy się po kolacji na patio i rozmawiałyśmy. Opowiadałam jej wiele o mojej pracy, o kobietach przychodzących na zajęcia, o Annette i jej synku Delonie, o zawałonym budynku i jego mieszkańcach, którzy zostali bez dachu nad głową, zdani na naszą opiekę i pocieszenie.

- Musisz być strasznie dumna z tego, co robisz - powiedziała Meghan, po czym chrząknęła i dodała: - Ja w każdym razie jestem. - Minęło tyle lat, a ja poczułam się znów jak mała dziewczynka; słowa uznania z ust siostry sprawiły mi przyjemność. Gdy w dzieciństwie Meghan stwierdzała, że napisałam dobre wypracowanie lub że mam ładną sukienkę, sądziłam, że chce być miła i tyle. Tym razem zrozumiałam, że mówi szczerze.

- Powinnam była częściej robić takie rzeczy - powiedziała trzeciego wieczoru, kiedy leżałyśmy z brzuchami wypełnionymi curry z koziego mięsa. - Wybrać się z tobą na lunch, skoczyć do kosmetyczki, może nawet wydepilować sobie bikini. Mam czterdzieści siedem lat i nigdy nie byłam na woskowaniu bikini.

- I lepiej nie idź. Ja raz byłam; czułam się, jakby mi wyrwali rzęsy.

- Uuu, to przemawia do wyobraźni. No dobra, zostawmy depilację. To może pedicure?

- Ależ Meghan, przecież ty to wszystko robiłaś.

- Tak, ale nie w taki sposób, o jakim mówię. Lunch z prezesem wydawnictwa, cotygodniowy peeling u kosmetyczki, żeby zedrzeć całe to świństwo, które zostaje na skórze po telewizyjnym makijażu, i jeszcze konieczność znalezienia na to wszystko wolnej chwili między wywiadem a proszoną kolacją - nie o czymś takim mówię. Ja mówię o życiu w normalnym tempie. Tak jak teraz.

- Tak, tu jest cudownie. Pójdziemy jutro ponurkować?

- Jasne, możemy. Aczkolwiek nie to miałam na myśli. - Chwyciła mnie za rękę. - Miałam na myśli leżenie na patio i gadanie na różne tematy. Kiedy nam się to ostatnio zdarzyło?

- Nigdy.

- Och, nie, to nieprawda.

- Niestety tak. Wypaczone tempo życia i tak dalej.
- A wcześniej, w dzieciństwie?
- Zawsze kładłaś się spać później ode mnie. Gdy przychodziłaś do łóżka, ja już smacznie spałam. Dużo więcej się uczyłaś niż ja. Spójrz, co teraz czytam. - Pokazałam jej sfatygowaną książkę w twardej okładce, którą znalazłam na półce w sypialni. Opowieść o dwóch miastach.

- Nasza lektura w pierwszej klasie liceum.
- Właśnie. A ja jej wtedy nie przeczytałam. Przeczytałam tylko pierwszy i ostatni rozdział, a potem twoje wypracowanie na jej temat.

- I co, dostałaś piątkę?
- Ale ja go nie zerznęłam. Zorientowałam się tylko z grubsza, o co w tym wszystkim chodzi. Dostałam czwórkę. Zawsze dostawałam tylko czwórki.

Meghan westchnęła.

- Jeszcze jedna obsesja, która w tej chwili wydaje mi się niewiarygodnie bezsensowna.

- Mam! Wiesz, kiedy tak rozmawialiśmy? Raz się zdarzyło. Tego ranka, kiedy wróciłaś z reportażu o Gregorach.

- Boże, faktycznie...

Ta historia to mocny punkt każdego dossier Meghan. Wydarzyło się to w wakacje, kiedy moja siostra odbywała letni staż w Bostonie, a ja pracowałam jako kelnerka w restauracji przy Faneuil Hall. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat, a ja siedemnaście. Evan też z nami mieszkał, bo zapisał się na letnie zajęcia z makroekonomii na Harvardzie. Spałam w salonie na rozkładanej sofie. Czasem słyszałam dobiegający z sypialni szept Meghan: „Ciszej, bo nas usłyszy”. Wtedy jeszcze potrafili się w ten sposób kochać. Po raz pierwszy mieli do dyspozycji prawdziwe małżeńskie łóżko, a nie tapczan w akademiku.

- Raz do mnie dzwoniła, kilka lat temu. Vanessa Gregor.

- Wiem, wspominałaś. Oni się rozwiedli, prawda?

- Już dawno. Chyba jakoś zaraz po tym pożarze.

Meghan skończyła późno pracę i wybrała się na drinka razem z młodym, podkochującym się w niej producentem i dwoma kamerzystami. Knajpka była ulokowana w okolicy, gdzie obecnie komunalne szeregowce nazywa się kamienicami, a zamieszkujących je dawniej hydraulików i dokerów wyparli młodzi menedżerowie firm wydawniczych i zdolni prawnicy. Wszyscy siedzieli przy oknie i

nagle po drugiej stronie ulicy zauważyli płomienie wydobywające się z okna na trzecim piętrze budynku otoczonego rusztowaniami. Zobaczyli też na chodniku dwoje głośno rozpaczających ludzi - kobietę i mężczyznę.

Kiedy tamtego ranka Meghan wślizgnęła się do mnie pod kołdrę, wciąż czuć ją było dymem. „W pierwszym momencie chciałam im tylko jakoś pomóc” - powiedziała. - „Kobieta miała na sobie cienutką nocną koszulę, całkiem przezroczystą. Dałam więc jej bluzę, którą Al miał w bagażniku”. Wśród narastającego wycia syren i krzyku kobiety Meghan zdołała ustalić, że para miała sześciomiesięczne trojaczki. „Pierwsza noc! To była ich pierwsza noc!” - wołała z płaczem kobieta. Pierwsza noc spędzona w nowo urządzonym dziecięcym pokoiku na piętrze zamiast u rodziców w sypialni. Dwóch chłopców i dziewczynka. Trzy lata starań, leczenia i zabiegów. Kilka poronień. Strażacy próbowali się tam dostać, ale buchnęły płomienie i musieli się wycofać. Mężczyźnie trzeba było podać tlen w karetkce, kobieta zaś po prostu stała i nie przestawała mówić. Na imię miała Vanessa.

Ludzkim losem kierują dziwne zbiegi okoliczności. Gdyby firma montująca instalację elektryczną zamiast ucznia przysłała doświadczonego pracownika. Gdyby czujniki dymu zainstalowano w odpowiednim miejscu, a nie w kącie przy schodach, gdzie powietrze pozostało zdradziecko czyste. Gdyby weekendowa prezenterka, którą wysłano na miejsce katastrofy, nie złapała po drodze gumy i nie dotarła już po rozpoczęciu wieczornych wiadomości. Gdyby kamerzysta nie miał akurat wcześniej rano zlecenia i w związku z tym całego sprzętu w samochodzie.

„Czuję, że stało się coś ważnego” - szepnęła mi wtedy Meghan do ucha.

„Tak wygląda prawdziwy dramat” - zaczęła, ściskając w rękę mikrofon. Głos jej drżał, na czole perlił się pot, a nie miała żadnego makijażu. Na białej koszulce widniała smuga sadzy. To wszystko sprawiało, że relacja była jeszcze bardziej przejmująca. Zginęło troje dzieci. Ich rodzice poświęcili wiele lat, łez i dziesiątki tysięcy dolarów, żeby mogły one przyjść na świat. Pokazali Meghan w wieczornych wiadomościach, ale materiał znalazł się także nazajutrz w programie porannym. Vanessa Gregor nie chciała rozmawiać z nikim innym. Przydzielili więc ten temat mojej siostrze, a rok później ją zatrudnili. W wieku dwudziestu czterech lat trafiła do stacji, w

której została już do końca. Ten reportaż był jej wizytówką: uczestniczyła w zdarzeniu, a nie tylko obserwowała je z zewnątrz.

Wiedziała o tym tego ranka, czekając, aż Evan się obudzi, żeby i jemu o wszystkim opowiedzieć. Całą noc nie spała, a jednak nigdy wcześniej nie widziałam jej tak przytomnej i pełnej energii. „Tak strasznie było mi ich żal” - powtarzała bez przerwy - Ale potem opowiedziała, jak na starym paragonie znalezionym w czeluściach torebki napisała coś na kształt scenariusza, jak postanowiła nie malować ust, jak kierownik produkcji zdecydował, że zbliża się pora serwisu i nie mają innego wyboru, jak tylko wpuścić ją na antenę, zwłaszcza że policja rozstawiła już barierki. Żadnemu z pozostałych reporterów nie wolno było tam wejść, a policjanci, widząc, jak Vanessa zwraca się do Meghan i w jaki sposób Meghan otacza ją ramieniem, doszli do wniosku, że to jej znajoma, i zostawili ją w spokoju. Operator filmował ją wewnątrz policyjnej bariery. Przez to zdawała się być bliżej wydarzeń niż ktokolwiek inny.

- Wyszła potem drugi raz za mąż - powiedziała Meghan. - Nie mieli dzieci, a ja się nie dopytywałam, ale myślę, że nie była w stanie sobie z tym poradzić. Kiedy urodził się Leo, przysłała mi w prezencie patchworkową kołderkę do łóżeczka. - Meghan pracowała aż do samego porodu, a w miarę jak robiła się coraz większa i większa, ujęcia stawały się coraz ciasniejsze. Żartowała wtedy, że w końcu pojawią się na ekranie same usta: „Witam państwa, nazywam się Meghan Fitzmaurice”.

- Mój Boże, Gregorowie. Nie myślałam o tym od lat - powiedziałam.

- Ja też. Dopóki nie przyjechałam tutaj. Ale kiedyś podczas kolacji, jeszcze w Cove, jakaś baba opowiadała, jak przez to, że spóźnił się jej samolot, natknęła się na własnego męża w poczekalni pierwszej klasy na lotnisku w Los Angeles. Rozumiesz, to właśnie sytuacja z cyklu „co by było, gdyby”. Gdyby ten samolot wyleciał o czasie, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej i jego życie też. No i od tego momentu myślałam tylko o tym, ile rzeczy musiało się zdarzyć równocześnie. To, że Ed miał przy sobie kamerę, że Jill złapała gumę, że ten pożar wybuchł akurat wtedy, że poszliśmy właśnie do tej knajpy, a nie innej. Nie pamiętam, jak się nazywała, zresztą rok później ją zamknęli. No i tak to się wszystko zaczęło. - Ścisnęła mnie mocniej za rękę. - A teraz wylądowałam tutaj - dodała z uśmiechem.

- Sądzisz, że Greenstreet dlatego tak cię wkurzył, że gdzieś w podświadomości ta historia wciąż w tobie tkwiła - no wiesz dzieci, bezpłodność, zastępcza matka? Czy raczej chodziło o to, co zaszło dzień wcześniej między tobą a Evanem?

Meghan znów się uśmiechnęła i pokręciła głową.

- Nie. Myślę, że tylko w pewnym stopniu chodziło o Evana, a już na pewno nie o Gregorów. Żałuję, ale powód był bardziej prozaiczny. Chodziło po prostu o prawdę. Patrzyłam na Greenstreeta, słuchałam tego, co mówi, i pomyślałam: „Ten gość jest cholernym skurwysynem”. Powtarzałam to sobie wcześniej setki razy, tyle że tym razem wypowiedziałam to na głos. Zrobiłam rzecz nie do pomyślenia. Ośmieliłam się powiedzieć prawdę na antenie ogólnokrajowej telewizji. I za mi się oberwało. A co by się, do cholery, stało, gdybyśmy mówili prawdę? Na przykład: „Miło cię widzieć, Stan, ale wiesz, ta twoja książka jest strasznie nudna”. „Widzę, że nakręciłeś nowy film i masz nowego męża. To ciekawe, zważywszy, że nie umiesz grać i jesteś lesbijką”.

- O, taki program to bym chętnie oglądała.

- Nie wątpię.

- W jakimś felietonie czytałam... Tego gościa z „Washington Post”, co to zawsze jest na przekór. Stwierdził, że ty tylko wyraziłaś to, co każda rozsądnie myśląca osoba miałaby ochotę powiedzieć.

- Jasne, tylko co mi z tego.

- A może jest więcej osób, które tak myślą?

- To bez znaczenia. Jestem skończona, Bridge. Raz powiedziałam prawdę i nie jestem pewna, czy teraz będę umiała się powstrzymać. Czuję, że sama mi się będzie cisnąć na usta. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. - Mam być szczerą na wieczorze autorskim na Manhattanie? Na konferencji prasowej w stacji? Siedząc na przyjęciu między dwoma najbogatszymi, najbardziej wpływowymi i najnudniejszymi facetami na świecie? Nie chodzi o to, że nie mogę już pracować w telewizji. Ja nie jestem w stanie żyć w Nowym Jorku. Nawet nie wiem, czy Potrafiłabym znieść Montego Bay.

Jednak przez wzgląd na mnie dwa dni później poprosiła Dereka, żeby zawiózł nas do miasta, do Negrilu. Wiedziała, że nigdy tam wcześniej nie była, odwiedziła tylko targ w małym miasteczku oddalonym o jakieś dziesięć kilometrów od domu. Zorientowałam się, że to był błąd, jak tylko wjechaliśmy na przedmieścia. Niegdyś Negril

był rajem hippisów i wciąż starał się sprawiać takie wrażenie. Ulice wypełniały sklepiki i kramy handlarzy sprzedających farbowane T - shirty, fajki do marihuany zrobione z kokosa i te dziergane berety z doczepianymi dreadami, w których tak uwielbiają się fotografować amerykańscy turyści. Na rogach ulic wystawały grupki młodych mężczyzn ubranych tak samo jak ich rówieśnicy z Bronksu: workowate spodnie z krokiem w kolanach, pstrokate adidas i powyciągane koszulki.

Derek założył tego dnia mocno ściśnięte paskiem ciemne spodnie z materiału, skórzane buty z plecionką i bawełnianą koszulę z krótkim rękawem, w delikatny wzorek, wyprasowaną tak profesjonalnie, że wyglądała jak ze sklepu, choć z tyłu kołnierzyka można było dostrzec lekkie przetarcia. Tylko tyle Dereka widziałam przez większą część podróży, lecz kiedy wjechaliśmy na główną ulicę miasta, z jego ciała można było czytać jak z książki. W ciągu kilku minut jego szyja się wydłużyła, ramiona stały się bardziej wyprostowane, a broda uniosła ku górze. Jego dezaprobata wypełniała wnętrze samochodu, konkurując z moim rozgoryczeniem. Nie wiem, w jakim nastroju była Meghan, bo siedziała odwrócona do okna.

Przeszliśmy spacerkiem ulicą w stronę małej kafejki na wolnym powietrzu. Przy wejściu wisiał ogromny plakat z reklamą napoju i drugi, mniejszy, prezentujący jakąś kobietę kandydującą na premiera. W środku sprzedawano ręcznie rzeźbione figurki ryb, rybaków i kobiet z koszami na głowach. Wygląda na to, że Jamajka, by spełnić oczekiwania przyjezdnych, pomieszała elementy swojej kultury z kulturą innych wysp karaibskich oraz części Afryki. Ze starego radiomagnetofonu dobiegały dźwięk latynoskich bębnów, można też było kupić szaty z tkaniny kente. Właścicielka sklepu chodziła za nami krok w krok i co chwila brała coś do ręki. „O, to bardzo ładne. To też. Każdy chce mieć takie w domu”. Zauważyłam, że zwraca się głównie do mnie. Czyżby w mahoniowej opaleniznie i umięśnionych ramionach Meghan rozpoznała kogoś, kto najpierw przybył jako turysta, lecz zdecydował się zostać? Przeszliśmy dalej w stronę czegoś, co wyglądało na sklep z wyprzedzami dla miejscowych. Meghan kupiła tam zestaw białych chłopięcych T - shirtów w rozmiarze S i kilka par czarnych japoniek.

W bocznej uliczce usiadliśmy przy stoliku i zamówiliśmy kawę i ciastka.

- Przynajmniej nigdzie nie leci Bob Marley - odezwała się znużonym głosem Meghan, dłonią odgarniając do tyłu wilgotne włosy. - Gdybym była muzykiem w tym kraju, nie znosiłabym tego faceta. Bez przerwy tylko jego puszczają, dosłownie wszędzie. „No woman, no cry”. To wcale nie jest znowu aż takie fajne. To tak, jakby Amerykanie puszczali tylko i wyłącznie Presleya.

- A mnie się kojarzy z tymi kiczowatymi sklepami na Times Square, gdzie ciągle leci Netu York, New York. Kiedy Derek przejeżdżał koło nas któregoś dnia, wydawało mi się, że w samochodzie słuchał country.

Za nami do kawiarni przywlokły się dwie spieczone na raka pary, taszcząc ze sobą torby plażowe i deskorolki. Ich miny wskazywały na to, że są albo wkurzeni, albo mają kaca. Ewentualnie jedno i drugie, bo to często idzie w parze. Mężczyzna w szortach i hawajskiej koszuli zajął miejsce przy sąsiednim stoliku. Wszystkie wakacje w ciepłych krajach wyglądają tak samo. Zamówił kawę, a potem rozłożył egzemplarz „New York Timesa”. To był pewnego rodzaju szok, coś jakby spotkać sławną osobę na ulicy. Zjawisko aż nadto mi znane.

- Co tam słyszać w szerokim świecie? - mruknęła Meghan. Mężczyzna spojrzał na pierwszą stronę.

- Notowania prezydenta spadają. Chińczycy kupują Wal - Mart. Jankesi przeżywają kryzys. Konta funduszy emerytalnych linii lotniczych są puste.

- Czyli nic nowego - odparła Meghan. - Z wyjątkiem informacji o Wal - Marcie. To pan zmyślił.

- Bystra kobieta z pani - powiedział i zagłębił się w lekturze.

Derek miał kolegę imieniem Percy, właściciela małej motorówki, zabierającego turystów na połów ryb i nurkowanie z fajką. Mieszkał przy jednej z bocznych uliczek, która wyglądała jak przeniesiona z innego świata - tak bardzo różniła się od krzykliwej i kolorowej głównej alei miasta. Jego dom, niski budynek z pustaków pociągnięty niebieską farbą, na całej szerokości frontowej ściany zdobił wizerunek wielkiej białej żaglicy. Rybę namalowano wokół krat osłaniających okna, więc miała dość dziwacznie wygięty grzbiet, jakby w gronie jej przodków znajdował się węgorz. Percy był ubrany mniej więcej tak samo jak Derek, tyle że zamiast elegancko wyprasowanych spodni nosił elegancko wyprasowane szorty. Na jego podwórku stał samochód z naklejką na przedniej szybie: „SZUKAM

ODKUPIENIA". Zaproponował, że nas podwiezie do kawałka brudnej plaży, gdzie zacumował łódź, lecz stwierdziłyśmy, że z przyjemnością przejdziemy się na piechotę. Przebrał się więc w spodenki kąpielowe i cienki T - shirt i ruszył przed siebie, a my za nim. Widać było wyraźnie, że utyka na jedną nogę. Derek zdradził nam, że to pamiątka po nieprzyjemnym spotkaniu ze śrubą napędową łodzi. „Paskudna sprawa” - powiedział szeptem. Na dnie łodzi leżał worek z siatki ze sprzętem do nurkowania, płetwami i parą gumowych butów, które Percy od razu założył, odwracając się do nas plecami, jak gdyby uznał, że niegrzecznie byłoby nas narażać na widok pokiereszowanej stopy.

Wyłynęliśmy w morze. Po około pół godzinie Percy zatoczył szeroki łuk i zarzucił kotwicę w miejscu, gdzie woda miała jakieś cztery metry głębokości. Trudno było dokładnie ocenić, ponieważ była tak przejrzysta, że widziałam piasek na dnie uformowany w idealnie równe pasma. Tu i ówdzie falowała kępa trawy. Trochę dalej widziałam fragment wystającej podwodnej skały. Percy wskazał w tym kierunku, a my rozebrałyśmy się do strojów kąpielowych i założyłyśmy sprzęt.

Meghan zawsze lubiła nurkować. Mówi, że tylko w ten sposób może naprawdę pobyć sama. Kiedyś nad rafą koralową w pobliżu wyspy Anguilla ktoś znienacka poklepał ją z tyłu po ramieniu, czym ją potwornie wystraszył, i zapytał, czy to nie ona prowadzi poranny show. („Ciagle mnie z nią mylą” - odpowiedziała i szybko zanurzyła się z powrotem). Ja lubię to robić z wręcz przeciwnego powodu - dlatego, że mam tam tyle towarzystwa. Chyba nigdy nie miałam go aż tak liczego, jak tego dnia. Pływały tam niebiesko - żółte rybki o zadartych pyszczkach, tak jaskrawo ubarwione, że wyglądały, jakby były podświetlone od środka, jeżówki, które najpierw podpływały zbyt blisko moich poruszających się palców, a potem nadymały się z oburzenia, że ktoś śmiał wtargnąć na ich teren. Widziałam też ogromne ławice czarno - białych ustników i jakichś nieznanych mi małych żółtych rybek. Jedna z nich podpływała mi tuż przed maskę i gapiała się na mnie, jak gdyby starając się umiejscowić w pamięci moją twarz. Stworzenia żerowały przy ukwiałach, unosiły się z prądem, wpływały między skały, po czym wynurzały się z drugiej strony. U podstawy jednego z koralowców dostrzegłam homara i murenę z groźnie wysuniętą dolną szczęką.

Meghan przez chwilę płynęła za mną, a potem mnie wyprzedziła, bo dostrzegła częściowo zakopaną w piasku płaszczkę. Zanurkowała i delikatnie ją trąciła. Ryba wynurzyła się ze swej kryjówki i muskając dno, zaczęła pośpiesznie umykać. Meghan ruszyła za nią. Zniknęła mi z oczu w chmurze piasku, którą wzbiła płaszcza, ale wiedziałam, że będzie ją śledzić, aż ryba znów się zakopie, a potem rozejrzy się za następną. Uwielbia ścigać płaszczyki. To jest coś, czego nigdy nie mogłam zrozumieć. Ja się ich boję: przerażają mnie ich ciemne płetwy i pusty wzrok.

Wynurzyłam się, żeby zobaczyć, gdzie jest łódź. Percy zdjął koszulkę i stał wyprostowany na dziobie. Potem wślizgnął się do wody, niemal bezgłośnie. Wyszedł dopiero po dłuższej chwili, po czym znów się zanurzył. Nagle zobaczyłam na powierzchni fajkę Meghan i usłyszałam jej stłumione wołanie. Podpłynęłam do niej i znalazłam się w samym środku olbrzymiej ławicy drobnych srebrzystych rybek. Były ich tysiące, może miliony. Wyglądały jak zwój srebrnej tkaniny rozpostarty w wodzie. Promienie słońca iskrzyły się na powierzchni łusek. Meghan chwyciła mnie za rękę i razem obserwowaliśmy ten cudowny spektakl. Wydawało się, że nigdy się nie skończy. W pewnym momencie pociągnęła mnie za sobą i zaczęłyśmy płynąć wraz z nimi.

- Pajетки! - zawołałam przez rurkę, lecz Meghan mnie nie słyszała.

Wyływałyśmy naprzód, by znów zawrócić i znaleźć się w środku ławicy, rozgarniając dłońmi srebrną masę i śmiejąc się.

Dopiero po chwili zorientowałyśmy się, że coś jest nie tak. Wokół kostek poczułam coś szorstkiego, a z góry dobiegał mnie stłumiony hałas. Spojrzałam w dół i zobaczyłam stado dużych metalicznych ryb z otwartymi paszczami, płynące prosto na nas. A tuż nad naszymi głowami pikowały pod wodę tuziny mew, ostrymi dziobami na oślep przebijając tafłę. Ze wszystkich stron otaczały nas ptaki i wielkie ryby, walcząc i rozszarpując się nawzajem. Kłębowisko agresywnych, krwiożerczych stworzeń. W pierwotnym odruchu zaczęłyśmy gwałtownie machać rękami, żeby się jak najszybciej oddalić. Byłam wstrząśnięta okrucieństwem tego, co widziałam, oszołomiona potęgą natury i zdumiona, że i drapieżniki, i ich ofiary jakby zupełnie ignorowały obecność dwóch bezbronnych istot ludzkich, które tak beztrząsco wtargnęły w ich świat. Nabrałam wody do rurki i zaczęłam

się krztusić. Wystawiłam głowę na powierzchnię, kaszląc i plując, a potem złapałam Meghan za rękę i pociągnęłam ją w dół, mając nadzieję, że zdążyła wstrzymać oddech. Walka trwała nadal, a ja się modliłam, żeby nam się udało uciec od tej wzburzonej wody i bezwzględnego, pierwotnego okrucieństwa.

Znów nalało mi się wody do rurki i zaczęłam kaszleć, a kiedy wynurzyłam głowę, wprost przed sobą zobaczyłam łódź. Szarpnęłam Meghan za rękę i pociągnęłam za sobą. Ciężka mi jak balast, ale nie puściłam jej, dopóki Percy nie wciągnął nas po kolei na pokład, mocno się wysilając, żeby przerzucić mnie przez burtę. Położyliśmy się na pokładzie. Okazało się, że na czole, na linii włosów, Meghan ma wyrwany strzępek skóry. Drugą taką samą ranę miała na rękę. Z obu sączyła się krew.

- Rany boskie - wykrztusiłam i zaczęłam dygotać. Meghan dotknęła czoła.

- Ja krwawię - powiedziała. - I to porządnie. - A ja?

- Chyba nie. Uff. To było straszne.

- Takie sytuacje są bardzo niebezpieczne - powiedział Percy. - Ja bardzo przepraszam, ale zauważyłem te mewy dopiero wtedy, gdy już nurkowały. Mam poszukać lekarza?

- Nie, nie. Najadłyśmy się tylko strachu. Zdarzyło ci się kiedyś coś takiego?

Pokręcił głową. Drobne kropelki wody na włosach połyskiwały jak kryształki.

- Kiedy nurkujemy i zobaczymy taką ławicę, od razu uciekamy. Wiadomo, że zaraz pojawią się duże ryby, a potem wielkie ptaki. Mojego znajomego dziobnął kiedyś w głowę pelikan. Stracił oko. - Pospiesznie zapuścił silnik i ruszył w stronę brzegu.

Meghan nachyliła się do mnie i, przekrzykując hałas silnika, powiedziała mi do ucha:

- Zauważyłaś, że cokolwiek się powie z angielskim akcentem, brzmi inteligentnie, a to, co z jamajskim, jakoś tak beztrosko, jakby nic się nie stało? - Zniżyła głos i dodała z odpowiednią intonacją: - Ya, mon, stracił oko, no problem. Jezu.

Zamilkłyśmy i wciąż ciężko dysząc, patrzyłyśmy, jak zbliża się przystań. Na brzegu założyłyśmy ubrania na mokre kostiumy. Derek czekał przy samochodzie obok domu Percy'ego. Rozdawał lizaki trzem dzieciakom. Na widok Meghan powiedział coś ostrym tonem do

Percy'ego w miejscowym dialekcie. Dzieci rozpierzchły się jak spłoszone ryby. Potem wyjął z bagażnika apteczkę. Meghan usiadła na schodkach, a on posmarował jej czoło środkiem antyseptycznym i przykleił plaster.

- To nic takiego - powtarzała. - Zagoi się.

Kiedy wróciłyśmy do domu, prosto z auta poszła na pomost, zdjęła z siebie mokre ciuchy i wskoczyła do wody. Powolnym krokiem poszłam za nią, usiadłam i obserwowałam, jak metodycznie ubija tafłę wody, płynąc w stronę zachodzącego słońca i z powrotem. A potem od nowa. Jestem pewna, że po tylu latach wsłuchiwania się, jak producenci programu odliczają sekundy do słuchawki, każdą cząstką swego organizmu potrafi odmierzać czas. Tak więc prawie dokładnie po godzinie wynurzyła się w wody. Plaster odkleił się z jej czoła i teraz pewnie unosi się gdzieś na wodach Karaibów. Trójkątna rana przestała krwawić, lecz wyglądała na głębszą niż przedtem. Gdyby Meghan nadal pracowała w telewizji, siedziałybyśmy teraz w małym samolocie do Miami w drodze do gabinetu chirurga plastycznego, który miałby potem co świętować wszak uratował wizerunek samej Meghan Fitzmaurice.

- Bridget, to tylko skaleczenie. Nie patrz tak na mnie, jakbym miała na czole raka.

- Kiedy ostatnio szczepiłaś się na tężec?

- Dwa lata temu, kiedy nadawaliśmy program z tego osiedla, na które spadł samolot. - Złapała się za głowę. - Boże, całe moje życie to jeden wielki absurd. Dostałam zastrzyk przeciwężcowy, bo mówiłam do mikrofonu, stojąc na gruzach czyjegoś życia.

- Na tym polegała twoja praca - powiedziałam, zbierając z pomostu jej rzeczy.

- Właśnie o tym mówię. Czy to nie dziwne? Nie smutne? Dzień dobry, pani Smith, słyszałam, że pani mąż ma poparzoną połowę ciała. A, autograf? Bardzo proszę, ale co by pani powiedziała na zdjęcie ślubne w zamian? Dobrze by wyglądało w telewizji. Pani chce mieć zdjęcie ze mną? Ale co z mężem? Aha, nadal w stanie krytycznym.

- Masz dzisiaj podły humor - stwierdziłam, wchodząc na schody.

Żona Dereka przyrzędziła na kolację jakiś gatunek ryby w cieście z ryżem i callaloo. Na deser były lody bananowe. Meghan prawie nic nie zjadła. Wypiła za to niemal całą butelkę wina. Skubnęła trochę

lodów, po czym odeszła od stołu i wyciągnęła się na leżaku, splatając swe chude nogi. I nagle obudziło się we mnie kolejne wspomnienie związane z matką. Dwa razy do roku wybierała się do Nowego Jorku na zakupy oraz lunch i za każdym razem odstawiała po powrocie niemy spektakl: wzdychała, przewracała oczami, padała ciężko na fotel. Miała sine cienie pod oczami, a jej delikatna jasna cera jakoś szarzała. Przez kilka następnych dni leżała w łóżku ubrana w gustowną narzutkę i kręciła głowę, narzekając na tłok, hałas i bezpowrotny koniec epoki uprzejmych sprzedawców oraz dobrze przyrządzonego daiquiri. Teraz mi się przypomniało, że jako dziecko wyobrażałam sobie, że wyjazd do Nowego Jorku to coś tak strasznego, jak nasza przygoda z Meghan w lesie za domem, kiedy pewnego razu zabłądziłyśmy i wyszłyśmy w zupełnie innej części miasta, podrapane, pogryzione i zakrwawione. Sprzedawczynie u Saksa to były komary, a Piątą Aleję porastały cierniste krzewy jeżyn.

- Biedaczek - mruknęła Meghan. - Pewnie jak tylko zobaczył krew, pomyślał, że już po nim. Derek namawia go, żeby zabrał na łódź te dwie ważne Amerykanki, a tu nagle jednej z nich zachciewa się pobawić w Tippi Hedren [Znana aktorka; wystąpiła m.in. w dreszczowcu Ptaki Alfreda Hitchcocka (przyp. red.)] i zostaje zadziobana na śmierć. Szkoda, że nie znam ich dialektu, ale mogę się domyślić, co mu powiedział: „Człowieku, chcesz zabić te białe wiedźmy, żebym stracił robotę?”.

- Och, przestań - obruszyłam się. - Oni się na serio przejęli.

- Akurat. Na ich miejscu nie cierpiałabym nas. Wiesz, co mi powiedział jakiś obcy facet w mieście? Biegam sobie rano, a tu nagle słyszę: „Znalazłaby sobie pani jakąś pracę”. Oglądam się, a tam siedzi trzech miejscowych i uśmiechają się do mnie. Jestem prawie pewna, że to był ten ze złotym zębem. Tutaj to chyba największy szyk.

- Wszyscy, których dotąd poznałam, byli bardzo życzliwi. Meghan spojrzała na mnie z ironicznym uśmiechem.

- No tak. Bridget. Dusza nieskalana. Przyjaciółka całej ludzkości.

- Zamknij się, bo sobie pójdę. Urznęłaś się i zaczynasz być złośliwa. A ja tylko chciałam cię odwiedzić i trochę z tobą pobyc.

- Nieprawda. Ty chcesz, żeby wszystko było jak dawniej.

- Wybacz, ale chyba nie było aż tak źle?

Meghan zaczęła się nieprzyjemnie śmiać niskim, chrapliwym głosem.

- Bridget, nie masz pojęcia, jak ja nienawidziłam swojego życia. Tego, co robiłam w pracy, i tego, że zawsze musiałam grać jakąś rolę. Nienawidziłam tego, że Evan i ja musieliśmy przed wszystkimi udawać, że jesteśmy najszczęśliwszą parą na świecie. I tego, że nie mam komu się zwierzyć, jak bardzo wszystkiego nienawidzę. A już zupełnie dobijał mnie fakt, że wszyscy naokoło byli przekonani, że jest tak fantastycznie, bo to znaczyło, że nawet nie mogę od tego uciec. Wiesz, co się stało tydzień przed tym feralnym występem w telewizji? Po - szłam na mammografię. Przyszedł lekarz i powiedział, że musi zrobić dodatkowe zdjęcia jednej piersi. Pierwsze, co mi przyszło do głowy: „Dzięki ci, Boże, jeśli to rak, będę mogła z tym wreszcie skończyć”. Rozumiesz? Uznałam, że mając raka, będę mogła wrócić do domu, poleżeć w łóżku, pooglądać stare filmy i nauczyć się gotować zupy. Mogłabym cały dzień chodzić w dresie i czytać kryminały.

- Daj spokój, nie wytrzymałabyś nawet tygodnia. Spojrzała na mnie wzrokiem, w którym wściekłość mieszała się z osłupieniem.

- Jeszcze pół roku temu nie pozwoliłabym ci na takie uwagi.

- Ja tylko stwierdzam fakt.

- No i się mylisz. Ja tylko mówię, że cały czas mi się wydawało, że gdybym zachorowała, mogłabym prowadzić normalne życie, tak jak inni ludzie.

- Jak mogłaś nie pisnąć mi ani słowa o tym, co czujesz?

- A jak miałam się do tego przyznać? Cały świat ci wmawia, że masz wspaniałe życie. Jak możesz powiedzieć, że czujesz się jak w klatce?

- To rzuć to. Zajmij się czymś innym.

- Och, Bridget... - zaśmiała się gorzko i uniosła do ust kieliszek z ponczem. - Co może robić ktoś taki jak ja? Zamknij oczy i spróbuj sobie wyobrazić, tak jak ja to robiłam setki razy, leżąc tutaj wieczorami. Meghan Fitzmaurice relacjonująca posiedzenia rady miejskiej dla lokalnego oddziału stacji? Meghan Fitzmaurice - redaktorka działu miejskiego w lokalnej gazecie? Nauczycielka w podstawówce? Pielęgniarka w szpitalu? Jeżeli w Ameryce staniesz się zbyt sławny, nie możesz zejść niżej, możesz tylko całkiem wypaść z obiegu. Stoję na gzymsie, a okno jest zamknięte. Leżę tu sobie co wieczór i cieszę się, że nie muszę wstawać, kiedy za oknem jest jeszcze ciemno, i czytać jakichś pierdół z promptera o zaginionej

kobiecie, o której za pół roku i tak wszyscy zapomną. Cieszę się, że nie muszę siedzieć na przyjęciu obok pana gubernatora i udawać, że interesuje mnie to, co mówi, choć tak naprawdę to największy nudziarz na świecie. Nie cierpiałam tego życia, a ono mnie zniszczyło. Zrujnowało moje szanse na to, by robić coś innego. A teraz nie mogę go nawet odrzucić, bo cały świat pomyśli, że to była tylko wymówka.

- A kogo obchodzi, co myśli cały świat?

- Moja droga, na takie podejście jest trochę za późno.

- Mam wrażenie, jakbyś wszystko przede mną ukrywała.

- Oczywiście, że ukrywałam. Dostawałaś tylko najlepsze kąski. I to ci odpowiadało. Jak mogłam ci powiedzieć, co naprawdę czuję? Obserwowałam twój wzrok na przyjęciach, na premierach, gdy ktoś mnie zagadywał na ulicy. Uwielbiałaś to. Uwielbiałaś spotykać gwiazdy filmowe, korzystać z wejść dla VIP - ów i podróże biznes klasą. Byłaś tym zafascynowana, tak jak cała reszta.

- I dlatego nic mi nie powiedziałaś? Czy wolałaś, żebym tak jak cała reszta żyła w przekonaniu, że masz idealnego męża, idealne dziecko i idealne życie? Nie musiałaś być męczennicą. Jestem twoją siostrą, nie jakąś fanką, wystającą pod studium z własnoręcznie wydzierganym pledem i transparentem: „Zbudź się, szkoda dnia”.

- A ty niby tak bardzo chciałaś znać prawdę, tak? Dorośnij, Bridget. To ty jesteś od tego, żeby mieć złudzenia. Ja muszę się zmagać z rzeczywistością. Na tym polega nasz układ. Ktoś musi być tym wrednym, żeby ktoś inny mógł być tym dobrym. Ktoś musi torować drogę, żeby komuś innemu było łatwiej. Ktoś musi być ambitny, żeby ktoś inny miał czas zastanawiać się nad życiem i iść za marzeniami. - Drwiła ze mnie prosto w oczy, nachylając się i patrząc wyzywająco. Rana na czole lśniła czerwienią. Bez wątpienia będzie miała bliznę. - Ktoś musi być za wszystko odpowiedzialny, żeby ktoś inny mógł się odprężyć. Ktoś musi być gotów robić wszystko, aby ktoś inny nie musiał robić nic.

- Jezu, Meghan, mówisz tak, jakbyś mnie nienawidziła - powiedziałaś trzęsącym się głosem. Zrobiło mi się niedobrze.

Meghan z wysiłkiem opadła na leżak i zamknęła oczy. Zapadła cisza: żadnego wołania ptaków, żadnych odgłosów z plaży ani łodzi. Za chwilę dobiegł mnie jej miarowy oddech i pomyślałam, że albo zasnęła, albo zemdląca przytłoczona mocą własnych słów. Rozplakałam się.

- Nie mówiłam o tobie, mówiłam ogólnie o wszystkich - wyszeptała po chwili. - Nieprawda, że cię nienawidzę. Kocham cię. Ciebie i Leo. Jesteście najlepszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła. W Nowym Jorku siadałam sobie czasem wieczorami w kuchni i czułam się taka samotna. Myślałam: „Co jest grane? Przecież to nie jest w końcu takie złe życie. Tylko że ono jest kompletnie nieprawdziwe. Ten apartament, limuzyny, przemowy, lunche, telewizja - wszystko to jest sztuczne". Prawdziwy był tylko Evan, Leo i ty. Evan odszedł, a Leo powoli się oddala.

- Leo zawsze będzie przy tobie. Ja też.

- Wiesz, Bridge, co jest przeciwieństwem „Zbudź się, szkoda dnia”? „Dobranoc i powodzenia” [Odniesienie do słów słynnego dziennikarza Edwarda R. Murrowa: „Good night and good luck”, którymi kończył swoje audycje (przyp. tłum.)]. A spójrz, czym ja się mogę pochwalić. Mam syna, który na corocznym „Śniadaniu z mamą” pojawia się z ciotką, i pokój wypełniony tabliczkami, statuetkami i masą bezużytecznych kryształowych przedmiotów z moim nazwiskiem. Więc jeżeli już kogoś nienawidzę, to siebie. - Powiedziawszy to, zapadła w sen z lekko rozchylonymi ustami, cicho pochrapując.

W środku nocy obudził mnie głośny ptasi krzyk. Otworzyłam oczy, Meghan nie było obok mnie. Zajrzałam do jej pokoju, ale łóżko było zasłane, tak jak je rano zostawiła żona Dereka - biały prostokąt majaczący w mroku nieoświetlonego wnętrza. Przestraszyłam się, że znów zachciało się jej popływać, więc ruszyłam w stronę pomostu, lecz już po kilku krokach zatrzymały mnie jakieś cienie, czarne kształty pod olbrzymim baldachimem liści rododendronu, monochromatycznym w ciemności, i ostrymi zarysami bambusów i bananowców. Pomost był częściowo oświetlony i zobaczyłam na nim dwa nagie, splecione ze sobą ciała. Nie mogłam dostrzec ich twarzy. Pośpiesznie się wycofałam, potykając się na nierównym stopniu. Wróciłam do łóżka, ale prawie nie spałam tej nocy. Dopiero nad ranem trochę się zdrzemnęłam, aż obudził mnie tupot stóp biegnących po asfalcie.

Na śniadanie dostałyśmy papaję z cząstkami limonki i jakiś rodzaj piernika. Kawa była wyjątkowo mocna. Para osnuwała nasze twarze, kiedy się nachylałyśmy nad filiżankami.

- Uuu, ale się wczoraj upiłam - powiedziała Meghan ze śmiechem, jak gdyby nic się stało. I nagle, po tym jednym zdaniu, padającym niemal co rano w nowojorskich biurach na usprawiedliwienie wszelkich ekscesów, od publicznego oddawania moczu po cudzołóstwo, wiedziałam, że ona wróci. Nie wiedziałam, kiedy to się stanie i jak, ale byłam pewna. Być może to skutek naszej wycieczki do miasta, która trochę za bardzo zbliżyła ją do odrzuconego wcześniej świata, a może tego, że nareszcie mogła się tak bardzo odsłonić. W każdym razie Meghan nagle przypomniała sobie, jak się kłamię. Z marszu, z łatwością, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Trudno jej się dziwić, wszak zawsze łatwiej jest kłamać niż mówić prawdę.

Nazajutrz rano stała na podjeździe ze słońcem za plecami i patrzyła, jak wsiadam do samochodu, żeby wyruszyć na lotnisko. Podeszła i z naturalnym, szczerym uśmiechem na twarzy zarzuciła mi ręce na szyję. Miałam jej jeszcze tyle do powiedzenia, o tylu sprawach chciałam pogadać, ale w ciągu tego tygodnia nigdy nie było na to ani odpowiedniej pory, ani miejsca, ani sposobności.

- Wiesz, co jest najfajniejsze w tym miejscu? - zapytała. - Można przejrzeć na oczy. Wszystko tu widać dużo wyraźniej. No, mała, trzymaj się. Teraz jesteś zdana tylko na siebie. - Podeszła do drzwi i odwróciła się. - Powiedz Leo, żeby odsłuchał moje wiadomości. Powiedz, że wylałam tam wszystkie swoje uczucia. Niech tu przyjedzie, to porozmawiamy. Bardzo chcę się z nim spotkać.

Rozdział 16

Do domu dotarłam w sobotę wieczorem. Ilekroć wracam do Nowego Jorku, nawet po tygodniowej przerwie, na nowo uderza mnie ogrom tego miasta, zachwyca jego potężna sylwetka na tle nieba, zwięzające się perspektywy ulic, fakt, że tutaj wszystko jest możliwe, dostępne na wyciągnięcie ręki: kuchnia etiopska, grupowy seks gejowski, ubranka dla piesków od znanych projektantów, nocne kluby z powszechnym dostępem do narkotyków, półmetrowe zapiekanki, całodobowe pralnie chemiczne. Nowy Jork funkcjonuje chyba na jakimś własnym środku nasercowym. W jednej chwili serce ci bije normalnie, równym rytmem, a za moment kołacze, przyśpiesza albo wali jak młotem.

- Kocham ją! - zawołał ktoś z okna taksówki, kiedy moknąc w wiosennej mżawce, przemierzałam Sześćdziesiątą Dziewiątą ulicę.

W domu znalazłam kartkę od Leo: „Pojechałem na weekend do Newport. Kocham cię. Kupiłem jabłka”. Faktycznie, i to ze dwa tuziny. Młodzi mężczyźni nie rozumieją podstawowych praw natury. Różne rzeczy gniją. Jabłka też. Leo na swój własny sposób posprzątał mieszkanie, to znaczy złożył kanapę, ale wystawał z niej kawałek prześcieradła i wycierał podłogę. Zmywarka była opróżniona, ale cała jej zawartość stała stłoczona na blacie niczym przypadkowa kolekcja szkła i porcelany. W sypialni na środku łóżka leżał zwinięty w kłębek malutki, czarno - biały kociak. Moja dorosła kotka, Kitty Foyle, siedziała w kącie przycupnięta na krześle niczym wielka ruda pieczeń i obserwowała. Jej wzrok nie wróżył nic dobrego. Na mój widok wydała z siebie przeciągłe miauknięcie.

„Przy dzieciach życie jest nieustającym pasmem niespodzianek” - powiedziałam kiedyś do Irvinga po jednej z wizyt Leo. Teraz to sobie przypominałam.

„Dzięki. Mam ich dosyć na co dzień” - odparł. - „To jedna z niewielu rzeczy, które los mi podsyła tonami”.

Ucieszyłam się, że Leo wyjechał, chociaż to oznaczało, że kwestia obecności kociaka pozostanie tajemnicą aż do poniedziałku. W mieszkaniu panowała cisza i spokój. Zauważyłam, że prawie wszystkie szuflady są niedosunięte, przynajmniej na centymetr. Obeszłam mieszkanie dookoła i pozamykałam je. Czekam, aż ktoś wreszcie przeprowadzi badania, dlaczego osobnicy z chromosomem Y

nie są zdolni dosuwać szuflad do końca. „O co ci chodzi?” - dziwi się zawsze Irving. - „Przecież jest zamknięta”.

W nocnej drogerii było raczej pusto. Jedyłą czynną kasę obsługiwała młoda muzułmanka w chuście. W głębi jakiś mężczyzna w wiatrówce przeglądał pismo „Car and Driver”. Starszy pan, który mieszka niedaleko mnie, patrolował alejki w swoim chodziku na kółkach. Z przodu ma przymocowany niewielki koszyk, jak w rowerze, i codziennie przychodzi do tego sklepu, aby kupić tylko jedną rzecz. Tym sposobem organizuje sobie zajęcia na każdy dzień tygodnia.

- Krople żołądkowe - mamrotał do siebie. - Gdzie tu mają krople żołądkowe?

To są retoryczne pytania. Ten pan nie lubi, gdy ktoś udziela mu odpowiedzi.

A na zewnątrz miasto się bawiło. Z greckiej restauracji wybiegły cztery pary. Panie głośno wykrzykiwały do siebie coś w stylu „A nie mówiłam?”. Panowie odpakowywali cygara i energicznie odgryzali końcówki. W oknie jednej z kamienic dostrzegłam kobietę i mężczyznę uchwyconych w prostokąt bursztynowego światła. W tle odbywało się jakieś spotkanie towarzyskie. Ona miała głowę nachyloną w jego stronę, lecz wzrok skierowany w dół, a on dotykał barkiem jej nagiego ramienia. Coś do niej powiedział i kobieta, unosząc podbródek, roześmiała się. Potem dotknęła go ręką i zbliżyła kieliszek do ust. Nowy Jork jest pełen takiej pantomimy. Kiedyś, siedząc w kawiarni, śledziłam cały proces oświadczyń, przebiegający po drugiej stronie ulicy za szybą francuskiej restauracji. Po sposobie, w jaki kobieta spojrzała na pierścionek, wniosłam, że jest rozczarowana, i przyszło mi do głowy, że jeśli los okaże się na tyle perfidny, może będzie mi dane któregoś dnia podglądać scenę, gdy ona rzuci nim w narzeczonego i zerwie zaręczyny, ewentualnie - trochę później - zażąda rozwodu.

Na schodkach budynku sąsiadującego z moim grupka licealistów paliła papierosy. Jedna z dziewcząt miała na sobie postrzępiony żakiet, który widziałam kiedyś w czasopiśmie w poczekalni u kosmetyczki. Pamiętam, że była podana cena - tysiąc sześćset dolarów.

- Robimy to w każdy weekend - mówiła dziewczyna.

Nie wątpię. Wizyta w słynnej pizzerii, gdzie bywają gwiazdy, spacer po Sheep Meadow w Central Parku, papieros na schodach kamienicy w West Side, alkoholowe party w apartamencie rodziców przebywających akurat w Paryżu. W Nowym Jorku nawet niezspsute dzieci stają się zepsute przez sam fakt, że budzą się co rano i patrzą na budynek ONZ przesłaniający im widok na rzekę z okna łazienki. Odkąd sobie uświadomiłam, że moja mama nie miała racji, zachowując się tak, jakby wyprawa do wielkiego miasta była najbardziej wyczerpującym z przedsięwzięć, przy każdej nadarzającej się okazji wsiadałam w pociąg i przyjeżdżałam tutaj. Był czas, kiedy wydawało mi się, że najbardziej egzotyczne słowa na świecie to „sushi na St. Marks Place”. Kiedy zaszyłam się na City Island, to nie po to, aby odnaleźć spokój, lecz żeby umieścić się w czyścicu, na który we własnym mniemaniu zasłużyłam.

Meghan nie chciała jechać ze mną na lotnisko. Tłumaczyła, że skoro wizyta w Negrilu ją przygnębiła, to Montego Bay byłoby nie do zniesienia, a także, że nie cierpi długiej jazdy samochodem, a poza tym boli ją głowa. Mnie się jednak wydaje, że pobyt w Negrilu przypomni jej, że istnieje jakieś życie poza sypialnią z kolonialnymi meblami, wypełnione nie tylko leżeniem na patio, pływaniem i paleniem marihuany. Zasłaniała uszy rękami, żeby zagłuszyć jego syreni śpiew. Rano w dniu mojego wylotu stojący w kuchni faks wypuścił wiadomość. Stacja oficjalnie zdjęła Meghan z listy płac.

- Jak to dobrze, że mam trzydzieści milionów w inwestycjach - rzuciła nonszalancko, wymachując kartką.

Ta chwila, gdy obejmowała dłońmi moją twarz, jak to czasem robiła w dzieciństwie, kiedy mówiła: „Trzymaj się”, to był idealny moment, aby wyjawic jej moje podejrzenia. Oczywiście powinnam to była zrobić już pierwszego wieczoru albo trzeciego, albo nawet w drodze powrotnej z Negrilu, kiedy musiałam poprosić Dereka, aby się zatrzymał, a następnie zwymiotowałam na skraju łąki, na której pasły się kozy. Jednak wmawiałam sobie, że przecież nie mam całkowitej pewności, mimo że głos w mojej głowie, na bieżąco komentujący wszystkie wydarzenia (czasem podejrzenie przypominający antenowy głos Meghan), twierdził coś wręcz przeciwnego. Czasem słyszę też inny głos, brzmiący zupełnie jak Tequila. Jeśli dorzucić do tego dźwięczące od czasu do czasu powiedzonka cioci Maureen, można się zastanawiać, jakim cudem słyszę jeszcze własne myśli. Kiedy stałam

przy kasie w sklepie i kładłam na taśmę wiaderko lodów bakaliowych, duże pudełko czekoladek oraz test ciężowy, głos Tequili mruknął z sarkazmem: „Okej, lody i czekoladki rozumiem, ale po co sobie zawracasz głowę testem, skoro i tak znasz wynik?”.

Czekoladki tak czy owak nie były przeznaczone dla mnie. Rano w niedzielę wstałam wcześniej, gdy miasto tonęło jeszcze w mlecznym świetle poranka, ubrałam się i wyszłam z domu. O tej porze ulice są opustoszałe i zaśmiecone pozostałościami weekendowych szaleństw. Kupiłam kilka bułek, twarożek, zapakowałam to wszystko do jednej torby razem z czekoladkami i wsiadłam do pociągu do Westchester. Właśnie tam, w budynku zbudowanym w staroangielskim stylu mieszka nasza ciocia Maureen. Jest to rodzaj domu seniora, przeznaczonego głównie dla kobiet, gdzie miano im zapewnić pomoc i opiekę, a sprowadza się to do tego, że dano im do dyspozycji miniva - na, którym mogą się wybrać na zakupy albo na lunch, i kilka razy w miesiącu organizowano im wycieczki do muzeów lub teatrów na Manhattanie.

- Jest moja dziewczynka - powitała mnie w drzwiach. Uściskała mnie i wzięła ode mnie torbę. - Kawa już się parzy.

Wchodząc do tego mieszkania, nie można się powstrzymać, żeby od razu nie podejść do okna, za którym roztacza się przepiękny widok na jeden z najszerszych odcinków rzeki Hudson. Bliższy brzeg ozdabiają frędzle drzew, a po drugiej stronie rozległego zakola szarozielonej pomarszczonej wody wznosi się stroma skarpa, wyglądająca tak dziko, jak za czasów, gdy jedynymi mieszkańcami Nowego Jorku byli Indianie, wiodący spokojne, nudne życie, które wkrótce miało zostać naznaczone ludobójstwem i zdradą. Ciocia Maureen ma w pokoju teleskop na statywie i miękki fotel, choć z tego miejsca widać głównie czubki drzew i niebo.

- Wspaniale wyglądasz - powiedziała, niosąc kubek z kawą. - Czy mam przez to rozumieć, że wspaniale się bawiłaś?

- Nie użyłabym tego słowa. Było raczej dziwnie, bo obie z Meghan sobie uświadomiłyśmy, że przez te wszystkie lata nigdy nie miałyśmy czasu, żeby pogadać. Tak na poważnie. No, ale tym razem nadrobiłyśmy zaległości. Powiem tylko tyle: Meghan całkowicie się otworzyła i wszystko z niej wyszło.

- Jak puszka Pandory - skwitowała ciocia. - Nasza Meg ma teraz nad czym myśleć. - Ciocia Maureen jest jedyną osobą poza Evanem,

której wolno używać tego zdrobnienia. Za każdym razem poprzedza je słowem „nasza”. Jakiś czas temu dotarło do mnie, że to ma odróżniać „naszą Meg” od „ich Meghan”, osobę prawdziwą od tej publicznej. Być może takie rozróżnienie nie będzie już więcej potrzebne.

- Czy ty zdawałaś sobie sprawę z tego, jaka ona była nieszczęśliwa?

- Och, Bridget, Meghan nigdy nie była szczęśliwa. Ona ma w sobie taki silniczek, który ją napędza. Kłopot w tym, że jak masz taki silniczek, nie istnieje tak naprawdę jeden konkretny cel, do którego chcesz zmierzać. Co więc w tej sytuacji robisz? Próbujesz dojechać najdalej, jak się da. Ale to nigdy nie jest wystarczająco daleko. Kiedyś ten problem dotyczył wyłącznie mężczyzn, ale teraz i wam, dziewczynom, udało się go przywłaszczyć, tak jak wiele innych rzeczy..

- Wiesz co, jestem trochę zła, bo żyłam w przeświadczeniu, że wszystko układa się całkiem dobrze. To znaczy wiedziałam, że Meghan ma dużo stresów, ale nie sądziłam, że tak potwornie cierpi. I jeszcze wychodzi na to, że wszyscy o tym wiedzieli oprócz mnie. A przecież powinno być odwrotnie.

Maureen wyszła do kuchni dolać sobie kawy, a ja podeszłam do ściany w kącie jadalni wypełnionej zdjęciami. Oczywiście powinna ona nosić nazwę ściany pamięci Meghan Fitzmaurice. Jest tam zdjęcie mojej siostry u boku niskiego zaszuszonego staruszka, który po bliższym przyjrzeniu się okazuje się być prezesem Sądu Najwyższego. Obok Meghan na rozdaniu Oscarów, stojąca w otoczeniu aktorów - wygląda jak jedna z nich.

Ale jestem też ja. Odbieram dyplom na uczelni, stoję na plaży w Hamptons, pozoruję uderzenie, trzymając pięść tuż przy twarzy Leo, podczas gdy on z udawanym przerażeniem w oczach zasłania się otwartą dłonią. Jeżeli policzyć zdjęcia wiszące na ścianie u cioci, zawsze wyjdzie liczba parzysta. Nigdy nie było tak, żeby którejś siostrzenicy przypadło więcej miejsca. Wiem, bo liczyłam. Ciocia Maureen i nasza matka także były siostrami; choć ciocia nigdy tego nie mówiła, patrząc wstecz, widzę wyraźnie, że zawsze się starała, aby żadna z nas nie miała poczucia, że ta druga jest w jakikolwiek sposób faworyzowana.

- Wiesz, że tu nie ma ani jednego zdjęcia, na którym jesteśmy obie z Meghan?

Ciocia skinęła głową.

- Mam takie. Stoicie na ganku, takie dwie słodkie dziewczuszki, i obejmujecie się za szyje. Trzymam je przy łóżku. Ale tutaj nie. Tutaj mam was każdą z osobna.

- Ale dlaczego? To trochę dziwne.

- Bo wy jesteście dwiema odrębnymi istotami, Bridget.

- Ba, nie da się zaprzeczyć, że się różnimy.

- Oczywiście. Kiedy zamieszkałyście u nas, przeczytałam parę poradników, głównie po to, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzić z Meghan. Miała w sobie ryle złości, a ja nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jest zła na mnie.

- Znam to uczucie.

- I wiesz, w rzeczywistości nie była na mnie zła. Ona po prostu była wściekła na to, jak się sprawy potoczyły. I już wtedy miała w sobie ten silniczek. Chyba złościło ją to, jak on nią kieruje. W każdym razie, w jednym z tych poradników napisali, że drugie dziecko zajmuje terytorium, którego nie zagarnęło to pierwsze.

- Ach, to dlatego muszę się zadowolić życiem w cieniu i klepaniem biedy - roześmiałam się.

Maureen potrząsnęła głową.

- Miałam nadzieję, że ten wyjazd ci pokazał, że w waszym przypadku bynajmniej tak się nie stało.

- Myślisz, że to by tłumaczyło moją decyzję o wyborze zawodu? Że będąc pracownikiem socjalnym jestem kimś w rodzaju anry - Meghan?

- Hm, ciekawa koncepcja. Zawsze sądziłam, że podjęłaś tę pracę, ponieważ wzorując się na mnie. Być może za bardzo sobie pochlebiałam.

- Na pewno nie bardziej, niż na to zasługujesz. - Nachyliłam się i objęłam ją. - Ale jedna rzecz mnie niepokoi: skoro drugie dziecko dostaje to, czego nie chciało pierwsze, co w takim razie z jedynakami? W jakiej sytuacji to stawia Leo?

- Podejrzewam, że jedynak może albo zgarnąć wszystko, albo dokonać wyboru. Leo chyba poszedł tą drugą drogą. Ja bym była spokojna o tego chłopca.

- Właściwie to nigdy wcześniej nie martwiłam się o Meghan - powiedziałam, patrząc przez okno na gałęzie drzew.

- Ani przez chwilę w to nie uwierzę - odparła ciocia Maureen.

- Strasznie schudła.
- To nic nowego.
- Ale naprawdę. Taka chuda w życiu nie była.

Ciocia wstała od stołu i wyszła do drugiego pokoju. Wróciła, niosąc w ręku jedno z plotkarskich pism. Rzuciłam okiem na okładkę. Starzejąca się gwiazda filmowa odkryła, że jej mąż jest gejem. Wokalista zespołu rockowego sypiał z siostrą byłej żony. U dołu widniało małe niewyraźne zdjęcie z podpisem: „Meghan na odwyku?”. Przedstawiało sfotografowaną od tyłu młodą rudowłosą kobietę w szpitalnej koszuli, idącą korytarzem z podłączoną kroplówką. Kimkolwiek jest, przynajmniej los oszczędził jej dodatkowego upokorzenia; szpitalne koszule lubią się rozchyłać z tyłu.

- Rzekomo przebywa w jakimś ośrodku w Kolorado. Tym samym, do którego trafiła w zeszłym roku ta młoda aktorka.

- Albo i nie trafiła. Skoro wiemy, że Meghan tam nie ma, to może i tej dziewczyny tam nie było? Może ten ośrodek w ogóle nie istnieje? A może Kolorado nie istnieje? Kiedy to się ukazało?

- Od trzech, czterech dni łapię na sobie współczujące spojrzenia w klubie brydżowym, więc przypuszczam, że jakoś wtedy. Bałam się tylko, że Leo mógł to widzieć lub usłyszeć od kogoś. Rozmawiałam z nim w czwartek wieczorem. Wydaje się bardzo zadowolony z pracy. Mówił, że po powrocie zastaniesz w domu niespodziankę. Mam nadzieję, że to coś miłego. Zauważyłam, że dzieci bywają w tej kwestii nieprzewidywalne, jeśli wiesz, o czym mówię.

Roześmiałam się. Przypomniałam sobie całą serię niefortunnych prezentów. Ciocia Maureen nie przepada za niespodziankami. Może dlatego, że przeżyła w życiu kilka całkiem sporych: fakt, że nie mogła mieć własnych dzieci, że z dnia na dzień musiała stać się matką dla dzieci swojej siostry. Dlatego do dziś woli bombonierki z opisem zawartości na pudełku. Taką jej właśnie kupiłam.

- Masz na myśli pudełko żywych kurczaczków na Wielkanoc?
- Na przykład. Albo wtedy, gdy sama obcięłaś sobie włosy. I jak namalowałaś farbą na ścianie fragment jakiegoś wiersza.
- Źdźbła trawy Walta Whitmana.
- Leo już chyba wyrósł z bazgrania po ścianach?

- Leo obraca się w takim środowisku, gdzie jeśli dziecko chce mieć na ścianie wiersz, to mama zatrudnia artystę, który go wykaligrafuje i jeszcze odpowiednio oświetli litery.

- Nie bądź złośliwa. Poza tym, mam wrażenie, że on nie dał się złapać w szpony tego absurdu. Wystarczy spojrzeć na to, co robi w waszej fundacji. Ilu z tych chłopców potrafiłoby zdobyć zaufanie tych wszystkich ludzi, z którymi pracujesz? Udało mu się zachować równowagę. Naszej Meg również.

- Obawiam się, czy jej nie straciła.

- Nic jej nie będzie.

- Mówi, że nie jest w stanie tu wrócić. Ciocia Maureen dołała nam obu kawy.

- Musi tylko uruchomić wyobraźnię. Powinna wziąć sobie ciebie za wzór. Ty zawsze jakoś umiałaś znaleźć nowy pomysł na siebie.

- Tak to się nazywa? A ja myślałam, że po prostu błędzę bez celu.

Ciocia energicznie odstawiała kubek.

- Nieprawda. Tobie się wydawało, że tak myśli Meghan. Owszem, to ją niepokoiło, ale nie dlatego, że było czymś złym, tylko dlatego, że ona sama tak nie potrafiła. - Wzięła do ręki niebieską salaterkę, stojącą na stole i wyjęła z niej wszystkie jabłka. Potem odwróciła naczynie do góry dnem i pokazała na odcisnięte tam moje inicjały. - Zrobiłaś w życiu mnóstwo rzeczy konkretnych, trwałych. Nie wolno ci tego nie doceniać.

Nie wiem, czy to z powodu tej salaterki i niespodziewanego wspomnienia, jak siedziałam przy kole garncarskim i piękne, okrągłe kształty naczyń zaczynały wyłaniać się spod moich palców, lecz nagle zachciało mi się płakać. Otworzyłam usta, zawieszona w stanie, w którym wydaje ci się, że masz dwie możliwości, lecz z chwilą, gdy popłyną słowa, jedną z nich tracisz na zawsze. Znika tuż przed twoim nosem, niczym Kot z Cheshire, zostawiając po sobie jedynie świetlisty pył. To ten moment, kiedy nachylasz się, aby po raz pierwszy pocałować nowo poznanego mężczyznę, kiedy trzymasz w dłoni jeszcze zaklejoną kopertę z pismem z college'u. Wóz albo przewóz.

- Jestem w ciąży - oznajmiłam.

- No, to dopiero jest niespodzianka!

- Dla mnie też. Myślałam, że zbliża się menopauza.

- Co zamierzasz zrobić, Bridget?

- Zamierzam urodzić dziecko - odparłam i przeszedł mnie dreszcz. Wtedy po raz pierwszy wypowiedziałam te słowa na głos.

- Uważam, że to wspaniały pomysł. Cudowny. Najlepszy na świecie. Ależ ty masz szczęście. Czterdzieści trzy lata, a tu ciąża.

Wzięła mnie za rękę i delikatnie się uśmiechnęła. Moja ciocia: najpierw zdradził ją własny organizm, a potem musiała zaakceptować macierzyństwo z drugiej ręki.

- Irving nie chce mieć dzieci.

- To jak przyjął tę wiadomość?

- Jeszcze o niczym nie wie. Meghan też nie powiedziałam. Nie miałam stuprocentowej pewności, a poza tym bałam się, jak na to zareaguje. Jesteś pierwszą osobą, której to mówię.

Maureen pociągnęła łyk kawy i uśmiechnęła się.

- To nawet logiczne. W końcu jestem babcią.

- I nie jesteś zła?

- Że co, że nie jesteście małżeństwem? Phi, daj spokój. Dwojgu wspaniałym ludziom urodzi się dziecko, które oboje będą kochać. Pomyśl, jakie ona będzie miała cudowne życie. Albo on. Chociaż muszę przyznać, że marzyłaby mi się jeszcze jedna dziewczynka. Założę się, że wtedy Irving zmieniłby zdanie.

- On jest raczej nieugięty w tej kwestii. Wątpię, czy cokolwiek zdoła go przekonać. Całkiem możliwe, że będę zdana tylko na siebie.

Maureen zaczęła sprzątać ze stołu.

- Nie zbudź się - powiedziała. - Czy to dlatego nie tknęłaś kawy? Potrzebujesz dobrego ginekologa? Wciąż mam znajomości w branży.

- Dziękuję, mam zamiary pewnej kobiety cieszącej się dobrą opinią. Na razie, póki Meghan nie wróci, prawdopodobnie będzie mi potrzebny partner do szkoły rodzenia. - Sama byłam partnerką Meghan. Evan mdleje nawet w czasie pobierania krwi. Wprowadzili go na salę porodową w kluczowym momencie, żeby przeciął pępowinę, a skończyło się na tym, że musieli go posadzić w kącie i podać tlen.

Ciocia Maureen postawiła przede mną szklanekę soku pomarańczowego.

- Jeśli mogę się przydać, to chętnie. Będę najstarszą w świecie uczestniczką szkoły rodzenia. Jednak na twoim miejscu nie martwiłabym się o to, co powie Irving. Problem polega na tym, że gdy większość osób zastanawia się nad posiadaniem dzieci, patrzy na

cudze. Widzą gromadkę rozwrzeszczanych czterolatków na placu zabaw albo jakąś arogancką nastolatkę, która pyskuje rodzicom, i myślą: „O, nie. Nigdy”. A potem ktoś podaje im do rąk ich własne dziecko i nagle tamto staje się nieistotne, odpływa w zapomnienie. Zmieniają się w mgnieniu oka.

Jedno po drugim włożyła jabłka z powrotem do salaterki.

- Może nie było mi dane przeżyć tego osobiście w szpitalu, ale przeszłam przez to, więc doskonale wiem, o czym mówię.

Rozdział 17

Poniedziałkowe poranki w mojej części Bronksu są spokojniejsze, niż można by się spodziewać. Z pewnością spokojniejsze niż tam, gdzie mieszkam na Manhattanie. Wszelkiej maści menedżerowie, prawnicy i graficy agencji reklamowych wyłaniają się wtedy z domów z „New York Timesem” pod pachami oraz widoczną na twarzach i zaznaczającą się w postawie ciała ponurą determinacją smutnych wyrobników.

Ale gdy wysiadam z metra na Bronksie, z miejsca odnoszę zupełnie inne wrażenie. Nawet atmosfera w barze kanapkowym, wabiącym zapachem przetworzonego mięsa, wydaje się być bardziej senna niż zwykle. Jego właściciel, Ricky, mimo że jest Portorykańczykiem, nazwał go Cubana Sandwich Shop, ponieważ twierdzi, że Portorykańczyków nikt nie lubi. Matka Ricky'ego pielęgnuje kwiaty na parapecie, najbardziej wyłysiałe i przerośnięte okazy geranium, jakie widziałam, oraz różne odmiany sansewierii posadzone w glinianych doniczkach. Te rośliny są niesamowicie wytrzymałe, ale raczej niezbyt piękne. Trochę dalej widać kilku sprzedawców, jak sprzątają chodnik przez sklepem, zmiatając do rynsztoka niedzielne śmieci. Grupka dzieci, nienaturalnie marszcząc brwi, maszeruje spóźniona do szkoły. To wszystko dlatego, że w tej okolicy poniedziałek jest w pewnym sensie dniem odpoczynku. Oczywiście, kiedy ja wynurzam się z mrocznego metra na światło dzienne, część mieszkańców już dawno jest w pracy. To ci, którzy muszą być na szóstą w fabryce, sprzątają wagony albo przygotowują posiłki dla dzieci w szkołach. Ich dzień jest już na półmetku, podczas gdy mój dopiero się zaczyna. Wielu jednak wciąż jeszcze leży w łóżkach. Wyczerpani odpoczywają po ciężkiej pracy w weekend: odkurzaniu biur, obsłudze dwunastoosobowych stołów przy Lexington Avenue, sprzedawaniu na Szóstej Alei owoców i prażonych orzeszków turystom, zachowującym się tak, jakby w życiu nie widzieli migdałów. Dla pracującej biedoty nie istnieją wolne weekendy; oni odpoczywają wtedy, kiedy się uda. Pewnego razu słyszałam, jak młody policjant mówił, że dlatego w poniedziałki rano jest spokój na ulicach, że „oni wszyscy wiszą przy państwowym cycku”. Był wtedy ze mną Irving. Odbierał w barze Ricky'ego kanapki dla grupy kolegów, przygotowujących jakąś większą obławę na handlarzy narkotyków działających niedaleko przy Hunts Point.

Podszedł do młodzieńca i dał mu prztyczka w nos. To najbardziej poniżający gest, jakim starszy funkcjonariusz może dać do zrozumienia młodszemu, że jest tak nędzną kreaturą, iż nawet nie zasługuje na normalne uderzenie w twarz.

- Gówniarz jesteś - skwitował jego wypowiedź Irving.

Domyślałam się, że w biurze atmosfera bynajmniej nie będzie leniwa. W poniedziałki prawie zawsze jest harówka. Sobotnie kolacje zamieniają się w sobotnie imprezy, a te z kolei w sobotnie awantury. Ta reguła obowiązuje wszędzie, od Piątej Alei po Staten Island, ale w życiu na krawędzi, jakie wiecie wiele z naszych podopiecznych, sobotnia awantura może się zakończyć niedzielnym porankiem na ulicy i szepczącą do ucha siostrą albo ciotką: „Przepraszam, skarbie, ale on się nie zgadza, żebyś u nas mieszkała”. W weekendy zdarza się też więcej pożarów i częstsze są zgłoszenia aktów przemocy domowej. Tak nazywamy sytuację, kiedy facet wkurza się na żonę za to, że ona się wkurza, że on zrobił dziecko innej dziewczynie, i wykręca jej rękę pod takim dziwnym kątem, że rozlega się trzask tak głośny, iż słyszą go dzieci chowające się w sąsiednim pokoju. Nierzadko trafia do nas i ta dziewczyna w ciąży, bo na przykład oberwała od niego kopniaka w brzuch za to, że zapytała, kiedy zamierza odejść od żony. A odpowiedź brzmi: „Kiedy piekło zamarznie”. Albo - jak kiedyś Tequila powiedziała do pewnej dziewczyny, poprzedzając to tym swoim prychnięciem - „Kiedy Jezus zejdzie z krzyża, wstąpi do McDonalda i zamówi zestaw promocyjny z czekoladowym shake'iem”.

A jednak pierwszy dzień w pracy minął spokojnie. Zdarzyło się nawet kilka pozytywnych rzeczy. Dwie mieszkanki schroniska dostały pracę. Pewna bogata kobieta rozesłała wici, że poszukuje pomocy domowej, a ktoś ze znajomych zauważył kartkę z informacją o wolnej posadzie w eleganckiej knajpie i zadzwonił do Alison, żeby podeszła na rozmowę którąś z naszych podopiecznych. W Nowym Jorku znajomi są niezbędni, nawet jeśli chodzi o bezdomnego z kwalifikacjami starczającymi tylko na wykonywanie prostych prac, które obracają się wokół amoniaku, gumowych rękawiczek i mopa.

- Jesienią Delon idzie do przedszkola - przeczytała w swoich notatkach Mary, zajmująca się dziećmi rodzin mieszkających w budynku przejściowym. Miałyśmy właśnie cotygodniowe zebranie

personelu. - Annette jest na liście oczekujących na zasiłek mieszkaniowy. Już w lipcu może dostać kawalerkę.

Pokiwałam głową. Przedszkole - cudownie. Mieszkanie - fantastycznie. Moje myśli zaczęły krążyć bezładnie niczym balonik zerwany z uwięzi. Może sprawiła to świadomość, że kiedy Annette będzie się wprowadzać do nowego mieszkania, ja będę już chodziła w ciążowych ciuchach? Ależ się moje kursantki ucieszą! A może chodziło o to, że Leo nie wrócił na noc do domu i martwiłam się o niego. „Jak myślisz, gdzie on może być?” - zapytałam Kate, kiedy do niej zadzwoniłam, aby przekazać wieści o Meghan. „Zapewne tam, gdzie zwykle spędza noce, kiedy jest w college'u” - odparła.

A może to dlatego, że teraz mogłam widzieć Meghan oczyma wyobraźni: jej ramiona zwinnie i pewnie przecinające wodę, mięśnie nóg wyraźnie rysujące się pod opaloną piegowatą skórą, a nawet jej drinka i jointa. Muszę jej wysłać faks: „Dziecko. Będę miała dziecko!”.

No i oczywiście nurtowała mnie sprawa Irvinga. Przygotowywałam się do rozmowy z nim od kilku tygodni. Powiadają, że kobieta intuicyjnie wyczuwa, kiedy jest w ciąży (jak to ujęła jedna z moich kursantek: „Dosłownie czułam, kiedy ta bomba spadała!”), i w moim wypadku okazało się to prawdą. Wiedziałam o tym, wymiotując na Coney Island, kiedy poczułam sos do małży. Wiedziałam, kiedy robiło mi się niedobrze na samą myśl o hot dogach. Lecz zignorowałam własną intuicję. Cięża w wieku czterdziestu trzech lat to lekki obciach.

Nie mniejszym obciachem jest robienie sobie w domu testu ciążowego, o czym się przekonałam w sobotni wieczór, kucając nad plastikową płytką w mojej łazience bez okna. I wtedy mnie olśniło. Godniejszy sposób dowiadywania się o tym radosnym wydarzeniu nie przygotowałyby nas należycie do tego, co wkrótce nas czeka: workowate ciuchy, bieganie do toalety, charakterystyczny kaczy chód i wreszcie nieuchronne bliskie spotkania z fizjologią innej ludzkiej istoty, takiej, co to opluje cię z chwilą, gdy cię ujrzy na oczy.

„Madonna z dzieciątkiem” - stwierdziła sucho Meghan, kiedy pewnego ranka niania trzymała Leo, a ona kończyła odciągać pokarm za pomocą elektrycznej pompki, wyglądającej jak tajemniczy sprzęt gospodarstwa domowego. Drugi egzemplarz trzymała w pracy, w szufladzie biurka, pod statuetkami Emmy. Może ja zamiast tego

mogłabym przynosić do pracy prawdziwe dziecko i prawdziwą pierś? To są jednak kwestie organizacyjne, nad którymi się jeszcze nie zastanawiałam. Podobnie jak nad tym, czy stać mnie będzie na coś więcej niż standardowy poród w ramach naszego nędznego ubezpieczenia, czy z mojej pensji wystarczy na pieluchy i gdzie ja zamieszczę dziecko w dwupokojowym mieszkaniu. „Jak tylko dorobią się dzieci, lądują na przedmieściach” - stwierdził kiedyś Irving, wzruszając ramionami. Irving wypowiada słowo „przedmieścia” takim samym tonem, jak epidemiolodzy wypowiadają słowa „epidemia cholery”.

Jak na sześćdziesięciosiedmioletniego mężczyznę wychowywanego przez najbardziej lękliwą kobietę pod słońcem (jak wynika z jego opowiadań) oraz dwie starsze siostry, których życiowym mottem było: „Mam alergię”, Irving jest nadzwyczaj elastyczny. Być może dlatego, że mając w życiu dwie żony i liczne narzeczone, musiał się wielokrotnie dostosowywać. Ale w kilku kwestiach jest niezwykle stanowczy: do małży wyłącznie sos jasny, nie czerwony; do kościoła lub synagogi koniecznie garnitur i krawat, a nie zwykła marynarka; nigdy, pod żadnym pozorem nie będzie nosił baczków, no i nie chce mieć żadnych dzieci. Byłam więc z góry na straconej pozycji, jeśli chodzi o wiadomość, którą miałam mu do przekazania.

- Musimy zdecydować, czy klub szachowy zostawiamy tylko dla naszych dzieci, czy udostępniamy go całej dzielnicy - powiedziała Mary, zaglądając w notatki.

Otrząsnęłam się z zamyślenia

- Od kiedy mamy klub szachowy? - spytałam.

- Od kiedy założył go Leo - wyjaśniła Alison. - Dałyśmy mu wolną rękę, bo szczerze mówiąc, chyba żadna z nas nie wierzyła, że dzieciaki zainteresują się szachami. Ale jak im naopowiadał historyjek o królach i skoczkach, to tak się w to zaangażowały, że teraz codziennie po szkole przychodzi grupka i rozgrywa partyjki. Najpierw było to kilkoro dzieci z gimnazjum, ale namówili kolegów i teraz nagle mamy ich w pokoju dziesięcioro - grających lub zaglądających przez ramię.

- Jesteś mistrzem! - zawołałam do Leo, kiedy głośno tupiąc, wszedł do mego biura. Kończyłam właśnie spożywać szybki lunch (rosół i krakersy; mam nadzieję, że utrzymają się w żołądku).

- I tej myśli się trzymaj - odparł mój siostrzeniec i klapnął na krzesło. Czy oni wszyscy muszą tak robić? Wpadać do pokoju, jakby przeprowadzali rewizję? Siadać na krzesła, jakby mdleli albo powalił ich wybuch? Nagle popatrzyłam na niego i ujrzałam go jako sekwencję postaci: niemowlę, przedszkolak, chłopiec, mężczyzna. Potem spojrzałam na swój brzuch i zobaczyłam przyszłość.

- Po pierwsze, czy możemy zatrzymać kotka? Po drugie, jak tam mama? Po trzecie, dlaczego mówisz, że jestem mistrzem? Po czwarte, widziałas się z Irvingiem?

- Tak, dobrze, szachy, nie.

- O rany - przechylił się w przód i oparł łokcie na biurku. - To ci się udało. - Pogmerał rękami we włosach, choć trudno powiedzieć, w jakim celu. Jeżeli chciał się w ten sposób uczesać, to mu się nie udało.

- Dobra, czyli kicia może u nas zostać. To super. Znalazłem ją za domem, trzęsa się ze strachu, płakała i w ogóle. Musiałem ją zanieść do domu w plecaku. To było przeżycie. Plecak w każdym razie nadaje się do wyrzucenia. A więc u mamy wszystko w porządku, to dobrze. Widzę, że powiedzieli ci o klubie szachowym. Z Irvingiem się nie widziałas, ale zobaczysz się dziś wieczorem, bo zabiera mnie na mecz Jankesów. Komendant odstąpił mu dwa bilety. Super, nie?

- Ile kaw dzisiaj wypijeś?

- Przepraszam, jestem trochę nabuzowany. Wstaliśmy dzisiaj wcześniej i jechaliśmy tu aż z Newport. A w weekend niewiele spałem, ale za to bawiłem się bosko. Opowiadaj, jak było na Karaibach, a ja ci opowiem o tych szachach.

Mówiłam dobre piętnaście minut: o bungalowie, o porannym joggingu, pływaniu i nurkowaniu, o tym, co jadłyśmy i o niektórych sprawach, które roztrząsałyśmy wieczorami na patio. A jednak cały czas dręczyła mnie jedna myśl: jak my się strasznie nawzajem okłamujemy, robiąc to w jak najlepszej intencji. Niemal każda rozmowa zawiera jakieś uniki, zawoalowania, przemilczenia. Wszystko, co może wygładzić ostre kanty prawdy. Grzeczność i obyczajność uczyniły z nas wszystkich tchórze.

- Nie owijaj w bawełnę, Bridey, tylko powiedz, jak bardzo jej odbiło - powiedział Leo, kładąc na moje biurko swoje wielkie buciory. Kiedy zepchnęłam je ręką, roześmiał się.

- Nic jej nie odbiło. Stała się tylko trochę cyniczna. Ale jej próby skontaktowania się z tobą to istna komedia omyłek. Podobno

zostawiła ci mnóstwo wiadomości na sekretarce w akademiku i w mieszkaniu.

- Czyli tam, gdzie ich nigdy nie odsłuchuję. Wiem, dziś wieczorem urządzę sobie maraton. Zacznę od najwcześniejszego nagrania w akademiku. Mama mówiła, że może być ich w sumie ze czternaście. To dużo.

- Rozmawiałeś z nią?

- Niezupełnie. Kiedy rano przyjechałem, zastałem od niej długi list. Przyszedł faksem, ale odręcznie napisany i w ogóle. Też zamierzam jej odpisać. Fajnie będzie. Jak piszesz list, to masz więcej czasu, żeby się zastanowić. Poza tym można go potem zachować.

- To świetnie. A propos pamiątek: twoja mama coś ci przysłała. - Wyjęłam spod biurka olbrzymią kremową muszlę nakrapianą na brązowo. Coś pięknego. Ten gatunek zwie się „rogiem Trytona”. Percy przyniósł ją w dzień po pechowym nurkowaniu, w ramach przeprosin, jak sądzę. Meghan poprosiła, abym zawiozła ją Leo.

- Kurczę - powiedział, obracając muszlę w dłoni. Zajrzał do środka, potem przyłożył do ucha. Niepojęte, że zaledwie tydzień temu to stworzenie pełzało wśród traw na dnie błękitnego morza, a skończyło w zagraconym biurze w Bronksie jako prezent od nieobecnej matki dla dorosłego syna.

- Jak oni go stąd wyciągnęli? - zapytał Leo. Musiał zadać akurat to jedno pytanie, na które lepiej byłoby nie odpowiadać.

- Nasypali soli i ślimak wypłynął - odparłam. Odłożył muszlę na stertę papierów.

- Okrutne. Skinęłam głową.

- Został pusty dom.

Gdy Leo wyszedł, aby zawieźć dwie kobiety na rozmowy w sprawie pracy, przyszła Tequila i zobaczyła muszlę.

- Fiu, fiu, piękna rzecz - gwizdnęła. - Ile dałaś?

- To prezent.

Nagle energicznym ruchem głowy wskazała na drzwi.

- Ty umiesz grać w te szachy? - Nie.

- Jakie to trudne, mówię ci. Przyglądałam się tydzień temu. Dzieciaki mi tłumaczą: ten się może ruszać tylko tak, tamten tak... Dzięki, to już wolę warcaby.

- A więc uważasz, że to strata czasu?

Pokręciła głową. Usiadła na tym samym krześle, na którym siedział Leo, i wzięła muszlę do ręki.

- Księżniczka Margaret mu pomaga. Zaczęła teraz pracę w ogrodzie botanicznym, kończy o trzeciej. Nie lubię, jak siedzi sama w domu. Leo pojedzie po nią, jak będzie w okolicy osiedla, i przywiezie tutaj, a potem razem wrócimy do domu. W ten sposób jest zajęta cały dzień.

- Dałabyś dziewczynie trochę luzu. W ciągu roku szkolnego całymi dniami nic nie robi, tylko się uczy.

- Mój średni, Armand, ma takiego jednego kumpla, Marvin się nazywa. Ciągłe się kręci koło bloku, przychodzi, wyciąga Armanda do KFC, czy jak to się tam nazywa. No i za każdym razem, jak go widzę, wlepia gały w Margaret.

- Cóż, to śliczna dziewczyna - powiedziałam i Tequila przytaknęła. Właśnie w tym rzecz. Śliczna i inteligentna dziewczyna. Już za rok może całkowicie odmienić swoje życie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Marzenie, które wydawało się niemal nierealne, może się spełnić. Wiedziałam, że oczami wyobraźni Tequila już to wszystko widzi: dobrą pensję, wizytówkę, apartament, ustawionego męża. Jednak po drodze czyhają liczne pułapki, a najgorszą z nich byłby chłopak i ciąża. Nawet nie to, że mógłby się trafić drań, który biłby ją i zdradzał, taki jak pierwszy mąż Tequili (jej córka jest na to za sprytna), ale zwykły chłopak, taki, co to będzie pracował jako kierowca albo sprzedawca w sklepie, będzie nosił identyfikator z nazwiskiem i zestarzeje się w jednym i tym samym domu, nie dorobiwszy się niczego. Taki człowiek wprowadzie pomógłby Margaret wyrwać się z tego getta, ale Tequila marzy, by jej córka wzniosła się wyżej i przefrunęła aż na Manhattan, do świata, gdzie nawet czasem wstydziłaby się własnej matki. Gotowa jest się poświęcić. Dzieci najpierw przewracają ci życie do góry nogami, a potem odchodzą.

Po południu znów pojawiły się problemy. Jednej z lokatorek budynku przejściowego z powodu nieporozumienia między jej adwokatem, sądem i kuratorami grozi odebranie praw rodzicielskich. Ona chciała odzyskać swoją trzyletnią córeczkę, a rodzice zastępczy, opiekujący się nią w swym domu na Long Island, zaplanowali adopcję.

- Wie pani, jak oni rozumują - powiedziała zmęczonym głosem. - Porządna biała rodzina, domek z ogródkiem.

Była umówiona na spotkanie z człowiekiem mającym do wynajęcia nieduże mieszkanie w bloku. Kiedy odprowadzałam ją do drzwi, w korytarzu zastałam Annette.

- Gdzie jest Delon? - zapytałam, a ona wybuchnęła płaczem. Wyciągnęła z pudełka garść chusteczek i, szlochając, wyjaśniła, że obecna narzeczona ojca Delona urodziła właśnie córeczkę, już drugą w ciągu dwóch lat. Facet stwierdził, że najlepszym sposobem na posiadanie syna będzie odzyskanie tego, którego już ma. Zjawił się więc u Annette w niedzielę i oznajmił, że jego zdaniem Delon powinien zamieszkać z nim i jego narzeczoną.

- Zaczął mi wmawiać, że chłopak wyrośnie na maminsynka, jak się będzie wychowywał wśród tylu kobiet. Ale ja wiem, pani Fitzmaurice, że z tego nic dobrego nie będzie. On się nie nadaje na ojca. Ma ciężką rękę. Mówi, że jak dzieciaka nie spierzesz, to się rozpuści. - Rozumiałam ją doskonale. Kiedy zrobi się trochę cieplej, będę musiała jeszcze raz przyjrzeć się tym bliznom na ramionach po oparzeniach lokówką, dziełu ojca Delona.

- Słuchaj, Annette, póki co pilnuj syna i nie spuszczaaj go z oka. Powiemy wszystkim w bloku, że nigdzie nie może się ruszyć bez ciebie. Gdzie on teraz jest?

- Przygląda się, jak grają w szachy.

Pismo w sprawie jednego z naszych dzieci, któremu nie najlepiej wyszły wyniki badań na gruźlicę. Drugie dotyczące nigdy nieszczepionego dziecka. Zaświadczenie wymagane przed szkołę, konieczne do przyjęcia dziecka matki mieszkającej w lokalu przejściowym. Kiedy w moim biurze jest tak zimno, że kryształki szronu zaczynają malować na szybie gustowną obramówkę, nie mam odwagi włączyć przenośnego grzejnika. Ale nie dlatego, że w tej dzielnicy jest to oficjalne narzędzie śmierci i zniszczenia - niemal w każdej wzmiance o pożarze pojawia się stwierdzenie: „wywołany przez iskrę z piecyka elektrycznego” (albo przez włączoną kuchenkę w nieogrzewanym budynku czy płomień świecy w przypadku tych, którzy nie podłączyli się do instalacji elektrycznej). Chodzi o to, że w pomieszczeniach naszego biura znajdują się tony papieru, obszerna dokumentacja dociekliwej i nieludzkiej maszyny urzędniczej państwowego systemu opieki społecznej. Nasi podopieczni mają u nas

swoje archiwum. Potężne, niewzruszone stosy dokumentów, stanowiące kronikę ich złamanych serc i niedotrzymanych obietnic.

Na spodzie sporego pliku kartek znalazłam pismo z ubiegłego poniedziałku z zapytaniem o miejsce pobytu niejakiej Alezabeth Johnson. Nawet ją sobie przypominam: mała pyzata dziewczynka z dziesiątkami warkoczyków na głowie, a każdy ozdobiony plastikową spinką w kształcie wstążeczki. Kiedy biegła, rozlegał się grzechot przypominający potrząsanie kośćmi do gry. Ona, jej matka oraz pięcioro rodzeństwa mieszkali w naszym schronisku przez jakiś czas, przeniesieni z miejskiego przytułku. Było to mniej więcej dwa lata temu. To, co trzymałam teraz w ręku, to była informacja o samobójstwie jej matki podczas odbywania kary w więzieniu. Kobieta poderżnęła sobie gardło prowizorycznym nożem zrobionym z jednorazowego długopisu.

Trójkę jej dzieci umieszczono w rodzinach zastępczych. Dwoje zamieszkało u jej siostry w Alabamie. Nowojorska biedota od dziesiątków lat wysyłała swoje dzieci na Południe, aby wychowywały się z dala od brudu, przestępczości, broni i narkotyków. Aby wrócić' na łono natury, powalały się po polach, pojadły jeżyn prosto z krzaka i chodziły co niedzielę na mszę, po której zawsze następuje obfity rodzinny obiad. Jak dotąd nikt z nich się nie zorientował, że wszystkie grzechy miasta przeniosły się na Południe, emigrując niczym ptaki, a jedyna różnica między Biloxi a Bronksem jest taka, że tu dzieciaki kończą na ulicy, biorąc crack, a tam na przykład metamfetaminę.

Nie wiadomo jednak, co się stało z Alezabeth, dziewczynką z grzechoczącymi warkoczykami i o nieszczęsnym, zmasakrowanym fonetycznie imieniu. Siedząc i wyglądając przez okno, mogłam puścić wodze fantazji. Musiałam być zmęczona, bo inaczej wymyśliłabym bardziej optymistyczne scenariusze: mieszka z koleżanką z klasy, której mama postanowiła ją przygarnąć, kiedy jej matkę zamknęli; wyjechała do ciotki do Cleveland, Detroit albo jakiegoś miasteczka o indiańskiej nazwie, o którego istnieniu system nie ma pojęcia; chodzi do czwartej klasy, śpiewa w chórze. Tymczasem przychodziło mi do głowy wszystko, co najgorsze. Zamordował ją były klient matki, któremu dostarczała narkotyki. Jest wykorzystywana przez pedofilów. Zmarła na pogotowiu wskutek nagłego ataku astmy i leży w jednym z miejskich szpitali, anonimowa, czekając w kostnicy na swoją kolej,

kiedy więźniowie przydzieleni do pracy na cmentarzu wrzuca ją do jednego z masowych grobów na Hart Island. Położyłam głowę na biurku, na tych wszystkich papierach, i spojrzałam na leżącą obok muszlę, jej piękne kształty i pełne tajemnic wnętrze. Wiedziałam, że ciąża i dziecko równa się mdłości i zmęczenie, ale dotąd nie zastanawiałam się, w jaki sposób wpłynie to na moje odczucia wobec tych małych istot i ich tragedii, z którymi mam do czynienia na co dzień w pracy.

Nie umiem rozgryźć jednej rzeczy dotyczącej Irvinga Lefkowitza - jak to jest, że on zawsze pojawia się wtedy, kiedy mam na to najmniejszą ochotę. Zrobię sobie nowe pasemka w salonie Mr. Victora przy Zachodniej Pięćdziesiątej Ósmej, to Irving będzie miał akurat pięciodniowy maraton w pracy w związku z zabójstwem policjanta. Ale gdy wyskoczy mi tak paskudna opryszczka, że wszyscy podejrzewają, że mam syfa (jak się kiedyś uroczo wyraziła Tequila), to on pojawi się w drzwiach z butelką dobrego wina i wielką ochotą na seks, koniecznie tej nocy.

Było więc oczywiste, że kiedy na moment zdrzemnęłam się na biurku, a potem uniosłam głowę, z odcisniętym śladem spinacza na twarzy, w drzwiach stał Irving. Zanim zdążył usiąść, a ja do końca się obudzić, już wiedziałam, że jest w paskudnym humorze. Gliniarze, jak starego typu zlewozmywaki, mają dwa krany: do gorącej i zimnej wody. Trochę czasu zajmuje, zanim uda im się uzyskać pożądaną temperaturę. Ale tym razem Irving nawet nie próbował. Gdybym była przestępcą, trzęsłabym się teraz ze strachu.

A jednak zaczął bardzo łagodnie:

- My, gliniarze, nigdy nie możemy pojąć jednej rzeczy. Większości przestępców nawet się nie chce zdobyć na żaden wysiłek. Dostajemy cynk, że gość, który załatwił kilka osób, jest u siebie w domu. Faktycznie, zastajemy go śpiącego we własnym łóżku, a w szufladzie ze skarpetkami leży na wierzchu naładowana spluwa. Ta sama, z której zabił swoje ofiary. Albo w szafie leżą równo poukładane towary z kradzieży warte kilka tysięcy dolarów. Jakby to w ogóle nie miało dla nich znaczenia. Chyba że są tak pewni swej bezkarności, że w ogóle nie przychodzi im do głowy, aby to ukryć.

Lubię słuchać jego opowieści z pracy, ale nie lubię, kiedy zniża głos i zaczyna powoli cedzić słowa. Tak go sobie wyobrażam podczas

przesłuchań. Jednym ruchem ręki wskazał na swoje ubranie: koszulkę polo i jasne spodnie.

- No więc jestem dziś sobie w mieście i postanawiam się przebrać, bo wieczorem idę z Leo na mecz. Do siebie mam za daleko i mógłbym nie zdążyć, ale przypominam sobie, że w twoim mieszkaniu zostały moje ciuchy po wycieczce na Coney Island. Idę, przebieram się, wchodzę do łazienki. I co widzę?

- Co?

- W koszu. Na wierzchu. Jak gdyby nigdy nic. Oczywiście, prawdziwy dowód zdążyłaś ukryć, ale zostało opakowanie.

Zamilkł. Cisza zaczęła się nieznośnie dłużyć. To też typowe dla gliniarzy. Ten, kto ma coś na sumieniu, będzie próbował tę ciszę zapęłnić.

- Test ciężowy nie jest dowodem żadnego przestępstwa

- odezwałam się w końcu. - Poza tym ja go nie ukryłam, tylko schowałam.

- To nie to samo?

- Mówimy o małym kawałku plastiku. Schowałam go.

- I nagle ogarnęła mnie złość. Zrobiło mi się cholernie przykro. - Schowałam z myślą, że być może kiedyś włożę go do albumu dziecka.

Pochylił się nad biurkiem i uderzył dłonią w blat.

- Ile razy to powtarzałem, Bridget? No ile? Sto? A może dwieście?

- Wiem, przepraszam. Ale stało się, nic na to nie poradzimy. Nic a nic się nie cieszysz?

- Czy mam tu jeszcze coś do powiedzenia?

- Irving, ja mam czterdzieści trzy lata. Jestem za stara na aborcję.

Wstał i energicznie przesunął ręką po dolnej części twarzy, jakby chciał ustawić usta i podbródek w jakiejś szczególnej pozycji. Z tylnej kieszeni spodni wystawała mu czapeczka z logo Jankesów.

- A ja jestem za stary na dziecko - powiedział.

- Zastanów się nad tym. Nie podejmuj pochopnych decyzji.

- Sądzisz, że przez te wszystkie lata ani razu się nad tym nie zastanawiałem? Trochę żyję na tym świecie; wiesz, ile razy mnie pytano, czy mam dzieci? Ja po prostu nie jestem do tego stworzony. Koniec.

- Przykro mi.

- Mnie też - odparł, kręcąc głową. - Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. - I wyszedł.

Tego wieczoru Jankesi przegrali 3:4. Leo powiedział mi później, że Irving ciężko to zniósł.

Rozdział 18

Chodzenie z Borowsami do restauracji byłoby nawet zabawne, gdyby temu zamętowi, jaki się wokół nich tworzy, nie towarzyszyła taka gorączkowość, wręcz desperacja. Jak w telewizyjnych wiadomościach, gdy pokazują ludzi zabijających okna dyktą i wrzucających psy do samochodów, żeby jak najszybciej uciec przed huraganem. To nawet gorsze niż pójście do restauracji z Meghan, które najwyżej kończy się zestawem niezamówionych dań do spróbowania, degustacją win oraz tak przesadnym nadszkakiwaniem, że aż człowiekowi robi się głupio. Lecz Kate, z jej nieodłączną etniczną biżuterią, i Sam, ubrany w markowy T - shirt, levisy i sportową jedwabną marynarkę za tysiąc dolarów, są dla nowojorskiej restauracji tym, czym papież dla parafialnego kościółka. Jedna wpadka i po tobie. Tak przynajmniej sądzą restauratorzy. A prawda jest taka, że Borowsowie, jeśli nie pracują akurat nad przewodnikiem, nie zwracają na to zbyt dużej uwagi. Chcą tylko przyzwoicie zjeść i porozmawiać w miłej atmosferze. Niestety, zamiast tego dostają po jednym kelnerze dla każdego gościa przy stole i wysłuchują recytacji specjalnych pozycji z menu, które nie wiadomo skąd się nagle wzięły. Takie haiku szefa kuchni:

Palia alpejska

w sosie własnym z kaparami -
podawana z sałatką mesclun.

W czasach, gdy ich poznałam i zaczęliśmy wspólnie jadać na mieście, sekretne składniki stanowiły grzyby shiitake, ale to było dawno. Od kiedy się przyjaźnimy, przeżyliśmy już risotto z dyni, zredukowany sos z octu balsamicznego i brzoskwiniovą salsę. „Boże, tylko nie trawa cytrynowa” - mruknęła Kate, kiedy ostatnio jedliśmy kolację w knajpie reklamującej się jako francusko - tajska.

Jeśli więc po prostu pragną zjeść coś w spokoju, za każdym razem wybierają się do wiekowej, niezbyt drogiej francuskiej restauracji przy Pięćdziesiątej Ósmej. Chodzili do niej już w młodości. W swoim przewodniku wystawili jej średnią ocenę, bo na ogół karmią tam średnio, choć, jak w większości francuskich knajp w Nowym Jorku, serwują dobre sałatki, porządne steki z pieprzem, przyzwoitego tataru oraz smaczną wątróbkę. Tam wreszcie możemy zjeść normalnie, zamiast zachowywać się jak panel sędziów na zawodach łyżwiarskich. Żadnych axli i rittbergerów. Starsi kelnerzy zawsze

znacząco zaciskają usta, kiedy zamawiamy coś, czego by nie polecali, a my wówczas zmieniamy zdanie. Niestety, obecnie ludzie odwiedzają ten lokal głównie dlatego, że się dowiedzieli, iż państwo Borows właśnie w nim jadają w wolnym czasie.

- O nie - jęknęła pod nosem Kate, widząc zbliżającą się do naszego stolika kobietę o olśniewająco białych zębach, w kaszmirowym szalu spowijającym ramiona.

- Oto osoba, której szukam - powiedziała, nachylając się, aby musnąć Kate w policzek. - A raczej osoby. Jak wiesz, ciebie też kocham, Sam.

- Cenię to sobie, Liso - odparł. Nie znam tej kobiety, ale musiała mu porządnie zależeć za skórę, skoro zasłużyła sobie na tak oschły ton. Samowi udaje się być miłym nawet wobec burmistrza.

- Wiem, że oboje nie lubicie rozmawiać o interesach przy stole, zresztą ja też nie. To moja nowa polityka: lunch, owszem, ale kolacja - wykluczone. Ale chciałam wam tylko dać moją wizytówkę, bo mam tu takie młode małżeństwo bardzo zainteresowane pewnym mieszkaniem w pewnym budynku, które, jak słyszę od dłuższego czasu, może być wkrótce wystawione na sprzedaż. A ponieważ wiem, że kiedy to nastąpi, wy dowiecie się o tym pierwsi, pomyślałam, że można by wszystkim ułatwić sprawę. Wyeliminować kolejnego pośrednika i te wszystkie niepotrzebne wizyty, oglądanie. Wiem, że osoby z wyższych sfer nie znoszą, jak obcy ludzie płaczą im się po domu. Może się przecież zdarzyć i tak, że zamiast potencjalnego kupca wpuści się do środka reportera, chociaż, jak się zapewne domyślicie, staramy się selekcjonować oferty i wszystkich dokładnie sprawdzać...

- Mam twoją wizytówkę, Liso. Jeśli czegoś się dowiem, zadzwonię. - Głos Kate mógłby zmrozić daiquiri. Przypuszczam, że nowojorscy agenci nieruchomości są na to uodpornieni.

- Nie myślcie, proszę, że wrywam się przedwcześnie, ale ci ludzie mają małe dziecko i ten apartament byłby dla nich idealny. Chłopak pracuje na Wall Street, więc są gotowi zapłacić tyle, ile zażądają właściciele. Tak między nami mówiąc, wydaje mi się, że dziewczyna jest fanką programu. Wiecie, jak to jest; będzie mogła się pochwalić koleżankom: „Zgadnijcie, czyje mieszkanie kupujemy?”. To śmieszne, ale potrafi podbić cenę. Pamiętam, jak dwa lata temu sprzedawała swój apartament ta piosenkarka...

- W razie czego mamy twój telefon - ucięła Kate. Tym razem ton lekceważenia w jej głosie był bardzo wyraźny. Sam trącił mnie pod stołem w kostkę.

- Czy ta baba próbowała przed chwilą sprzedać mieszkanie mojej siostry? - zapytałam, gdy tylko Lisa, poprawiając szal, oddaliła się w głąb sali.

- Chryste Panie, ludzie to mają tupet - wycedziła przez zęby Kate. Wzięła wizytówkę, wetknęła ją w koszyk z pieczywem i za chwilę znów wyjęła. - Nie będę ryzykować, że ktoś to znajdzie i faktycznie do niej zadzwoni.

- To już trzeci raz w tym tygodniu - wtrącił Sam.

- Co trzeci raz?

- Trzeci raz dopada nas agent nieruchomości. To spory apartament ze świetnym widokiem, no i ta lokalizacja. Central Park West.

- Ale tam ktoś mieszka! - powiedziałam.

- Wiem, ale Leo jest na studiach, ona nie pracuje, a ludzie widzieli Evana na mieście...

- Z kobietą? - Tak słyszałem.

- Boże, nienawidzę Nowego Jorku. Nie macie tak czasem, że kochacie to miasto i zarazem go nienawidzicie? Jakie to wkurzające.

- Dokładnie tak wyglądają twoje relacje z Meghan.

- Och, przestań, Kate.

- No dobra, wiem. To nieprawda, że Bridget nienawidzi Meghan. Bridget ją uwielbia. Kocha ją, a ona doprowadza ją do szału. Wiem, o czym mówisz. Ja czuję się dokładnie tak samo. A jeśli ktoś jeszcze raz zagadnie mnie o mieszkanie Meghan, osobiście go zamorduję i zjem. Ci ludzie jakby w ogóle nie zdawali sobie sprawy, że to mogło spotkać ich; że wystarczy jedna gafa i twoje nazwisko zostaje wykreślone ze wszystkich komitetów honorowych w Nowym Jorku.

- Tak zrobili?

Kate wzruszyła ramionami.

- Kto by się tym przejmował.

- Dziwne. W przyszłym tygodniu jestem zaproszona na kolację do domu jednej z członkiń rady nadzorczej fundacji i próbowałam się od tego wymigać, bo nie cierpię takich imprez. Ale ona strasznie nalegała. A wie, że jestem siostrą Meghan.

- Jezu , Bridget, jakaś ty naiwna. Ona tylko czeka, żebyś przyszła. Wszystkim o tym rozpowiada. Będą z ciebie czytać jak z fusów. Już następnego dnia wszystkie baby na Manhattanie będą plotkować przy kawie, przedstawiając cię jako dobrą znajomą, i opowiadać, że Meghan ma się świetnie albo że Meghan ma się fatalnie, czy co tam jeszcze zdołają wywróżyć z faktu, że zjadłaś bądź nie zjadłaś deseru albo że piłaś kawę z mlekiem. A zresztą, może i nie. Może wylądujesz na babskim lunchu, gdzie będą same porządne kobiety. A właśnie, zgadnij, kogo spotkałam parę dni temu na ulicy? Ann Jensen.

- Pamiętam ją. Przewodniczyła tej imprezie charytatywnej w Waldorfie. Boże, tylko mi nie mów, że ona też chce kupić mieszkanie Meghan. Wtedy zachowywała się tak, jakby Meghan była najlepszą rzeczą pod słońcem, odkąd wymyślono lifting!

- Kochanie, Ann Jensen nigdy nie ruszyłaby się z East Side. I o ile wiem, ma trzypoziomowy apartament z basenem.

- Czy to nie ona zaczynała w Los Angeles jako dziewczyna na telefon, a potem wyszła za męża za jakiegoś bogatego faceta? - wtrącił się Sam.

- Raczej nie. Wydaje mi się, że najpierw była czyjąś asystentką, potem narzeczoną, a dopiero później czyjąś żoną.

- A więc to nie ta, której mąż zginął w tajemniczych okolicznościach i potem krążyły plotki, że ona i, zdaje się, jej trener byli w to zamieszani? - zapytałam.

- Wiem, o kim mówisz. - odparła Kate. - Nie, to nie ta.

- Boże - westchnął Sam. - Powoli zaczynam się gubić.

- No i co mówiła? - spytałam.

- Hm, ona ma taki irytujący zwyczaj nachylania się nad rozmówcą, jakby chciała zdradzić jakąś straszną tajemnicę. Opowiadała mi o tej imprezie i zachwycała się, jaka to Meghan była wspaniała i że to było zaledwie dwa dni przed tym, jak to nazwała, „incydentem”. A ja stałam i myślałam sobie: „Co powie Sam, kiedy przeczyta jutro w gazetach, że poturbowałam tę babę na Pięćdziesiątej Siódmej?”. No więc pochyliła się nade mną i pyta, czy mam kontakt z Meghan. Zanim zdażyłam jej odpowiedzieć, dodała takim wojowniczym tonem, zupełnie do niej niepodobnym: „Powiedz jej, żeby się nie dała złamać tym draniom”. I wsiadła do bentleya z

kierowcą. Wierz mi, to było na poważnie. Zupełnie, jakby tam, pod Bergdorfem, pokazała nagle swoje prawdziwe ja.

- Patrz, jak to nigdy nic nie wiadomo.

- Prawda?

- Czy można już przyjąć zamówienie? - odezwał się jeden ze zręczliwych kelnerów. Pytanie adresowane było do mnie, jako że Sam i Kate biorą zawsze to samo (stek z frytkami). Ja również, jeśli o to chodzi, lecz kelnerzy, podobnie jak znajomi mojej siostry, mają trudności z zapamiętaniem mojej twarzy. Zawsze zamawiam wątróbkę ze szpinakiem. Moje ulubione danie to coś, co małym dzieciom wmusza się za karę. Sam zabrał się za nalewanie wina do mojego kieliszka, ale ja potrząsnęłam głową, nabrałam powietrza i oznajmiłam:

- Jestem w ciąży.

- Aaaaaa! - wykrzyknęła Kate, tak głośno, że agentka nieruchomości i całe towarzystwo zebrane przy jej stoliku obejrżeli się na nas. Borowsowie mają trzech synów i dwóch wnuków i obojgu wystarczy byle pretekst, żeby zaczęli wyciągać zdjęcia i opowiadać. To kolejna rzecz wyróżniająca ich spośród większości nowojorczyków, zwłaszcza tych, którzy nalegają, by wnuczka zwracały się do nich w jakiś neutralny wiekowo sposób, na przykład „Cherie” czy „Belle”. Gdy jej wnuczek z pełną pieluchą pierwszy raz zawołał: „Baba!”, Kate tak się spłakała ze szczęścia, że synowa musiała jej przykładać na oczy woreczki z lodem.

- Henri, szampana! Cristal!

- Sam, głupcze, przecież jej nie wolno pić. Nie wolno ci, co? Teraz żadna nie pije.

- Obawiam się, że nie. Wprawdzie nie byłam jeszcze u lekarza, ale wszędzie, gdzie czytałam, piszą, że nie powinnam pić alkoholu. Tudzież jeść miecznika, sushi ani przetworów mięsnych.

Henri przyniósł w jednym kubelku butelkę Cristala, a w drugim butelkę wody Perrier. Nic mu nie umknie.

- Nonsens - powiedziała Kate. - Będąc w ciąży, jadłam hot dogi z budek na ulicy. Uwielbiam je.

- I salami - dodał Sam i wziął ją za rękę. - I ser pleśniowy. Duński niebieski z plasterkami gruszki.

No tak, ci ludzie w końcu zajmują się jedzeniem zawodowo.

- Nie posiadam się z radości. Co na to Irving? Pobierzecie się?

- Ślub? Boże, nie.

- A powinniście. Dzieci potrzebują struktury. Obojga rodziców. Wiem, że to staroświeckie podejście, ale ja jestem staroświecka.

- Jak na to zareagowała Meghan? - zapytał Sam, stukając się ze mną kieliszkiem.

- Jeszcze jej nie mówiłam. Za to powiedziałam już wszystkim znajomym. Ricky'emu z baru kanapkowego Cubano, pani z pralni chemicznej oraz mojemu dentyście (ostrzegł, że niektóre kobiety w czasie ciąży mają straszne problemy z zębami). Powiedziałam też Alison i Tequili - obie zaczęły pisać i skakać po pokoju. „Najwyższy czas, dziewczyno” - zawołała Tequila, trzęsąc pupą w jakimś rytualnym tańcu życia.

No i wreszcie podzieliłam się nowiną z moimi kursantkami. Narobiły tyle wrzasku, że ochroniarz przy wejściu, który potrafi zignorować krew na posadzce holu, zajrzał do świetlicy, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało. Kiedy się uspokoiły, Maria powiedziała z powagą:

- Pani Fitz, pani jest na to za stara.

- Co ty gadasz, dziewczyno - wtrąciła się Charisse. - Moja matka urodziła ostatnie dziecko, jak miała trzydzieści siedem lat, i jest najbardziej udane ze wszystkich. To moja siostra Tanisse. Pracuje w biurze na komisariacie, pisze na komputerze i w ogóle.

- Ja mam czterdzieści trzy - powiedziałam.

- Ooo... - zadumała się Charisse. - Wcale pani nie wygląda. - Miałam na sobie workowatą dżinsową sukienkę, tę samą, którą nosiłam od pięciu lat. - Kiedy termin?

- Zdaje się, że to będzie listopad.

- Musi pani sobie zrobić te wszystkie badania prenatalne - poradziła któraś. - Wie pani, chodzi się do kontroli, oni przepisują witaminy, sprawdzają, czy wszystko gra.

- Tylko niech pani nie idzie do tego lekarza w szpitalu Hillside - dodała inna. - To cham i nie ma co liczyć, że poda coś przeciwbólowego.

- Nam nic nie dają - powiedziała Charisse. - Jak masz państwowe ubezpieczenie, to mówią: „Przykro nam, ale znieczulenie zewnątrzoponowe nie przysługuje”. Leż i krzycz. - Zmrużyła oczy i podrapała się po głowie. - Niech pani naciągnie sukienkę. - Nagle z nauczycielki stałam się uczennicą. Te kobiety posiadały wiedzę, którą

ja dopiero miałam zgłębić. To błąd, że tak wielu urzędników skupia się głównie na ich niedostatkach. One dużo wiedzą.

- Bliźniaki - zawyrokowała Charisse.

- Rany boskie - przestraszyłam się. - Nawet tak nie mów.

- Za duży na jedno. Który to miesiąc, trzeci? Zobaczcie, dziewczyny. Duży, nie?

Wszystkie głowy przechyliły się w jedną stronę. Czoła zmarszczone, usta ściągnięte, brody podparte. Rozmyślenia ponownie przerwał ochroniarz. Spojrzałyśmy na niego niczym czarownice podczas sabatu, który śmiała zakłócić jakaś marna ludzka istota. Trzymał przed sobą wielkie kwadratowe pudło ze stosem papierowych talerzyków na wierzchu.

- Ten chłopak, co jeździ furgonetką, powiedział, że to dobrze wam zrobi.

- Tort? A, to proszę bardzo - powiedziała Charisse, uśmiechając się z zadowolenia. Powiedziałam Leo o ciąży na drugi dzień po rozmowie z Irvingiem. Późnym popołudniem jechaliśmy na osiedle tubmanowskie, ponieważ byłam tam umówiona z urzędnikiem do spraw lokalowych, żeby się zorientować, czy właśnie zwalniane mieszkanie nadawałoby się dla pewnej rodziny, która już ponad rok gnieździ się w lokalu przejściowym.

Leo kapitalnie sobie radził za kierownicą naszego gruchota, zręcznie omijał najbardziej zatłoczone skrzyżowania i kluczył w wąskich uliczkach.

Trudno uwierzyć, że projektowaniem budownictwa komunalnego w Nowym Jorku zajmują się istoty obdarzone uczuciami, ale kompleks mieszkaniowy imienia Harriet Tubman w Bronksie to wyjątkowo zły przykład planowania przestrzennego. Jeden z budynków stoi tuż przy drodze szybkiego ruchu. W nocy jego lokatorzy są narażeni na hałas powodowany przez toczące się po dziurawym asfalcie z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę samochody, a w dzień na spaliny wydobywające się z rur wydechowych setek silników pracujących na jałowym biegu podczas stania w kilometrowych korkach. Kilka lat temu pewien naukowiec z uczelni medycznej przeprowadził badania, które wykazały, że częstotliwość występowania infekcji górnych dróg oddechowych, astmy i zaburzeń koncentracji uwagi u dzieci jest tam trzykrotnie większa niż w budynku stojącym najdalej od autostrady. Była to

trzecia najważniejsza wiadomość podawana tego wieczoru w lokalnych mediach, tuż po informacji o znalezieniu zwłok jakieś ładnej blond księgowej w jej mieszkaniu na East Side oraz planach burmistrza, by co tydzień w Central Parku organizować darmowe przedstawienie operowe.

Leo znalazł miejsce do parkowania przy szczytowej ścianie tegoż budynku, naprzeciwko hydrantu, nieużywanego zimą, a włączonego non stop w lecie, żeby dzieci z okolicy mogły się popluskać, a mężczyźni umyć swoje samochody. Stali przy nim dwaj taksówkarze z wiadrami i ścierkami. Obaj czarnoskórzy, w średnim wieku. Tacy mężczyźni budzą respekt wśród młodych chuliganów i przestępców, roztaczając wokół siebie tę charakterystyczną, lecz nieczęsto spotykaną aurę ojcowskiego autorytetu. Co bardziej zadziorni chłopcy wolą unikać takich ludzi: pastorów, właścicieli sklepów, kasjerów, taksówkarzy czy szoferów, jak gdy - by mieli świadomość, że tamci, bez względu na to, jak skromne zawody wykonują, osiągnęli w życiu 'cos', o czym oni nawet nie mogą pomarzyć. Większość z nich nadal mieszka z matkami, może nawet o tej porze jeszcze wylegują się w łóżkach albo kręcą się po osiedlowym dziedzińcu, szukając zaczepki. Dziedziniec, czy też podwórko, to kawałek ubitej ziemi otoczony ze wszystkich stron wysokimi blokami. Rozmawiałam raz z pewną starszą panią mieszkającą tu od samego początku. Miasto pierwotnie założyło tam trawnik poprzecinany betonowymi chodnikami i nawet posadziło kilka wątłych drzewek. Nie wzięto jednak pod uwagę dwóch rzeczy: że dzieci, zamiast po chodnikach, będą biegać po trawie, oraz że cztery wieżowce są tak wielkie i dominujące, że tylko przez jedną godzinę dziennie, i to w środku lata, dociera do dziedzińca światło słoneczne. Do dziś sterczy tam z ziemi jeden poszarpany kikut drzewa i co chwilę któreś dziecko potyka się o niego i kaleczy sobie policzek albo kolano.

Jedyną dobrą stroną takiej masy betonu jest to, że w upalne dni zapewnia ona dużo cienia. Po zmroku jednak cień staje się zasłoną i przestępczość zaczyna tu kwitnąć lepiej niż roślinność. Obaj taksówkarze dokładnie zmierzylili nas wzrokiem, kiedy wysiadaliśmy z samochodu. Leo pomachał do jednego z nich, a tamten odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy. Piegi na twarzy Leo ściemniały i mimo że miał na sobie bejsbolówkę z logo Jankesów oraz koszulkę z

napisem „Amsterdam Rocks!”, wciąż wyglądał jak krewniak Tomka Sawyera ze wschodniego wybrzeża.

To nieprawdopodobne, w jaki sposób ten chłopak nagle stał się dorosły. Moje życie było jak motek przędzy, stopniowo rozwijający się pod stopami, ale Leo jawił się w moim umyśle jako seria obrazków, niczym w animowanym komiksie. Meghan na hamaku obok pierwszego domu, który kupili w Connecticut, z niskimi sufitami i olbrzymim kominkiem w stylu federalnym. Zasypiała wtedy nad jakimś rządowym raportem, a ja obserwowałam przypadkowe ruchy dziecka widoczne pod jej ciążową sukienką. Evan odwracający głowę znad toalety akurat w chwili, gdy Leo po raz pierwszy w życiu zrobił siku na stojąco. Twarz Leo spoglądającego na mnie z miną kogoś, kto zrobił coś niewiarygodnego. Meghan kierująca na niego obiektyw aparatu, kiedy w granatowym polo i szortach khaki szedł po raz pierwszy do szkoły w Biltmore. Leo skaczący do jeziora, Leo stojący na mównicy podczas debaty na temat podatku liniowego, Leo prowadzący swą przyjaciółkę Samanthę na bal maturalny w Waldorfie, Leo obwożący mnie po mieście.

- Będę miała dziecko - wypaliłam. Stwierdzenie to tak różni się od „jestem w ciąży”, jak „jestem w domu” od „jutro podpisuję umowę kredytową”.

- Nie gadaj!

- Naprawdę.

- Bridey! W ciąży! Kompletnie mnie zatkało. O, kurde. Dziecko. - Stał z rozdziawionymi ustami, a włosy sterczały mu na głowie każdy w inną stronę. Jeżeli będę kochała to dziecko tak, jak kocham Leo, z jego twarzy nigdy nie zejdzie uśmiech. Ale pewnie wszyscy rodzice tak myślą. Że jeżeli będą tak strasznie kochać, kochać, kochać, to dym z tego ognia będzie ogrzewał obiekt miłości po wsze czasy. - Będę miał kuzyna! To kuzyn, prawda?

- Teoretycznie tak, ale jak znam życie, będziesz dla niego raczej czymś w rodzaju starszego brata albo nawet wujka.

- Kurczę. Aż dziwne, że mama nie pisnęła ani słowem.

- Rozmawiałaś z mamą?

- Przysyła mi teraz codziennie listy. Faksem, oczywiście. Píše, że nie jest pewna, czy tam działa jakaś poczta. Z tego by wynikało, że mieszka w strasznej dziczy.

- Bo mieszka.

- Musiała przeżyć szok, jak się dowiedziała o dziecku.
- Ona jeszcze nie wie.
- Żartujesz. Nie powiedziałaś jej?
- Jeszcze nie wiedziałam, kiedy tam byłam.

Leo przyjrzał mi się, a potem potrząsnął swą rozczochraną głową i roześmiał się.

- Ty się boisz! - zatriumfował. - Boisz się jej reakcji. To bez sensu. Wiesz, co robi. Zacznie się zachowywać w swoim stylu. Wyliczy ci, co masz jeść, w co się ubierać, do którego lekarza pójść, jaki wózek kupić. Masz szczęście, że już nie pracuje w telewizji. Przez pół roku musiałybyś oglądać programy na temat późnego macierzyństwa.

- Nie bądź złośliwy. - Jednak miał rację. Leo nigdy nie jest złośliwy, ale umie trafić w sedno. Ma świetne wycucie ludzkiej psychiki. Dobrze wie, że jego własne dzieciństwo wyznaczały kolejne pięciominutowe odcinki (czasem tygodniowe cykle) na temat wad i zalet koedukacji, budowania poczucia własnej wartości u chłopców, roli sportów drużynowych, problemów przy wyborze wyższej uczelni dla dziecka. Meghan bardzo łagodnie wchodziła w kolejne etapy życia, przekształcając je w pomysły na programy, na których mogła skorzystać cała Ameryka. A Ameryce to się spodobało. Kate powiedziała mi w restauracji, że słyszała o pewnej grupie porzuconych żon z East Side, które założyły Towarzystwo imienia Meghan Fitzmaurice. Jako motto przyjęły owe słynne dwa słowa wypowiedziane pod adresem Bena Greenstreeta.

„Ona wciąż może liczyć na spory kredyt zaufania wśród ludzi” - stwierdził Sam. - „Wielu uważa, że trzeba mieć charakter, żeby tak odejść i zostawić stację z niczym”.

„Z drugiej strony” - wtrąciła Kate, wydymając dolną wargę - „spotkaliśmy na jakimś przyjęciu tego kretyna Murphy'ego i on powiedział, że Meghan już nigdy nie wróci do pracy”.

Leo zamknął samochód, a jeden z kierowców zasygnalizował mu ręką, że będzie miał go na oku. Nasza furgonetka jest jednak w tak żałosnym stanie, że wątpię, by ktoś się na nią skusił. Leo poprowadził mnie tyłami budynków, z dala od zatłoczonego dziedzińca.

- Idziesz do bloku C, tak? Gdzie mieszka Margaret? No to tam są tylne drzwi, prowadzące prosto na korytarz i do biura kierownika.

- Nikt mi o tym wcześniej nie raczył powiedzieć.

- Margaret tylko tędy chodzi. Inne dzieciaki bardzo jej dokuczają. Wiesz, myślą, że uważa się za kogoś lepszego. A paru chłopaków to naprawdę przegina. Chamskie odzywki i takie tam. Za pierwszym razem normalnie miałem ochotę jednemu walnąć w zęby, ale ona mówi: „Jesteś biały, jak nie chcesz się narażać, daj sobie spokój”. Byłem wkurzony, więc pomyślałem, że nie mogę tego tak zostawić. Ale wtedy zjawiał się jej brat. Porządny gość. To ten, co chce zostać gliną. Ten drugi jest jakiś podejrzany. To znaczy, on sam chyba jest okej, ale ma podejrzanych kumpli.

- To jego kolega czuje miętę do księżniczki Margaret?

- Ona już nie chce, żeby do niej mówić księżniczka. Mówi, że wyrosła z tego jakieś dwa lata temu. Zresztą, daj spokój, to niepoważnie brzmi. Kurczę, te drzwi są zamknięte na klucz.

Faktycznie, nawet nie drgnęły. Zawróciliśmy ścieżką w stronę dziedzińca. Było ciemno jak w piwnicy i tak samo wilgotno. Jedyne po widocznym wysoko w górze prześwicie ukazującym mały kwadrat chmur i wyglądającym jak realistyczny fresk można było się zorientować, że jest się na dworze. Ktoś podpalił wszystkie ławki, a kosze na śmieci usunięto, ponieważ używano ich podczas bójek. Pęknięta czaszka, pogruchotana miednica, złamany nos: można komuś zrobić niezłą krzywdę, jeśli się w odpowiedni sposób rzuci koszem z metalowej siatki. Zobaczyłam, jak dwie nastolatki oparte o wózki rozpakowują batony i rzucają papierki na ziemię. Z jednego wózka wychyliło się dziecko i podniosło papiera. W drugim spało niemowlę. Na łysej główce miało opaskę ozdobioną koralikami i wstążeczkami. Żeby ktoś, nie zauważywszy różowej sukienki i bucików ze Śpiącą Królową, nie wziął jej przez pomyłkę za chłopca.

- Pani Fitz! Pani Fitz! - zawołała jedna z dziewcząt, machając ręką z batonikiem. Poznałam ją: trzy lata temu trafiły do nas z matką do schroniska. Podarowałam jej wtedy zabawkową magiczną różdżkę zakończoną gwiazdką, która nie wiadomo dlaczego znalazła się w paczkach z upominkami na imprezie charytatywnej Towarzystwa Badań nad Białaczką, odbywającej się w hotelu Pierre. Dziewczynka nie rozstawała się z nią przez kilka tygodni, aż w końcu srebrny połysk się starł i różdżka zrobiła się szara.

- Witaj, skarbie. - Czy to Manhattan, czy murzyńskie getto - niesamowite, jak te magiczne dwa słowa świetnie maskują fakt, że nie mam pamięci do imion.

- Będę chodziła do pani na zajęcia! W sądzie powiedzieli, że albo pójdę na kurs, albo oddadzą dziecko pod opiekę mojej matce. O nie, ja im mówię, nie ma mowy. Skoro taka z niej troskliwa mamusia, to jak to się stało, że mam dziecko w wieku czternastu lat? No i dlatego w przyszłym tygodniu przyjdę.

- A więc do zobaczenia. A do tego czasu opiekuj się nią dobrze.

Kiedy się oddalaliśmy, zerknęłam z ukosa na Leo.

- Przestań się krzywić. Dobrze by było, gdybyś jak najwcześniej nauczył się panować nad swoją twarzą. I nie sądził po pozorach. Wiesz, ile Tequila miała lat, kiedy urodziła Barucha? Piętnaście. Niektórym udaje się wyjść na ludzi.

- Chodzi mi o to, że czasami, będąc tutaj, czuję się jak oszust. W liceum organizowali nam co roku taki Dzień Pomocy Społecznej. Uważałem, że to straszna lipa, bo szliśmy na przykład do jadłodajni dla biednych, a wszystkie dziewczyny z żeńskiej szkoły wykorzystywały to jako okazję, żeby się spotkać z chłopakami. Następnego dnia w szkole gadaliśmy, jakie to niektórzy ludzie mają ciężkie życie, a zaraz potem o wszystkim zapominaliśmy. Jakby to była wystawa w muzeum: „A teraz, dziewczęta i chłopcy, znajdujemy się w biednej dzielnicy. Bądźcie ostrożni i niczego nie dotykajcie”.

- Strach pomyśleć, jak się musi czuć Margaret.

- To jest koszmar. Ona mówi, że Tequila ma na oku jakiś dom przy Kelly, który chce kupić i wszystkich stąd zabrać.

Jakby dla zilustrowania tematu rozmowy otworzyły się drzwi windy i wolnym krokiem wyszła z niej grupka młodych mężczyzn w obowiązkowych spodniach z krokiem za kolana i wielkich sportowych butach. Mieli podpuchnięte oczy, jakby dopiero co zwlekli się z łóżek. Skinęłam głową. Leo również. Wychodząc, niemal otarli się o nas, na znak, że to my wkroczyliśmy na ich terytorium, a nie odwrotnie. Jednym z nich był syn Tequili, Armand. Oblał w tym semestrze dwa egzaminy w college'u. Domyśliłam się, że jeden z pozostałych to jego kolega Marvin. Wszyscy ci chłopcy znajdują się w tej chwili na rozdrożu. Szczęśliwy traf, porządna praca - i wylądają po jednej stronie. Kiepskie towarzystwo, pilna potrzeba finansowa - i pójdą w drugą. Tak to bywa w tym środowisku.

- Te, szofer! - odezwał się jeden z nich, kiedy przechodzili przez podwójne szklane drzwi. - Hej, do ciebie mówię. To twoja dziewczyna? Za stara dla ciebie.

- Zamknij się - wtrącił drugi. Armand, o ile się nie mylę. Zna mnie od trzynastego roku życia.

- Lepiej, żebyś się nie wybierał do domu Armanda. Jego siostra ma inne rzeczy do roboty.

Leo ani razu nie podniósł wzroku, ale był tak zeszywniały, jakby miał wykrochmaloną koszulkę. Biuro kierownika mieści się na końcu kolejnego korytarza. Przez całą drogę gapił się na swoje buty.

- Zaczepiają cię tutaj? Masz jakieś kłopoty?

- Nie dzieje się nic, z czym bym sobie nie poradził. W sumie można zrozumieć, czemu za mną nie przepadają. Staram się jak najmniej pokazywać twarz.

- Przezywają cię „szofer”?

- No tak.

Poprosiłam, żeby zaczekał na mnie u kierownika, bo jestem zmęczona, mam obolałe stopy i przydałoby się, żeby mnie odwiózł do domu. Ale tak naprawdę nie chciałam, żeby szedł sam. Wyszliśmy z budynku tylnym wyjściem. Zastanawiałam się, czy nie poprosić o klucz.

Rozdział 19

Wiedźma - powiedziałam raz do Tequili, kiedy oglądałyśmy wiadomości na starym śnieżącym telewizorze w schronisku. Pewien znany polityk kilka dni wcześniej ogłosił, że rezygnuje z życia publicznego, żeby spędzać więcej czasu z rodziną. Tequila skrzywiła się, uniosła brwi i, machnąwszy ręką, powiedziała: „Ten facet coś knuje. Jeszcze wspomnisz moje słowa. Pewnie ma laskę na boku. Albo chodzi o pieniądze”. No i się okazało, że i jedno, i drugie. Defraudował państwową kasę, żeby móc utrzymywać kochankę, była tancerką egzotyczną, w ich miłosnym gniazdku na Staten Island. - Normalnie wiedźma - powtórzyłam.

- Posłuchaj, moja droga. My wiemy to i owo.

- Kto: my?

- Czarne kobiety.

- Czekaj. To my tu mamy udawać, że wszyscy jesteśmy tacy sami, a teraz się okazuje, że tylko wy macie intuicję?

- Wy za to macie pieniądze, władzę i proste włosy. Nie do mnie te teksty o równości, biała siostrzyczko.

- Kiedy tak do mnie mówisz, mam wrażenie, że się ze mnie nabijasz.

- I słusznie. - Tequila to jedyna osoba na świecie, z którą mogę tak otwarcie rozmawiać o kwestiach rasowych. Niewykluczone, że jesteśmy jedynymi osobami w Nowym Jorku rozmawiającymi o tym szczerze.

Przypomniałam sobie twierdzenie Tequili, że intuicja jest uwarunkowana kolorem skóry, kiedy następnym razem pojawiłam się na zajęciach kursu dla rodziców. Charisse spojrzała na mnie i wywróciła oczy, jakby miała zemdleć.

- No i? - zapytała.

- Bliźniaki - odparłam.

W sali zapanowała potworna wrzawa. Starsza pani z naprzeciwka była właśnie w trakcie przygotowywania zapiekanki ze słodkich ziemniaków, ale i tak przyszła zobaczyć, co się stało.

- Myślałam, że ktoś wygrał na loterii - rzekła swym cichym głosem.

Jedno trzeba tym kobietom oddać: choć całkiem możliwe, że ich synowie i córki wylecą ze szkół albo wylądują w więzieniu, ewentualnie, jeśli im się powiedzie, wyprowadzą się z tej dzielnicy, to

urodzenie dwojga dzieci naraz uważają za szczęście równe co najmniej trafieniu szóstki w totolotka.

Właśnie wtedy powiedziałam o tym Meghan. Wysłałam z gabinetu po obejrzeniu tych księżycowych krajobrazów na ekranie ultrasonografu: serduszko, rączka, oko, stópka, serduszko, rączka, oko, stópka. Pomieszczenie wypełniały głuchoe odgłosy bicia dwóch serc, nie do końca ze sobą zsynchronizowane, więc brzmiało to jak nagranie z pogłosem. Ciocia Maureen wsiadła w pociąg i przyjechała mi towarzyszyć. Obie musiałyśmy wyglądać jak postaci z niemej burleski: wyszczerzone zęby i uśmiech od ucha do ucha, potem drżąca górna warga i wreszcie płacz. Tyle że my robiłyśmy to w pełnej synchronizacji.

- Uhm, jest dwoje - powiedziała lekarka.

- Chodź, idziemy na lody - zarządziła ciocia. - Z dużą ilością polewy karmelowej.

Tego popołudnia usiadłam i napisałam: „Kochana Meghan, właśnie się dowiedziałam, że spodziewam się bliźniąt. To dla mnie szok i domyślam się, że dla ciebie także. Proszę, wracaj. U Leo wszystko w porządku, przesyła pozdrowienia. XOXO. Bridget”.

Dwadzieścia minut później usłyszałam rżenie wysłużonego faksu. Tequila przyniosła mi pięć kartek, wszystkie wypełnione listami z nazwiskami neonatologów i pediatrów, nazwami ośrodków prowadzących zajęcia jogi dla kobiet w ciąży, adresami miejsc, w których najlepiej kupić wózek, najlepszy oczywiście.

- Jeden zero dla Leo Gratera - powiedziałam na głos.

- Uważaj, zaczynasz mówić do siebie! - zawołała Tequila znad swego biurka.

Na ostatniej stronie widniał tekst: „Jezu, jak się cieszę. XOXO. M”.

Przesłałam Meghan zdjęcie z USG, chociaż po przejściu przez faks i tak już niewyraźna odbitka musiała wyglądać jak śnieżycy o północy. Wysłałam też listę imion i dostałam odpowiedź, na której połowa z nich była poprzekreślana grubymi kreskami; przede wszystkim nie przeszły testu w zestawieniu z nazwiskiem Fitzmaurice - Lefkowitz. Innym razem posłałam jej kilka zdań na temat zajęć jogi, wyglądających, przynajmniej na pierwszy rzut oka, dość absurdalnie: grupa kobiet usiłująca zlokalizować swój środek ciężkości, mimo że z tygodnia na tydzień ulega on przemieszczeniu w zupełnie

nieprzewidywalny sposób. Z kolei któregoś ranka zaraz po wstaniu z łóżka opisałam jej, jak to Ricky z baru Cubana, ilekroć zamawiam jedną kanapkę, podaje mi dwie, a do tego dokłada porcję pikantnego sosu, tłumacząc się tajemniczymi powodami, mającymi jakiś związek z porostem włosów. Niestety, nie wyjaśnił, czy chodzi o włosy moje, czy dzieci.

Pewnego popołudnia, kiedy po skończonej pracy wybierałam się do domu, zadzwonił Edward Prevaricator.

- Siostra prosiła, żebym przekazał ci jej numer telefonu.

- Dorobiła się komórki?

- Nie, ale Derek i jego żona mają telefon w domu. Pamiętasz Dereka? W razie konieczności można zadzwonić i Derek natychmiast pojedzie do bungalowu.

Spojrzałam na rząd cyfr na kartce. Listy do Leo, korespondencja ze mną, numer telefonu. Moja siostra powoli wraca do społeczeństwa.

- Mam przecucie, że twoja matka wkrótce wróci do domu - wyjawiałam swe przypuszczenia Leo jeszcze tego samego dnia, kiedy siedzieliśmy na schodkach przed domem, liżąc lody.

- Nie sądzę. Powiedziałem jej, żeby jeszcze trochę została.

- Co? Dlaczego?

- Nie wiem. Ona tam ma dużo czasu na myślenie, a mnie się wydaje, że wam tu tego brakuje. Jak jesteś młody, wysiadujesz bez przerwy w swoim pokoju, słuchasz muzyki, grasz w coś, ale głównie myślisz o głupotach. No, nie zawsze. Na przykład, jak brat Jacka Wallace'a zachorował na jakiegoś strasznego raka, to była poważna sprawa. Albo jak rodzice Nate'a się rozwiedli. Ale ogólnie chodzi mi o to, że my mamy na to kupę czasu, a wy nie. Tylko praca, przyjęcia, wyjazdy i tak w kółko. A wygląda na to, że mama tam nic nie robi, tylko rozmyśla. Chyba bardzo dawno tego nie robiła, więc dlatego może powinniśmy ją zostawić w spokoju.

- Czy mogę coś powiedzieć?

- O nie, Bridey, kiedy tak mówisz, wiem, że zaraz mi palniesz jakiś komplement, w dodatku tak przesadzony, że się potem głupio czuję.

- Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli moje dzieci wyrosną na tak fantastycznych ludzi jak ty, będę najszcześniejszą kobietą na świecie.

- Już ja je odpowiednio ustawię - powiedział Leo, chowając twarz w papierowym kubku z lodami.

Jeżeli, jak to się mówi, zwycięstwo ma wielu ojców, to moje maluchy będą miały tysiące rodziców. Kiedy w parne lipcowe wieczory człapałam ze stacji metra do domu, bez przerwy słyszałam życzliwe uwagi z ust anonimowych przechodniów, ludzi, których często znałam jedynie z widzenia. „Pani wprost promienieje” - wysapała kobieta mieszkająca na końcu ulicy, kiedy mijała mnie, biegnąc w stronę parku w sportowym stroju. „Ależ pani zazdroścę” - powiedziała inna, którą parę razy widziałam z dzieckiem w barze na rogu. Zawsze miała lekko potargane włosy i poplamione ubranie. Dwaj koledzy Leo, Doug i Doug (żeby było śmieszniej, obaj spotykają się dziewczynami o imieniu Caitlin), tylko kiwali głowami, mówiąc: „Super. Super”.

Czasami nocą Leo rozkładał się obok mnie na kanapie i cichutko śpiewał mi do brzucha piosenki, podjadając lody z mojego pojemnika. Głównie był to pewien rockowy utwór o miłości, który zaczynał się słowami: „Dziś jest najwspanialszy dzień mojego życia”.

Nagle zrozumiałam, co to znaczy być osobą publiczną - wszyscy czują się uprawnieni do tego, by podejść, wypowiedzieć komentarz, oznajmić swoje zdanie. Ponieważ jednak było to dla mnie całkiem nowe doświadczenie, a poza tym wiedziałam, że to minie wraz z zakończeniem wydającego się ciągnąć w nieskończoność okresu ciąży, czułam się jak milionerka. Jak niegazowana woda, którą nagle nasycono bąbelkami. Moje mieszkanie było o wiele za małe, ciało o wiele za duże, a przyszłość nieznana, choć zarazem tak jasna. Kiedy skończą pięć lat, zaprowadzę je do szkoły publicznej, takiej z programem dla dzieci szczególnie uzdolnionych. Kiedy skończą osiem, w kolorowych koszulkach i małych, ubłoconych korkach będą rozgrywać w parku mecze piłki nożnej w ramach szkolnej ligi. W wieku lat szesnastu przestaną się do mnie odzywać, ale do siebie będą się ciągle zwracać, czasami tylko po to, żeby się pokłócić.

„Czy to nie wspaniale, że będzie ich dwoje, Bridey?” - powiedział któregoś wieczoru Leo. Spojrzałam na niego zaskoczona. Nie wiem, jak to się stało, że wcześniej właściwie nie dostrzegałam tej delikatnej aury samotności, od zawsze otaczającej jego twarz.

Nie tylko ja przygotowywałam się do tego, co miało nadejść. Druga strona robiła to w sposób dość szczególny. Teraz, kiedy wychodziłam z biura, na rogu prawie zawsze stał policyjny samochód patrolowy. Alison była wniebowzięta: tego lata obecni i byli

narzeczeni oraz konkubenci naszych podopiecznych szczególnie im się naprzykrzali i teraz, od czasu do czasu, gdy któryś wytaczał się z za rogu zdecydowany upomnieć się o swoje, natykał się na dwóch młodych funkcjonariuszy w ciemnych okularach. Gdy po skończeniu pracy wychodziłam na ulicę, samochód ruszał i śledził mnie aż do stacji metra. W pociągu strażnik zaglądał od czasu do czasu do wagonu, w którym siedziałam, pocąc się w letnim upale, i też się zastanawiałam, czy nie został tu specjalnie przysłany.

To nie był pierwszy przypadek, kiedy w codziennym życiu dostrzegałam niewidzialną rękę Irvinga Lefkowitza. Kilka lat wcześniej, kiedy szłam do świetlicy na osiedlu tubmanowskim, musiałam przejść korytarzem, gdzie połowa żarówek była przepalona. W pewnym momencie wpadłam na chudego młodego mężczyznę z bandaną na głowie, który, trzymając w ręce nożyk do tapet, przypierał do ściany faceta sporo większego od siebie. „Lepiej, żeby szanownej pani tu nie było w tej chwili” - powiedział do mnie. Zrobił to w tak uprzejmy sposób, że jego słowa jeszcze długo dźwięczały mi w głowie, kiedy na trzęsących się nogach szłam zameldować o tym ochroniarzowi. „Uhm” - mruknął, zapisując coś w swoim dzienniku, zwykłym kołonotatniku, jakiego dzieci używają w szkołach. Ani na chwilę jednak nie ruszył się z za biurka wciśniętego w najdalszy kąt holu.

„Mieście wczoraj zgłoszenia o jakichś incydentach na osiedlu?” - zapytałam Irvinga następnego dnia przy kolacji.

„To chyba najgłupsze pytanie, jakie mi kiedykolwiek zadałaś” - odparł, odkładając widelec i wpychając reszkę bułki do ust, co zwykle oznacza, że szykuje się dłuższa rozprawa na temat charakteru przestępczości w mieście. - „Były w pewnym momencie plany, żeby otworzyć tam posterunek policji na parterze w jednym z bloków, ale nic z tego wyszło z jednego prostego powodu: wiedzieli, że kogokolwiek tam przydzielą, zaraz złożą podanie o przeniesienie”.

Następnym razem, gdy miałam coś do załatwienia na osiedlu, w obie strony dyskretnie towarzyszył mi samochód policyjny. „Nie mogę się tam pokazywać z taką obstawą. Od razu rzucam się w oczy”.

„Patrz, nigdy bym na to nie wpadł. Wysoka ruda kobieta o niebieskich oczach i skórze tak jasnej, że jest prawie przezroczysta, idzie przez dzielnicę zamieszkaną w całości przez Murzynów i

Latynosów i nie życzy sobie, żeby ktokolwiek lub cokolwiek przeszkadzało jej skutecznie wtapiać się w otoczenie".

„Irving, po prostu ich odwołaj. Nie mogę wykonywać swojej pracy w eskorcie policji. Ci ludzie na co dzień radzą sobie bez niej, więc i ja mogę". Ale to było wtedy. Teraz jesteśmy „my”, nie „ja”. Nie narzekam więc, nie grymaszę, tylko kładę dłoń na coraz bardziej odznaczającym się brzuchu i pozwalam policji śledzić każdy mój krok.

I tak mieliśmy z Irvingiem dość powodów do kłótni. Ilekroć się spotykaliśmy, zachowywał się tak, jakby na nowo odkrywał moją zdradę. Napinał skórę na czole, zaciskał wargi. Czasem szliśmy do restauracji i w ogóle nie poruszaliśmy tego tematu, a czasem nie rozmawialiśmy o niczym innym. Jednej rzeczy nie robiliśmy na pewno: nie sypialiśmy ze sobą. Irving twierdził, że deprymuje go obecność Leo w salonie, a do niego nie mogliśmy pojechać. Irving ma na Brooklynie obskurne mieszkanie, w którym wszystkie okna wychodzą na wąski szyb wentylacyjny. Wygląda na bezpieczne schronienie dla świadków koronnych, czym zresztą było, dopóki Irving po drugim rozwodzie nie był zmuszony znaleźć sobie jakiegoś tymczasowego lokum. Tymczasowo mieszka tam już dwanaście lat. W drugiej połowie lipca, podczas tygodnia wyjątkowych upałów, kiedy powietrze było wilgotne i gęste jak zupa, zabrał mnie do niedużej, bardzo eleganckiej restauracji Francaise przy Zachodniej Pięćdziesiątej, gdzie mieliśmy świętować moje urodziny. Założyłam nową sukienkę, białą, z dopasowaną górą. Mój biust wyglądał w niej monumentalnie. „Bridey!” - gwizdnął z podziwem Leo, właśnie wychodzący z Dougami do klubu w Chelsea, słynącego z koktajli z puddingiem czekoladowym.

Kelner we Francaise zakręcił wokół mnie menueta, jak gdyby się obawiał, że będzie musiał mnie łapać, a nie bardzo wiedział, w którą stronę polecę. Przyniósł mi poduszkę, żebym mogła sobie podłożyć pod plecy.

- Dziękujemy, nie trzeba - splawił go Irving.

Kiedy byliśmy tu poprzednio, spotkałam Fallujah Levine - krążyła o niej plotki, że ma chrapkę na stanowisko po Meghan. „Pozdrów ją ode mnie serdecznie” - zaćwierkała. Aktorka grająca rolę prezenterki udającej życzliwą przyjaciółkę. W letni wieczór restauracja była w

połowie pusta. Wszyscy, którzy w tym mieście coś znaczą, spożywali kolację w Hamptons.

Nie zaglądając do menu, Irving poprosił o ostrygi i średnio wysmażony stek z pieprzem. Cały czas wiercił się na krześle, jakby ktoś mu podłożył pinezkę.

- Dobra, no więc weźmiemy ślub... - powiedział, kiedy kelner odszedł. Patrzył na mnie spod oka, trzymając w palcach lampkę czerwonego wina.

- Nie chcę wychodzić za mąż.

Kieliszek uderzył o stół z trzaskiem przypominającym pękający lód.

- Co? Chcesz być tą, jak jej tam... - Kim?

- No wiesz...

- Nie, nie wiem. Nie umiem czytać w myślach.

- Samotną matką?

- Nie chcę być samotną matką. Samotna matka to ktoś, kto musi wychowywać swoje dziecko sam, a ja chcę dzielić obowiązki rodzicielskie z tobą.

Pociągnął łyk wina, a następnie wrzucił sobie ostrygę do ust.

- To dla mnie bardzo trudna sytuacja, a ty nie wydajesz się okazywać zbyt wiele zrozumienia. Miałem beznadziejnego ojca. Jego ojciec też nie był lepszy. Nie chcę się skarżyć, ale takie są fakty.

- No i co z tego? Ja też miałam beznadziejną matkę. Przynajmniej tak słyszałam. Ale miałam Maureen, która ją wspaniale zastąpiła.

- I pewnie dzięki temu twoja siostra wyrosła na taką świetną matkę.

- Zaskakujesz mnie.

- Daj spokój, wiesz, że zawsze oddaję ludziom to, co im się należy. Przecież wystarczy spędzić z tym chłopakiem parę minut, żeby się przekonać, jaki kawał dobrej roboty zrobiła. - Jedna z komórek zadzwoniła mu w kieszeni. Zerknął na wyświetlacz, nacisnął klawisz i schował ją z powrotem. - Czyli nie chcesz, żebyśmy wzięli ślub.

- Raczej nie. Spójrz, co się stało u Meghan. Zresztą ty też nie masz się czym pochwalić w tym zakresie. Ale chcę, żebyś zamieszkał ze mną na stałe. - Nie byłam pewna, czy to prawda, ale wydawało mi się, że tak należy powiedzieć. - Jeżeli z tej okazji chcesz mi kupić

drogi pierścionek, proszę bardzo, chociaż chyba trzeba będzie z tym poczekać, aż mi zejdzie opuchlizna z palców.

- I chcesz też, żebym robił te wszystkie rzeczy, kiedy tam z tobą pójdę, masował ci stopy, pomagał oddychać?

- Tak, bardzo bym tego pragnęła. Myślę, że dla ciebie to też byłoby duże przeżycie. Pamiętam, kiedy patrzyłam, jak się rodzi Leo. To była najniezwyklejsza chwila w moim życiu. Byłyśmy we dwie i nagle zrobiło się nas troje. Czwooro, jeśli liczyć Evana, który siedział w kącie z głową między kolanami. Jakoś sobie nie wyobrażam ciebie mdlejącego na sali. A sądzę, że gdybyś tego nie zobaczył, mógłbyś potem żałować.

- Widzieć, to ja już widziałem. Kiedy jeszcze jeździłem na patrolu, dwa razy musiałem odbierać poród. Często się to zdarza. Podchodzisz do stojącego na poboczu autostrady auta i widzisz ją, jak leży z nogami na desce i wrzeszczy.

- Dzięki. Od razu poczułam się lepiej. Irving pokręcił głową.

- Wszystko pójdzie dobrze, moje dziecko. Przecież cię znam. Jesteś twardzielką. Zastanawiałaś się już nad imionami?

- Kilka wyeliminowałam od razu. Wiedziałaś, że Leo ma w college'u aż trzy koleżanki o imieniu Kate i po dwie o imionach Sarah i Emily? Myślę, że ich jedyną wspólną cechą jest to, że są blondynkami.

- Spytaj Tequili, ona ci na pewno coś podrzuci.

- Jasne. Tłumaczyła mi kiedyś, skąd wytrzasnęła imiona dla swoich dzieci. Baruch - na cześć college'u. Armand po jakimś aktorze telewizyjnym, księżniczka Margaret po księżniczce Małgorzacie. No i George.

- Waszyngton? Foreman? Hamilton?

- Nie, chyba jej się po prostu znudziło. Przy mnie rozkręciła się na nowo. Parę dni temu zaproponowała Meghan Jr.

- Po moim trupie. A propos. To kolejny problem. Jestem na to za stary. Będę wyglądał idiotycznie. Nie mówiąc o tym, co będzie, jak kopnę w kalendarz.

- Za późno - rzekłam, spoglądając na mój wydatny brzuch. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, jak kelner wskazuje stolik Evanowi. Przyszedł z jakąś kobietą i opierając dłoń o zagłębienie jej pleców, prowadził ją w głąb sali. Znam ten gest tak dobrze jak pewne ruchy ramion mojej siostry, gdy przemierza ocean. Zakryłam dłonią usta.

- Muszę do łazienki.

Każdy, kto bywał singlem w Nowym Jorku, wie, jak wykorzystać wyjście do toalety, aby się lepiej przyjrzeć nowej narzeczonej byłego chłopaka. Do dyspozycji są lustra nad barem, wielkie szklane okno wychodzące na ulicę, które tak samo dobrze odbija wnętrze, i niskie ścianki działowe zastawione bukietami kwiatów, umożliwiającymi dyskretną obserwację z ukrycia. W tym przypadku zadziałała ta ostatnia metoda. Towarzysząca Evanowi kobieta była niska i bardzo szczupła, miała ogromne niebieskie oczy i takie śmieszne rybie usteczka. On mówił, ona się śmiała. Najwyraźniej w ostatnich miesiącach stał się niezwykle zabawny. Myjąc ręce, obserwowałam w lustrze drzwi do łazienki. W głowie słyszałam głos Tequili, nakazującej mi nawymyślać tej babie, gdyby tu weszła. Ale ja, jak znam życie, pewnie bym się chyłkiem wyślizgnęła, choć możliwości w tej materii miałam mocno ograniczone ze względu na gabaryty. Jestem odważna tylko w wyobraźni.

Po powrocie na miejsce na stoliku zobaczyłam mus czekoladowy. Chyba pierwszy raz w życiu ten widok nie sprawił mi radości. Zdawało mi się, że w drugim końcu sali słyszę delikatny kobiecy śmiech.

- To co, nie ma szans, żebyś przyjęła moje oświadczenia? - rzucił niedbale Irving.

- To nie były oświadczenia - mruknęłam - tylko kapitulacja.

- To ja już nie wiem, jak to powinno wyglądać.

- Mniejsza z tym. Poprośmy o rachunek.

Do domu wróciliśmy taksówką. Całą drogę milczeliśmy. Gapiłam się w okno i widziałam w szybie odbicie patrzącego na mnie Irvinga. To metafora wszystkich związków. Gdybym teraz na niego spojrzęła, jest więcej niż pewne, że odwróciłby głowę. I tak w koło. Odwieczna gra.

- Nie będę wchodził na górę - powiedział, kiedy znaleźliśmy się pod drzwiami.

Dlatego, gdy następnego dnia po południu stanął nagle w drzwiach mojego biura, przez chwilę pomyślałam, że postanowił zawrzeć rozejm, wyrzec się siebie na czas zajęć w szkole rodzenia, obiecać, że rzuci palenie, aby dzięki temu żyć dłużej i móc się cieszyć widokiem dorastających dzieci. Wyglądał jak te drzwi, masywny i kanciasty, prawie jak Frankenstein: uniesione ramiona i spuszczone

głowa. Pierwszy raz, odkąd go znam, zobaczyłam, że wygląda, jakby płakał. Odruchowo położyłam rękę na brzuchu.

- Meghan? - wyszeptałam.

- Leo.

Rozdział 20

Bywałam w tym szpitalu już wielokrotnie, ale tym razem po raz pierwszy personel traktował mnie jak pacjentkę. Zazwyczaj prowadzę ze sobą jakąś krwawiącą kobietę, dziecko próbujące złapać oddech, wrzeszczącą nastolatkę, której dziecko pcha się na świat. Dzisiaj pielęgniarki zmylone rozmiarem mojego brzucha założyły, że przyszła kolej na mnie. Podeszła do mnie kobieta z notatnikiem.

- Mój siostrzeniec został postrzelony - jęknęłam głośno i natychmiast straciła zainteresowanie. Rodząca kobieta jest warta uwagi, ale krewna ofiary strzelaniny, chcąc uzyskać jakieś informacje, to już tylko kłopot.

- Proszę usiąść - powiedziała. Na zewnątrz, przed wejściem, Irving krzyczał coś do jednej ze swych komórek.

W atmosferze, jaka panuje na oddziale ratunkowym dużego nowojorskiego szpitala, jest coś dziwnie kojącego. Przez podwójne drzwi nie wjedzie tu nic, z czym lekarze i pielęgniarki nie zetknęliby się wcześniej i czemu nie potrafiliby zaradzić. Mężczyzna z leżącą obok niego obłożoną lodem jego nogą w plastikowym worku. Oskalpowana kobieta, której włosy wkręciło w maszynkę do mięsa. Dziecko w stanie katatonii po tym, jak włożono je do wrzątku. My, pracownicy socjalni, potrafimy usłyszeć akt oskarżenia, zanim jeszcze matka otworzy usta: płacz i tak wszystko zagłusza.

W Nowym Jorku stan poszkodowanego można ocenić po tym, jak szybko wjeżdżają z nim do sali zabiegowej. Jeśli uderzyłeś się młotkiem w palec albo przewróciłeś się i złamałeś nogę.

będziesz musiał poczekać. Ludzie z AIDS siedzą z krwawiącymi ranami na głowie - efekt kłótni kochanków - a personel schowany za maskami chirurgicznymi pozostaje niewzruszony. GSW - skrót używany dla określenia ran postrzałowych - widniał na wszystkich dokumentach przyjęć leżących na odrapanym metalowym kontuarze stanowiska pielęgniarek. To są jedyni pacjenci, od których nie wymaga się natychmiastowego podania numeru ubezpieczenia. To ci na zakrwawionych noszach, pędzących przez kolejne drzwi niczym samoloty podchodzące do lądowania, żeby jak najszybciej zrzucić swój pokierszowany ładunek.

Zdaje się, że właśnie wwieźli Leo. Nasze otaczała gwardia honorowa sanitariuszy i policjantów. Leo został postrzelony w plecy, kiedy zamykał samochód na parkingu przed blokiem w kompleksie

tubmanowskim. Irving wszedł do środka, błysnął odznaką i zażądał, aby nas wpuszczono do strefy reanimacyjnej. Ale tam widać było tylko parawan, za którym trwały gorączkowe zabiegi. Słyszałam, jak lekarze wykrzykują polecenia, a na zielonkawym linoleum ujrzałam rzucone bezładnie spodenki i pociętą koszulkę. To był czarny T - shirt z napisem „Wyśpię się po śmierci”.

- Nie... - wyrwało mi się niechcący.

- Powinnaś usiąść - powiedział Irving i podsunął mi krzesło wyjęte zza sąsiedniego parawanu, gdzie leżał, cicho pochlipując, starszy mężczyzna. Opadłam na nie i oparłam głowę o wykafelkowaną ścianę. Nasłuchiwałam płaczu, jęków, krzyków Leo, lecz dochodziły mnie tylko głosy personelu medycznego, tego ich niezrozumiałego żargonu. Podeszła do mnie jedna z pielęgniarek i mrużąc oczy, spojrzała mi w twarz, a potem przeniosła wzrok na brzuch.

- Czy wszystko w porządku? Dobrze się pani czuje?

- To mój siostrzeniec. Leo. Leo Grater. Czy on żyje? Uklękła przy mnie. Miała na sobie fartuch z wzorkiem w lizaki. Ciocia Maureen też taki nosiła, zanim przeszła na emeryturę.

- Staramy się ustabilizować jego stan. Zaraz jakiś lekarz do pani podejdzie. Na razie jeszcze nic nie wiemy, musimy zrobić szereg badań. Ile chłopiec ma lat?

- Dziewiętnaście. Mam podać jego numer ubezpieczenia, datę urodzenia?

- Będzie na to jeszcze dużo czasu.

Irving krążył. Wyszedł do poczekalni, wrócił do strefy reanimacyjnej, wyszedł na zewnątrz, aby odebrać telefon, i z powrotem wrócił do poczekalni. Zmagał się z trzema problemami naraz. Pierwszy to osobista tragedia, drugi zadanie dla policji, a trzeci to koszmar, jaki go czeka, kiedy wokół sprawy zrobi się szum w mediach. Wiem, że w jakimś stopniu cieszył się, że dzięki temu, iż Leo nie nosi nazwiska Fitzmaurice, zdoła uporać się z dwoma pierwszymi, zanim przyjdzie mu zmierzyć się z tym trzecim.

Przed nami przemknął wózek z noszami. Wśród płątaniny rurek, przewodów i worków z tlenem powiewała rozczochrana kępa kasztanowych włosów.

- Jedziemy na tomografię - rzuciła po drodze tamta sympatyczna pielęgniarka. Irving odciągnął na bok jednego z lekarzy.

- Panie komisarzu! - zawołał detektyw w znoszonym letnim garniturze. Irving znowu zaczął krążyć. Ściszym głosem rozmawiał z policją, wychodził z telefonem na zewnątrz, potem wracał i kładł mi rękę na ramieniu. Za każdym razem przynosił mi coś z automatu. Na kolanach urosła mi niezła sterta: Milky Way, Gatorade, chrupki, M&M'sy. Jedzenie na kinderbal. W okolicach brzucha czułam ogromny ciężar. Nie wiem, czy nie zaszkodziłam dzieciom nadmiarem adrenaliny. Nagle jedno się poruszyło. To był delikatny zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Dam mu na imię Leo Jr., a jej Meghan Jr. Zrekonstruuje z części zamiennych cały roztrzaskany krajobraz mego życia. Płakać nie będę, bo to by znaczyło, że sytuacja jest rzeczywiście tak zła, na jaką wygląda.

Kiedy pojawił się Evan, zupełnie nie przypominał człowieka, którego widziałam dzień wcześniej w restauracji: zapadnięta twarz, poszarzała cera. Ciekawe, czy ja też tak wyglądałam.

- Co z nim? - zapytał Irvinga.

- Jeszcze nie wiadomo. Nie to, że coś przed nami ukrywają lekarze naprawdę jeszcze nic nie wiedzą. Dostał kulę w plecy, dość nisko. Podejrzewam, że próbują ustalić, gdzie utknęła i czy można się do niej dostać. - Irving przyłożył dłoń do piersi, w miejscu, gdzie sam ma bliznę po postrzale. - Rany postrzałowe nie są takie groźne, jak się wydaje. - Powiedział to takim samym tonem, jakiego używa podczas konferencji prasowych.

- Kto to zrobił? Irving pokręcił głową.

- Tego też nie wiemy. Policja przeczesuje teren. Prawdopodobnie grupka młodych bandziorów, którzy już wcześniej go zaczepiali.

- Ja wiem - wtrąciłam. - Znam ich. Przezywali go „szofer”. Tequila będzie wiedziała, kim oni są.

- Nigdy nie wspominał, że ma jakieś kłopoty. Z tego, co mówił, wynikało, że całymi dniami tylko wozi kobiety po lekarzach i uczy dzieci grać w szachy.

Wróciła sympatyczna pielęgniarzka.

- Pan jest ojcem? - zapytała i odciągnęła Evana na bok. W zawodach takich jak nasze używamy tytułów, żeby ustalić porządek dziobania. W tej kategorii Evan stał wyżej ode mnie. Zniknął za kolejnymi drzwiami, po drodze grzebiąc w wewnętrznej kieszeni w

poszukiwaniu karty ubezpieczenia. Odstąpiłam mu paczkę M&M sów. Sama wypilałam Gatorade.

- Jeden z tych chłopaków to syn Tequili - powiedziałam cicho do Irvinga.

- Pracuję nad tym - odparł. Pochowane po kieszeniach telefony naraz zawibrowały, marszcząc od wewnątrz szary materiał spodni. Najprawdopodobniej dziennikarze już się dowiedzieli, że młody biały mężczyzna, student pierwszego roku w Amherst, mieszkaniec Central Park West, został postrzelony w dzielnicy czarnych w Bronksie. To przecież niezły temat. Wkrótce któryś z nich odkryje, czyj to syn. Wtedy sprawa trafi na pierwsze strony gazet. Pewnie minie trochę czasu, zanim policja znajdzie sprawców. Na tym osiedlu można postrzelić człowieka w biały dzień, w środku lata, w obecności dzieci bawiących się na placu, matek plotkujących przy wejściu do holu, starszych ludzi siedzących w oknach. Ilekroć zjawiała się policja, zawsze było tak samo: nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Jeśli zauważyłeś, że ktoś robi coś złego, ten ktoś może się na ciebie pogniewać, a kiedy jest zły, wtedy i tobie może zrobić to samo. Można to też ująć inaczej, tak jak Charisse - kiedyś, kładąc mi rękę na ramieniu, usiłowała wytłumaczyć, dlaczego nikt nie chciał wydać mężczyzny, który dwa dni po wyjściu z więzienia zasztyletował swoją żonę. „Karma jest jak bumerang” - powiedziała. Nie jestem pewna, czy to się miało odnosić do potrzeby trzymania języka za zębami, czy też nieuchronności kary. W każdym razie miesiąc później karma dosięgła owego człowieka i doprowadziła do jego śmierci w wyniku upadku z dachu. Wszyscy wiedzieli, że zepchnął go brat zmarłej żony, ale oczywiście nikt o niczym nie słyszał.

Siedząc w szpitalu, zupełnie straciłam poczucie czasu. Mdłe światło jarzeniówek dawało złudzenie, że ciągle trwa dzień. Miałam wrażenie, że wszyscy o mnie zapomnieli. Irving wyszedł gdzieś na zewnątrz. Evan już nie wrócił. Salowa zbierała z łóżka opatrunki, opakowania i inne śmieci. Przyszedł policjant i włożył do plastikowego worka to, co pozostało z szortów i koszulki Leo. Ciekawe, gdzie się podziały jego olbrzymie adidasy numer 45. Czasami, gdy patrzyłam na jego kościste, owłosione nogi wywalone na stół, przed oczami stawały mi dwa pulchne różowe przecinki, które wprawiły mnie w zakłopotanie, kiedy pierwszy raz próbowałam go przewinąć. Coś chwyciło mnie za gardło, otworzyłam usta, lecz

wydobył się z nich tylko słaby jęk. Nikt nawet tego nie zauważył. Właśnie wwożono kolejne nosze za parawan, gdzie przedtem leżał Leo. Tym razem była to tęga kobieta z twarzą ukrytą pod maską tlenową. Dźwięki, jakie wydawała, wskazywały, że to atak astmy.

- Będzie się pani musiała przenieść gdzie indziej - zwrócił się do mnie sanitariusz.

Wróciłam do głównej poczekalni. Po drodze minęłam dwoje dzieci bawiących się na podłodze figurkami i staruszka odpowiadającego na pytania siostry dyżurnej. Zegar pokazywał, że jestem w szpitalu już od prawie sześciu godzin. Usiadłam na krześle i bezmyślnie przeglądałam sfatygowany egzemplarz kobiecego pisma. W poczekalni było tłoczno. Wyglądała jak każda inna poczekalnia przeznaczona dla biednych: trochę brudno, trochę duszno, na ścianach żadnych obrazków, tylko plakaty informujące o pierwszych objawach choroby wieńcowej, objaśniające procedurę samobadania piersi czy rękoczynu Heimlicha. Dziewczynka siedząca obok mnie mozolnie kreśliła ołówkiem drogę przez labirynt na stronie gazetki dla dzieci „Highlights for children”. To samo pisemko leżało w poczekalni u dentysty, kiedy ja i Meghan byłyśmy małe. Nie wygląda, żeby się wiele zmieniło.

Przez szyby w drzwiach widziałam srebrzyste smugi światła samochodów odbijające się w asfalcie i grafitowe nocne niebo. Po przeciwnej stronie ulicy stały zaparkowane dwa radiowozy. W jednym z nich siedział Irving i rozmawiał przez telefon. Obserwowałam go przez dłuższą chwilę. Raz cisnął jedną z komórek o ziemię. Młody funkcjonariusz wyszedł z auta i przyniósł mu ją. Irving zapisał coś w wąskim notesiku, który zawsze nosił w kieszonce na piersi, po czym wziął komórkę, nawet na nią nie patrząc. Później zajrzał też do mnie, żeby sprawdzić, jak się czuję.

- Ciagle czekam - powiedziałam. Dał mi paczkę krakersów w kształcie zwierzątek kupioną w automacie i znowu wyszedł.

- Chcesz? - zapytałam dziewczynki obok.

- Nie wolno mi - odpowiedziała.

- Wiem, jestem obcą osobą. Ale ja nie jestem zła, możesz wziąć.

- Mam cukrzycę. Babcia mówi, że mam uważać, co jem.

Przeszła labirynt i zabrała się za krzyżówkę. Położyłam krakersy na krześle i za moment porwał je jakiś chłopczyk. Gdy jego matka na mnie spojrzała, skinęłam na nią, a ona skinęła na synka. Znow

wyrzłałam na zewnątrz i zobaczyłam, jak Irving wysiada z radiowozu. W tej samej chwili pod szpital podjechała limuzyna i przesłoniła mi widok.

Moja siostra podeszła do stanowiska pielęgniarek i odezwała się głosem niebudzącym żadnych wątpliwości i absolutnie niedającym się zignorować:

- Nazywam się Meghan Fitzmaurice.

Od miesięcy nie widziałam tego wyrazu twarzy - jaki przybrała pielęgniarka, gapiąc się na tę chudą, żyłastą postać o ciemnej, piegowatej cerze, zaniedbaną i jakoś nienaturalnie wyprostowaną - mówiącego: „Mój Boże, to naprawdę ona”.

- Czy moglibyśmy nie zamieniać tego w sesję fotograficzną? - usłyszałam głos Irvinga i dopiero wtedy dostrzegłam srebrzyste gwiazdki pulsujące zza szklanych drzwi i zorientowałam się, że to lampy błyskowe, wystrzeliwujące ostre pociski jasnego światła. Moja siostra posiada przedziwną zdolność przeobrażania się w osobę, jaką widzą w niej inni. A jeszcze dziwniejsze jest to, że potrafi to wyłączyć. To dlatego tak często udaje się nam przebiec całe dziesięciokilometrowe okążenie w Central Parku i nikt nawet nie spojrzy w jej stronę. Ona sama określa to dosyć trafnie: mówi, że po prostu „gasi światło”. To taki reflektor promieniujący z jej wnętrza blaskiem nie mniej intensywnym niż ten otaczający ją z zewnątrz.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie różniła się wyglądem od kobiety, którą pielęgniarka w swym mniemaniu tak dobrze знаła. Jej włosy tworzyły aureolę rudawych, wzburzonych loków, a piegi tak bardzo ściemniały, że wyglądała jak przedstawicielka jakiejś nieznannej rasy. Brązowa opalenizna sprawiała, że blizna na czole lśniła jak światełko odbłaskowe. Muskularne ramiona wystawały z rękawów kupionej na bazarze bawełnianej sukienki, tak spranej, że wzór na materiale stał się prawie nieczytelny. Zawsze żartowałam, że Meghan to nóż, a ja jestem łyżką. To porównanie nigdy nie było bardziej adekwatne.

A jednak moja siostra zdołała zapalić to wewnętrzne światło samą siłą woli i pielęgniarka już stawała na paluszkach i wszystko miało się zmienić. Jak zawsze.

Meghan zauważyła mnie wśród siedzących na plastikowych krzesłach i pomachała ręką. Po kilku minutach szliśmy długim korytarzem w stronę pomieszczenia wyglądającego na czyjś gabinet. Z jednej strony stał stół konferencyjny, a z drugiej kozetka.

- Połóż się, Bridget - powiedziała Meghan. - Musisz być wykończona.

- Jak ci się udało tak szybko dotrzeć?

- Przyleciałam prywatnym odrzutowcem.

Bocznymi drzwiami wszedł do pokoju lekarz; nigdy wcześniej go nie widziałam. Mrużąc oczy, wczytałam się w plakietkę z nazwiskiem i już wiedziałam, dlaczego. To był naczelny dyrektor szpitala. Kiedy się z nami witał, zorientowałam się, że znajdujemy się w jego gabinecie. Na regale stało duże zdjęcie chłopca w biało - niebieskim stroju piłkarskim, opierającego nogę na piłce. Natychmiast zapalałam do niego i do tego lekarza nienawiścią, która troszeczkę przypominała uczucie zgagi. Zresztą może to i była zgaga: od dawna nic nie jadłam, a dzieci zachowywały się niespokojnie. Odstawiwszy wino i kawę, żywiąc się jogurtem i rybami (ale tylko takimi z niską zawartością rtęci), prawdopodobnie podawałam im chemiczny koktajl sporządzony w równych proporcjach ze strachu, wyrzutów sumienia i wściekłości.

- W tej chwili zajmuje się nim zespół neurochirurgów - powiedział lekarz, bawiąc się nerwowo stetoskopem. Ciekawa jestem, czy zawsze nosi go ze sobą w kieszeni, czy to była jakaś specjalna okazja. Przypomniało mi się, jak kiedyś Leo miał zawieźć kilka rodzin na plażę Orchard i pomagał jednemu z dzieci przebrać się w kąpielówki. Chłopczyk miał wielką, grubą bliznę w kształcie krzyża, biegnącą przez całą szerokość brzucha i od mostka aż do podbrzusza. Wyglądała, jakby pozostała po cięciu tępym skalpelem wykonanym przez ślepego lekarza.

„Co ci się stało, Jerome?” - zapytał mój siostrzeniec najdelikatniej, jak potrafił.

„Jak byłem mały, dostałem przepukliny i musiałem iść na operację” - odparł Jerome.

„Ej, bracie, to chyba niemożliwe. Ja miałem operowaną przepuklinę i to całkiem inaczej wygląda. To musiało być coś innego”.

„Leo!” - przywołałam go z okna biura. Pamiętałam tę operację. Miał wtedy dwa latka. Narkozę podawała mu pani w masce z wizerunkiem Power Rangersów, a wcześniej dostał środek uspokajający w postaci lizaka o smaku truskawkowym. Przez cały czas trwania zabiegu Meghan siedziała w kącie sali operacyjnej. Blizny Leo wyglądają dosłownie jak kreseczki. Mają może po trzy

centymetry każda i są niewidoczne, bo schowane w pachwinie, zupełnie jakby lekarz przypuszczał, że w przyszłości Leo zapragnie pozować nago do reklam Calvina Kleina.

„Bracie” - wytłumaczyłam mu wtedy. - „Tak wyglądają blizny po przepuklinie, kiedy operują cię w publicznym szpitalu, jak już doszło do jej uwięźnięcia, a do tego stażysta uczy się na tobie zakładać szwy”.

- Przejdźmy do rzeczy, panie doktorze - powiedziała Meghan, krążąc nerwowo przed biurkiem dyrektora. - Przede wszystkim, czy to z panem rozmawiałam przez telefon?

- Nie; z tego, co wiem, to był szef personelu, doktor Patel. Meghan zerknęła na swoją dłoń. Zapisała sobie coś na ręce, robi tak czasami.

- Rzeczywiście. Był uprzejmy, ale nie potrafił udzielić zbyt wielu informacji. Powiedział, że życiu mojego syna prawdopodobnie nic nie zagraża, że jest nieprzytomny i że uszkodzeniu uległ kręgosłup. Zapytałam, czy grozi mu paraliż.

- Za wcześnie, by to stwierdzić, ale to raczej mało prawdopodobne. Rdzeń jest naruszony dość nisko. Całkowity paraliż występuje tylko wtedy, gdy uszkodzeniu ulega górna część.

Meghan przystanąła i pochyliła się nad biurkiem. Bezbłędnie rozpoznaje, kiedy ktoś zaczyna ściemniać. Wielokrotnie obnażała to publicznie przed kamerami.

- Będzie sparaliżowany od pasa w dół?

- Jeszcze nie wiemy.

- Ale to nie jest wykluczone?

- Nie.

Ukryłam twarz w dłoniach. Irving położył mi rękę na głowie.

Wtedy wszedł Evan i przytulił do siebie Meghan, opierając brodę na czubku jej głowy. Widziałam to tyle razy. Jakie to kiedyś musiało być dla niego krzepiące, że jest od niej tyle wyższy. Czy to wtedy, kiedy zrozumiał, że to złudzenie optyczne, zaczął się rozglądać gdzie indziej?

- Jezu, Ev - wymamrotała.

- Wiem, Meg, wiem. Wszystko będzie dobrze. Oni ciągle próbują ustalić zakres obrażeń.

- Widziałeś go?

- Poniekąd. Niewiele można dojrzeć przez tłum lekarzy i pielęgniarek, no i cały ten sprzęt. Wciąż jest nieprzytomny. Nie wie, że tu jesteśmy.

- Ja muszę przy nim być.

Evan spojrzał ponad jej głową na lekarza.

- Badania jeszcze trochę potrują - powiedział tamten. - Może będzie lepiej, jeżeli pani rozgości się tutaj. Poślę po coś do jedzenia.

Meghan pokręciła głową. Podbródek Evana poruszył się jak u lalki brzuchomówcy.

- Najbliżej, jak się da - powiedziała do jego koszuli. Opuścili gabinet, trzymając się za ręce. To właśnie ten układ, o którym mówiła Meghan, kiedy leżałyśmy na patio, gapiąc się w gwiazdy. Dorastając, słyszymy o nim w piosenkach, czytamy w książkach i oglądamy w kinie. Jeżeli kiedykolwiek stanie ci się coś złego, oboje rodzice będą przy tobie, bez względu na wszystko. Meghan i Evan właśnie to udowodnili.

- Może pani tu zostać - powiedział do mnie lekarz.

- Muszę wykonać parę telefonów - odezwał się Irving. - Ale ta pani rzeczywiście zasługuje na jakieś wygodniejsze miejsce niż poczekalnia. - Pomógł mi się ułożyć na kozetce i zdjął mi buty. Przykrył mnie swoją marynarką, ale zaraz przyszła pielęgniarka z kocem i poduszką, więc z powrotem ją założył. Jeszcze raz nam przeszkadzono: tym razem była to salowa ze szpitalnym posiłkiem na tacy. Irving podniósł pokrywkę.

- Mielone - stwierdził. - W takich miejscach nigdy się nie zawiedziesz.

- Ty wiesz, prawda? - spojrzałam na niego. - Wiesz, jak bardzo z nim źle?

- Tak jak powiedział lekarz. Może się okazać, że nie będzie chodził. Chyba ma też wstrząs mózgu. Nie wiedzą, dlaczego jeszcze się nie obudził. Jednak, skoro nie może poruszać nogami, to może lepiej, żeby tu został jak najdłużej.

- Musisz dorwać tych bandytów.

- Nie bój się, już im depczemy po piętach. Za kilka godzin będzie ich ścigał burmistrz, gubernator, może nawet sam prezydent. Będzie ostro. A ja muszę jechać do centrum, bo zaraz ktoś będzie chciał zwołać konferencję prasową. Twoja siostra pojawiła się w szpitalu i tym samym oficjalnie wyszła z ukrycia.

- Jedź. Ja sobie poradzę. Położę się tutaj i będę sobie leżeć.
Prosiłabym cię tylko o jedną rzecz.

- Snickersa?

- To zdjęcie na regale, mógłbyś je odwrócić? Irving włożył ramkę ze zdjęciem do szuflady.

- Kocham tego dzieciaka tak samo jak ty - powiedział.

- Wiem, ale nie mów już więcej takich rzeczy. Ja nie mogę się teraz rozpłakać. Bo jak zacznę, nie będę mogła przestać. Nie wiesz, dokąd poszła Meghan?

- Nie martw się. Ona cię znajdzie.

Rozdział 21

Meghan siedziała przy łóżku Leocaty dzień i całą noc. Evan przyniósł jej stos książek i kilka czasopism, oddzieliwszy uprzednio te, w których pisano o jej rzekomych miejscach pobytu, o czekającej ją przyszłości oraz o tym, jak Fallujah Levine radzi sobie z prowadzeniem porannego show. Meghan nawet ich nie ruszyła. Siedziała wyprostowana w fotelu przysuniętym jak najbliżej łóżka. To był duży, rozkładany fotel, obity bordową skórą, nawet ładny. W nocy mogła się na nim wygodnie oprzeć i zdrzemnąć. Ilekroć tam zaglądałam, ani razu nie widziałam, żeby to robiła. Wpatrywała się tylko w ekran monitora, co jakiś czas przerzucając wzrok na Leo.

Mniej więcej przez czterdzieści pięć minut na godzinę przemawiała do niego. Przyciszonym głosem, pieszczotliwie, jak gdyby sądziła, że tylko wtedy będzie w stanie przeniknąć do mrocznej nieświadomości syna, kiedy będzie brzmiała jak mama, a nie jak Meghan Fitzmaurice. Lekarze zdecydowali, że utrzymają go jeszcze jakiś czas w stanie śpiączki farmakologicznej, żeby zobaczyć, czy zmniejszy się obrzęk na rdzeniu, ale Meghan była przekonana, że Leo wszystko słyszy, więc mówiła do niego.

- Pamiętam, jak miałeś trzy latka i wypadłeś z kajaka - zaczynała. I nawet ja dawałam się wprowadzić w błogi stan pomiędzy medytacją a snem, kiedy kontynuowała opowieść: strach, ryby, gorąca kąpiel, gorąca czekolada. Opowiadała o pierwszym dniu w szkole w Biltmore, o meczu lacrosse'a, podczas którego został trafiony piłką w oko, o wypracowaniu na temat mitologii greckiej, w którym przyrównywał syreny do Beatlesów, o dziewczynie, z którą chodził w ósmej klasie i rozciął jej wargę aparatem na zębach, co wywołało oburzenie jej rodziców. - A ja powiedziałam przez telefon mamie Gaby, że powinna się czuć zaszczycona, że jej córkę pocałował mój syn!

Słowo po słowie, zdanie po zdaniu budowała szczegółową panoramę sielankowego dzieciństwa. Moja siostra chciała zostać pisarką, nie gwiazdą, a w tych dniach formułowanie myśli przychodziło jej łatwiej niż kiedykolwiek. Kiedy kończyła albo przerywała, żeby napić się wody, miałam wrażenie, jakby w powietrzu zawisło jeszcze jedno niewypowiedziane zdanie: „I żyli potem długo i szczęśliwie”.

- Pamiętasz bajkę o trzech koziołkach spryciołkach? - zapytała mnie któregoś popołudnia, kiedy wyszła na chwilkę z pokoju napić się herbaty. - Mama czytała nam ją do snu. Tam występował chyba jakiś troll.

Pokręciłam przecząco głową. Meghan spojrzała na mnie. Oczy jej błyszczały, a skóra na twarzy była przejrzysta jak bursztyn. Wyglądała o wiele młodziej niż wtedy, gdy wyjeżdżała. Zdawała się czegoś szukać w moich oczach. Wreszcie odezwała się tonem niemal błagalnym:

- Nie pamiętasz, co? Ja też nie bardzo.

- Ludzka pamięć jest jak bagno - odparłam. - Trudno odróżnić węże od cieni.

Wyciągnęła dłoń, żeby mi ją położyć na ramieniu, lecz zmieniła zdanie i pogłaskała mnie po brzuchu.

- Mądrze powiedziane, Bridget Anne - powiedziała na wpół żartobliwym tonem.

- To są chyba słowa z jakiejś piosenki country. I nie bądź taka zdziwiona. Zawsze byłam inteligentna.

- No to stałaś się jeszcze inteligentniejsza. A ja, cóż, opaliłam się i schudłam. Marzenie wszystkich kobiet w tym mieście, prawda? A mój syn w tym czasie o mało nie zginął.

Raz dziennie zjawiała się Mercedes i przynosiła ulubione dania Leo w pojemnikach zawiniętych w koc elektryczny, tak że po otwarciu pokrywek aromatyczna woń wypełniała cały pokój. Makaron z serem, gulasz wołowy, sos boloński, placek z brzoskwiniami. Nie wiem, co się z tym później działo. Ani Meghan, ani ja nigdy nie tknęłyśmy żadnej z tych potraw. Potem czarna limuzyna odwoziła Mercedes z powrotem do domu. Meghan wpadała tam codziennie po południu, żeby się umyć i przebrać. Zazwyczaj po godzinie była już z powrotem.

- I co? - pytała już w drzwiach, a ja tylko kręciłam głową.

Leo pozostał w szpitalu w Bronksie przez dwa dni. Dyrektor najpierw się zdumiał, a następnie pokornie przyjął do wiadomości informację, że moja siostra zamierza przewieźć syna do innej placówki. Całą operację nadzorował zespół neurobiologów ze szpitala na Manhattanie, uznawanego za najlepszy w kraju w każdej dziedzinie, od transplantacji serca po zdrowie psychiczne. Leo przewieziono bezpośrednio na oddział zwany oddziałem Four

Seasons, zaprojektowany - jak głosi broszura reklamowa - przez tych samych ludzi, którzy zajmują się wystrojem luksusowych hoteli tej sieci. Dekoracyjne tkaniny, mahoniowe meble, łazienki wyłożone marmurem. Tutaj przyjeżdżają bogaci zarządcy funduszy hedgingowych, żeby przejść zabieg angioplastyki, młode gwiazdy kina, aby urodzić dziecko, a także trafiają tu panie z towarzystwa leżące w śpiączce w wyniku powikłań po liposukcji - raz w tygodniu przychodzi do nich manikiurzystka. Gdyby nie respirator, kroplówki i monitory, można by pomyśleć, że Meghan i Leo przebywają na jednej ze swych wspólnych wycieczek, na które Meghan czasem go zabierała, kiedy ją zapraszano, aby uświetniła swoją osobą jakąś imprezę, gdy uznała, że warto, aby Leo zobaczył Madryt, Bangkok czy Pragę, zwykle w towarzystwie ochroniarza z ambasady.

Czasami, szczególnie w nocy, miałam wrażenie, jakbym się znajdowała pod wodą albo pod ziemią. Kiedy mieszkańcy innych części kraju, a nawet przedmieść New Jersey spotykają nowojorczyków, często się dziwią, że ci ostatni potrafią żyć w takim miejscu. Chyba nikt z nich nie zdaje sobie sprawy, jakie to niegrzeczne. Ciekawe, czy byliby równie zdziwieni, słysząc pod swoim adresem: „Boże, nie rozumiem, jak można się kisić w tej dusznej, burżuazyjnej atmosferze Sterling Silver” albo: „Nie masz czasem dość tej straszliwej monotonii życia w Little Town?”. Ale ci sami ludzie nie mają żadnych skrupułów, żeby powiedzieć: „Nie rozumiem, jak ty możesz tu mieszkać”, stojąc przed Metropolitan Museum albo na środku Central Parku. Czasem robią to w sposób przewrotny, gratulując ci, że zdołałeś się przystosować do tego szalonego tempa i życia w tłumie. Głównie jednak narzekają na hałas.

Nie rozumieją, że w Nowym Jorku, jeżeli jest się dostatecznie bogatym, hałas nie istnieje. Masz do dyspozycji hermetycznie zamykane biuro, tylne siedzenie w limuzynie z przyciemnianymi szybami i potrójne okna w mieszkaniu. Nowojorskie apartamenty o określonym metrażu są absolutnie dźwiękoszczelne. Pamiętam, jak kiedyś na przyjęciu wyszłam do toalety - często stosuję ten fortel, żeby się uwolnić od nadzianego gaduły, obok którego mnie posadzono - i stałam zdziwiona przy oknie, patrząc, jak nad Manhattanem przetacza się potężna burza z piorunami. Chciwe szpony błyskawic wynurzały się spod grafitowych chmur i uderzały w targane wiatrem konary drzew w Central Parku. Ulewa była tak wielka, że jedenaście

pięter niżej prawie nie było widać samochodów, tylko gdzieniegdzie czerwone smugi światła hamowania. Poczulałam delikatne wibracje, zapewne musiał to być grzmot, lecz nawet najdrobniejszy dźwięk nie przedostał się do środka.

Pamiętam, że facet siedzący po mojej prawej stronie opowiadał o jakimś głośnym procesie sprzed kilku lat dotyczącym właśnie tego budynku, w którym obecnie zajadaliśmy się stekiem z miecznika z makaronem orzo. „Nie martw się, Stephen, to było jeszcze zanim kupiłeś to mieszkanie” - zaryczał, widząc zaniepokojenie na twarzy gospodarza. Chodziło o to, że lokatorów denerwowało, że słyszą w swoich spiżarniach delikatne terkotanie, ilekroć winda przejeżdżała przez ich piętro. „A czy ktoś z nich w ogóle kiedykolwiek zagląda do spiżarni?” - zapytałam. „Otóż to!” - podchwycił mój sąsiad, wymachując widelcem. - „Dlatego tak późno ta sprawa wyszła. Dopiero czyjaś gosposia narobiła szumu”.

Windę przerobiono tak, że stała się całkowicie bezgłówna. A kiedy wychodziliśmy z przyjęcia, po burzy nie było prawie śladu. Zostały tylko mokre chodniki, a na przednich siedzeniach limuzyn leżały golfowe parasole przygotowane na wszelki wypadek.

Właśnie tego rodzaju cisza panowała na oddziale Four Seasons. W dole biegła ruchliwa nowojorska ulica, wypełniona trąbiącymi ciężarówkami, hamującymi z piskiem opon samochodami, pokrzykującymi na taksówki pieszymi i wrzeszczącymi na przechodniów rowerzystami. Za oknem rozgrywał się niemy film. Ja żyłam jakby w dwóch ciałach jednocześnie: moim własnym, które zdawało się coraz bardziej ode mnie uniezależniać, oraz w ciele Leo. Oddychała za niego maszyna, wydająca dźwięki trochę przypominające dyszenie anonimowego zbrojńca do słuchawki. Często łapałam się na tym, że nieświadomie zaczynam oddychać równo z nią i czasem kończyło się to zawrotami głowy.

Edward Prevaricator jest członkiem rady powierniczej tego szpitala. Przysłał prywatny samolot i udostępnił samochód, który dniem i nocą czekał przy bocznym wejściu, to na Mercedes, to na mnie, to na Meghan. Nie narzucał się swoją osobą. Wpadał raz dziennie na kilka minut, aby zapytać Meghan, jak się czuje, i zaoferować swój samolot, gdyby trzeba było sprowadzić tego słynnego specjalistę z Miami, to znów jakiegoś innego z Genewy.

- On jest obrzydliwie bogaty - stwierdziła któregoś dnia ze znużeniem moja siostra tuż po jego wyjściu. - Produkuje części do maszyn czy coś takiego. Ma fabryki na całym środkowym zachodzie. To w sumie miła odmiana poznać wreszcie kogoś, kto dorobił się majątku, faktycznie coś wytwarzając, a nie tylko obracając pieniędzmi.

Evan także przychodził codziennie, lecz w miarę upływu czasu coraz rzadziej kładł dłoń na ramieniu żony czy brał ją za rękę. Trudno mu się dziwić. Meghan była sucha i sztywna jak bambusowa tyczka i miała jakiś błysk szaleństwa w oczach. Czekałam i czekałam, kiedy się w końcu rozpłaczę. Być może robiła to po kryjomu, tak jak ja, w samochodzie albo pod prysznicem.

Alison i Tequila zjawiały się prawie codziennie po pracy. Wychodziłyśmy im na spotkanie do holu - na tym oddziale to wysokie na trzy piętra, przeszklone atrium wyłożone perskimi dywanami, wyposażone w wygodne kanapy i fotele oraz fortepian. Pianista przychodził codziennie o czwartej, a wychodził o siódmej. Siedziałyśmy więc na kanapie i rozmawiałyśmy przy akompaniamencie płaczących tonów Dla Elizy. Jeśli pianista był akurat w weselszym nastroju, grał Send in the Clowns.

- W całym kompleksie roi się od glin - odezwała się ponuro Tequila, gdy Meghan poszła na chwilę zajrzeć do Leo. - Mówią, że to ci chłopcy, z którymi kolegował się Armand. On jest teraz u swojej ciotki w Queens. Policja o tym wie, powiedziałam im, że mogą go przesłuchać, kiedy tylko chcą, ale nie chciałam go trzymać w domu, póki to wszystko trwa.

- Przydałby się wam adwokat.

- Nie potrzebujemy żadnego adwokata. To nie on. Znam mojego chłopaka. Ma swoje za uszami, ale na pewno tego nie zrobił. Nie było go z nimi. Pojechał do college'u zapisać się na letnie zajęcia i musiał długo czekać na konsultanta. Powiedziałam mu: synu, ten profesor to ci tyłek uratował. Mówi, że oni mu nic nie powiedzieli. Znaczą się, ci kumple. Wiedzieli, że on by na to nie poszedł. A może to się stało ot tak, przez przypadek, wiesz, chwila nieuwagi... Zeznał policji wszystko, co wiedział. A tamtych nigdzie nie mogą znaleźć. To coś mówi, nie? Wszyscy czterej naraz zniknęli? Ha!

- A jak się czuje Margaret?

- Chce tu przyjść, ale jej nie pozwalam. Nie chcę, żeby go oglądała w takim stanie. Ona uważa, że to wszystko przez nią. Ci chłopcy dokuczali jej, że ma białego narzeczonego. Mówi do mnie: „Mamusi, ale on nie jest moim narzeczoną, to tylko mój przyjaciel”. Nie chcę, żeby tu przyjeżdżała.

- Tequila, może weźmiesz trochę róż? - zapytała Meghan, wyłaniając się zza stanowiska pielęgniarek z wazonem pełnym białych kwiatów o długich łodygach. Bukiety zaczęły napływać nieustającym strumieniem, odkąd rozeszła się wieść, że ten młody człowiek raniony w Bronksie (jak sądzono, przypadkowo, prawdopodobnie w trakcie strzelaniny po nieudanej transakcji narkotykowej) to syn Meghan Fitzmaurice, pracujący jako wolontariusz w fundacji dobroczynnej działającej na rzecz bezdomnych kobiet.

Prezes stacji, agent Meghan, partner zarządzający w firmie Evana, dyrektor szkoły w Biltmore, dziesiątki osób, które bywały u nich na przyjęciach, a potem ich obgadywały - wszyscy przysłali olbrzymie bukiety kwiatów. Ostróżki, piwonie, oczywiście orchidee. Mercedes powymowała bileciki, żeby spisać nazwiska potrzebne później do wysłania kartek z podziękowaniami, a następnie kwiaty zanesiono na oddział onkologii. Borowsowie przysłali czekoladowe ciasteczka upieczone osobiście przez Kate. To był jedyny raz w ciągu ostatnich dni, kiedy widziałam, że Meghan coś je.

Pod koniec tygodnia Alison i Tequila przyniosły teczkę z kartkami od dzieci. „Wracaj do zdrowia, bracie. Darren” - głosił napis na jednej z nich, a poniżej był narysowany ludzik pochylający się nad czymś, co przypominało szachownicę. „Smutno mi, że jesteś chory” - to od małej dziewczynki; wycięta z kartonu kartka w kształcie serca. W sumie było jedenaście kartek i listów, w tym od Annette, mamy Delona. Przysłała gotową składaną kartkę z napisem: „Niech Bóg ma cię w swojej opiece i obdarza błogosławieństwem”.

Irving pojawiał się nieregularnie i o dziwnych porach. O drugiej w nocy, o drugiej po południu, w poplamionym garniturze, z poluzowanym krawatem. Na OIOM - ie może przebywać tylko rodzina pacjenta, ale odznaka zastępcy komendanta to mocny argument. Czasami był jedyną osobą, z którą Meghan miała ochotę rozmawiać. Przechadzała się więc z nim po atrium, stukając klapkami po marmurowej posadzce. Twarz miała napiętą, oczy spuszczone, ale

usta cały czas się poruszały, bez względu na to, czy to ona mówiła, czy on. Od czasu do czasu Irving przystawał i pochylał głowę, żeby jej coś powiedzieć z tą zaciętą i ponurą miną, jaką mam okazję obserwować tylko czasami, i tylko w telewizji.

- Dzięki Bogu, że twoja siostra nie ma pozwolenia na broń - powiedział, sadzając mnie w niedużej salce, gdzie podawano popołudniową herbatę dla odwiedzających oddział. Do wyboru były Earl Grey, mięta i rumianek, można się też było poczęstować małymi kanapeczkami z wędzonym łososiem i ogórkiem. Patrząc na Irvinga, jak je miniaturowe kanapki, to tak, jakby podglądać niedźwiedzia wcinającego jagody.

- Ulży jej, kiedy dorwiecie tych drani.

- Tak, ludziom zawsze się tak wydaje. To bzdura. Dorwiemy tego gościa, ale okaże się, że to zwykły dupek, który tylko chciał zaimponować kumplom. Nie będzie za tym stała żadna ideologia, chociaż ludzie by tego chcieli. Oczekują bohaterów, wielkiego przesłania, a tu nic. Zjedz kanapkę. Musisz mieć siły.

- Może nie powinnam o to pytać, ale czy myślicie, że syn Tequili jest w to zamieszany?

Irving pokręcił głową i przełknął to, co miał w ustach.

- Nie, on jest czysty. Ale tamci, których podejrzewamy, to jego kumple. Najciekawsze jest to, że większość z nich to nie są żadni gangsterzy. Niektórzy nie byli nawet notowani. Mają czyste konta. Zdaje się, że jeden kochał się w córce Tequili. Może to było coś, co się po prostu wymknęło spod kontroli. Jeszcze nie wiemy, ale to długo nie potrwa. Przymkniemy kogoś za coś innego, narkotyki albo napad, a on powie: „Chcecie parę informacji w zamian za złagodzenie kary?”. No i już. Wtedy namierzemy gościa i go przyskrzynimy.

- Powiedziałeś to wszystko Meghan?

- Jasne. Ale, jak mówiłem, to jej nie pomoże. A znasz Leo, on też nie poczuje się przez to lepiej. Ale to dzielny chłop. Łatwo mu nie będzie, ale da sobie radę. O Jezusie, tylko mi tu nie płacz.

- Niechże on wreszcie odzyska przytomność - westchnęłam, zawijając kilka kanapek w serwetkę.

- Ja się tym zajmę, proszę pani - powiedziała ta sama młoda dziewczyna, która podawała nam herbatę. Wróciła z eleganckim białym pudełkiem, zapakowała do niego kanapki i kilka rodzajów

drożdżówek. Wzięłam je ze sobą, wracając do pokoju, dla Meghan. Nazajutrz rano, nietknięte, wyrzuciłam do kosza.

Właśnie tego ranka lekarz poinformował Evana i Meghan, że wraz z kolegami podejrzewają, że rdzeń kręgowy Leo mógł zostać nieodwracalnie uszkodzony. Kiedy Meghan wychodziła po południu, żeby pojechać na chwilę do mieszkania, plecy miała przygięte, jak gdyby jej własny kręgosłup został uszkodzony i był zbyt słaby, aby ją utrzymać w pionie.

Poszłam do łazienki, odkręciłam do końca kurki z wodą, usiadłam na muszli i się rozryczałam. Brzuch całym ciężarem spoczywał na udach. Może ona ma rację, może Leo rzeczywiście wszystko słyszy? Jeśli tak, nie chciałabym, aby usłyszał te okropne, przypominające torsje odgłosy, wydobywające się z mego wnętrza. W końcu ochlapałam rozpaloną twarz wodą, wróciłam do pokoju i usiadłam w fotelu, jeszcze ciepłym od ciała Meghan.

- Pamiętasz, jak pojechałam z waszą klasą na wycieczkę do zoo?
- szepnęłam. - Strasznie się wtedy pokłóciłeś z Andrew, tak chyba miał na imię, Andrew Backus, o to, czy opos jest torbaczem, czy nie. On jest Australijczykiem albo był kiedyś w Australii, nie wiem, w każdym razie był strasznie pewny siebie. Taki hałaśliwy grubas. Cały czas powtarzał: „Nie, nie, torbacze żyją tylko w Australii”. Miałeś wtedy jeszcze taki cienki głosik. Bardzo uprzejmie poczekałeś, aż tamten skończy się płuć, a wtedy takim poważnym tonem powiedziałaś: „Opos to jedyny gatunek torbacza zamieszkujący Amerykę Północną”. Usłyszał to któryś z pracowników zoo i wtrącił: „To prawda. Mało kto o tym wie”. Ależ tamtemu zrzęda mina. Pamiętam, że potem powiedziałam twojemu tacie, że gdyby ten chłopak się tak nie nadymał, może nie wyglądałby tak grubo. Ty to potem powtórzyłeś w szkole i miałeś kłopoty. Przeze mnie.

Aparatura cały czas odmierzała jednostajny, monotony rytm serca. Pik - pik. Pik - pik.

- Obudź się, skarbie - mówiłam po zakończeniu każdej opowieści. Pik - pik. Pik - pik. Wydobywanie tych najdrobniejszych szczegółów z pamięci, pojedynczych momentów z jednolitej i nudnej masy przeszłości, wpływało na mnie dziwnie uspokajająco. Nieważne, ile z tego było prawdą, a ile wytworem umysłu, co było węzłem, a co cieniem. Potem jeszcze opowiedziałam mu, jak pewnego razu portier przyszedł na górę się poskarżyć, że Leo i jego koledzy z okien

biblioteki pokazują gołe tyłki turystom w piętrowych autobusach. I jeszcze o tym, jak wybraliśmy się na festiwal San Gennaro i Leo wymiotował Irvingowi na buty całe calzone, bo wcześniej zbyt łąpczywie wypił puszkę coli.

- Proszę cię, obudź się - mamrotałam pod nosem. A potem rozłożyłam oparcie i zasnęłam. Cholerne hormony, zdążyłam jeszcze pomyśleć. Raz, gdy się przebudziłam, w sali była pielęgniarzka i nucąc pod nosem, zmieniała Leo kroplówkę. Później, gdy chciałam zmienić pozycję, ujrzałam Evana siedzącego na krześle po drugiej stronie łóżka.

- Ciii. Śpij, Bridge - powiedział cicho i znów zapadłam w sen.

Rozdział 22

Dni mijały powoli i w całkowitej ciszy. Dzień czy noc - zupełnie straciłam poczucie czasu. Często zasypiałam. Słuchając, jak Meghan snuje opowieści, patrząc, jak pogłębiają się zmarszczki wokół ust Evana, łowiąc uchem szmer rozmów lekarzy na korytarzu. Każdy dzień niósł ze sobą jakiś koszmarny rytuał. Wizyta i wieści od Irvinga, spotkania z lekarzami, ciągle zapadanie w drzemki, z których natychmiast się zrywałam, nie wiedząc, gdzie jestem, przez jedną cudowną chwilę niepomna tego, co się stało. Może to dlatego Meghan nigdy nie pozwalała sobie zasnąć przy łóżku. Gdyby to zrobiła, poczułaby powiew tropikalnego powietrza, usłyszała chrzęst kamyczków na plaży i wyobraziła sobie, że płynie do brzegu, przeganiając płaszczki z ich kryjówek w piasku. A potem ocknęłaby się i zobaczyła to.

- Chyba mam skurcze - powiedziałam któregoś dnia do Evana, kiedy siedzieliśmy po obu stronach łóżka podczas jednej z tych rzadkich chwil, gdy Meghan nie było w szpitalu.

- Naprawdę? Jesteś pewna? Mam zawołać lekarza?

- Nie te właściwe, te drugie. - W tym momencie weszła pielęgniarka, żeby poprawić wenflon i odruchowo się do nas uśmiechnęła. - To takie wstępne skurcze, żeby macica przygotowała się do porodu. Dziwnie się nazywają. Ezra Pound, czy jakoś tak. Skurcze Ezry Pounda.

- Ezry Pounda?

- Braxtona - Hicksa - mruknęła pielęgniarka.

- O, właśnie. Mam skurcze Braxtona - Hicksa.

- W tej fazie ciąży to absolutnie normalne - dodała pielęgniarka. - A mówię to pani jako ktoś, kto przepracował jedenaście lat na oddziale położniczym. - Poklepała mnie po ramieniu i wyszła.

- Ezra Pound! - zaśmiał się Evan. - Bridge, nie masz pojęcia, jak mi tego brakuje.

- Serio? Ja też tęsknię za paroma rzeczami, Ev.

- Za czym na przykład? A może nie powinienem pytać?

- Sama nie wiem. Chyba głównie za własnymi złudzeniami. Okazuje się, że miałam ich niemało. Co jest trochę dziwne, zważywszy, że z nas wszystkich to ja wykonuję pracę, która ma najwięcej wspólnego z prawdziwym życiem. No, może nie aż tak jak

Irving, ale blisko. Można by sądzić, że powinnam być większą realistką niż wy wszyscy razem wzięci.

- To błędne rozumowanie. Gdybyś faktycznie była realistką, byłabyś partnerem w jakiejś kancelarii prawniczej, miała dwójkę dzieci w prywatnych szkołach i całodobową służbę w domu.

- Mówisz, jakby w tym było coś złego - powiedziałam i oboje się uśmiechnęliśmy. Miałam nadzieję, że Leo nas słyszy; to był rodzaj wymiany zdań, jaką bardzo lubił, sam często robił takie uwagi. Być może starałam się mówić nie tylko do niego, lecz także do 1 a niego. Patrzyłam, jak promień światła błąka się po jego ogolonej głowie. Przypomniałam sobie, jaka byłam przerażona, kiedy pierwszy raz wyczułam u niego ciemiaczko. „Czy on nie może chodzić w kasku?” - zaproponowałam pewnego razu.

- Spotykasz się z kimś, Ev? - zapytałam zwyczajnie, po koleżeńsku.

Evan wpatrywał się w swoje dłonie i nie podnosząc wzroku, pokiwał głową.

- Jeszcze nie wiem, co to jest. Nie wiem, czy z tego coś wyjdzie. Nie wiem. - Przesunął wzrok w stronę Leo i na moment skrzywił usta.

- Widziałam cię. Widziałam cię we Francaise.

- Wiem. Ja ciebie też. Na ścianie było lustro. Uśmiechnęliśmy się oboje.

- Jak u O. Henry'ego. Ja cię widziałam, ty mnie widziałeś, ale żadne nie ośmieliło się podejść.

- Nawet miałem zamiar, ale wyglądaliście, jakbyście się kłócili.

- Irving chciał, żebym za niego wyszła.

- Ach, no to wszystko jasne. Znów się zaśmiałam.

- Ja też za tobą tęsknię, Ev. Może jeszcze kiedyś... - zawiesiłam głos i wzruszyłam ramionami. Poczulałam kolejny skurcz. Braxtona - Hicksa.

- Może.

Zasnęłam. Śniło mi się, że razem z Leo skakaliśmy ze spadochronem. On był mały, miał może siedem albo osiem lat. Oboje byliśmy bardzo przejęci, ale szczęśliwi. Zupełnie nie przejmowaliśmy się faktem, że Meghan nie została wtajemniczona w nasze plany. Wyskoczyliśmy, spadochrony się nie otworzyły, rysujące się w dole wieże miasta zaczęły się coraz bardziej zbliżać i w tym momencie obudziło mnie głośne pstryknięcie - Evan włączył telewizor.

Od początku ciąży miałam kłopoty z przechodzeniem ze snu w stan świadomości. Czasami miałam wrażenie, że część mego umysłu pozostała tam na dole, z nimi, ukołysana ruchami, wsłuchana w bicie serca, śniąca snem tych, którzy są zawieszani między dwoma światami. Dlatego minęła dobra minuta, zanim do mnie dotarło, że to, co widzę na ekranie telewizora, to główne wejście do kompleksu tubmanowskiego, obstawione z obu stron policjantami w kamizelkach kuloodpornych. Kamera odjechała do tyłu i pokazała kwadrat ubitej ziemi między budynkami. Nie było tam nic prócz policjantów i radiowozów.

- Co jest?

Evan podgłośnił telewizor. Złapaliśmy akurat w pół zdania relację lokalnej reporterki: „... jak nas poinformowano, za kilka minut opuszczą budynek. Do końca nie wiadomo, czy chodziło o wzięcie zakładnika, czy o chęć oddania się w ręce policji. Wiemy natomiast na pewno, że co najmniej od godziny w jednym z mieszkań przebywa mieszkanka tego kompleksu w towarzystwie młodej kobiety i jeszcze jednej osoby, zidentyfikowanej przez policję jako Meghan Fitzmaurice”. Młoda reporterka wyglądała na mocno zdenerwowaną, w końcu wszystko odbywało się na żywo, lecz była na tyle bystra, aby wiedzieć, że nie musi dalej przedstawiać Meghan.

Jedna z pielęgniarek stanęła w drzwiach i także spojrzała na ekran, a Evan kolejno przełączał kanały i w końcu zatrzymał się na stacji, którą Meghan przez tyle lat firmowała swoją twarzą. Rozmawiali z kobietą z dzieckiem na ręku, twierdzącą, że policja nie chce jej wpuścić do mieszkania. „Dziecko robi się głodne” - dodała zirytowana i w tym momencie, jakby na zawołanie, jej córeczka zaczęła marudzić: „Ja chcę kanapkę”. Rozmawiali też z młodym mężczyzną, który stwierdził, że to nie fair, że policja potrafiła przysłać cały oddział z powodu jakiejś „pani z telewizji”, a nie wykazuje większego zainteresowania, gdy z mieszkań lokatorów znikają różne rzeczy, co się niedawno zdarzyło jego dziewczynie.

Rozmawiali też z Charisse. Grupka dzieciaków za jej plecami cały czas podskakiwała do góry, zaglądając w kamerę. W końcu zniecierpliwiona Charisse odwróciła się i odpędziła je, groźnie wydymając dolną wargę. „Syn Meghan został tu postrzelony” - powiedziała - „i ona właśnie teraz jest na górze z człowiekiem, który to zrobił, i chce go stamtąd wyprowadzić, zanim jeszcze coś złego się

stanie. On przyszedł, żeby przeprosić. Mówi, że mu przykro. Przyjechał przeprosić dziewczynę, która przyjaźni się z synem Meghan, i sprawy trochę się wymknęły spod kontroli. No więc matka tej dziewczyny zadzwoniła do Meghan i poprosiła ją, żeby przyjechała. Nie można nasyłać policji i oczekiwać, że wszystko odbędzie się w spokoju. Rozumiecie, o czym mówię. Nie wiadomo, jak by się ten chłopak zachował, gdyby nagle wtargnęli tam policjanci. No więc zadzwoniła do Meghan i ta przyjechała, i teraz z nim rozmawia. Już ona to załatwi, jak trzeba, możecie być pewni".

- Jezus Maria - wykrztusiłam.

- O czym ona, do cholery, mówi? - zdenerwował się Evan.

- Ogromnie ryzykuje - dodała pielęgniarka.

- Nie, no to chyba jakiś żart.

- Obawiam się, że nie.

Evan po prostu nie znał Tequili. Ja miałam tę przewagę, że wiedziałam, w jaki sposób w umyśle wyostrzonym latami złego traktowania przez bezmyślnych urzędników rodzi się strategia. Kiedy Tequila zastała w domu, w towarzystwie swojej córki, przestępcę, nawet skruszonego, musiała sobie zadać pytanie, jak najlepiej przekazać go w ręce policji tak, aby nie ucierpiały na tym jej dzieci, aby nie popsuć reputacji córce i żeby kuratorzy na nowo nie zainteresowali się jej rodziną. Co za szczęście, że na biurku miała zapisany numer telefonu osoby tak bardzo znanej, że to ona przejmie na siebie całą uwagę, a do tego tak skutecznie, że na pewno będzie w stanie załatwić tę sprawę jak należy.

Siedzieliśmy, gapiąc się w telewizor; miałam wrażenie, że to trwa całą wieczność. Jednak kiedy spojrzałam na duży zegar stojący w korytarzu, okazało się, że minęło zaledwie piętnaście minut. Żadna z lokalnych stacji nie odważyła się przerwać relacji, nawet CNN zaczęło pokazywać obraz z kamery skierowanej wprost na wejście do kompleksu. Nad budynkami krążyły helikoptery, a ja się zastanawiałam, jak też je słyszać w mieszkaniu Tequili przy otwartych oknach. Bezgłośny Nowy Jork istnieje tylko dla bogatych. Biedni zawsze słyszą jakieś dźwięki: samochody mknące po autostradzie, stukot wagonów kolejki naziemnej, awantury i wrzaski na dziedzińcu, nocne odgłosy strzelaniny. Ci ludzie żyją w takim hałasie, że całkiem możliwe, iż chłopak, który strzelał do Leo, nawet nie był świadom obecności śmigłowców. Być może co rano sypia do

późna, a po nocach włóczy się z kumplami, pije alkohol i pali skręty, więc sądzi, że ta biała piegowata kobieta siedząca na welurowej kanapie Tequili to jakaś znajoma księżniczki Margaret, poznana w tej snobistycznej szkole, do której chodzi.

Meghan, Meghan, Meghan - to imię nie schodziło z ust dziennikarzy. Zupełnie jakby wcale nie wyjechała. W sytuacjach, gdy przestępca bierze zakładnika, przez dłuższy czas nic się nie dzieje, więc stacje telewizyjne muszą jakoś zatrzymać widzów przy odbiornikach. Większość wykorzystała okazję, by przypomnieć epizod z Benem Greenstreetem, a jeden z kanałów kablowych, ten o prawicowym odchyleniu, nawet odtworzył ten wywiad w całości, obowiązkowo „wypikując” kluczowe słowa. A jednak macierzysta stacja Meghan tego nie zrobiła. Później przyszło mi do głowy, że może najważniejsi szefowie już wówczas wiedzieli, co się święci, i woleli na wszelki wypadek się asekurować.

Nagle reporterka przerwała monolog, którym zapełniała czas antenowy, przytaczając między innymi statystyki przestępczości na terenie kompleksu (liczby były większe, niż sądziłam), i przybrała pusty wyraz twarzy, oznaczający, jak kiedyś wytłumaczyła mi Meghan, że właśnie się wsłuchuje, co do niej mówią przez słuchawkę, i w związku z tym nigdy nie będzie z niej profesjonalna dziennikarka, a potem powiedziała: „Przepraszam, ale właśnie się dowiedzieliśmy, że podejrzany za chwilę wyjdzie z budynku i że będzie z nim pani Fitzmaurice”. Kamera zrobiła najazd na wejście i rzeczywiście widać było jakieś poruszenie w głębi długiego korytarza. Niewyraźna biało - niebieska plama zaczęła się stopniowo materializować, niczym na odbitce z polaroida, a kiedy drzwi się uchyliły, ukazał się ostry, wyraźny obraz. Policjanci nadal trzymali się na dystans.

Ach, jakie ta nasza Meghan miała zawsze szczęście, nawet w najdrobniejszych sprawach. Tego dnia założyła śnieżnobiałą lnianą sukienkę, więc lśniła teraz w tych wątych promieniach słońca, wpadających między wysokie budynki. Wyglądała jak święta postać z witraża, okrojona z ciała i sprowadzona do samej duszy. Obok niej ze spuszczoną głową stał kolega Armanda, Marvin. Na głowie miał bejsbolówkę nasuniętą na czoło, jakby chciał ukryć twarz. Ręce bezwładnie zwiesił wzdłuż ciała. Na pewno został poinformowany, że jeśli choć na chwilę powędrują do kieszeni, policyjna broń natychmiast zostanie wycelowana i być może nawet użyta. Kiedy

Meghan położyła mu dłoń na ramieniu, jakby się wzdrygnął. Lekko uniosła podbródek i powiodła wzrokiem po dziedzińcu, jak gdyby zjawiała się tu po to, by przemówić do mieszkańców stłoczonych w małe grupki, a nie do swych starych elektronicznych przyjaciół - ustawionych w półkolu kamer telewizyjnych.

„Ten człowiek przyjechał tu dzisiaj, żeby się oddać w ręce policji. Był poszukiwany w związku ze strzelaniną, która przed tygodniem miała miejsce na terenie tego kompleksu, a której ofiarą padł mój syn, Leo Grater. Zanim jednak się poddał, chciał porozmawiać ze mną i przekazać broń, z której strzelał. Jest osobą wierzącą i uważa, że to Bóg chciał, aby się ze mną spotkał. Wiedziałam, że nowojorska policja go szuka, i bardzo mi zależało, aby dopóki nie odda się w jej ręce, nie stała mu się żadna krzywda”.

- Żadna krzywda - powtórzył jak echo Evan. - Powinni gnoja od razu zastrzelić.

- Ciii...

„Wydział policji okazał się niezwykle pomocny, ułatwiając mi spotkanie się z tym człowiekiem, za co bardzo dziękuję”. Zdjęła rękę z ramienia Marvinina, a on podniósł oczy, absolutnie przerażony, jak gdyby tylko dotyk Meghan chronił go przed celnymi strzałami z broni automatycznej. „Nie jestem jedyną matką, której dziecko padło ofiarą strzelaniny w tej okolicy - kontynuowała. - Wszyscy zasługują na sprawiedliwość”. Następnie skinęła na stojącego najbliżej policjanta, jak gdyby się wcześniej umówili, a on wraz z kilkoma innymi podszedł i założył Marvinowi kajdanki. Nawet z dużej odległości kamery zdołały wyłowić słowa Meghan: „Nie róbcie mu krzywdy”. Marvinina wpakowano do jednego radiowozu, a Meghan wsiadła do drugiego i nagle na jej miejscu przed wejściem wyrósł Irving.

„Około godziny dwunastej czterdzieści pięć mężczyzna podejrzany o postrzelenie Leo Gratera na terenie kompleksu mieszkaniowego imienia Helen Tubman przyznał się do winy i oddał ręce policji. Podejrzany wyraził życzenie, aby odbyć najpierw rozmowę z matką pana Gratera w mieszkaniu ich wspólnej znajomej, mieszczącym się w tym właśnie budynku. Matka pana Gratera przyjechała na teren kompleksu prosto ze szpitala, gdzie przebywa jej ranny syn, i spotkała się z podejrzanym, którym okazał się być Marvin White, lat dziewiętnaście, od urodzenia zamieszkały w tym kompleksie. Pan White miał ze sobą broń, której użył podczas

strzelaniny, i przekazał ją matce pana Gratera. Okazał skruchę z powodu swojego czynu, a także wyraził nadzieję, że syn pani Fitzmaurice w pełni odzyska zdrowie. W tej chwili jest przewożony do aresztu. To na razie wszystko, co mam państwu do przekazania".

„Panie komisarzu! - zawołał jeden z dziennikarzy. - Czy podejrzany wie, kim jest matka poszkodowanego?"

Irving westchnął. Było to słycać i widać: ramiona do góry, broda w dół. „Nie mam pojęcia".

- Rany boskie! - odezwał się Evan. Mnie zatkało. Do sali weszła jeszcze jedna pielęgniarka.

- Dzwonił ktoś z policji i przekazał, że pani Grater będzie tu mniej więcej za godzinę - powiedziała.

- Pani Grater - prychnął pogardliwie Evan. - Pani Grater. Boże...
Zupełnie opadłam z sił.

- Ona miała rację, wiesz? - powiedziałam zmęczonym głosem. - To się mogło wymknąć spod kontroli. Gość zabarykadował się w mieszkaniu Tequili. Meghan prawdopodobnie zapobiegła rozlewowi krwi.

- Ach, więc o to chodziło w tej całej operacji? Przecież policja mogła tam po prostu wejść i aresztować faceta. Za to im płacą.

- Mógłby się zacząć ostrzeliwać.

- Naprawdę uważasz, że tym się kierowała? Jesteś niesamowita, Bridget. Czy ty siedzisz po nocach, wymyślając dla niej wymówki?

- Tak to wyglądało - odparłam, wzruszając ramionami.

- Och, mam tego dosyć. Tutaj nic nie jest takie, jak się wydaje. Co to jest: szpital czy ekskluzywny hotel? A ona, kim jest: męczennicą czy matką? A ty? Siostrą czy asystentką? Czy ty faktycznie mieszkasz w tym mieście? Tutaj królują pozory. Nikt nie wygląda na swój wiek. Nikt nie pieprzy się z własną żoną czy mężem. Nikt nie lubi swojej pracy. Gdzie tu prawda? No, pokaż mi gdzie? - Wstał i poszedł w stronę drzwi, po czym odwrócił się na pięcie i zaciskając pięści, dodał: - Powiem ci, co czuje facet, gdy ktoś strzela do jego syna. Bezsilność. Najchętniej dorwałby drania, który to zrobił, i rozerwał go na strzępy gołymi rękami. Ale nie może zrobić nic, tylko siedzi i się zamartwia, czy jego dziecko będzie jeszcze kiedyś w stanie mówić, czytać, samodzielnie jeść i samodzielnie się poruszać. - Pokazał na telewizor. - A ta wychodzi i bierze sprawy w swoje ręce. I nawet nie raczy mi o tym powiedzieć. Nie przyszło jej do głowy:

„Hm, może jego ojciec chciałby w tym uczestniczyć? Może mógłby mi pomóc? Może przynajmniej chciałby się dowiedzieć, kim jest ten bydlak, który skrzywdził nasze dziecko?”. Nie, ponieważ zawsze liczyła się tylko ona. Nie mogłaś zrozumieć, dlaczego odszedłem, Bridge? Mnie tam tak naprawdę nigdy nie było. Jestem tylko przypadkową postacią występującą w wielkim show Meghan Fitzmaurice. I tak szczerze mówiąc, Bridge, oboje dobrze wiemy, że ty też. - Evan pokręcił głową. - Chciałbym odwiedzać mego syna, kiedy jej tu nie będzie. Przekaż jej to. Musimy jakoś podzielić ten czas. Nie będę z nią przebywał w jednym pomieszczeniu.

Telewizor cały czas był włączony. Dobiegały z niego informacje o mojej siostrze - wszystko, co już wiedziałam. W kółko powtarzali ujęcia sprzed budynku pokazujące Meghan trzymającą dłoń na ramieniu Marvinina. „Nie róbcie mu krzywdy” - mówiła. „Nie róbcie mu krzywdy. Nie róbcie mu krzywdy”. Potem powrócili do ramówki. Akurat leciała opera mydlana. Jakże adekwatnie.

Minęły co najmniej trzy godziny, zanim Meghan zjawiała się z powrotem w szpitalu. Telewizor nadal był włączony, ale bez dźwięku. Rozłożyłam fotel i, uniósłszy w górę opuchnięte kostki, jadłam kanapkę z tuńczykiem. Meghan miała sukienkę pogniecioną na biodrach, jak gdyby przez dłuższy czas siedziała. Wciąż bił od niej blask, jakby pochłonęła światło słońca i kamer oraz zatrzymała je głęboko w sobie.

- I co? - zapytała, stając nad łóżkiem i spoglądając na bladą, piegowatą twarz Leo.

- No właśnie: i co? - powiedziałam. - Nie masz zamiaru opowiedzieć, jak ci minął dzień, co tam, do cholery, robiłaś i co to wszystko w ogóle miało znaczyć?

Spojrzała na telewizor. Na ekranie ładna blondynka rozmawiała z jakimś szpakowatym mężczyzną. Nieraz się zastanawiałam, co czuje Meghan, kiedy ogląda telewizję. Czy to samo, co cykada, patrząc na swoją wylinkę, swój przezroczysty cień?

- Przerwali ramówkę?

- Och, nie denerwuj mnie! No jasne, że przerwali. Spójrzcie, Meghan wróciła. O, popatrz, Bob, Meghan Fitzmaurice wróciła i teraz występuje jako gwiazda we własnym, osobistym dramacie. Cóż, właściwie to dramat jej syna, ale nie bądźmy tacy drobiazgowi. To ona jest zakładniczką!

- Zamknij się, Bridget. Nie wiesz, o czym mówisz.

- To przedstawienie było dość jednoznaczne, Meghan.

- Nie wiesz, o czym mówisz - powtórzyła. - Dostałam telefon od twojej przyjaciółki Tequila. Do niej z kolei zadzwoniła córka i powiedziała, że w mieszkaniu jest ten chłopak, wymachuje bronią, płacze i krzyczy. Nie było mowy o żadnych zakładnikach. Przez godzinę się miotał, wyjął pistolet, opowiadał o tym, jak odnalazł Jezusa, i takie tam. Tequila wpadła na pomysł, że ja mogłabym go stamtąd wywabić i odciągnąć od jej córki. I to właśnie zrobiłam. Weszłam tam i udawałam, że go słucham, a potem zadzwoniłam do Irvinga i powiedziałam, że przejmuję sprawę. Nie wiem, kto zawiadomił dziennikarzy, ale na pewno nie ja. Zrobiłam tylko to, o co mnie prosiła Tequila.

- Nie mogę już tego słuchać. „Wszyscy zasługują na sprawiedliwość”. „Nie róbcie mu krzywdy”. Jaka wspaniałomyślna, miłosierna Meghan.

- Nie wiem, czemu tak się wściekasz. Przecież wiesz, jak tam jest. Wiesz, do czego to mogło doprowadzić. Wiesz, że mam rację.

Oczywiście, i to był właśnie główny powód mojej złości.

- Bo ty zawsze próbujesz wszystkim kierować! - krzyknęłam.

- Ktoś musi.

- Ach, więc teraz chodzi o dzielną, odpowiedzialną Meghan, która chciałaby odzyskać karierę, a jednocześnie móc sobie spojrzeć w twarz. Nie wspominając, że robi to dla dobra wszystkich siedzących przed telewizorami.

- Nie bądź głupia. Wiesz, na co się przydały te kamery? To jest zabezpieczenie. Sprawa jest już zbyt głośna. Żaden sędzia nie będzie teraz dla niego pobłażliwy. Oni wiedzą, że cały świat patrzy im na ręce, i nie odważą się zmienić kwalifikacji czynu czy złagodzić kary. Ten skurwysyn jeszcze zapłaci za to, co zrobił mojemu synowi. Drogo zapłaci. Do końca życia będzie pokutował.

- Nie wierzę ci.

Meghan usiadła na krześle, które wcześniej zajmował Evan. Jej twarz była teraz pozbawiona wyrazu; światło zgasło.

- Masz rację. Chcesz wiedzieć, co ja tam naprawdę robiłam? Musiałam po tobie posprzątać. Gdyby nie ty, Leo nigdy nawet by nie poznał tych ludzi. Gdyby nie ty, nie znalazłby się w tym szambie. A

więc to, co widziałaś, to byłam ja, sprzątająca bałagan, jakiego narobiłaś. Ale cóż, zawsze od tego byłam. Całe życie.

- Wiesz co? Może kiedyś przełknęłabym te słowa, ale teraz już nie. I wiesz, co sobie myślę? Myślę, że właśnie wykorzystałaś Leo, żeby kupić sobie rehabilitację. Myślę, że przez następne dziesięć lat będziemy oglądali programy na temat przestępczości w miastach, uszkodzeń rdzenia kręgowego i praw niepełnosprawnych, po to tylko, żebyś znowu mogła być gwiazdą. Jeśli to wszystko okaże się prawdą, przysięgam, że się już nigdy więcej do ciebie nie odezwę. Nigdy.

Wysłałam do atrium i opadłam ciężko na fotel. Młoda salowa bez słowa postawiła przede mną na stoliku to, czym raczyłam się przez ostatnie kilka dni - czajniczek naparu z rumianku i kawałek placka z dyni. Bliźniaki wierciły się niemożliwie, tak jakby i one czuły się rozbite i wściekłe. Zdjęłam buty, a kiedy potem chciałam wstać i pójść, gdziekolwiek, dokądkolwiek, okazało się, że nie mogę ich z powrotem założyć, bo tak mam spuchnięte stopy. Rozryczałam się. Salowa natychmiast podeszła do mnie z pudełkiem chusteczek i stertą kolorowych czasopism. Nie zdawała sobie sprawy, że na okładce jednego ze starych numerów widnieje zdjęcie mojej siostry. „Meghan! Pięćdziesiątka na karku, a wciąż w świetnej formie!”. Pianista odgrywał niekończącą się wiązaną piosenek o Nowym Jorku. Po około pół godzinie zakończył ją wykonaniem New York, New York. Jeśli tutaj ci się uda, uda ci się wszędzie.

- Nie trawię tej piosenki - powiedział Irving, siadając naprzeciwko mnie. - Skarbie? - zawołał na salową. - Nie znalazłaby się szklaneczka piwa dla starego zmęczonego człowieka? Jakoś nie mogę się przekonać do tych herbatek, a strasznie mnie suszy.

- Przykro mi, ale na terenie szpitala nie sprzedajemy alkoholu.

- Tak podejrzewałam, ale myślałam, że może da się zrobić wyjątek. - Pochwycił na sobie moje badawcze spojrzenie i dodał: - Moja przyjaciółka chyba też by się chętnie napiła.

- Jeszcze chętniej wysłuchałabym jakichś wyjaśnień.

- To nie ode mnie. Zostałem w to wciągnięty w ostatniej chwili. Ciągle czekam na sprawozdanie od głównej uczestniczki, która, nawiasem mówiąc, powinna tu gdzieś być. Ja jestem tylko facetem, który wezwał gliniarzy i pilnował spokoju, ale to nie było moje przedstawienie.

- Tak, to odpowiednie słowo. I wszyscy wiemy, kto w nim grał główną rolę.

Irving wyjął cygaro i zaczął je obracać w palcach.

- Moim zdaniem zbyt pochopnie ją oceniasz. Jestem ostatnim człowiekiem, który popierałby mieszanie się cywilów do takich akcji, i przy najbliższej okazji mam zamiar opieprzyć Tequilę za to, co zrobiła, ale oboje wiemy, że prawdopodobnie dzięki twojej siostrze udało się to wszystko utrzymać pod kontrolą. Dla naszego wydziału to nie najlepiej, bo za chwilę jakiś dziennikarz zacznie trąbić, jak to jedna słaba kobieta potrafi zrobić to, co raczej rzadko udaje się policji. Ale fakt jest faktem: weszła, wyprowadziła gościa, my go przejęliśmy, ona sobie poszła i nikomu nic się nie stało. Finito.

- Och, nie wkurzaj mnie. Finito? Teraz będą ją pokazywać w telewizji przez najbliższe dwa tygodnie.

- Kto jak kto, ale ona chyba jakoś to przeżyje.

- Nie w tym rzecz. Ona to wykorzystała. Wykorzystała tę sytuację, żeby powrócić na scenę. A ty jej w tym pomogłeś. Pomogłeś jej!

Irving przyglądał mi się, nadal obracając cygaro w dłoni. Podeszła salowa, niosąc czajniczek w kwiatki i taką samą filiżankę. Machnął ręką, chcąc podziękować, lecz dziewczyna postawiła naczynia na stoliku i mrugnęła okiem. Irving zajrzał do czajniczka i uśmiechnął się. Poczulałam woń piwa. Napełnił filiżankę i najpierw pociągnął mały łyk, a następnie wypił wszystko do dna.

- Dzięki! - zawołał na drugi koniec holu.

- Zamierzasz się odnieść do tego, co powiedziałam?

- Tak, tylko najpierw muszę zebrać myśli. Dobra, zacznę od początku. Masz siostrę. Ona składa się jakby z dwóch osób. Jedna to ta, którą wszyscy znają, a przynajmniej tak im się wydaje, i dlatego wymyślają o niej niestworzone historie, czasem drukując je w gazetach. Część z tego jest robiona ewidentnie dla pieniędzy, a większość to zwykłe bzdury. No i jest ta druga, prawdziwa Meghan, cokolwiek to znaczy. I twojej siostrze się pewnie wydaje, że tę prawdziwą znasz tylko ty i może jeszcze wasza ciotka. Okazuje się, że nawet jej mąż nie potrafił ich rozróżnić. A teraz wygląda na to, że ty też. Twoja ocena jest oceną z perspektywy dziennikarzy, brukowców i tych kretynów, zapraszanych przez Meghan na imprezy, którzy najpierw wpięprzają te jej miniaturowe jagnięce kotleciki, a potem

obgadują ją za plecami. No i muszę powiedzieć, iż sama myśl, że mogłabyś się zaliczać do tego towarzystwa, napawa mnie obrzydzeniem.

- Nie znasz jej.

- Przeciwnie, to ty jej nie znasz. W jej obecności tracisz zdolność logicznego myślenia. Nie jesteś obiektywna. Boisz się, że jeśli ona z powrotem wyląduje tam, gdzie zaczynała, to ty razem z nią? Nie żartuj. Wszystko się zmieniło. Ona upadła, a ty się podniosłaś. Nie cofniesz się, choćbyś nawet chciała, a to dopiero byłoby smutne. Nie cofniesz się, dlatego że jesteś teraz zupełnie inną osobą. Tak samo jak ona. Spójrz na nią. Skończyło się to jej poczucie, że jest nietykalna. To spojrzenie, jakby cały świat leżał u jej stóp. A teraz spójrz na siebie. Biedna mała Bridget? Nie rozśmieszaj mnie. To taki sam sztuczny wytwór jak duża niedobra Meghan. Przestań odtwarzać kreskówki w swojej głowie. Przestań wreszcie wierzyć w to, co pokazują w telewizji. Twoja siostra jest bezradna i załamana, i potrzebuje, żeby ktoś dostrzegł ją właśnie taką, pozwolił jej zaszyć się w kącie i być przez chwilę sobą. A tylko ty jesteś pod ręką. Słyszysz, co mówię? Uważasz, że jesteś jej coś winna? Cóż, minął czas zapłaty.

- Stajesz po jej stronie?

Irving pokręcił głową tak energicznie, jakby chciał się z czegoś otrząsnąć. Oparł się w fotelu i westchnął.

- To ja już nic nie wiem. Nie rozumiem tego. Taka jesteś mądra, jeśli chodzi o innych, ale jak ci przyjdzie zajrzeć do własnej głowy, gubisz się i błędzisz jak dziecko we mgle.

- Ty naprawdę stajesz po jej stronie. Nie do wiary.

- Tu nie ma żadnych stron. Jeśli kogoś kochasz, to mu pomagasz. I odpuszczasz mu. Może robić rzeczy, które ci się nie podobają, ale ponieważ kochasz, więc je akceptujesz.

- Coś w rodzaju umowy. Potrząsnął głową.

- Jeżeli to jest na zasadzie umowy, to masz przechlapane - powiedział. - Umowa oznacza, że oczekujesz czegoś w zamian. A ja mówię o tym, że bierzesz rzeczy takimi, jakie są.

- Nie jestem pewna, czy potrafię jej to wybaczyć.

- Co wybaczyć?

- Ten cyrk, który właśnie odstawiła. Nie umiem spojrzeć na to tak jak ty. Nadal uważam, że chciała w ten sposób odbudować swoją reputację.

- Coś ci powiem, Bridget, tylko posłuchaj mnie uważnie, bo mówię to z pełnym szacunkiem dla ciebie. Ty na jej miejscu zrobiłabyś dokładnie to samo.

- Nie sprowadzałam tam kamer. Irving znowu westchnął.

- Chrzanić kamery. Nie chodzi o to, czy ludzie cię widzą, kiedy to robisz; liczy się to, co o robisz. Oni i tak zobaczą to, co chcą. A tylko ci, co siedzą w środku, znają prawdę. Tyle razy ci mówiłem: nie należy mylić prawdy z atrakcyjnym widowiskiem.

- Cały czas się zastanawiam, z czym tutaj mieliśmy do czynienia.

- Hm - powiedział Irving, nalewając sobie ostatnie krople piwa z kwaciastego czajniczka. - To był jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy jedno nakłada się na drugie.

Rozdział 23

Teraz z perspektywy czasu widzę wyraźnie, że Irving miał rację. To jest irytujące. Z drugiej strony, jeśli sam pomyli się w ocenie, potrafi się do tego przyznać. W miesiąc po urodzeniu bliźniąt, pewnego dnia tuż przed świtem, chodził po sypialni, trzymając jedno z nich na rękach. W pewnej chwili usłyszałam:

- No dobra, przyznaję: myliłem się. Całkowicie się myliłem.

W sumie mógł tak powiedzieć, bo myślał, że jeszcze śpię.

Oczywiście ja także miałam rację co do mojej siostry. Zdarzyło się dokładnie to, co przewidywałam. Zrehabilitowała się w oczach widzów, choć forma tej rehabilitacji uwidoczniła się dopiero z upływem lat. Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o następstwa tamtej akcji na osiedlu, Meghan rozegrała sprawę bezbłędnie, ale to chyba nie powinno nikogo dziwić. Nie udzielała wywiadów; prośby od producentów piętrzyły się obok telefonu, mimo że Mercedes informowała wszystkich, że pani Fitzmaurice nie jest zainteresowana. Kiedy na godzinę lub dwie wpadała do mieszkania, żeby się przespać, odpowiadała jedynie na wiadomości od długoletnich przyjaciół. Na lunch z szefami stacji zaczęła chodzić dopiero, gdy Leo opuścił szpital i został przeniesiony do ośrodka rehabilitacyjnego, gdzie personel uczył go, jak na wózku inwalidzkim funkcjonować w świecie.

Ośrodek, kamienne budowle zwieńczone wieżyczkami i ustawione wzdłuż szerokich alejek, położony był w samym środku lasu o godzinę jazdy na północ od Nowego Jorku. Nawet miejscowi taksówkarze dowożący mnie z dworca mieli trudności z odnalezieniem go. Jednak w trakcie kilkumiesięcznego pobytu w odwiedziny do Leo przyjechało w sumie kilkadziesiąt osób. Dawne koleżanki i koledzy z Biltmore zjeżdżali się z południa i północy, z Vassar i Princeton, z Colgate i Yale. Niektórzy byli zakłopotani, widząc, jak Leo Grater, gracz w lacrosse, lekkoatleta biegający przez płotki, długonogi drybler, siedzi na elektrycznym wózku, a jego łydki stanowią zaledwie wypełnienie nogawek spodni. Jednak większość dawała mu jedno popołudnie na wyładowanie frustracji, a potem traktowali go jak dawniej, bez taryfy ulgowej. Było parę takich tygodni, po tym, jak Meghan pokazała mu taśmę z nagraniem aresztowania Marvina, kiedy Leo siedział przygnębiony i prawie się

nie odzywał, nawet przy mnie. Marvin przyznał się do winy, ale i tak dostał maksymalny wyrok, nie za napaść, lecz za usiłowanie zabójstwa. Każdego miesiąca przysyła Leo listy, dokładnie w dniu, kiedy go postrzelił.

Pewnego popołudnia siedzieliśmy razem na przeszklonej werandzie z widokiem na staw. Zapytałam Leo, czy śniło mu się coś przez ten czas, gdy leżał w szpitalu. Podczas tych kilku tygodni, kiedy lekarze sztucznie utrzymywali go w śpiączce, aby rany zdołały się wygoić. Skinął głową. Włosy odrosły mu ciemniejsze niż przedtem, mniej się kręca, no i oczywiście wygląda trochę starzej.

- Śniło mi się, że biegłem - odparł.

To był jedyny raz, kiedy pozwoliłam sobie rozplakać się w jego obecności.

- Nie krępuj się, Bridey - powiedział cicho. Odwiedzili go również znajomi z Amherst i kilkoro dzieci z Bronksu - przyjechały pociągiem ze swoimi mamami. Mamy usiadły niepewnie w poczekalni, mając nadzieję, że nikt ich nie obwinia za to, co się stało. Leo pograł z dziećmi w szachy na werandzie, a potem napiął bicepsy, żeby pokazać, jaki się zrobił silny. Delon też przyjechał.

- Smutno mi, że ktoś do ciebie strzelał - oznajmił poważnym tonem, a Leo odpowiedział:

- Mnie też.

Potem posadził go sobie na kolanach i zabrał na przejażdżkę wzdłuż alejki. Chłopczyk trzymał się kurczowo podłokietników, a na twarzy malowało mu się to samo radosne przerażenie co wtedy, gdy Leo wziął go na barana i przyniósł pokazać policjantowi i kuratorowi. Boże, jak to było dawno.

Księżniczka Margaret przyjeżdżała prawie w każdą sobotę. Często zabierała się autem z jednym z kolegów Leo. Ona także rozpoczęła studia w Amherst. Przyznano jej najwyższe możliwe stypendium, darmowe przejazdy na uczelnię i jeszcze dodatkowe trzyletnie stypendium na studia podyplomowe, ufundowane przez klub absolwentów. Tequila zdecydowała, że córka zostanie prawnikiem.

Po zakończeniu rehabilitacji Leo przeniósł się na Uniwersytet Columbia. Twierdził, że spośród uczelni Ivy League ta jest najbardziej przyjazna takim połamańcom jak on. Podejrzewam jednak, że chciał być bliżej swojej psychoterapeutki, pięćdziesięcioletniej pani, z

pochodzenia Irlandia, która startuje w maratonach i ma najbardziej umiejętnie łydki, jaki widziałam w życiu. Roześmiałam się, kiedy pierwszy raz zjawiłam się u niej, żeby porozmawiać.

- I on ze wszystkich terapeutów w Nowym Jorku wybrał akurat panią?

- Ludzka psychika bywa nieodgadniona - odrzekła pogodnie. - Ale tylko czasami.

Leo zaprosił ją na uroczystość wręczenia dyplomów. Zjawiły się też Tequila i Margaret, oczywiście Irving, ciocia Maureen, którą wreszcie przeniosłyśmy do domu opieki z prawdziwego zdarzenia, Evan z żoną i ich sześciomiesięczną córeczką Juliet, która przespała całą uroczystość w wózeczku, oraz Edward Preva - ricator, który rok wcześniej ożenił się z moją siostrą. Na każdego z absolwentów przypadały tylko cztery zaproszenia, ale Edward został członkiem rady powierniczej uniwersytetu, więc nie było żadnych problemów z dodatkowymi. Zdażyliśmy się już usadowić w specjalnym sektorze blisko sceny, kiedy zjawili się razem z Meghan. W tym momencie, niczym pole kukurydzy kołysane sierpniową bryzą, tłum gości zaczął wydawać ten znajomy nieśmiały i jednostajny szmer, zamieniający się w poszczególne słowa tylko jeśli się dobrze wsłuchać lub kiedy wie się z góry, co będzie mówić: „Patrzcie, to ona. Meghan Fitzmaurice”. W tym dniu przypominałam sobie coś, co powiedziała mi jeszcze na Jamajce, kiedy leżałyśmy i patrzyłyśmy na błękit oceanu. Opisała mi, jak się czuje człowiek na zesłaniu: „Zaczynasz powątpiewać w przeszłość, a terażniejszość wydaje się nie mieć końca”. „A przyszłość?” - zapytałam. „Jaka przyszłość?” - odparła.

- Leo o mały włos nie spóźnił się na przemarsz - szepnęła do mnie, zajmując miejsce między Irvingiem a Edwardem.

- Wydurniali się z kolegami na górze. Podejrzewam, że większość ma już nieźle w czubie. Aż się boję myśleć, co oni mają pod togami. Zdaje mi się, że jeden z nich jest pod spodem całkiem goły.

- Całkiem goły? - powtórzył mój syn, robiąc wielkie oczy.

Jego siostra siedziała na kolanach u Margaret, na drugim końcu rzędu. Ssała kciuk, a drugą rączką bawiła się opadającym jej na czoło loczkiem. Może to też był powód, dla którego Leo chciał studiować w Nowym Jorku. Ze względu na Maksa i Isabelle. Max i Isabelle

Fitzmaurice - Lefkowitz. „Boże! - złapał się kiedyś za głowę Irving. - Brzmi jak nazwa kancelarii adwokackiej”.

- Twój wujek Leo nie jest grzecznym chłopcem, Max - powiedziała do niego szeptem Meghan.

- Wujek nie jest chłopcem - sprostował malec z poważną miną - tylko mężczyzną.

To prawda. Kiedy odczytano jego nazwisko, lekko i bez wysiłku wjechał rampą na scenę, a pozostali studenci wzniesli gromki okrzyk. Leo pomachał im, a koledzy zaczęli skandować: „Le - o! Le - o!”. Max i Isabelle od razu się przyłączyli. Córeczka Evana obudzona hałasem nagle uniosła główkę i zapłakała, lecz zaraz z powrotem się położyła i zasnęła. Evan sięgnął i położył dłoń na ręce Meghan, która miała oczy pełne łez. W tym momencie błysnęła lampa i wiedziałam, że ktoś, być może inny rodzic, a być może fotoreporter czający się na obrzeżach tłumu, zrobił jej zdjęcie. Na niebie, ponad amfiteatrem utworzonym przez mury uniwersytetu otaczające z trzech stron trawiasty dziedziniec, krążyły trzy śmigłowce, obserwując tym razem nie nas, lecz toczące się w dole widowisko. Nowy Jork to takie miasto, gdzie każdy kogoś obserwuje i gdzie, jak sądzę, każdy czuje się rozpoznawany. Kiedy w miesiąc po przyjeździe na świat dzieci przeprowadziliśmy się z Irvingiem do większego mieszkania przy Dziewięćdziesiątej Siódmej, jakaś kobieta zaczepiła mnie na schodach, gdy wносиłam ostatnią lampę.

- Gratuluję - powiedziała z wyczuwalnym drzeniem w głosie. Spojrzałam na nią z zakłopotaniem i nagle zobaczyłam, że to jest ta kobieta, która mieszkała w budynku naprzeciwko mnie. Był z nią syn, teraz już w wieku studenckim, i córka, na oko wkrótce kończąca studia. Obserwowałam jej życie z odległości stu metrów i, jak się okazało, ona robiła to samo.

- Nie czułaś się nieswojo? Ja na samą myśl, że ktoś mnie obserwuje, dostaję gęsiej skórki - spytała potem Meghan, kiedy jadłyśmy lunch z ciotką Maureen. Trochę się obraziła, gdy obie jednocześnie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Moja siostra w zasadzie znów jest sobą, co znaczy, że wszyscy ją znają i kochają. Przez ostatnie cztery lata powoli, acz konsekwentnie stawało się jasne, że Meghan Fitzmaurice, błyskotliwa prezenterka telewizyjna o ciętym języku, która w niecenzuralnych słowach obraziła gościa programu, przeistoczyła się w Meghan Fitzmaurice -

oddaną matkę, osobiście przekazującą w ręce policji człowieka, który postrzelił jej syna, a potem dzielnie czuwającą przy szpitalnym łóżku, aż syn odzyskał przytomność, i wspierającą go, gdy walczył z kalectwem. Z każdym kolejnym programem wywiad z Greenstreetem coraz bardziej odchodził w zapomnienie, a wydarzenia w Bronksie wysuwały się na plan pierwszy. Dopóki nie nadarzyła się sposobność, widzowie nie zdawali sobie sprawy, że tym, czego Meghan Fitzmaurice brakowało do osiągnięcia pełnej doskonałości, jest piętno tragizmu i szczypta zasłużonej kary.

Zmieniła pracę i ma teraz trochę inną publiczność. Prowadzi półgodzinny program o nazwie Jak minął dzień, nadawany codziennie o wpół do dwunastej wieczorem. Wraz z zaproszonym gościem dyskutują o poważnych sprawach, na przykład o wizycie sekretarza stanu na Bliskim Wschodzie czy wystąpieniu prezydenta na Harvardzie na temat przyszłości szkół wyższych. Koniec wywiadów z aktorkami, chyba że któraś jest inteligentna, poważna i nie boi się krytyki. Meghan nie straciła tej umiejętności. Potrafi powiedzieć: „No nie, tak z ręką na sercu: naprawdę nie wzięłaś tej roli dla pieniędzy?”. Ludzie mówią, że to bardzo odświeżające.

Któregoś wieczoru oglądaliśmy ją razem z Irvingiem i on, zamyśliwszy się, nagle powiedział:

- Ona jest mistrzynią w podtrzymywaniu fikcji.

Z początku odebrałam to jako słowa krytyki pod jej adresem i trochę się zdziwiłam, ponieważ Meghan stała się bardzo oddaną cicią dla naszych bliźniąt i przez to Irving darzył ją nieco większą sympatią. Jednak potem zrozumiałam, że dotknął tym samym sedna sprawy. I nie chodzi tylko o Meghan. Jej udało się kiedyś przekonać ludzi, że to, co widzą, to zwyczajna rozmowa dwóch osób siedzących na sofie, tyle że - tak się składa - jedna z nich jest najśłynniejszą osobowością telewizyjną Ameryki, a druga popularną aktorką, cenionym pisarzem albo uznanym lekarzem, a czasem po prostu zwykłym obywatelem, stremowanym i spiętym, wciągniętym w jakąś niezwykłą sytuację i w nagrodę mającym swoje pięć minut w telewizji. Był tam stolik do kawy, cała ściana książek i okno z widokiem, a w rzeczywistości była to fototapeta, książek nigdy nikt nie czytał, a salon zaaranżowano pośrodku olbrzymiego hangaru pełnego pracowników technicznych, producentów i asystentów produkcji.

Teraz Meghan próbuje przekonać ludzi, że ona tylko siedzi przy stoliku i dekonstruuje najważniejsze wydarzenia mijającego dnia, chociaż większość została już zdekonstruowana przez zespół redakcyjny, a pytania wyuczone na pamięć, zanim jeszcze zapaliła się czerwona lampka. A jednak fikcja zostaje zachowana; pozory spontaniczności, autentycznego zaangażowania, zwyczajnej pogawędki przy stole, na którym nie ma nic prócz dwóch szklanek z wodą i notatnika z długopisem.

Czyż my wszyscy nie robimy tego samego? Irving w pracy stara się podtrzymać fikcję, że nowojorska policja zawsze panuje nad sytuacją, chociaż sam wie najlepiej, że to tylko pozory. Ja kiedyś starałam się podtrzymać fikcję, że kobiety, którym pomagam, w końcu znajdą mieszkanie, pracę, jakąś przyszłość dla siebie, jeśli nie idealną, to chociaż znośną, mimo że wiedziałam, iż często jest to absolutnie nierealne. A teraz, odkąd pracuję na stanowisku zastępcy pełnomocnika do spraw bezdomnych w urzędzie miasta (Edward jest kolegą burmistrza ze studiów, a Irving też zawsze dobrze się z nim obchodził), zajmuję się utrzymywaniem fikcji, że pozbieramy wszystkich ludzi z ulicy i umieścimy ich w schroniskach, jeżeli nie we własnych mieszkaniach. Od czasu do czasu nawet nam się to udaje.

Zeszłej zimy, kiedy w Nowym Jorku zdarzyły się trzy noce z rzędu z temperaturą poniżej dziesięciu stopni, Meghan postanowiła zrobić program o bezdomnych. „Chcesz wystąpić?” - zapytała, po czym odpowiedziała sobie sama: „Nie, chyba dziwnie byśmy się czuły”. Tematy rozmów są teraz pogodniejsze. Meghan nie zrobiła ani jednego programu o paraliżu, prawach osób niepełnosprawnych czy przemocy z użyciem broni. Ona także dostaje listy od Marvina, ale ich nie czyta. Leo też nie, ale wszystkie przechowuje w szufladzie biurka w małym mieszkaniu z poszerzonym wejściem, które wynajął na górnym Manhattanie. Jesienią rozpocznie studia na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia. Jeśli miałabym zgadywać, to powiedziałabym, że on już wie, iż najciekawsze tematy kryją się między wierszami tych właśnie listów. „Jestem nieodrodnym synem swojej matki” - stwierdził pewnego dnia, kiedy wdaliśmy się w rozważania na temat jego przyszłości. I to prawda. Stał się twardszy, surowszy, bardziej zawzięty. Teraz jest człowiekiem, który ma coś do udowodnienia. Czasem sobie myślę: „Gdzie się podział mój kochany,

słodki Leo?", a wtedy Max i Isabelle wpadają do salonu, uwieszają się u jego muskularnych ramion i przez krótką chwilę znów nim jest.

Meghan nadal wczesnie opuszcza przyjęcia, ale nie dlatego, że musi się położyć spać, lecz dlatego, że musi jechać do pracy. Jednak pozostali goście także wychodzą, żeby zdążyć obejrzeć, z kim i o czym będzie rozmawiała. Na ulicach słyszymy inne komentarze niż kiedyś. Mężczyzna w ciemnym płaszczu rzuca: „Nieźle pani przygadala temu gościowi z Banku Rezerw!". Pięć lat temu zapewne powiedziałby, że jego żona jest wielką fanką jej programu.

Meghan twierdzi, że jej największym wielbicielem jest Edward, i bez wątpienia ma rację. Na początku był on dla mnie zaledwie seria nad wyraz uprzejmych i troskliwych gestów. Bilety do teatru, prywatne wycieczki po muzeach, gotowe dania prosto z restauracji Francaise dostarczane do ośrodka rehabilitacyjnego, a potem prototypowy model wózka dla Leo. Meghan przez pierwszy rok trzymała go na dystans, a on się ani nie skarżył, ani nie wycofał. Jest od niej starszy o blisko dwadzieścia lat i z tego względu czasami z lekceważeniem odnosiłam się do tego związku. Paradoksalnie, bo Edward i Irving są prawie w tym samym wieku.

Później, kiedy Max i Isabelle skończyli roczek, zadzwoniłam do nich którejs nocy z płaczem, bo dzieci zachorowały na krup. Męczył je suchy, urywany kaszel. Brzmiało to jak szczekanie rozdrażnionych foczek. Buzie miały aż purpurowe z wysiłku. Pediatria poradził odkręcić gorącą wodę pod prysznicem, poczekać, aż para wypełni łazienkę i posiedzieć tam z nimi. Zapomniał jednak powiedzieć, w jaki sposób można powstrzymać dwójkę maluchów, które właśnie nauczyły się chodzić, od wsadzania rączek pod strumień wrzącej wody. Siedziałam i płakałam w kłębach pary i żalu nad samą sobą. Moja siostra była w Chicago i prowadziła na żywo program prosto z kampusu uniwersyteckiego, a ojciec dzieci wyjechał na konferencję do Las Vegas.

Prawie całą tę noc spędziłam z Edwardem. Ja na podłodze z Maksem, a on na sedesie z Isabelle. Zawsze widziałam w nim jednego z tych siwowłosych arystokratów, których Meghan przyrównywała do naszego ojca, tyle że z oczu Edwarda, kryjących się pod maską wieku, biła niespotykana dobroć. Para i wilgoć uczyniły go bardziej ludzkim, więc gdy wychodziliśmy z łazienki, wiedziałam już o jego młodzieńczej niechęci do wejścia w rodzinny interes, o ataku serca,

jaki miał jego ojciec, co go zmusiło do zmiany planów, o długoletniej walce żony z rakiem oraz o wielkiej słabości do pisarzy starej daty: Trollope'a, Dickensa i Henry'ego Jamesa. Z włosami przyklepionymi do czoła stanął w kuchni i zrobił dzieciom ryż na mleku, a mnie omlet, chociaż wiedziałam, że zatrudnia prywatnego kucharza, odkąd przed dziesięciu laty kupił dwupoziomowy apartament z widokiem na East River. Był wdowcem i ojcem dwóch dorosłych synów. Powiedział, że jeden z nich - ten, który jest profesorem angielskiego, nie ten, który zajmuje się teraz prowadzeniem firmy - chorował na krup wiele razy, gdy był mały. Dodał, że ogarnęła go fala nostalgii, kiedy tak siedział w zaparowanej łazience z małym dzieckiem na kolanach. „Lubię takie małe istotki” - powiedział, wachając włoski Isabelle.

Pobrali się z Meghan w ubiegłym roku. Ślub odbył się w salonie jego apartamentu, przed ścianą okien, z których roztacza się widok na rzekę i sporą część Queens. O zmierzchu, na rozpoczęcie ceremonii kuter pożarniczy na rzece wystrzelił w powietrze olbrzymią fontannę wody. Synowie otoczyli nowożeńców, a gdy Edward i Meghan zwrócili się ku sobie, w oczach mojej siostry dojrzałam cień zaskoczenia. Wiem, co wtedy czuła. Może nie to, że go kocha, lecz że jest niezmiernie zadowolona. Przy nim życie stawało się prostsze.

Dlatego było jej szczególnie trudno znieść to, co się nam przytrafiło po zakończeniu uroczystości wręczenia dyplomów. Okazało się, że zostałyśmy na lodzie, przynajmniej w rozumieniu Meghan. Leo pojechał na lunch (a potem piknik, imprezę i jeszcze jedną imprezę), a Edward miał zebranie rady w śródmieściu. Spod uczelni ruszała kawalkada limuzyn. Patrzyłyśmy, jak wszyscy triumfalnie odjeżdżają: Evan, Irving, Tequila z powrotem do pracy, a Maureen w odwiedziny do dawnej przyjaciółki, mieszkającej na Long Island. Dopiero wtedy, gdy sterczałyśmy z bliźniakami na krawężniku, trzymając w spoconych dłoniach zrolowane programy ceremonii, dotarło do nas, że zamówiłyśmy o jeden samochód za mało, a na taksówkę nie ma szans przy tym tłumie wystrojonych w togi absolwentów i ich rodzin. Blizna na czole mojej siostry zaróżowiła się. Dzieje się tak zawsze, gdy Meghan jest zła, zmartwiona lub po prostu zirytowana. Przecina konstelację piegów niczym spadająca gwiazda.

- Nie tak to sobie wyobrażałam - mruknęła ponuro, gdy przechodziłyśmy przez bramkę metra.

- Trzymamy się mocno poręczy i nie puszczaamy - powiedziała Isabelle, powtarzając instrukcje, jakich udzielałam jej podczas niezliczonych podróży linią Broadway Local.

- W sumie mogło być gorzej - stwierdziła Meghan, pochylając głowę. - Mogłyśmy mieszkać w Los Angeles.

- Ugryź się w język.

A w wagonie - impreza. Połowa pasażerów w granatowych togach Columbii, niektórzy wyraźnie odczuli już skutki zbyt dużej ilości szampana. W okolicach Sto Dziesiątej jakiś staruszek zaskoczył wszystkich, intonując drżącym głosem wersję a capella marsza wojskowego. Na wysokości Dziewięćdziesiątej Szóstej, gdzie wysiadałyśmy, pozostałych pasażerów zaczynało to już nużyć. Przeciętny nowojorczyk potrafi skupić uwagę najwyżej na tyle, ile trwa przejazd z jednej stacji do drugiej.

- W życiu bym nie uwierzyła, że pani jeździ metrem - zwróciła się do Meghan młoda dziewczyna z biretem w jednej ręce i oprawionym w skórę dyplomem w drugiej, kiedy mijała nas, wbiegając do góry po stromych schodach. Ludziom zapewne trudno byłoby w to uwierzyć, ale moja siostra w pewnym okresie robiła wiele zwykłych rzeczy: latała rejsowymi samolotami, zamawiała dania na wynos, kupowała gazety w kiosku. Oczywiście teraz większości z tych rzeczy już nie robi. Do podróżowania ma prywatny samolot, a prowadzenie domu i załatwianie spraw powierzyła Derekowi i jego żonie, po ich przeprowadzce na Brooklyn - po ślubie z Meghan Edward sprzedał dom na Jamajce. Mercedes pracuje teraz u nas i opiekuje się dziećmi.

Nam najbardziej spodobał się tekst pewnej pani, która kiedyś na kolacji w Waldorfie powiedziała zdumiona: „Ojej, to pani chodzi do toalety...”.

„Sławni ludzie są jak Barbie” - skomentowała to później Meghan. - „Nie mogą sobie zawracać głowy takimi czynnościami jak sikanie”.

Stając na rogu Dziewięćdziesiątej Szóstej i Broadwayu, mrużyłyśmy oczy przed majowym słońcem. Kilka poszarpanych obłoczków przesunęło się po niebie i zniknęło za nowym czterdziestodwupiętrowym apartamentowcem, wybudowanym w miejscu, gdzie wcześniej stał stary sześciopiętrowy blok z cegły. Dwa

wózki dla bliźniaków walczyły o przestrzeń na chodniku. W okolicy, gdzie mieszkam, podwójny wózek stał się niemal symbolem tego miasta: podwójny owoc późnego macierzyństwa. Ilekroć nie mogę się dodzwonić do swojej apteki (co zdarza się regularnie), muszę wysłuchiwać nagranej informacji, że firma ta jest największym w kraju samodzielnym dystrybutorem środków wspomagających płodność. Ach, my, mieszkańcy Nowego Jorku, jesteśmy przecież tak zabiegani, że czasem zapominamy się nawet rozmnażać. A potem słono płacimy, żeby dostąpić tego zaszczytu. Wszyscy byli przekonani, że nasze dzieci to dzieło kliniki: seria bolesnych badań, próbówka i te sprawy. W końcu stwierdziłam, że nie ma sensu wyprowadzać ludzi z błędu.

- O, są taksówki - powiedziała Meghan.

- Wpadnij do nas na chwilę. Zrobię tosty z serem.

- A masz w domu pikle na słodko?

- Nóżki mnie bolą - zawołała Isabelle. - Bardzo, bardzo.

- To przesądza sprawę - odparła Meghan, biorąc dziewczynkę na rękę.

Max od razu też wyciągnął rączki, więc go podniosłam. Gdy tak stałyśmy, stanowiłyśmy dla siebie idealne uzupełnienie, ale nie w tym sensie, co kiedyś. Moją siostrę odmieniło to, co przytrafiło się jej i jej synowi. Leo skarży się, że mama czasem spogląda na niego takim pytającym wzrokiem, a on nie umie odgadnąć, o co jej chodzi. A ona tylko chce się upewnić, że wszystko będzie dobrze, że przeszłość nie ma znaczenia. Ale oczywiście, ma. W każdym mieście, które odwiedza, spotyka się z lekarzami specjalizującymi się w uszkodzeniach rdzenia kręgowego. Gdyby zdolność chodzenia można było kupić, Meghan już dawno by to zrobiła za pieniądze Edwarda.

Nikt inny by tego nie zauważył, ale ja wiem, że coś w niej pękło. I dokładnie widzę, w którym miejscu jej dusza została skutecznie załatana. Być może rysa pojawiła się już wcześniej: gdy gospoia krzyknęła, słysząc od policjanta, że nasi rodzice zginęli, gdy Evan zaczął rzucać uwagi o płytkim i przelotnym charakterze tak zwanej telewizji śniadaniowej. A może to się stało na Jamajce albo w szpitalnej sali, albo nawet tamtego popołudnia w Bronksie? Przez lata tego nie dostrzegałam. Teraz już nie dało się tego nie widzieć. Czy ktoś musi się roztrzaskać na kawałki, żeby ktoś inny mógł stanowić jedną całość?

Przełożyłam Maksa do drugiej ręki. Nieśmiało spróbował pociągnąć mnie za kolczyk, więc postawiłam go na ziemi.

- Nie ma mowy, Jose - powiedziałam.

- Nie jestem Jose! - obruszył się jak zwykle.

Ruszyliśmy w stronę domu i w tym momencie się zorientowałyśmy, że za nami cały czas stoi młoda brunetka i czeka, aż zwrócimy na nią uwagę. Nasunęła przeciwsłoneczne okulary na włosy i nie spuszczała wzroku z Meghan. Patrzyłam, jak moja siostra przybiera ten charakterystyczny, nic nieznaczący uprzejmy wyraz twarzy, który dawno temu opracowała specjalnie na takie okazje. Dziewczyna nerwowo miętosila pasek od torby i zaczęła od ostatnich słów, jakie chciałaby usłyszeć kobieta po pięćdziesiątce:

- Kibicuję pani od dziecka. Oglądam każdy pani program. Chciałam tylko powiedzieć... Chciałam powiedzieć, że studiuję dziennikarstwo na Columbii i w przyszłości chcę się zająć robieniem filmów dokumentalnych. Uwielbiam panią, zawsze panią podziwiałam, a ten wywiad z genetykiem w zeszłym tygodniu był niesamowity, pierwszy raz w ogóle coś z tego zrozumiałam. Boże, ja panią zagaduję, a pani pewnie się śpieszy. Proszę mi wybaczyć, ale po prostu musiałam to powiedzieć. Pani jest niesamowitym wzorem dla nas wszystkich. Mówię o kobietach.

Isabelle przyglądała się jej podejrzliwie.

- Jak pani na imię? - zapytała Meghan.

- Mnie? - Tak.

- Eve.

- Masz coś do pisania, Eve?

Dziewczyna miała ze sobą przepastną torbę, jaką zawsze noszą dziennikarze. Meghan w młodości też taką nosiła.

- Tak. Zawsze mam w torebce długopis. I notes. Zawsze mam przy sobie notes i długopis.

- To dobrze. - Meghan podyktowała jej swój numer do pracy, nie ten zastrzeżony, tylko publiczny. - Zadzwoń i powiedz mojej asystentce, że to ja cię prosiłam o telefon. Nazywa się Tequila, tak jak ten alkohol. Możesz wpaść kiedyś na kawę, zapraszam.

- O Boże, serio? Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Jakaś ty miła - odezwałam się, kiedy trochę się oddaliłyśmy.

- Jestem głodna - jęknęła Isabelle.

- Nie musisz jej nieść całą drogę.

- Ależ oczywiście, że muszę - odparła Meghan. Uśmiechnęłam się i powtórzyłam cienkim głosem: "Kibicuję pani od dziecka".
- Niestety, cholera. Isabelle uniosła główkę.
- Nieładnie jest przeklinać, ciociu Meghan - upomniała ją.
- Masz rację, skarbie - odparła moja siostra. - Ciocia się zapomniała. - Isabelle opuściła głowę z powrotem, a Meghan spojrzała na mnie i dodała: - Ja tobie też.
- Wiem.